

A close-up portrait of a woman with light blue eyes and a blue headscarf. She is wearing large, blue, star-shaped earrings. The background is a soft, out-of-focus blue.

**MIRIAM SYNGER**  
**JESTEM ŻYDÓWKĄ,**

**PAMIĘTNIK  
RELIGIJNEJ  
FEMINISTKI  
PATRIOTKI  
WIELODZIETNEJ  
MATKI POLKI**

**PAMIĘTNIK  
RELIGIJNEJ  
FEMINISTKI  
PATRIOTKI  
WIELODZIETNEJ  
MATKI POLKI**

**znak**  
*koncept*

KRAKÓW 2023

# **MIRIAM SYNGER JESTEM ŻYDÓWKĄ**

*Rodzinie*

Miriam w szczególny sposób przekazuje istotę judaizmu i żydowskiego życia. Jej spostrzeżenia i uwagi wzbogacają i podnoszą na duchu każdego, kto czyta tę książkę. Miriam wnosi wrażliwość, świadomość, a przede wszystkim szczerść, która jest jej wyjątkowym darem dla nas wszystkich. Wpuszcza nas do swojego świata, zmartwień, trosk, wzlotów i upadków. Czytanie tej książki pogłębi i poszerzy twoje rozumienie tradycyjnego żydowskiego życia, jednocześnie inspirując i motywując.

Dziękuję, Miriam. Otwierasz nam oczy i serca na bogactwo tradycji i obrzędów żydowskich. Nie mogę doczekać się twojej następnej książki.

Michael Schudrich,  
naczelny rabin Polski

*1 września / 24 elul, środa*

Koniec wakacji. Znowu rozpoczęcie roku szkolnego. W zasadzie nie ma się co dziwić. Jestem matką od ponad dekady, więc 1 września nie mogłam się spodziewać niczego innego.

Starszaki w eleganckich strojach poszły na Wawel. Tam dołączyły do kolegów i koleżanek, którzy też przyszli posłuchać przemów dyrekcji.

Starszy Syn, pierworodny, lat trzynaście, właśnie poszedł do siódmej klasy, potem jest Najstarsza Córka, lat dziesięć, w klasie piątej, i rok niżej Środkowa Córka, lat osiem.

Jeszcze rok temu podczas podobnej uroczystości byłam z nimi. Rozglądałam się niepewnie po sali. Kurczowo trzymałam Męża za rękę. Zastanawiałam się z drżącym sercem, czy przeprowadzka z Łodzi do Krakowa to był na pewno dobry pomysł. Czy przenoszenie ich z ukochanej szkoły wyjdzie im na dobre. Patrzyłam na moją szkolną trójeczkę ukradkiem. Moje zerkanie szybko przerodziło się w oczopląs. Każde siedziało w innym miejscu, więc biegałam oczami w tę i we w tę, aż zakręciło mi się w głowie. Nie dostrzegłam żadnego dramatu, nie było na ich twarzach rozpacz.

Ale pierwsze miesiące w nowej szkole mnie nie uspokajały. Inny system nauki niż ten, który znali do tej pory, dał się we znaki. Sprawdziany, kartkówki, zadania domowe i oceny były dla całej trójki czymś nowym. Dla mnie jako dziecka oraz większości dzisiejszych dzieciaków to codzienna oczywistość. Oni jednak chodzili do szkoły demokratycznej, w której lekcje odbywały się trochę inaczej niż w szkole systemowej. Tam była edukacja poprzez zabawę. Celem było obudzenie w uczniach chęci do nauki nie ze strachu przed karą w postaci jedyńki, lecz przez wzgląd na nagrodę, którą jest nabyta wiedza.

Przeszliśmy przez bóle brzucha, bo pani będzie zła, że jakaś makieta nie została skończona. I stres, bo sprawdzian. I symulowane przeziębienie, bo zadanie nieodrobione. Zostałam parę razy wezwana przez nauczycieli, bo dzieci mają braki i za mało się uczą, a wiadomo – podstawa programowa.

Jakoś z czasem nauczyły się, że kartkówka to nie koniec świata, ocena dostateczna nie parzy, systematyczność w nauce pomaga zdobyć piątkę, a unikanie zajęć nie popłaca. Ich świadectwa nie świeciły celującymi, a ja nadal nie zostałam matką prymusów. Ale na zakończeniu roku, dwa miesiące temu, widziałam trójkę dzieciaków zadowolonych ze szkolnego życia. Wszyscy wzięli udział w przedstawieniach, recytowali wiersze. Nie zerkali w moim kierunku, co odczytałam jako dobry znak. Nie szukali w moich oczach otuchy, a to znaczy, że czuli się pewnie. A skoro nie próbowali na mojej twarzy wychwycić uśmiechu zadowolenia, zapewne wiedzieli, że idzie im dobrze.

Bogatsza o doświadczenie uznałam, że misja zakończona, i na rozpoczęcie roku nie poszłam, co też moich dzieci specjalnie nie przejęło. Prawda jest taka, że nawet bym się i przeszła na ten Wawel popatrzeć, jak słuchają przemów, szepcząc coś z koleżankami. Ale w tym samym czasie siedziałam z Najmłodszą Córką i Młodszym Synem na placu zabaw wśród innych dzieci z przedszkola i żłobka. Wyczekany od dawna dzień, w którym moje piąte, najmłodsze i ostatnie dziecko – błogosławiony niech będzie judaizm za możliwość antykoncepcji – przechodzi z rodzicielskich rąk pod wyspecjalizowaną opiekę odpowiedniej placówki.

Pierwszy dzień półtorarocznego Młodszego Syna w żłobku był taki, jak powinien. On się świetnie bawił, a ja dumałam nad mijającym czasem. Trochę byłam wzruszona, widząc, jak Najmłodsza Córka, pięciolatka, czwarte z kolei dziecko, opiekuje się młodszym bratem, czule prowadząc go za rękę. Dumna pokazywała mu różne zakamarki placu zabaw, który dobrze zna, bo bywa tu od roku. Trochę mnie uspokajało, że oboje są w żydowskim przedszkolu i żłobku. Dzięki temu ominie nas tłumaczenie, że jesteśmy Żydami i że w związku z tym nasze dzieci różnią się tradycją i religią od większości dzieciaków.

Z Młodszym Synem i Najmłodszą Córką mógłby być Mąż. Wtedy ja bym poszła na Wawel ze Starszakami. Ale akurat był w pracy poza Krakowem.

*2 września / 25 elul, czwartek*

Kupiłam sobie nowy kalendarz, papierowy. Nawet zamieniłam kotki z okładki na własnoręczny kolaż z różnych gazet. Od lat używam takiego samego. Jest bardzo tani, ma tyle miejsca na notatki, ile potrzebuję. I – co jest dla mnie najistotniejsze – zaczyna się we wrześniu, ponieważ jest kalendarzem studenckim. Nigdy nie rozumiałam, jak można rozpoczynać rok w styczniu. Odkąd pamiętam, czas wakacji był dla mnie oddechem po intensywnym roku, a zarazem momentem na zatrzymanie się, zdystansowanie do siebie i tego, co robię, podsumowania, podejmowanie decyzji, robienie planów. Tak jest nieprzerwanie od czasów podstawówki, która płynnie przeszła w liceum, a zaraz po nim w studia. Piąty rok na obu kierunkach – socjologii i stosunkach etnicznych – zszedł się z pierwszą ciążą, poród z wakacjami, studia doktoranckie i podyplomowe ze wczesnym dzieciństwem Starszego Syna. Kiedy zdecydowałam, że studiów kontynuować nie chcę, i podjęłam pracę na pełen etat, Syn poszedł do żłobka, w którym czas również dzielił się na rok szkolny i wakacje.

Kilkanaście lat temu, odkąd jestem religijna, taki rytm nabrał jeszcze większego sensu. Pierwszego i drugiego dnia żydowskiego miesiąca tiszri, czyli najczęściej we wrześniu lub na początku października, przypada bowiem Rosz ha-Szana, czyli żydowski Nowy Rok.

Na biurku leży świeżutki, jeszcze pachnący drukarnią kalendarz, w którym starannie zapisałam najważniejsze wydarzenia w roku, takie jak urodziny bliskich czy święta żydowskie. Jest jeszcze pusty, jeszcze niepopisany, niepopodkreślany, jeszcze niewymięty moim wiecznym używaniem go. Za kilka dni pożegnamy 5781, a przywitamy 5782 rok. Jestem gotowa na mój nowy, mały początek, cokolwiek złego czy dobrego mi przyniesie.

*3 września / 26 elul, piątek*

Wysłałam do dyrekcji szkoły moich dzieci e-mail z informacją o dniach, w których ze względu na święta nie przyjdą do szkoły. I tak będę na bieżąco usprawiedliwiała ich nieobecności. Ale skoro już teraz wiem, kiedy ich nie będzie, mogę o tym uprzedzić. Co roku są to: dwa dni Rosz ha-Szana, Jom Kippur, dwa pierwsze i dwa ostatnie dni Sukot, dwa pierwsze i dwa ostatnie dni Pesach oraz dwa dni Szawuot. Czasem święta pokrywają się z weekendem. Raz na kilka lat Pesach nachodzi na Wielkanoc. Wtedy wszyscy się cieszymy, bo Starszaki opuszczają mniej lekcji.

*4 września / 27 elul, sobota*

Byliśmy dzisiaj całą gromadą na spacerze. Często w sobotę, podczas szabatu, naszego dnia odpoczynku, wychodzimy na godzinę lub dwie. Przechadzając się alejkami, spotkaliśmy moich od bardzo dawna niewidzianych znajomych. Chociaż mieszkamy w Krakowie od półtora roku, nadal nie odświeżyłam wszystkich przyjaźni sprzed dziesięciu lat. Winą obarczam pandemię, ale też pędzące błyskawicznie życie.

Wychowałam się w Krakowie. Tutaj chodziłam do szkoły i studiowałam. W tym mieście poznałam przyszłego męża. I Starszy Syn, i Najstarsza córka urodzili się w krakowskim szpitalu. Po kilku latach wyjechalśmy czteroosobową rodziną do Izraela. Dwa lata mieszkaliśmy w Jerozolimie, gdzie na świat przyszła Środkowa Córka. Potem kolejne dwa w miasteczku oddalonym od Jerozolimy o dwadzieścia kilometrów. Po tych czterech latach wróciliśmy do Polski i zamieszkaliśmy w Łodzi. Tam urodziło się kolejne dziecko, Najmłodsza Córka. Tam też się rozwiodłam i poznałam obecnego Męża. Również w Łodzi na świat przyszedł Młodszy Syn, moje piąte dziecko. Na początku pandemii przyjechaliśmy do Krakowa, żeby przeczekać w mieszkaniu mojej Mamy najgorszy czas. Przedłużające się zamknięcie pomogło nam podjąć decyzję o przeprowadzce do tego miasta. I dla mnie, i dla Męża,

który tutaj spędził studia, był to trochę powrót do przeszłości. Po czterech latach w Izraelu i pięciu w Łodzi, skąd pochodzi Mąż, gdzie mieszkają Teściowie oraz mój były mąż i gdzie została część naszego życia, zaczęliśmy więc gniazdko w Krakowie – blisko Mamy, Babci, Szwagierki i jej rodziny oraz licznych przyjaciół z dawnych lat.

No i nadal zdarza mi się spotkać kogoś dziesięć lat niewidzianego. Zawsze to szalenie miłe. Jedyne, co mnie dziwi, to że każda z tych osób wydaje się o dekadę starsza, niż ją zapamiętałam.

**5 września / 28 elul, niedziela**

Korzystając z niedzieli, pospałabym dłużej. Ale mój szanowny Małżonek postanowił zadać w szofar. Robi to codziennie od prawie miesiąca. Niemniej jednak dzisiaj mógł sobie odpuścić. Albo poczekać z tym do późniejszej godziny.

Szofar wykonuje się z rogu zwierzęcia z rodziny wołowatych, które jest najbardziej powszechne w danym regionie. Jedyne z krowy się go nie robi. O instrumencie jest mowa w Torze – to właśnie jego dźwięk usłyszeli zebrani pod górą Synaj, kiedy Mojżesz otrzymywał przykazania. Dawno temu dęto w szofar na znak wojny, ale przede wszystkim aby oznajmić początek nowego miesiąca, w dwa pierwsze dni tiszri – dzisiaj obchodzone jako żydowski Nowy Rok – oraz na rok jubileuszowy. Ten przypadał raz na półwiecze, czyli kiedy się siedmiokrotnie dopełnił siedmioletni cykl zamykany przez rok szabatowy, czyli szmitę. Świadomość nastania szmity i roku jubileuszowego współcześnie ma mniejsze znaczenie niż kiedyś, kiedy czekano na ten moment, bo co siedem lat umarzano długi, a co pięćdziesiąt uwalniano wszystkich więźniów i niewolników, nieruchomości zaś wracały do pierwotnych właścicieli. Za to nadal przestrzega się w Izraelu nakazów związanych z rokiem szabatowym. Według Tory po sześciu latach użytkowania w roku siódmym ziemia ma być pozostawiona odłogiem, a wszelka działalność rolnicza, w tym orka, sadzenie, przycinanie i żniwa, jest zabroniona. Ponieważ te prawa są stare jak świat, współczesne państwo nauczyło się radzić sobie z nimi tak, by rolnicy w tym czasie nie zbankrutowali, a obywatele nie pomarli z głodu z braku oliwek i mąki. Święto wypadnie akurat za kilka dni. Podczas zeszłej szmity mieszkałam w Izraelu. Nie pamiętam wielu szczegółów, z wyjątkiem tego, że wszystko z dnia na dzień stało się znacznie bardziej skomplikowane – i zakupy w warzywniaku, i gotowanie.

Wysłuchanie dźwięku dobywającego się z rogu podczas Rosz ha-Szana traktuje się jako wypełnienie przykazania. Zwyczajowo dźwięk ten słychać przez cały miesiąc poprzedzający nadejście nowego roku, a także na Jom Kippur. Szofar ma budzić z całorocznego letargu, poderwać ciało do działania, a duszę skłonić do refleksji nad bilansem dobra i zła, które się uczyniło w ubiegłym roku. I pewnie nie bez powodu przypisuje mu się taką moc. Niezależnie bowiem od zaangażowania dmącego – odgłos dobywający się z instrumentu przyprawia o ciarki, przypominając zawodzenie zjawy, ewentualnie nieszczęśnika poddawanego najgorszym torturom.

I taki oto dźwięk wyrwał mnie brutalnie ze snu. W jednej chwili wstałam, chwyciłam hantle i zaczęłam ćwiczyć.

**6 września / 29 elul, poniedziałek**

Dzisiaj wieczorem jest Rosz ha-Szana. Tym samym zaczyna się kilkutygodniowa jazda bez trzymanki, czyli Wielkie Święta czy też Święta Wysokie. Najpierw Nowy Rok żydowski, który trwa dwa dni. Chałka z miodem, głowa ryby, dęcie w szofar i symboliczne wyrzucanie grzechów. Potem dziesięć „strasznych dni” i dwudziestopięciogodzinny post – Jom Kippur. Dostyc szybko nadejdzie pora na ponadtygodniowe święto Sukot i siedzenie w szałasie. Tak. To intensywny czas.

Pierwszy z dwóch rozszaszanych sederów spędzimy w domu, drugi zjemy w gronie kilkudziesięciu osób z żydowskiej społeczności, która mieszka w Krakowie. *Seder* to po hebrajsku ‘porządek’ – tym mianem określa się kolacje spożywane podczas trzech świąt: Pesach, Tu bi-Szwat i Rosz ha-Szana, a to dlatego, że zanim wejdą zupa i drugie danie, je się konkretne potrawy w określonej

kolejności. W Pesach gorzkie zioła, warzywa maczane w słonej wodzie, słodki charoset, jajko na twardo, macę i wino. W Tu bi-Szwat suszone owoce, oliwki oraz produkty z pszennej i żytniej mąki. W Rosz ha-Szana sięga się między innymi po okrągłą chałkę, jako symbol ciągłości rocznego cyklu, po jabłka w miodzie, by cały rok był słodki, oraz po głowę ryby, żeby osiąść przymioty tej części ciała, a nie ogona.

W ciągu dnia pójdziemy do synagogi. Poza tym będziemy robić to, co zawsze podczas szabatów i świąt, czyli jeść, grać, czytać i odpoczywać z dala od telefonów i wszelkiej elektroniki.

W piekarniku pieką się łosoś, zapiekanka makaronowa i warzywa. Potem wstawię resztkowiec z rodzynekami i cynamonem. To moje ulubione ciasto. W ciągu tygodnia zbieram niezjedzony chleb – suchą piętękę, pół bułki, której nikt już nie chce. Przechowuję w lodówce. Kiedy się uzbiera większa ilość, wyciągam, zalewam mlekiem, żeby pieczywo zmiękło. Dodaję jajka, proszek do pieczenia i cukier. Blenduję na gładką masę. Wrzucam kawałki jabłek albo rodzynek, czasem wiórki kokosowe lub daktyle. I piekę tyle, ile trzeba. Najczęściej resztkowiec wychodzi smaczny, a chleb się nie marnuje. Poza tym będą humus i sałatka z tuńczykiem, oba dania zrobione przez Męża, i obowiązkowo jakaś sałatka z rukolą czy roszponką oraz izraelska z drobno pokrojonym ogórkiem, pomidorem, papryką, cebulą i świeżą kolendrą. Całą kolację zaczniemy od tradycyjnych potraw roszhaszanowych, które trzeba jeszcze tylko porozkładać na talerzach.

*8 września / 2 tiszri, środa*

Świętowanie za nami. No nie do końca, bo świąteczna karuzela nadal się będzie kręcić przez następny miesiąc. Ale teraz mała przerwa na odsapnięcie od jedzenia i odpoczywania, czas na odpisanie na e-maile, sprawdzenie, co się wydarzyło w świecie przez ostatnie dwa dni, zajrzenie na fejsa i insta. Jak to mamy w zwyczaju – podobnie do innych religijnych Żydów na całym świecie – w określone dni świąteczne i co szabat, czyli raz w tygodniu, nie używamy elektroniki, samochodów, nie chodzimy na zakupy, do pracy ani do szkoły i przedszkola. Jeżeli święto wypadnie w weekend, pozostajemy w trybach kalendarza obowiązującego w Polsce – wszyscy mają wolne. Jeżeli w środku tygodnia, trochę trzeba się nagimnastykować, żeby ułożyć grafik, w którym żadne obowiązki nie kolidują ze świętami. W naszej rodzinie to nie takie trudne. Oboje z Mężem pracujemy po części dla żydowskich organizacji, a po części jako wolni strzelcy. Czyli albo mamy szefów Żydów, albo sami sobie jesteśmy szefami. Żadnego zwolnienia brać nie musimy. Ale warto pamiętać, aby na te dni z nikim się nie umawiać, nie podejmować zobowiązań.

Właśnie obliczyłam, że to w sumie z sobotami sześćdziesiąt siedem dni. Tyle czasu mniej możliwości siedzenia przed Netflixem, co jest miłą czynnością, ale też o tyle krócej narażamy się na promieniowanie światła niebieskiego, które dla naszego mózgu już jest mniej dobre. 18 procent roku. Chociaż może nie mam racji i te obliczenia są zupełnie nieprawdziwe. Ktoś lepszy w matematyce może sam to sprawdzić. Tylko gdyby robił tę rachubę dla Żydów w Izraelu, trzeba odjąć pięć dni świątecznych, ponieważ zarówno Pesach, jak i Sukot oraz Szawuot trwają tam krócej.

W diasporze, czyli poza Izraelem, święta wydłużono w czasach, kiedy stała jeszcze Świątynia Jerozolimska. Wtedy nowy miesiąc żydowski ustanawiano na podstawie świadectw osób, które widziały Księżyc w nowiu. Wiść o tym wydarzeniu rozsyłano do wszystkich społeczności żydowskich. Jeśli nie było świadków – na przykład ze względu na zachmurzenie – wychodzono z założenia, że nowy miesiąc jeszcze się nie zaczął, i czekano do następnego dnia.

Przez to poza Izraelem jeszcze trudniej było pilnować czasu rozpoczęcia świąt. Dodatkowy dzień minimalizował błąd rachuby. Dzisiaj żydowski kalendarz jest ustalony. To eliminuje niepewność mieszkających daleko od Jerozolimy i poza Izraelem co do dat świąt. Władze rabiniczne ustanowiły jednak, że należy podtrzymywać tradycje przodków. Dlatego społeczności diaspory nadal przestrzegają starych praw.



*9 września / 3 tiszri, czwartek*

I co mi przyszło z taszlichu, skoro znowu się wkurzyłam? Zwykła drobnostka. A nie wytrzymałam i podniosłam głos. Bo dzieci znowu rzuciły plecaki i buty pod drzwiami, tarasując całe przejście. Potknęłam się raz. Poprosiłam o zabranie swoich rzeczy. Usłyszałam, że zaraz. Potknęłam się drugi raz. Zawołałam, żeby wzięły bambetle. Cisza. Jakby to nie ich trampki. Odetchnęłam. Policzyłam do trzech. Wysiliłam się na żart. Cisza. Jakby to nie ich tornistry wyładowane zeszytami, podręcznikami i obiadowkami, które przecież mają wyciągać od razu po przyjściu. No to krzyknęłam. Nie lubię krzyczeć. Nie przepadam za sobą zdenerwowaną. No, ale – do jasnej cholery – ile razy można powtarzać to samo! Wyszły z pokojów. Ustawiły buty. Wyłożyły pojemniki z resztkami obiadu na stół. Zabrały plecaki. Zostawiły na mnie swoje wyniosłe spojrzenie. Wróciły do siebie.

Banda nieokrzęsanych troglodytów.

Miałam też nie psioczyć w myślach. Kolejne noworoczne postanowienie. I co? Jajco.

Jednym ze zwyczajów rosztaszczonych jest symboliczne wyrzucenie do wody swoich występów. To właśnie *taszlich*, który na nic mi się zdał. Żydzi gromadzą się nad rzeką albo strumieniem. Jeśli nie mają takowego w okolicy, radzą sobie inaczej. Może być studnia. Jeżeli żyją na pustyni albo jest koniec świata i nie ma możliwości wyjścia na zewnątrz, używają miski z wodą lub po prostu pomijają ten zwyczaj. Ale kto może, odmawia odpowiednie błogosławieństwo i wrzuca do wody okruszki chleba czy krakersów. W Łodzi chodziliśmy do jednego z pobliskich parków, a nasze złe uczynki zjadały kaczki lub ryby. W Krakowie wybieramy Wisłę. W jej mętnej nurcie postanowienia poprawy znikają jeszcze szybciej. Czasem towarzyszy nam deszcz, o który w Polsce o tej porze roku nietrudno. Czasem słońce, które we wrześniu próbuje się przebić przez jesienne chmury. Ale do taszlichu pasuje każda pogoda. Mżawka potęguje powagę chwili. Kiedy niebo jest szare, postanowienia ciążyą bardziej. Za to ciepłe promienie i świeży zapach podkreślają lekkość, jaką daje wyzwolenie od własnych przekrobań. A planom poprawy pomagają zakwitnąć.

W tym roku pogoda była jaka taka. Całą gromadą poszliśmy nad Wisłę. Przyznam, że bardziej niż na rachunku sumienia skupiłam się na tym, żeby młodszy nie powpadali do wody. Ale kiedy Mąż przejął pilnowanie gawiedzi, zadumałam się nad sobą. Chciałabym się mniej denerwować. Być bardziej cierpliwa. Mieć w sobie więcej wyrozumiałości, przede wszystkim wobec dzieci, wobec Męża. Nie gadać tyle, bo bywam męcząca. Nie mleć w kółko tego samego tematu, bo to z kolei męczy mnie. Nie przejmować się tym, co mówią inni. Popracować nad wewnętrzną pewnością siebie... Lista długa. Mogłabym tak w nieskończoność stać nad wodą i wrzucać do niej okruszki, wizualizując sobie, że oto właśnie fale pochłaniają moje frustracje, trudności i wszelkie przewinienia wobec siebie, ludzi i Boga. Ale dzieci szybciej ode mnie opróżniły kieszenie, pozbywając się swojego życiowego bagażu, i gotowe były wrócić do domu. Więc wróciliśmy ciutkę oczyszczeni.

Taaa. Może i się oczyściłam duchowo. Ale rzucone na ziemię buty i plecaki niezmiennie doprowadzają mnie do szału.

*10 września / 4 tiszri, piątek*

Zaraz zaczyna się szabat. Obchodzimy go raz w tygodniu na pamiątkę boskiego odpoczynku po siedmiodniowym tworzeniu świata.

Mąż pojechał szybko coś jeszcze załatwić, więc sprawdzam, czy wszystko mamy.

Świeczki? Są. Ale przydałoby się kilka pudełek zapalek. Co tydzień w piątek, zanim się ściemni, zapalam siedem tilajtów, czym symbolicznie rozpoczynam w naszym domu szabat.

Wino na kidusz? Jest. Sok z winogron? Trzeba przynieść z piwnicy, gdzie leży go pełna skrzynia. Kiduszem, czyli odpowiednimi błogosławieństwami, podczas piątkowej kolacji wita się szabat. Napoju z winogron powinno być tyle, by starczyło jeszcze na kidusz podczas sobotniego posiłku oraz na

hawdałę – ceremonię zakończenia szabatu, na którą przychodzi czas w sobotę po zapadnięciu zmroku.

Chałki? Właśnie wsadziłam do piekarnika cztery duże i kilka bułeczek, po tym jak Mąż zrobił ciasto i je zaplótł w warkocz. Obok leży mała kulka, którą wcześniej oddzieliłam od masy – to symbol ciasta, które darowano kapłanom w czasach, kiedy stała jeszcze Świątynia Jerozolimska. Pieczywo jest bardzo ważnym elementem kuchni żydowskiej. Zarówno na kolację, jak i na lunch kolejnego dnia powinno się przeznaczyć dwa pełne bochenki. Przypominają o podwójnej porcji manny, która przed szabatem spadała wędrującym przez pustynię Izraelitom z nieba. Ponadto według żydowskiej tradycji w szabat dostajemy dodatkową duszę, którą również trzeba nakarmić. Sprawdziłam w lodówce stan masła. Z nim chałka smakuje nam najlepiej. Mało. Warto dokupić kostkę lub dwie.

Niezwiertzałe wonności na hawdałę? Goździki, które choć leżą w pudełku kilka miesięcy, nadal roztaczają przyjemną woń, więc jeszcze się nadadzą na besamim. Podczas tej ceremonii używa się również ładnie pachnących ziół.

Mąż, wybiegając z torbą na zakupy, krzyknął jeszcze, żebym nastawiła szaony i wyłączyła warnik szabatowy, gdy tylko się woda zagotuje. Tak jak powiedział, najpierw w naszym pokoju przy łóżku, a potem u dzieci ustawiłam na odpowiednią godzinę szaony, które w Polsce fachowo nazywają się programatorami czasowymi. Kiedy weszłam do kuchni, warnik akurat zaczął wydawać z siebie charakterystyczne bulgotanie, co oznaczało, że można go przestawić na tryb szabatowy. Dzięki temu sporemu sprzętowi przez cały następny dzień będziemy mieć gorącą wodę i nie będziemy musieli używać czajnika.

Przechodząc koło łazienki, zorientowałam się, że brakuje papieru, więc wysłałam do Małżonka esemes z prośbą o uzupełnienie zapasów.

***11 września / 5 tiszri, sobota***

Powoli zaczyna mi się mieszać, kiedy jest szabat, kiedy święto. Trochę nie ma to znaczenia, bo te dni wyglądają podobnie. Z dala od świata zewnętrznego, a blisko siebie. Ale potem nie wiem, czy obudziłam się w niedzielę, czy w środę. Chociaż raz do roku można sobie pozwolić na taką czasową karuzelę. Oderwać się od daty i konkretnego dnia w tygodniu, polecieć w kosmos i wrócić, lądując o nieokreślonej godzinie między południem a osiemną, gdzieś pomiędzy czwartkiem a poniedziałkiem. Albo poniedziałkiem i czwartkiem.

***12 września / 6 tiszri, niedziela***

Byliśmy całą brygadą na pikniku rodzinnym z okazji żydowskiego Nowego Roku. Część gier i zabaw przygotowywałam ja. To jedno z kilku zajęć, jakimi się zawodowo zajmuję. Do tego dobre jedzenie, coś do picia i super spędzone chwile.

Wśród zadań dla dzieciaków biorących udział w spotkaniu były pytania o to, który mamy rok. Niektórzy poradzili sobie świetnie, mówiąc, że 5782, inni mylili się o kilka lat, a ja wzdychałam, że przecież niedawno był 5774 i jak ten czas szybko leci. Na co dzień, tak jak i reszta świata, używamy kalendarza gregoriańskiego. Inaczej trudno byłoby się porozumieć i umawiać na spotkania. W zapowiedziach żydowskich imprez podaje się najczęściej obie daty, żeby nikt się nie pogubił. A i tak często trudno jest zrozumieć, że w środku 2021 nagle jest 5782 rok.

No bo w kalendarzu gregoriańskim jest rok 2021, liczony od narodzin Jezusa. W judaizmie jednak Jezus nie odgrywa istotnej roli, więc żydowski czas biegnie nieprzerwanie od ustalonej daty początku świata. Zgodnie z rachubą zawartą w Torze 5782 lata temu Bóg stworzył to, co mamy dzisiaj. Nie musi się to klócić z teorią Wielkiego Wybuchu, który wydarzył się około 13,8 miliarda lat temu. Słowo „dzień” zawarte w Pięcioksięgu Mojżeszowym nie musi być rozumiane dosłownie i niekoniecznie oznacza dokładnie dobę. Religijni Żydzi są jednak zgodni, że jakiś początek wydarzył się około 6 tysięcy lat temu i ma związek z dzisiejszą cywilizacją, której rozwój właśnie wtedy nabrał

tempa. Tu też pojawiają się głosy, że hola, hola, ale tu i tam są ślady świadczące o tym, że cywilizacje były wcześniej. Kluczem muszą zatem pozostać słowa „umowny” oraz „według tradycji”.

**13 września / 7 tiszri, poniedziałek**

Dzisiaj podczas kolacji w pewnym momencie zorientowałam się, że z siedmiu osób cztery miały w ręce telefony i zamiast patrzeć na innych domowników, wślepiały się w ekran. Przy posiłkach staramy się pilnować, by elektronika leżała z boku. Chcemy, żeby to był moment na rozmowę, opowiedzenie, co się wydarzyło w ciągu dnia, wymienienie się uwagami. Ale i tak zawsze ktoś wpadnie na kolację w biegu, bo właśnie wrócił z zajęć albo na jakieś się spieszy. W trakcie czasem któregoś z dzieci bierze prysznic, bo akurat łazienka, jedyna, jaką mamy, jest wolna i trzeba wykorzystać moment. Więc przy tych codziennych kolacjach jest miło, rodzinnie, ale bez szczególnego celebrowania chwili. Dlatego zdarza się, że ktoś z czwórki posiadającej u nas w domu telefon go wyciągnie. Najstarsza Córka musi odpisać koleżance w sprawie zadania domowego, Starszy Syn właśnie umawia się z kolegą na spotkanie, ja odpowiadam na komentarz pod postem, a Mąż kontaktuje się z mechanikiem, zanim ten zamknie warsztat. No jakoś żadna z tych spraw nie może poczekać.

Troje młodszych dzieci smacznie zjadało się jajkami sadzonymi i ogórkami. Czasem na nas zerkało. Ale nie dostrzegało naszych oczu, bo przesłaniał je ekran. Jedno się uśmiechnęło, lecz uśmiech pozostał nieodwzajemniony, bo go nie zobaczyliśmy. Inne o coś zapytało, nie doczekało się jednak odpowiedzi, bo nie usłyszeliśmy pytania.

Kiedy zwróciłam uwagę, że hej, czemu tak właśnie się dzieje, każde z nas lekko się spieszyło i od razu schowało komórkę do kieszeni. Przez resztę kolacji nikt jej nie wyciągnął, choć dobrze wiem, że powstrzymanie się od zerkania na ekran było bardzo trudne.

Sprzątając ze stołu, ze smutkiem myślałam nad tym nowym życiem, jakie funduje nam technologia. Zgarbieni, wpatrzeni w migające i zmieniające się cały czas kolory. W dwóch słowach z pomocą trzech emotek jesteśmy w stanie wyrazić wszystkie emocje. Ale trudno by było o nich powiedzieć na żywo. Relacje buduje się za pomocą klawiszy, a nie poprzez wspólnie spędzone chwile. No kicha, kłapa, dno. W zasadzie koniec.

Zanim w pełni dałam się pochłonać rozpaczy, uświadomiłam sobie, że może nie jest tak źle. Przynajmniej w naszym domu. W końcu raz w tygodniu na dwadzieścia pięć godzin wyłączamy się całkiem z wirtualnego świata. Na ten jeden dzień przestaje on dla nas istnieć. Świat realny, tu i teraz, staje się dla nas sprawą ważniejszą. Nie ma żadnego „czekaj, tylko odpiszę”, „zaraz, muszę coś sprawdzić” ani „nie mogę teraz, bo internet mnie wzywa”. W piątki podczas kolacji skupieni jesteśmy na sobie znacznie bardziej niż w przypadkowy poniedziałek czy czwartek.

Przypomniała mi się podobna sytuacja. Przeczytałam artykuł o tym, jak gnając bezustannie przed siebie, zapominamy o sobie. Wtedy też poznałam technikę *mindfulness* – ćwiczenie uważności. Zaczęłam sobie powtarzać jej podstawowe założenia, by je wprowadzić w moje pędzące życie. I dopiero po chwili zorientowałam się, że *mindfulness* praktykujemy regularnie. Podczas szabatów jesteśmy jednozadaniowi: zjeść, zebrać ze stołu, zagrać, poczytać, pogadać. W zasadzie lista jest dosyć krótka. Akceptujemy to, czego nie możemy zmienić. Nie idziemy do sklepu, nawet jeżeli bardzo zapagniemy czekolady czy zabraknie nam mleka. Nie rzucamy się do telefonów, nawet jeżeli słyszymy bzyczące powiadomienia. Jesteśmy świadomie obecni, bo niewiele może nas rozproszyć. Kiedy jedno mówi coś do drugiego, przeszkodzić w tym może ewentualnie inny członek rodziny, który w tym czasie postanowi zaśpiewać, zatańczyć czy pokłócić się z kolejną osobą. Ale nikt nie włączy telewizora (nie tylko dlatego, że go nie mamy). Nie zacznie nerwowo szukać kluczyków do auta czy w pośpiechu pytać, kto ma pożyczycyć dychę.

I na koniec dnia okazuje się, że zwolniliśmy, żeby przyspieszyć. Dzięki przyhamowaniu mamy siłę, by znowu pędzić. Ale zanim nabierzemy niebezpiecznej prędkości, minie tydzień i znowu trzeba będzie zwolnić.

**14 września / 8 tiszri, wtorek**

Jutro wieczorem zaczyna się Jom Kippur. Niektórzy Żydzi tego dnia w roku boją się najbardziej. Inni wyczekują go niecierpliwie. Ponieważ nie ma w judaizmie spowiedzi, wszelkie błędy cały czas nosimy ze sobą. Możemy pójść po radę do rabina czy zwierzyć się przyjacielowi. Albo na odwrót. Rabinowi się pożalić, a bliską osobę zapytać, co robić. Ale nikt nie wyznaczy żadnej pokuty. Z Bogiem jesteśmy jeden na jeden, a nad relacją pracujemy indywidualnie.

Moment, w którym możemy zrzucić z siebie nieco tego ciężaru, zaczyna się w Rosz ha-Szana. Wtedy wedle żydowskiej tradycji Bóg otwiera swoje wielkie księgi, do których trafi nasze imię. Potem następuje dziesięć dni nazywanych „strasznych”. Według tradycji właśnie wtedy Bóg najbaczniej się przygląda człowiekowi i jego uczynom. To czas, w którym warto pomyśleć nad sobą i swoim zachowaniem. Stanąć przed lustrem i zastanowić się, czy traktowaliśmy siebie z szacunkiem, czy byliśmy dla siebie dobrzy – cokolwiek to dla nas oznacza. Potem powinniśmy się przyjrzeć relacjom z bliskimi. Czy szanowaliśmy ich i czy byliśmy dla nich dobrzy. A na koniec przyjrzeć się naszej więzi z Bogiem, czymkolwiek ona dla nas jest.

Kulminacją „strasznych dni” jest Jom Kippur. Dwudziestopięciogodzinny post, podczas którego obowiązują zakazy jedzenia i picia, mycia się, namaszczenia ciała, odbywania stosunków seksualnych oraz noszenia butów z nawet najmniejszym elementem skóry. Dlatego w ten dzień nie ma żadnych pryszniców i wylegiwania się w wannie, zero kremów i dezodorantów. Za to widok poważnych rabinów i brodatych jegomości w crocsach nikogo nie dziwi.

W Jom Kippur księgi się zamykają, a nasze imię zostaje zapisane w jednej z nich. Jeżeli w Księdze Życia, czyli *Sefer ha-Chajim* (ספר החיים), dobra nasza. Jeżeli w Księdze Śmierci, *Sefer ha-Metim* (ספר המתים), można się szykować na tamten świat. Jeżeli zaś trafimy do trzeciej księgi, tak zwanej średnich, czyli *Sefer Beinionim* (ספר בינונים), nasz los dopiero się przesądzi.

W codziennych modlitwach Żydzi powtarzają słowa mówiące o tym, jak traktować innych. Należy wspierać ubogich, przyjmować gości, odwiedzać chorych, iść z konduktem żałobnym i wprowadzać pokój między ludźmi. To wszystko należy robić niezależnie od pory roku ani tego, jakie święto się zbliża. Ale czas między Nowym Rokiem a Jom Kippur jest wyjątkowo intensywny.

Mam jeszcze dwa dni, żeby zatelefonować do byłego męża i przeprosić za kilka rzeczy. Oboje ciężko pracujemy nad dobrymi relacjami. Ale zdarzają się czasem jakieś potknięcia. Warto się im przyjrzeć, by komunikacja w przyszłym roku była lepsza. To samo dotyczy relacji z moją Mamą i z Babcią. No i przede wszystkim z Mężem i z Dziećmi.

**15 września / 9 tiszri, środa**

Dzisiaj wieczorem Jom Kippur. Mam za sobą kilka poważnych rozmów, trochę łez wzruszenia, sporo uścisków fizycznych i słownych. Za samym świętem nie przepadam. Jest dostojne, zgromadzeni w synagodze mają poważne twarze, śpiewy chwytają za serce. A po wszystkim przychodzi wielkie poczucie ulgi. Wszystko cudowne. Lecz sam post mnie wykańcza. To dosyć przyziemne, ale bardzo nie lubię nie jeść.

**16 września / 10 tiszri, czwartek**

Mamy za sobą najtrudniejszy dla mnie dzień w żydowskim roku. Za każdym razem oddycham z ulgą, że minął. Czuję się zarazem oczyszczona i jakby nowo narodzona. Do dzisiejszej kolacji z okazji szabatu siądę z mniejszym ciężarem egzystencjalnym na sercu.

Od kilku dni w mediach społecznościowych mówię, że Jom Kippur to, a że podczas Jom Kippur tamto. Wydawać by się mogło, że wyjaśniłam tym samym, jak Żydzi radzą sobie ze swoimi złymi uczynkami. A jednak dostałam dzisiaj pytanie o spowiedź, no taką „żydowską spowiedź”, jakby absolutnie podstawowym elementem każdej religii był sakrament pokuty i pojednania.

Kiedy jestem pytana o Żydów, to – co oczywiste – przez pryzmat doświadczeń osoby pytającej. Zasób wiedzy przestaje mieć znaczenie nawet u tych najbardziej wyedukowanych. To, co jest im znane, czego doświadczają na co dzień, staje się punktem wyjścia do pogłębiania wiedzy na temat innych.

Padają więc pytania o to, jaką funkcję pełni żydowski ksiądz, jak wygląda żydowski kościół, jak przebiega żydowska msza, jak się odmawia żydowski różaniec, kiedy się organizuje żydowski chrzest, jak się obchodzi żydowską Gwiazdkę. Najpierw trzeba wyjaśniać, że te pojęcia zarezerwowane są dla innej religii. Tak jak nie ma katolickiego imama, prawosławnej kuchni koszernej czy protestanckiej cerkwi. Każde z tych zdań zawiera na wstępie błąd. Kiedy staramy się poznać drugiego człowieka, może warto zacząć od zastanowienia się, czy to, co nasze, jest automatycznie uniwersalne. Okaże się, że nie. Rozumiem, że grupa dominująca z czasem utwierdza się w przekonaniu, że jest jedyna, że wyznacza właściwą drogę. A cała reszta to odstępstwa. W szkołach jest religia prowadzona przez księży czy katechetów. Jedyną religią wykładaną na tej religii jest katolicyzm. Oto skrót myślowy, którym potem się wszyscy posługujemy. A posługując się tym błędnym określeniem, zabieramy miejsce innym. Prawidłowa nazwa przedmiotu w planie lekcji czy na świadectwie powinna przecież brzmieć: „religia katolicka”. Bo przez pozostawioną bez dookreślenia „religię” pojawiają się na YouTube filmy „religia a seks”, „religia a małżeństwo”. I nawet jeżeli w opisie znajduje się uwaga, że dyskusja poświęcona jest katolicyzmowi, a w pierwszych słowach pada, że o tej konkretnie religii będzie mowa, nikomu nie przychodzi do głowy, żeby zatytułować nagranie „religia katolicka a seks” lub „katolicyzm a seks”. Schematy myślowe są wygodne, bo zajmują mniej miejsca niż cała struktura, ale sprawiają, że zaczynamy myśleć na skróty. A to zawsze odbiera treści pełnię.

Można zatem zapytać, jaką funkcję pełni żydowski duchowy przywódca, a jeszcze lepiej: czy wyznawcy judaizmu w ogóle takowego posiadają. Albo jak wygląda miejsce, w którym Żydzi się modlą, a właściwiej: czy Żydzi mają jakieś miejsce, w którym się modlą. A jeżeli tak, to jak ono wygląda.

Na pytanie o „żydowską spowiedź” odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że takowej nie ma. Judaizm zakłada, że przed Bogiem wszyscy są równi, więc łącznicy nie są potrzebni. Niezależnie od narodowości, koloru skóry, ubioru, zdobytej wiedzy, życiowego doświadczenia. Nie ma kogoś, kto jest bliżej Boga. Epoka proroków, którzy przemawiali w jego imieniu, dawno minęła. Jak powiedział rabin, z którym miałam zajęcia w mojej szkole w Jerozolimie: jeżeli ktoś uważa, że nawiązał z Bogiem kontakt za pośrednictwem ludzkich zmysłów, warto, by się zwrócił o pomoc psychiatryczną, ponieważ współcześnie nie jest to możliwe. To podejście żydowskie. Może w innych religiach jest inaczej.

Tak jak się spodziewałam, mój rozmówca zagadnął mnie o to, w jaki sposób Żyd otrzymuje rozgrzeszenie w imieniu Boga i Kościoła, no, tego żydowskiego. Synagodze czy społeczności jako grupie nic do tego, co dana jednostka robi ze swoim życiem. Więc żadne rozgrzeszenie nie jest potrzebne. A w imieniu Boga? No właśnie, nikt nie ma prawa w jego imieniu decydować, co jest złe, a co dobre. Każdy ma dojść do tego indywidualnie. Sama nieraz marzyłam o jakimś cudownym zaklęciu, które zneutralizuje lub całkiem wymaże to, co nabroiłam. Tyle że takie magiczne słowa już istnieją. To najprostsze „przepraszam”. Jeżeli naprawdę nam przykro, to jest szansa, że druga osoba nam wybaczy, da „rogrzeszenie”, choć słowa „grzech” nie znoszą całą sobą. Jest dla mnie stygmatyzujące, jak kawałek kupy, który przyczepił się do buta; choć wytarliśmy obuwie o trawę, smród nadal się za nami unosi. Z „przepraszam” wobec Boga jest trudniej, bo nie będziemy mieć pewności, czy zostało usłyszane. Kiedy w jakiejś kłótni przekraczam granicę i potem tego żałuję, najgorsze, co może mnie spotkać, to cisza. Już wolę zostać odrzucona. Ale kamienna twarz, zero odzewu? Tylko nie to!

Nikt nie mówił, że wiara – jakakolwiek – jest łatwa. A ta żydowska bywa nawet jeszcze

trudniejsza. Pozostanie trochę dłużej z tym, co zrobiliśmy, zamiast natychmiastowego „już dobrze”, jest jednak cennym doświadczeniem w naszym rozwoju. Więc może ta trudność wychodzi nam na zdrowie.

Widziałam, że rozmówca jest bardzo zafrasowany tym, jak sobie jako Żydzi z naszymi występkami poczynamy. Dopowiedziałam, że raz do roku, w święto Jom Kippur wszystkie przewinienia są automatycznie kasowane z rejestru. Coś jak wyczyszczenie kryminalnej kartoteki. No, chyba że akurat były za ciężkie.

Żeby pytającemu nie mieszać, już nie dodałam, że opinie są podzielone. Niektórzy żydowscy mędracy uważają, że sąd nad nami odbywa się częściej niż raz do roku, bo z każdym początkiem miesiąca, inni – że przed każdym szabatem, a są i tacy, którzy w każdej minucie upatrują możliwości boskiego sądu.

**18 września / 12 tiszri, sobota**

Najmłodsza Córka zapytała, czy to, co ma w ręce, jest odpornowodne. Było nie tylko odpornowodne, ale też wodoodporne.

**19 września / 13 tiszri, niedziela**

Kiedy tylko kończy się Jom Kippur, zaczyna się budowanie szałasów, zwanych też *kucz kami* albo *sukami*. U nas też. Choć trochę z opóźnieniem. Nie rzuciliśmy się do młotków w czwartek wieczorem, tylko dopiero dzisiaj rano. Ale mamy czas do jutra. Zdażymy ze wszystkim.

To drugi rok z rzędu, kiedy mamy możliwość zbudowania własnej sukki. Kiedy mieszkaliśmy w Łodzi, korzystaliśmy z tej stojącej w gminie wyznaniowej. Teraz rozkładamy się w ogródku przy domu, gdzie wystarcza miejsca, by postawić na kilka dni szałas. Nikomu nie wadzi. Ewentualnie co poniektórych dziwi. Używamy altanki, którą kiedyś podarowali nam Teściowie. Miała trafić do domku na wsi, ale została w Krakowie. Jest to solidna metalowa konstrukcja z grubymi płachtami. Złożenie jej zajęło Mężowi, z pomocą dzieci, kilka godzin. Od razu zrobiło się ciepło i przytulnie. Trudności zaczęły się piętrzyć, dokładnie tak jak rok temu, podczas kładzenia dachu. O ile ściany mogą być zrobione z dowolnego materiału, o tyle *schach*, bo tak brzmi fachowa nazwa przekrycia w suce, musi powstać z roślinności. To komplikuje sprawę. Moglibyśmy użyć materiału, który był w zestawie. Ale nie. Muszą być liście. Co więcej, trzeba je położyć tak, by z dołu widać było przez nie kawałki nieba, a z góry mogły się do środka przedostać promienie słońca. Szałas musi stać pod gołym niebem i nie można go budować na balkonie, jeśli znajduje się nad nim kolejny balkon, ani pod drzewem czy pod gałęziami. Pod wieczór okazało się, że mamy za mało materiałów, na których można by ułożyć liście. Wszystkie od razu spadały. Mąż porzucił więc prace i wrócił do domu.

Było mi to bardzo na rękę. Zostawiłam go z głodnymi dziećmi i przygotowaniem kolacji, a sama wymknęłam się ukradkiem pod prysznic. Ostatnio to jedyne miejsce, w którym przez chwilę mam spokój. Ledwie Młodszy Syn poszedł do żłobka, zaczął się festiwal świąt. Zanim zdążyłam się ucieszyć odzyskaną wolnością, znowu ją na chwilę utraciłam. Już zaczęłam poruszać się po mieszkaniu swobodnie, bez obawy, że hałasem obudzę malucha ani że ta cisza, kiedy on nie śpi, oznacza coś niedobrego. A tu znowu gałęźstwo wychodzi z każdego kąta. Z dziesięciu minut pod prysznicem zrobiło się pół godziny. Przecież musiałam jeszcze wyszczotkować ciało, nałożyć maseczkę, porządnie rozczesać włosy i koniecznie przeciągle popatrzeć na swoje odbicie w lustrze.

**20 września / 14 tiszri, poniedziałek**

Z samego rana Mąż dokupił w budowlanym długie kawałki drewna, masę trytytek i dodatkowe przedłużacze. Wrócił obładowany, jakby miał stawiać wieżowiec. Zaczął od zniknięcia u sąsiadów, do których poszedł po gałęzie. Przydałyby się palmowe. Najlepiej nadają się na dach. I to one w Izraelu

służą jako główny budulec. U sąsiadów jednak tak jak rok temu, tak i w tym roku palma nie rośnie. Więc będzie jakiś polski krzew.

Kiedy Mąż wiercił, przewiercał, układał liście, podpinał się pod prąd w kamienicy, wieszal lampki i wkręcał żarówki, ja gotowałam. Zerkalam na niego czasem przez okno z wielką miłością i wdzięcznością za to, co mam.

Obierając warzywa na czulent, myślałam nad tym, jak automatycznie podzieliliśmy się rolami. On do młotka, ja do garnków. Nie dlatego, że naszym zdaniem właśnie tak powinien wyglądać „prawdziwy dom”. Wiele lat mieszkałam sama. Umieję wykonać podstawowe rzeczy w mieszkaniu. Sprawnie posługuję się wiertarką. Mam dość siły, by wbić największy gwóźdź. Majsterkowanie zawsze sprawiało mi przyjemność. Z kolei Mąż potrafi świetnie gotować. I robi to bardzo często. Ale jakoś tak wyszło, że to on jeździ po castoramach, a ja smażę cebulę. Może dlatego, że Mąż uwielbia poruszać się samochodem, a ja wolę rower. Duże pojazdy mechaniczne są jednak wygodniejsze podczas zakupów, zwłaszcza wielkogabarytowych. Poza tym Mąż jest ode mnie nie tylko znacznie silniejszy, ale też o wiele wyższy. To nietrudne, bo jestem niska. Tyle że on rzeczywiście mierzy sporo. Znacznie łatwiej mu dosięgnąć tu i tam. No i zna się lepiej na elektryce. Ja nie odróżniam na opakowaniu informacji o mocy od tej o wielkości gwintu.

No tak się dobraliśmy – bez żadnych ideologii. On zatem piłuje drewno, a z ogrodu niesie się hałas ciętych desek. Ja kroję ziemniaki i moczę fasolę, a z domu dobiega zapach czulentu.

*23 września / 17 tiszri, czwartek*

Pierwszy dzień jesieni. Kolejny dzień Sukot. Trochę byliśmy w domu, trochę na uroczystych posiłkach w sukach zbudowanych przez żydowskie organizacje w Krakowie. Obchodzenie święta zostało nakazane bezpośrednio w Torze. Upamiętnia wędrówkę Izraelitów przez pustynię. Zaraz po tym, jak wyszli z Egiptu, a zanim dotarli z powrotem na swoje ziemie, szwendali się po świecie. Mogli pójść bezpośrednio z punktu A do punktu B, co zajęłoby im znacznie mniej czasu niż czterdzieści lat. Dlaczego szli tak długo? Jedni mówią, że czas był potrzebny, aby zdążyło wymrzeć pokolenie, które było niewolone, aby państwo budować z ludźmi wolnymi, także od wewnętrznych kajdan i wspomnienia bycia uciemżonym. Inni twierdzą, że Izraelici nie bardzo potrafili używać Google Maps. Można by westchnąć: „O ironio”, bo dziś Izrael stoi dosyć wysoko, jeżeli chodzi o zaawansowane technologie, i ma tam swój początek sporo wyznaczających trendy start-upów.

Można szukać kolejnych powodów wydłużonej wędrówki, ale dla współczesnych Żydów nie ma to większego znaczenia. Wszyscy na całym świecie budują szałas, a potem w nich jedzą, siedzą, niektórzy śpią. Jest jasny zestaw praw instruujących, jak dokładnie ma być zbudowany namiot, co zrobić, jeżeli w trakcie posiłku się rozpada, ile czasu w budowlu należy przebywać, a do tego mnóstwo praktycznych wskazówek dotyczących obsługi i zasad użytkowania suki.

Wygląd kuczek zależy od ich właścicieli – łączy je to, że wszystkie mają proste dachy. Z resztą jest podobnie jak z metrażem domu, kolorem ścian i wystrojem, których wybór ograniczają jedynie możliwości przestrzenne i finansowe. W Izraelu mieszkaliśmy obok rodziny, której tradycją było wznoszenie niemal drugiego lokum. Dla naszej sąsiadki było to ulubione święto. Jej mąż stawiał solidną konstrukcję, a ona równie solidnie ją przyozdabiała. Mieli specjalne dodatkowe łóżko na tę okazję – i dla siebie, i dla synka. W jednym kącie krzesła, fotele i poduszki, w drugim miejsce z warnikiem, filiżankami, kawą i herbatą. Przez całe Sukot z przyjemnością podejmowali gości. Nigdy nie zapomnę mojego pierwszego wrażenia, kiedy weszłam do środka. Klimat był mocno marokański. Wszędzie grube, kolorowe dywany. Na kanapie narzuta z frędzlami i mnóstwo poduszek. Na ścianach obrazki kwiatów i mandale. Na stole aromatyczne ciasteczka korzenne i herbata z kardamonem. A po ośmiu dniach sąsiedzi złożyli namiot i z powrotem przenieśli się do mieszkania z cegieł.

Pozostałe suki były skromniejsze. Część powstała z gotowców, które w Izraelu można kupić z łatwością. Jedne mniejsze, na stół i sześć krzeseł. Inne większe, mogące pomieścić nawet dwadzieścia osób. Do niektórych po wieczornym posiłku przenosili się z materacem mężczyźni, podczas gdy kobiety

zostawały z dziećmi w domu. Czasem w szałasie nocowali wszyscy, o ile miejsce na to pozwalało. Jeżeli nie było możliwości wciśnięcia materaca lub pogoda nie sprzyjała, stały puste. Były też malutkie kuczki, takie, żeby tylko wejść, zjeść i wyjść. Ewentualnie usiąść z książką.

Podczas Sukot w Izraelu i w większych żydowskich skupiskach przydomowe ogródki wypełnione są szałasami. Ludzie rozbijają się też na balkonach. W budownictwie wielorodzinnym, na przykład w Jerozolimie, nie dziwi zatem widok balkonów ułożonych w kratkę, a nie jak w Polsce jeden pod drugim. Dzięki temu lokatorzy zyskują przestrzeń użyteczną na Sukot.

**24 września / 18 tiszri, piątek**

W tych wszystkich świątecznych rozważaniach przychodzi mi często wyjaśniać, na czym polega praca, której wykonywania w szabat i święta zakazuje judaizm ortodoksyjny. Kiedy mówię, że przez dwadzieścia pięć godzin nie używamy telefonów i komputerów, nie dotykamy pieniędzy i nie jeździmy autem, narasta zdziwienie. Skoro mamy odpoczywać, to zrozumiałe, że nie pojedziemy do pracy i powstrzymamy się od odbierania służbowych telefonów i odpisywania na zawodowe e-maile. Ale telefon to również śmieszne filmiki na Instagramie i YouTube, komputer to Netflix, za pieniądze można kupić bilet do kina, a autem pojechać na wycieczkę. No i to wszystko przecież pracą nie jest, więc czemu również jest zakazane?

Żeby to zrozumieć, trzeba wyjść poza nasze współczesne kategorie. Dzisiaj praca to bycie kierowcą autobusu, dyrektorką wielkiej firmy, sprzedawcą kafelków czy kasjerem na stacji benzynowej. Wszystko, czego potrzebujemy, mamy ze sklepu, począwszy od jedzenia, poprzez ubrania, skończywszy na narzędziach i wszystkim, co nam niezbędne.

Gdybyśmy cofnęli się w czasie o dwadzieścia lat, zobaczylibyśmy inny świat. Sama pamiętam wieś, dokąd jeździłam w każde wakacje, kury biegające po podwórku i smak znoszonych przez nie jajek. Każdego ranka szłam do domu obok po mleko od krowy. Po drodze połowę rozlewałam, drugą połowę wypijałam duszkiem. Sąsiedzi uprawiali wszelkiego rodzaju warzywa. Mieli oborę, a w niej zwierzęta, więc nie brakowało mięsa. Poduszki wypełniało pierze skubane przez sąsiadkę. A pola, wielkie pola obrastały w zboża. W czasie żniw nie miałam się z kim bawić, bo wszyscy, włącznie z dziećmi, zaangażowani byli do pomocy. A potem przyjeżdżała młockarnia i w stodole jeszcze innej zagrody młóciła dzień i noc. Nigdy nie zapomnę nocowania na sianie i odgłosów rozmaitej domowej zwierzyny, które dochodziły z każdego kąta. Codzienną pracą, przynajmniej dla mieszkańców wsi, było dojenie, skubanie, sadzenie, podlewanie, młócenie, koszenie. Do tego budowanie. I robienie przetworów oraz gotowanie, bo o mrożonych pierogach czy dowozie sajgonów nikomu się nie śniło.

Jeszcze wcześniej znaleźlibyśmy się w świecie, w którym trzeba było ostrzyć owcę i wygarbować skórę, żeby się odziać. I właśnie sprzed tysięcy lat pochodzą zakazane w szabat i święta prace, które nazywane są *melachami*. Jest ich dokładnie trzydzieści dziewięć. Są to czynności wykonywane podczas budowania *Miszkanu*, czyli przenośnej świątyni zwanej Namiotem Spotkań. Kiedy Izraelici szli pustynią po tym, jak opuścili Egipt, chronili w niej tablice z Dekalogiem. Wśród pierwotnych melach mamy więc: mielenie, farbowanie, pisanie, tkanie, przędzenie czy rozpalanie ognia. Poza nimi w szabat zakazane są również ich pochodne takie jak: malowanie i rysowanie, cerowanie, klejenie, podlewanie roślin, zrywanie kwiatów, gotowanie, a także włączanie i wyłączanie elektryczności.

Zakaz ich wykonywania nie obowiązuje, kiedy zagrożone jest ludzkie życie. Zastosowanie znajduje tutaj bowiem nadrzędna zasada *pikuach nefesz*, która nakazuje zawiesić prawa Tory, aby kogoś ratować.

Dodatkowo różnica między szabatem a każdym innym dniem niekoniecznie musi się dosłownie przekładać na opozycję odpoczynku kontra praca. Ale mają się od siebie znacząco różnić. Stąd też zakaz używania telefonu, którym się posługujemy cały czas. Czy korzystania z samochodu, którym codziennie się poruszamy.

**25 września / 19 tiszri, sobota**



Wychodząc w szabat całą rodziną na spacer, utworzyliśmy w drzwiach korek. Jedni byli w drodze na zewnątrz, inni szybko wracali do domu, bo czegoś zapomnieli. Kiedy stanęłam w progu z Młodszym Synem na rękach, powiedziałam do Najmłodszej Córki: „Nu, w tę albo we w tę”, z nadzieją, że się ruszy w którąś stronę, żeby i mnie umożliwić ruch. Zatrzymała się, popatrzyła na mnie poważnie i odpowiedziała: „A gdzie jest *wewte*?”.

**26 września / 20 tiszri, niedziela**

Dzisiaj byliśmy na warsztatach dla rodzin w jednej z krakowskich suk. Była dosyć duża, więc mogła pomieścić sporo osób, tak by w kilku jej miejscach mogły się oddawać innym aktywnościom. Ja z pomocą Męża pokazywałam, z czego się składa *arba minim* i jak nim trząść. Mieliśmy przy sobie wszystkie cztery składniki bukietu, który wspomniany jest bezpośrednio w Torze. Etrog, lulaw, hadas i arawa. Część trzeba było za pośrednictwem żydowskich instytucji sprowadzić z Izraela, co znacznie zwiększyło koszt. Etrog, czyli cytrus przypominający dorodną cytrynę, sam w sobie jak na owoc kosztuje sporo. Może dlatego, że jest specjalnie na tę okazję hodowany. A może ze względu na swoje zastosowanie – wszak to dzięki niemu wypełnia się nakaz z Tory. Zdarza się nawet kilka stów za najlepszy okaz. Jedni wydają na drogie zegarki, dzieła sztuki czy skórzaną kanapę. Inni kupują sobie owoc, którym potem przez tydzień trzęsą. Za dodatkowe pieniądze Mąż nabył lulaw, czyli długi, solidny liść palmy daktylowej, a także delikatne gałązki mirtu, które nazywają się hadas. Ostatni składnik – arawa, czyli gałęzie wierzby – zdobył sam, zrywając je za pozwoleniem sąsiadów w ich ogrodzie. Podczas Sukot każdego dnia z wyjątkiem szabatu religijni Żydzi w jednej ręce trzymają etrog, a w drugiej pozostałe trzy atrybuty tego święta, wypowiadają odpowiednie błogosławieństwo, po czym unoszą je do góry i w dół, w przód i w tył oraz na boki. Kolejność stron jest ściśle określona i zależy od zwyczaju w danej społeczności.

Chcąc zainteresować zgromadzone dzieci i rodziców, porównałam czworaki bukiet do narodu żydowskiego. Kiedyś przeczytałam tę analogię i bardzo mi się spodobała. Uznałam, że to idealny moment, by ją przytoczyć. Nieświadoma, że wywołam oburzenie wśród obecnych Izraelczyków.

Powiedziałam, że każdy z elementów bukietu symbolizuje inny rodzaj Żyda. Etrog i smakuje, i pachnie – jest niczym Żydzi, którzy studiują Torę i są dobrymi ludźmi. Lulaw pochodzi z palmy daktylowej, a to owoce o intensywnym smaku, lecz niemal bezwonne. Są jak ci, którzy poświęcają Torze czas, ale nie mają na koncie dobrych uczynków. Mirt za to ładnie pachnie, ale nie smakuje, symbolizuje zatem ludzi, którzy Torę mają w nosie, ale czynią dobro. A wierzba nie ma ani smaku, ani zapachu. Ona jest niczym ci Żydzi, którzy ani się nie uczą, ani nie są dobrzy. I oni wszyscy składają się na naród żydowski, który nikogo nie wyklucza. „Piękne” – pomyślałam w duchu.

Zajęcia się skończyły, każdy poszedł w inny kąt ogrodu. Kiedy poiłam dzieci sokiem i starałam się je przekonać, że jedzenie piątego cukierka nie jest dobrym pomysłem, zostałam poproszona na stronę. Okazało się, że dwóch ojców, niereligijnych Izraelczyków, zrozumiało mnie zupełnie opacznie. Ludzi niereligijnych pozbawiłam smaku. Jakby bycie religijnym było jednak lepsze od wybrania drogi bez religii. Broniałam się, mówiąc, że smaki są różne. Daktyl akurat jest słodki. Ale etrog kwaśny. Gdzie jest powiedziane, że zapach to zaleta, a jego brak to wada. Przecież niektóre rzeczy śmierdzą, a ich woń raczej oddala od pozytywnych skojarzeń. Oni nadal upierali się przy tym, że absolutnie nie chcą, by ich dzieci słuchały takich bredni. Ja na to, że właśnie dla ich dzieci te porównania są cenne. Żeby nikt im nigdy nie wmawiał, że czegoś im brakuje, bo jedzą niekoszernie czy nie chodzą do synagogi. Na to ojcowie, że właśnie to zasugerowałam.

Kiedy ktoś widzi mnie zupełnie inaczej, niż ja siebie widzę, robi mi się strasznie nieprzyjemnie. Mam mnóstwo wad. Można o nich mówić głośno. Ale czuję, jakby mi ktoś wbił nóż w serce, kiedy rozmijają mi się rzeczywistości – mój obraz mnie kontra mój obraz w oczach innych. Tak było i tym

razem.

Miałam ochotę krzyczeć, że nie jestem tępą religijną fanaticzką, że moja Mama nie jest religijna, a jest super, że ja kiedyś nie byłam religijna i też byłam okej. I że możemy szanować siebie nawzajem, bo ja szanuję ich i ich dzieci, i tak dalej. Nie wykrzyczałam jednak tego wszystkiego, tylko spokojnie tłumaczyłam. W końcu po dłuższej rozmowie, w której mieszałam ze zdenerwowania polski, hebrajski i angielski, doszliśmy do porozumienia. Wyjaśniłam moje intencje. Obiecałam, że następnym razem będę uważała na to, co mówię. I się zobaczy. Miłe było to, że w trakcie tej dyskusji dołączyła do nas żona jednego z moich rozmówców, Polka. Stała po mojej stronie, poskramiając męża. Jako nie-Żydówka mogłaby mieć do mnie jeszcze większe pretensje niż on. Ale uśmiechnęła się szalenie życzliwie, a mnie trochę spadł kamień z serca.

**27 września / 21 tiszri, poniedziałek**

Właśnie skończyłam czytać Torę. Ostatni fragment Pięcioksięgu Mojżeszowego to opis śmierci Mojżesza, jednej z najważniejszych postaci judaizmu. Wyprowadził lud Izraelitów z Egiptu, przeprowadził przez Morze Czerwone, dotarł aż na górę Synaj, gdzie otrzymał od Boga przykazania. Parę razy się zezłościł – moment, w którym roztrzaskuje tablice z Dekalogiem, przypominam sobie w chwilach kryzysu, kiedy jedyne, co chcę zrobić, to z wściekłości rzucać kubkami o ścianę. Kilka razy był niesprawiedliwy. Zdarzyło mu się działać niesłusznie i niemądrze. Człowiek ani święty – bo w judaizmie świętych nie ma – ani doskonały – bo nikt doskonały nie jest. Ale to on w imieniu Żydów zawarł przymierze z Bogiem, więc jest dla nas ważną postacią.

To, że akurat teraz dobiłam do brzegu pięciu ksiąg, nie jest bez znaczenia. Tora dzieli się na konkretne fragmenty zwane *parszami* – są to tygodniowe porcje czytane w rocznym cyklu. Zaczyna go święto Simchat Tora, które jest pojutrze. Oczywiście Torę można czytać, jak się chce, od początku do końca, od końca do początku, na wrywki, w całości czy fragmentami. Ale każdemu tygodniowi przypada inna parsza. Czyta się ją w synagodze. Na jej temat publikuje się teksty, a współcześnie także filmy na YouTubie. Dla wielu osób ma znaczenie, jaki moment Tory przypada na czas ich urodzin, ślubu, ważnej uroczystości czy narodzin dziecka – niektórzy wybierają imię dla nowo narodzonego na podstawie akurat czytanego tekstu.

Na górze Synaj Mojżesz dostał dziesięć przykazań na tablicach. Reszta, którą sam spisał, została mu w nadzwyczajny sposób przekazana. Lubię to sobie wyobrażać jako przeskakiwanie danych z komputera na pendrive. Jakaś nieznaną mi siłą sprawia, że są w jednym miejscu, a potem w drugim. Myślę, że podobnie było z Torą. W niej zawarte są opowieści o stworzeniu świata, Adamie i Ewie, Kainie i Ablu, wieży Babel, arce Noego, Sodomie i Gomorze, Locie i jego żonie, Abrahamie, Izaak (Izaaku), Jakowie (Jakubie), Racheli, Riwce (Rebecce) i Josefie (Józefie) i jego braciach, niewoli egipskiej czy Mojżeszem. W Torze znajdziemy dokładny opis tego, jak mają wyglądać Świątynia Jerozolimska oraz strój kohenów, czyli kapłanów w niej posługujących, oraz liczne przykłady składanych w niej ofiar. Między historiami przeczytamy nakazy i zakazy, które są podstawą judaizmu. Stąd religijni Żydzi czerpią wiedzę na temat tego, co mają jeść, jakie święta obchodzić, jak się zachowywać, z kim nie uprawiać seksu. Nie brakuje również praw dotyczących szkód wyrządzanych czy to przez człowieka, czy przez jego zwierzę.

Kiedyś dziwiło mnie, jak można czytać w kółko jedną i tę samą książkę. Nic bardziej mylnego. Z doświadczenia wiem, że za każdym razem, nawet jeżeli nam się wydaje, że znamy tekst na pamięć, dostrzegamy coś, na co wcześniej nie zwróciliśmy uwagi. Kiedyś nie wydawało nam się istotne, a teraz ma wielkie znaczenie. Tekst rzeczywiście się nie zmienia. Jest dokładnie ten sam od tysięcy lat. Ale my każdego roku jesteśmy inni, różnią się nasza perspektywa i postrzeganie świata. I właśnie na treści powtarzanej cyklicznie najlepiej to widać. Każdorazowo, kiedy sięgam po Torę, niezależnie od przekładu, który wybieram, zadziwiają mnie notatki, które zostawiłam na marginesie. Te sprzed roku, ale też te sprzed lat dziesięciu. Nie mogę pojąć, dlaczego przy jednym fragmencie stawiam pytania, skoro odpowiedź jest prosta, a inny pozostawiam nieruszony, mimo że jest tak fascynujący i zasługuje na co

najmniej jeden wykrzyknik. Z czasem czytam nie tylko Torę, ale też swoje notatki do niej. Niesamowite studium podstaw judaizmu i prawa żydowskiego, a zarazem mnie samej.

Obok Tory na *Tanach* składają się *Nach* w postaci Ksiąg Prorockich (*Newiim*) i Pism (*Ktuwim*). Są wśród nich Księgi Sędziów, Samuela czy Królów oraz późniejszych mniejszych proroków, a także Pieśń nad Pieśniami, Księga Przysłów oraz Księga Psalmów. *Tanach* pokrywa się ze wszystkimi księgami protestanckiego Starego Testamentu. W katolickim i prawosławnym jest kilka ksiąg więcej.

Kilka części *Tanachu* przypisanych jest do konkretnych świąt – Księgę Koheleta czyta się w Sukot, Księgę Jony w Jom Kippur, Księgę Estery w Purim, Pieśń nad Pieśniami w Pesach, Księgę Rut w Szawuot, a Lamentacje (Treny) Jeremiasza w Tisza be-Aw. Fragmenty niektórych Ksiąg Prorockich czyta się również w synagodze zaraz po cotygodniowej lekturze odpowiedniego fragmentu Tory.

Kiedy sięgam po Torę, korzystam z różnych źródeł – zależnie od powodu, dla którego postanowiłam do niej zajrzeć. Jeżeli potrzebuję szybko sprawdzić dokładne umiejscowienie danego fragmentu, zaglądam do Biblii Tysiąclecia, ponieważ jest dostępna online. Problem jednak nie tylko w tym, że jest to tłumaczenie chrześcijańskie, ale też że funkcjonuje samodzielnie, bez podanej w równoległej kolumnie podstawy przekładu, do czego przyzwyczyły mnie wydania Tory. Dlatego kiedy interesuje mnie większy fragment lub chcę przypomnieć sobie kolejność wydarzeń, sięgam po tradycyjne, papierowe wydanie Tory, które akurat mam pod ręką – czy to w tłumaczeniu rabina Izaaka Cyłkowa, czy Ewy Gordon. Zawsze posiłkuję się też oryginałem. Jeżeli nie mam czasu lub siły na wymagającą wysiłku lekturę, wybieram bardziej współczesny przekład Ewy Gordon. Jest znacznie łatwiejszy do przyswojenia, zwłaszcza że zawiera już w sobie pewną analizę. Opatrzony jest dodatkowo licznymi komentarzami rabinów. Jeżeli jednak czuję, że wolę się sama zagłębić w treść i poświęcić znaczeniu słów więcej uwagi, biorę na warsztat Cyłkowa. Z racji daty powstania – koniec XIX wieku – ma bardziej archaiczny język. Jego lektura wymaga dużego skupienia i sporo wysiłku, aby zrozumieć sens. Daje za to szerokie pole do własnych interpretacji, tak kluczowych przy poznawaniu tekstu.

Zdarza się też, że porównuję oryginał z oboma tłumaczeniami, a dodatkowo wrzucam w Google Translatora, który również ma czasem ciekawe propozycje. Interpretacji znaczenia pojedynczych słówek szukam na stronie poświęconej hebrajszczyźnie, a na koniec zerkam jeszcze do wspomnianej Biblii Tysiąclecia i dla uzupełnienia do przekładu angielskiego. To już prawdziwa przygoda.

Moim marzeniem byłoby posiadanie całego Talmudu. Najlepiej w oryginale, po hebrajsku i aramejsku, oraz w tłumaczeniu na angielski. To główne źródło objaśnień do Tory. Składają się nań *Miszna* i *Gemara*. Wedle żydowskiej tradycji Mojżesz na górze Synaj otrzymał dwie Tory. Jedną spisał od razu i tak powstał Pięcioksiąg Mojżeszowy. Druga, tak zwana ustna, stanowiła uzupełnienie do pisanej. Przekazywano ją z pokolenia na pokolenie, aż również została spisana. Ona zwie się *Miszną*. *Gemara* zaś to liczne komentarze do *Miszny* i dyskusje rabiniczne wokół niej.

*Gemarę* miałam okazję studiować w mojej szkole religijnej w Jerozolimie, w której uczyłam się dwa lata. W wielu ortodoksyjnych środowiskach uważa się, że kobiety od *Gemary* powinny się trzymać z daleka. Ja akurat trafiłam na ortodoksyjne *gemaryczne* kobiece mózgi niemające sobie – również wśród mężczyzn! – równych.

**29 września / 23 tiszri, środa**

I dzisiaj z Simchat Tora dobiliśmy do brzegu trzytygodniowej noworocznej podróży! Jestem tak zmęczona świętowaniem, że chyba zaraz padnę do łóżka. Ale uwielbiam ten roczny cykl wszystkich żydowskich świąt. Zaczyna się od Rosz ha-Szana – z przytupem, pełną parą, jak na początku biegu, kiedy każdy ma jeszcze dużo siły. Potem lekkie spowolnienie przed Chanuką. Na zimę to święto przynosi dużo światła, które oswaja coraz wcześniej zapadający zmrok. I tłuste jedzenie, żeby zgromadzić zapasy na następne chłodne miesiące. Następnie Tu bi-Szwat i nadzieja, że zaraz zrobi się cieplej, jaśniej, a roślinność znowu wykiełkuje. I Purim, które idealnie współgra z energią nadchodzącej wiosny. Po szaleństwach wyciszenie. Czas na wietrzenie i sprzątanie mieszkań, w których jeszcze czuć zimowy letarg. Pesach i przypomnienie, że jesteśmy wolni. Szawuot sygnalizujące nadchodzące lato.

I uspokojenie, oddanie ciała słońcu, by nabrało siły na kolejny rok. Aż do jesieni. A potem od nowa!

Każde z tych świąt przynosi mi inny rodzaj radości. Odnajduję się w tym powtarzalnym rytmie. Rutyna daje mi poczucie bezpieczeństwa. Dobrze mi robi, kiedy wiem, co przyniesie następny dzień. Nie przepadam za niespodziankami. Kalendarz jest moją ostoją. I dobrze mi z tym.

**30 września / 24 tiszri, czwartek**

Wczoraj skończyło się Sukot. To oznacza dwie rzeczy. Pierwsza: można się zabrać do składania suki. I druga. Mamy chwilę oddechu przed kolejną okazją. Co roku Święto Szałasów kończy się osobnym świętem, które nazywa się Simchat Tora. Nasza Najstarsza Córka bardzo je lubi. Jest wesołe. I można się nachapać cukierków, co z kolei szalenie cieszy młodsze dzieci. Obchodzi się je na zakończenie rocznego czytania Tory. Zawsze towarzyszy mu mnóstwo radości i śpiewów. Z *aron hakodesz*, czyli „świętej szafy”, w której przechowuje się zwoje, wyciąga się wszystkie egzemplarze Tory, które dana synagoga posiada. Mężczyźni tańczą z nimi dookoła bimy. Zwyczajowo obrzuca się Torę cukierkami na znak, że jej słowa są dla wyznawców judaizmu słodkie. W jerozolimskiej szkole dla religijnych kobiet, w której się uczyłam przez dwa lata, też miałyśmy swoją Torę i też z nią tańczyłyśmy.

Wczoraj rano poszliśmy wszyscy do synagogi, gdzie nie brakowało tego, co lubimy najbardziej, czyli właśnie tańców i słodyczy.

**1 października / 25 tiszri, piątek**

Nie bardzo wiem, co zrobić z etrogiem. Liście mirtu i wierzby wyrzuciliśmy, bo były już zeschnięte. Lulaw leży gdzieś wysoko, schowany przez Męża, i też nie mam na niego pomysłu. Ale cytrus można by jakoś spożytkować. Albo go pokroję na plasterki, zasuszę, pomaluję lakierem do paznokci i przerobię na kolczyki. Wyglądają pięknie w uszach, choć nie są zbyt trwałe. Albo powtykam w niego goździki, żeby służył jako wonności podczas hawdali.

W Izraelu niektóre panie zbierały po domach etrogi i robiły z nich konfitury. Ale na to się nie piszę, bo marna ze mnie kucharka. Poza tym, jak to się mawia: „Jeden etrog przetworu nie czyni”. Można uznać, że to taka żydowska wersja przysłowia o jaskółce.

**2 października / 26 tiszri, sobota**

Za nami szabat. Po świątecznym maratonie nie zdążyłam ani się nacieszyć, ani zmęczyć zwykłymi dniami. Kiedy siadałam do uroczystego posiłku, kiedy Mąż błogosławił wino i kiedy szłam myć ręce, miałam nieodparte wrażenie *déjà vu*. Przecież robimy to od miesiąca non stop.

A mimo to, choć mamy za sobą trzy tygodnie biesiadowania, dobrze nam było i w ten szabat. Jakbyśmy wcale nie mieli dosyć.

W nocy Mąż wyjechał do pracy. Nie będzie go kilka dni, a potem znowu wróci. Czasem jedzie na Mazury, czasem za granicę. Zajmuje się nadzorowaniem udoju krów, żeby ich mleko mogło dostać certyfikat koszerności uznawany przez wszystkich, nawet najbardziej ortodoksyjnych Żydów.

**3 października / 27 tiszri, niedziela**

Pełną parą ruszyły popołudniowe zajęcia dla dzieciaków z całej Polski, które nie mają dostępu do codziennej żydowskiej edukacji. I my od lat dzielimy ten los, ponieważ ani w Łodzi, ani w Krakowie nie ma żydowskiej szkoły. Każde ze starszych dzieci, tak jak i kilkadziesiąt ich rówieśników z polskiej społeczności żydowskiej, ma dwa razy w tygodniu lekcje. Raz półtorej godziny hebrajskiego,

raz półtorej kultury żydowskiej. Nauczyciele są świetni, więc choć zajęcia są późno lub w niedzielę, dzieciaki lubią w nich uczestniczyć.

#### **4 października / 28 tiszri, poniedziałek**

Dowiedziałam się właśnie, że to śmigus-dyngus, a nie, jak byłam do tej pory przekonana, śmingus-dyngus. Choć lepiej brzmi druga wersja, w pierwszym słowie nie ma *n*. Nie ma! Całe lata brałam udział w lanym poniedziałku. I w domu psikałyśmy się z Mamą, i na ulicy, i na emausie – najstarszym w Polsce odpuście, który odbywa się co roku bardzo blisko miejsca, gdzie mieszkałam całe dzieciństwo i gdzie mieszkam teraz. Zawsze słyszałam *śmingus-dyngus*, również z ust mojej szanownej Matki pisarki, która na słowie zna się świetnie.

Do tego okazało się, że czarna końcówka banana nie jest siedliskiem salmonelli ani mieszkaniem robaków. Nie ma w niej nic niezdrowego czy zabójczego. Ale ja zawsze słyszałam: „Tylko odetnij końcówkę! Nie jedz końcówki! Zjadłś!?! Ufff, nie zjadłś. Dobrze, bo już się przestraszyłam”. Serio. Całe życie byłam przekonana, że to szatańskie nasienie, od którego można się przenieść na tamten świat.

Och, drobne pułapki ludzkiego żywota. Mówisz „śmingus”, bo wszyscy tak mówią, a jest śmigus. Zamiast zjeść całego banana, wyrzucasz połowę, bojąc się choroby, bo każdy powtarza, żeby uważać.

Albo wierzysz, że Żydzi porywają dzieci i z ich krwi robią macę. Tak mówią sąsiedzi i znajomi rodziców, i koledzy w klasie. To musi być prawda.

#### **5 października / 29 tiszri, wtorek**

Oglądałam niemiecki krótki film o młodym Żydzie, który uderzył kolegę ze szkoły za antysemityczne komentarze i naśmiewanie się z Holocaustu. W fabule rodzice każą mu chłopaka przeprosić. W drodze do jego domu spotyka różnych ludzi, cały przekrój niemieckiego społeczeństwa.

W jednej ze scen nauczycielka głównego bohatera nie jest w stanie wypowiedzieć słowa „Jude”, Żyd. Nie przechodzi jej przez usta. Chłopak wywraca oczami na znak, że to bardzo męczące, bo Jude to Jude. I może się źle kojarzyć. Ale nadal właśnie tak nazywają się Żydzi po niemiecku. Zaśmiałam się na głos. Jak ja to dobrze znam! Ludzie, którzy nie chcąc mnie urazić, nie używają słowa „Żyd”! Spotykam się z tym bardzo często. Dochodzi do komicznych sytuacji. Czasem od razu mówię, że „Żyd” to słowo dokładnie takie jak „Polak”, „Chińczyk” czy „Rosjanin” lub – jeżeli mówimy o wyznawcy judaizmu – jak „katolik”, „muzułmanin” czy „protestant”. Jest ono i poprawne, i właściwe, i dozwolone, i całkiem okej, i właśnie jego należy używać. Nie zawsze to skutkuje. Albo osoba nie jest przekonana i nadal wypowiada się na dany temat, ale go nie nazywa. Tak jak wtedy, kiedy zwracamy się do kogoś bezosobowo, nie wiedząc, czy mamy mówić na pan\_i czy na ty. Albo zaczyna używać tego słowa, ale ściszym głosem, jakby opowiadała lekarzowi o wypróżnieniu i nie chciała być usłyszana na korytarzu.

Czasem, przyznam szczerze, bawię się z taką osobą w kotka i myszkę, a bycie kotem sprawia mi perwersyjną satysfakcję, której jednak się trochę wstydzę.

Kiedyś poszłam ze Starszym Synem do pediatry. Była to nasza pierwsza wizyta, bo dopiero sprowadziliśmy się z Izraela do Łodzi. Syn wyglądał jak to on. Na głowie okrągła jarmułka, spod koszulki wystające białe frędzle – część *cicit* (po polsku zwanych cycles), które miał jak co dzień na sobie – oraz jeszcze wtedy krótkie pejsy. Kiedy weszliśmy, lekarka patrzyła na nas chwilę poważnie i głęboko. Zerknęła na Syna. Zatrzymała wzrok na kipie. Potem zjechała głową w dół i zawiesiła się na *cicit*. Potem na mnie. Najpierw omiotła spojrzeniem chustę, długie rękawy i długą spódnicę. Wróciła do jakichś notatek leżących na stole, jakby zapomniała, jaka scena się rozgrywa. Żeby jej przypomnieć, odezwałam się pierwsza, wyjaśniając powód naszego przyjścia. Dzisiaj zupełnie nie mam pojęcia, co to było. Może wizyta przed szczepieniem, może przeziębienie. Nieważne. Popatrzyła na nas, słuchając, co mówię. Potem znowu w papiery, w których zanotowała moje słowa.

– A państwo długo w Polsce? – zapytała od niechcienia.

– Od zawsze – odpowiedziałam, choć mogłam od razu wyjaśnić, że jesteśmy Polakami, ale mieszkaliśmy kilka lat za granicą i właśnie wróciliśmy.

Zapadła chwila ciszy. Słyszałam, jak lekarka ciężko oddycha, i wiedziałam dokładnie, co tu się dzieje.

– A byliście kiedyś w Izraelu? – zadała pytanie, bardzo typowe podczas badania lekarskiego.

– Tak – odpowiedziałam, a mój wewnętrzny dziki kot poczuł, że mocno trzyma mysz. Lekarka popatrzyła na mnie z lekko uchylonymi ustami i mocno rozszerzonymi oczami. Połuźniłam uścisk, żeby moja mysz złapała oddech, i dodałam: – Tak, mieszkaliśmy w Izraelu kilka lat.

Widać było, że zaczyna czuć się swobodniej, że kalkuluje coś w głowie, myśli, trawi, układa sobie. Według mojego zegarka był już najwyższy czas, by zacząć badanie. Ale nie. Znowu zapadła cisza. Lekarka stuknęła długopisem w stół. Widać było, że wszystko jest okej, ale nadal się nie klei.

– Aaa, bo wy... jesteście... Izraelitami? – wystrzeliła na jednym wydechu, a ja poczułam, że zaraz wybuchnę śmiechem. Tak, bywam okrutna. Wiem.

– Nie do końca, to się inaczej nazywa. Izraelici to lud z dawnych czasów – odpowiedziałam, patrząc jej prosto w oczy.

– A, tak, tak, chodziło mi o judaistów – złapała trop i wiatr w żagle. Jak mysz, która przez chwilę się łudzi, że kot ją jednak puści. Nie, nie puści.

– Nie do końca, judaiści to znawcy kultury i religii żydowskiej – kontynuowałam, a zabawa coraz bardziej mi się podobała.

– Aaa, jesteście Izraelczykami – krzyknęła, jakby rozpoznała rzadką chorobę, choć nadal nie doszło do badania.

– Mamy paszport izraelski, ale mieszkamy w Polsce, więc sama nie wiem – odpowiedziałam filozoficznie.

– Tak, ale mnie chodzi o to, czy jesteście hebraistami.

Silna sztuka, widać, że nie da za wygraną.

– Nie, hebraiści to osoby zajmujące się językiem hebrajskim – odpowiedziałam, świadoma, że zaraz trzeba będzie tę wylizankę skończyć.

Na twarzy rozmówczyni pojawiło się zakłopotanie, może zawstydzenie, ciut złości, że nie możemy się dogadać.

– Jesteśmy Żydami, proszę pani – odpowiedziałam, wypuszczając moją mysz. A może tymi słowami przetrąciłam jej jednak kark?

Zastygła. Spurpurowiała. Przełknęła głośno ślinę. Widziałam, że czuje się bardzo niekomfortowo. Słowo „Żyd”, choć pewnie tego nie chciała, wprawiło ją w zakłopotanie, o ile nie wywołało wewnętrznej paniki. Teraz już nie patrzyła na mnie z zaciekawieniem. W ogóle nie chciała mi spojrzeć w oczy. W milczeniu zbadała Syna. A ja nie bardzo wiedziałam, jak jej pomóc. W końcu sama się przełamała. Choć wołałabym, by milczała.

– Aaa, aha, ha, aha, aaa, a ja myślałam, że wy się wszyscy na czarno nosicie – wydusiła z siebie po skończonym badaniu, dając mi receptę na syrop na gardło, a może cokolwiek innego.

– Można na czarno, można w kropki, kolorowi Żydzi też się zdarzają – odpowiedziałam spokojnie i wyszłam.

Mniam, mniam. Smaczna myszka.

**7 października / 1 cheszwan, czwartek**

Najmłodsza Córka próbuje zrozumieć, gdzie przebiega granica między wczoraj a dziś oraz między dziś a jutro. W jaki magiczny sposób z poniedziałku robi się wtorek i czemu ona tego nie widzi. Bez sensu wydają mi się tłumaczenia, że kiedy wybija północ i następuje ten wyjątkowy moment, ona śpi. Nawet gdyby nie spała, to o tej 00.00 nie dzieje się nic spektakularnego – chyba że to 31 grudnia. Ewentualnie można powiedzieć, że dzisiaj jest, zanim dziecko pójdzie spać, a jutro, kiedy się obudzi. Myślę, że rytmem piżamek i dobranocek rodzice wyjaśniają dzieciom płynący czas.

Tylko że ja tego uproszczenia nie używam, bo wtedy zupełnie pomiesza jej się pojmowanie dni żydowskich. Te są dla niej całkiem logiczne. Wraz z zachodem słońca nastaje jutro i trwa do kolejnego zachodu. Przerabiamy to przy każdym szabacie czy innym święcie, ponieważ wszystkie zawsze zaczynają się wieczorem. Pierwszym posiłkiem dnia jest kolacja. Więc można by było codziennie przyjąć taką żydowską rachubę czasu, skoro dla małego dziecka jest logiczna. Zachód może nie jest spektakularny, ale bardziej namacalny niż to jedno wyjątkowe przeskoczenie wskazówki, dokładnie takie samo jak 86 399 innych w ciągu doby.

Niestety nie możemy w ciągu dnia mówić, że za chwilę jutro. W lecie słońce zachodzi o 21.00 albo 22.00, więc przejście idealnie zgrałoby się z dniem w kalendarzu gregoriańskim, bo dla malucha 22.00 czy 24.00 nie mają znaczenia, skoro i tak śpi. Ale w zimie jutro następuje o 15.00 albo 16.00. Ponieważ mówimy w domu po polsku, plan lekcji dzieci w szkole i ten w przedszkolu, i każdy inny są ułożone wedle dni nazywanych i liczonych po polsku, czyli od północy, więc rozpoczynanie dnia od zachodu jest niemożliwe.

Więc biedaczka uruchamia wszystkie połączenie swojej wyobraźni, co na nic jej się zdaje.

### **9 października / 3 cheszwan, sobota**

Ja to jestem jednak zwierzaczek jakiś. Co tydzień to samo. To samo, chociaż proszą, żebym przestała, i srogo na mnie patrzą ze swoich krzesel, nawet kręcą głową z dezaprobatą.

W tradycyjnych żydowskich rodzinach piątki wyglądają bardzo podobnie. W ciągu dnia gotowanie i sprzątanie. Szkoły, przedszkola i żłobki żydowskie oraz biznesy prowadzone przez religijnych Żydów tego dnia zamykają wcześniej. Za to w Izraelu tydzień pracy zaczyna się w niedzielę. Więc z pięciu dni roboczych robi się pięć i pół. Kiedy zbliża się zachód, pani domu zapala świece, co oznacza początek szabatu. Rodzina idzie do synagogi. Po nabożeństwie wraca do domu na kolację. Ucztowanie zaczyna się piosenkami *Szalom alejchem* i *Eszet chail*. Pan domu robi kidusz. Słowa błogosławieństwa mówi z pamięci lub czyta z modlitewnika. Wszyscy stoją w milczeniu i w skupieniu. Potem każdy idzie zrobić *netilat jadajim*, czyli umyć ręce przez trzykrotne polanie ich wodą, i w ciszy wraca do stołu. Zwyczajowo w tym czasie nic się nie mówi, żeby przez przypadek się nie rozkojarzyć i niechcący nie ubrudzić dłoni. Pan lub pani domu błogosławią chleb, odrywa lub odcina kawałek i podaje każdemu, upewniając się, że nikt nie pozostał bez pieczywa. Kiedy już wszyscy przełkną swoją chałeczkę, najważniejszy element posiłku, zaczyna się kolacja. To dobry moment na nałożenie sobie sałatki, humusu, poproszenie o ukrojenie kolejnej kromki i jedzenie do woli.

Ja nie wiedzieć czemu nie jestem w stanie wytrzymać i zaczynam nakładać sobie jedzenie, zanim nastanie odpowiedni moment. Niby wszystko okej. Sama je ugotowałam. Jestem u siebie w domu. Ale tak czy inaczej, to przejaw braku dobrego wychowania, o które bardzo dbam. Zwyczaj nakazuje czekać na wszystkich. Mimo że nie jem, nie wsadzę niczego do ust, póki nie dostanę chleba i nie przełknę pierwszego chlebowego kęsa, to jednak kiedy talerze innych są nadal puste, z mojego się już wysypuje. I choć moja kochana rodzina patrzy na mnie krytycznie, a ja mówię „wiem, wiem, już zostawiam”, pakuję dalej. Nie boję się, że zabraknie dla mnie. Jedzenia u nas dostatek. Ani nie wyniosłam z dzieciństwa nawyku, że o jedzenie się walczy, bo mieszkalam sama z Mamą i nie musiałam sięgać po największy kawałek ciasta w obawie, że zaraz zniknie.

Kiedyś pewien chłopak zapytał mnie, czy lubię pomarańcze. Odpowiedziałam, że lubię. A on na to, że pomarańcze też mnie lubią. Więc na moje usprawiedliwienie powiem, że jest właśnie tak.

Kocham jedzenie. Z tak silną wzajemnością, że się nawzajem przyciągamy i sałatka sama nagle trafia do moich rąk.

### **10 października / 4 cheszwan, niedziela**

Robiąc biżuterię z żywicy, zalepiłam się cała. Resztki, które zostały mi na palcach, chciałam po prostu zmyć mydłem, ale trąc ręce, rozprowadziłam sobie lepkaż maż na całych dłoniach. Przez pół

godziny nie chciała zejść, choć używałam wszystkiego. Mydła, płynu do naczyń, środka do czyszczenia toalet, kremu... W końcu zdesperowana sięgnęłam po whisky z nadzieją, że alkohol uratuje mnie z tej opresji. Pomógł dopiero polecany w internecie ocet. Że też sama na to nie wpadłam!

### ***11 października / 5 cheszwan, poniedziałek***

Dostałam na Instagramie wiadomość, że pewna influencerka podczas spaceru po Budapeszcie natknęła się na grupę ortodoksyjnych Żydów. Idąc za nimi, nagrywała ich od tyłu i komentowała, w co byli ubrani. Potem pokazała pomnik w formie butów porzuconych nad brzegiem Dunaju, upamiętniający ofiary Holokaustu. I znów wróciła do Żydów, którzy modlili się i śpiewali nad rzeką. Całość podsumowała stwierdzeniem, że trafiła jej się niezła „atrakcja turystyczna”. Z tym właśnie przyszła do mnie jedna z moich obserwatorek. Z pytaniem i troską, czy tak można nazywać ludzi.

Szybko obejrzałam relację, w której nie było zupełnie niczego niestosownego poza żywym, ale przy tym całkiem życzliwym zainteresowaniem zgromadzonymi. Mimo to mnie też to sformułowanie wydało się nie na miejscu.

I sama nie wiem. Atrakcją mogą być kopalnia soli w Wieliczce, zamek w Malborku, Sukiennice w Krakowie, ewentualnie Puszcza Białowieska czy wrocławskie zoo. Przyjęło się tak również mówić o Muzeum w Auschwitz, choć słowo „atrakcja” połączone z obozem śmierci zgrzyta w moich uszach. Ale ludzie? Niewątpliwie odmiennosc jest interesująca. I fantastycznie. Lepiej, jeżeli wzbudza zainteresowanie niż niechęć. Sama jestem gotowa odpowiadać na setki pytań o to, co jadamy i jakie mam włosy, nawet jeżeli czuję się jak małopka w cyrku albo wymacany manekin. Ale naprawdę jest to o niebo lepsze od bycia wyśmianą czy potraktowaną lekceważąco, bo czymś się różni.

Tylko że każda ciekawość ma swoje granice. Mogę zapytać sąsiadkę, co robi dzieciom na obiad, ale nie wejść do jej domu i nie zajrzeć jej do lodówki. Chociaż również chętnie bym się dowiedziała, co w niej ma.

Chyba że zorganizuje w swojej kuchni dzień otwarty i będzie gotowa na moją ciekawość. Tak jak dziewczyny sprzedające regionalne smakołyki spodziewają się, że skoro założyły specjalnie na tę okazję ludowe stroje, ktoś będzie im się bacznie przyglądał.

Ale jeżeli ktoś idzie sobie ulicą, to patrzenie się na niego, kręcenie z ukrycia czy podbieganie i proszenie o wspólną fotkę, a potem opowiadanie, że taka się przytrafiła „atrakcja turystyczna”, wydają mi się lekką przesadą. Sama czasem zawieszę oko na kimś, kto wyda mi się ciekawy. Zdarza mi się uśmiechnąć, co już jest jasnym znakiem, że wygląd przechodnia przyciągnął moją uwagę. I nawet potem opowiem Mężowi czy dzieciom, że mijalam dwumetrowego mężczyznę w butach na obcasie i w obcisłej mini albo grupę Hindusek w długich sukniach, a każda miała namalowaną kropkę na czole. I zapewne będę o tym mówiła z podekscytowaniem. Ale nie zrobiłabym im zdjęcia. Właśnie dlatego, że nie są atrakcją turystyczną, dzięki której nasza kolacja będzie ciekawsza.

Napisałam o tym do dziewczyny, a ona mnie wysłuchała i bardzo miło odpowiedziała. Zdaje się, że takich wiadomości dostała więcej. Wrzuciła u siebie kilka słów wyjaśnienia i przeprosiła wszystkich, którzy poczuli się urażeni. Bardzo spodobała mi się jej reakcja. Znam specyfikę mediów społecznościowych, więc wiem, że równie dobrze mogła mnie zignorować, a nawet zwymyślać za zwracanie uwagi.

### ***12 października / 6 cheszwan, wtorek***

Mąż wrócił z zakupów uradowany, bo znalazł kilka smakołyków z certyfikatem koszerności, o których istnieniu nie mieliśmy pojęcia. U nas w domu sześcioro z siedmiorga osób nie ma żadnych alergii ani innych uczuleń pokarmowych. Wybredni co do jedzenia też nie jesteśmy. Ale koszerność jest dla nas ważna i staramy się najściślej, jak możemy, przestrzegać zasad regulujących, co ortodoksyjny judaizm uważa za właściwe do spożycia.



Patrzyłam z zachwytem na torby, nie mogąc się doczekać, co w nich odkryję! Mąż wyłożył na stół czekoladowe batony nadziewane karmelem, z piękną haszgachą, czyli certyfikatem koszerności w postaci pieczętki odpowiedzialnego za nadzór rabina. Zawsze mnie dziwi, kiedy w Polsce widzę jakiś hebrajski napis. Do kosmetyków ze składem po hebrajsku się przyzwyczaiłam, bo wiele produkowanych jest z minerałów pochodzących z Morza Martwego. Ale na oliwkach? To często dla mnie wielkie „wow”. Choć bardziej mnie jednak uderzył widok wafelków Grzeški w izraelskim supermarkecie. Przez chwilę myślałam, że śnię. A potem długo się zastanawiałam, kto, kiedy i dlaczego postanowił sprowadzić je do Jerozolimy i do czyich domów trafiają.

Dalej na stole łądowały sardynki w puszcze również z haszgachą, na pierwszy rzut oka przypominającą tę z batonów. Ale po uważniejszym spojrzeniu widać było, że jest mniej okrągła, a bardziej owalna, i że sygnuje ją inny rabin. Potem moim oczom ukazały się ciasteczka z U, inne z K oraz wafelki z OU. Same literki oznaczają, że produkt został sprawdzony od składników poprzez produkcję. Myślę, że kiedy dawno temu nasi pradiadowie przynosili swoim kobietom upolowanego bawołu, mieli podobnie dumne miny jak mój Mąż teraz.

W domu jadamy nie tylko rzeczy z oznakowaniami. Te nieprzetworzone, takie jak warzywa, owoce, mąki, kasze, ryże, w ogóle ich nie potrzebują. Podobnie jest z surowymi rybami i z jajkami ptactwa koszernych gatunków. Spośród bardziej przetworzonych kupujemy również takie, co do których wiemy, że są koszerne, ponieważ ktoś zajrzał do fabryki i upewnił się, że wszystko przebiega zgodnie z wytycznymi. Przeszkodą w uznaniu czegoś za koszerne mogłyby być niekoszerne dodatki, które nie widnieją w składzie. Albo to, że produkt przeszedł przez maszyny, które chwilę wcześniej produkowały coś, co koszerne nie jest. Niektóre produkty, choć zostały zatwierdzone przez lokalnego rabina, nie otrzymały pieczętki na opakowaniu, bo producentowi wcale na tym nie zależało. Ale zostają wrzucone na koszerą listę, która jest w internecie ogólnie dostępna. Łatwo na niej sprawdzić, który produkt, z tych istniejących na rynku, jest koszerne, a często też, gdzie można go kupić. Mniej więc wiemy, co na tej liście się znajduje. Tyle że łatwo przeoczyć nowość. Wtedy jesteśmy miło zaskoczeni, że oto właśnie coś ma znaczek czy pieczętkę. I dzisiaj ku naszej radości pojawiły się wspomniane słodczyce, ryby w puszcze i dwa nowe sosy. No, to jest życie!

**13 października / 7 cheszwan, wtorek**

Przyszło mi się dzisiaj komuś przedstawić. I znowu przez chwilę nie wiedziałam, co powiedzieć. To trochę jednak dziwne. Co jak co, ale nasze własne imię nie powinno nam sprawiać trudności. Tylko że mnie sprawia. Zostałam nazwana Marią. Maria to moje imię we wszystkich polskich dokumentach. Nigdy nie lubiłam jego zdrobnienia, a na „Marysia” nie reagowałam. Kilku nauczycieli w szkole z uporem maniaka tak do mnie mówiło. Czasem walczyłam i poprawiałam, czasem machnęłam na to ręką. Ksywek nie posiadałam. Przynajmniej żadnej na tyle znaczącej, bym ją po latach wspominała z rozrzewnieniem lub odrazą. Kiedy zaczęłam pracować w krakowskiej żydowskiej instytucji, grono otaczających mnie Żydów znacznie się powiększyło. Ktoś powiedział do mnie Miriam, co jest hebrajskim odpowiednikiem Marii, i jakoś tak zostało. Są Aleksandry i Sasze, Michały i Mike’owie, Zuzanny i Szoszany, Małgorzaty i Rity oraz biblijne: Marie i Miriam, Icchaki i Izaaki, Riwki i Rebeke, Cipory i Sefory.

Moją imienniczkę z Tory (dokładnie z Pięcioksięgu Mojżeszowego) lubię najbardziej z całego Tanachu, na który poza Torą składają się jeszcze Księgi Proroków i Pisma. Jest bohaterką przełomowych wydarzeń w historii Izraela.

Izraelici przed długie lata pracowali niewolniczo w Egipcie. Faraon usłyszał pewnego dnia przepowiednię, że w narodzie żydowskim rodzi się właśnie chłopiec, który z czasem wyswobodzi swój lud i doprowadzi do upadku egipskiego władcy. Nakazał więc zabić wszystkie noworodki płci męskiej. W jednym z domów matka ukrywała synka przez pierwsze miesiące jego życia, póki nie stało się to niebezpieczne. Wtedy włożyła go do koszyka i puściła Nilem. Oto moment, w którym poznajemy Miriam. To mała dziewczynka, siostra ocalonego. Podążała za bratem, śledząc, co się z nim dzieje –

chłopiec trafił w ręce córki faraona, która nadała mu imię Mojżesz i zabrała do pałacu. Tam chłopiec dorastał. Potem bardzo dużo się wydarzyło. Mojżesz uciekł z Egiptu, ożenił się, miał syna. Podczas wypasania owiec zobaczył gorejący krzew i dostał od Boga nakaz, by wrócić po cierpiących Izraelitów i pomóc im wyjść z niewoli. Faraon się nie zgodził. Na Egipt spadły ciężkie plagi. W końcu władca pozwolił Izraelitom odejść. Ci pakowali się w pośpiechu, zabierając tylko to, co najpotrzebniejsze, i wyruszali w drogę powrotną do swoich ziem. Faraon jednak wkrótce się rozmyślił i zaczął ich gonić. Stanęli między pędzącymi rydwanami a otwartym morzem. Wtedy wody się rozstały. Lud przeszedł na drugą stronę suchą nogą, a zaraz potem fale znowu się zeszyły, zatapiając podążających za nim Egipcjan.

Kiedy naród żydowski odzyskał wolność, Miriam wyciągnęła bębenek i zaczęła tańczyć i śpiewać. I właśnie za to tak ją lubię. W obliczu ucieczki pamiętała o instrumencie, aby móc na nim w odpowiednim momencie zagrać. Bo niezależnie od tego, jak bardzo jest źle, jak strasznie jesteśmy uciemiężeni, możemy znowu być wolni i warto być na to gotowym.

Dobra. Wracając do tematu. Kiedy ktoś mi się przedstawia, zakładam, że tak właśnie chce, by się do niego zwracać, niezależnie, czy jest to ksywka czy przybrane imię zupełnie inne od tego, które dali rodzice. Czasem dopytuję, czy inne formy są dopuszczalne. Kiedy jestem z kimś blisko, sama wymyślam tej osobie pasujący mi odpowiednik, ale jestem gotowa zrezygnować z tej wersji, jeśli się zainteresowanemu nie spodoba.

Jeżeli przedstawiam się jako Maria, zapewne pozostanę Marią. A przecież jestem też Miriam. Jeżeli przedstawię się jako Miriam, nikt nie będzie mówił do mnie Maria. Przyjęłam więc, żeby podawać oba imiona w tym samym czasie, prosząc, by rozmówca sam wybrał, co mu bardziej pasuje. Tak też zaczęłam się podpisywać, świadoma, że to chyba zupełnie niepoprawne. Najpierw wersja imienia, którą traktuję jako pseudonim artystyczny, potem w nawiasie pierwotna wersja, która jest mi niezmiennie bliska, i na końcu (jak należy) nazwisko. Wychodzi z tego Miriam (Maria) Synger. Decyduję się na nawias, ponieważ ani Miriam, ani Maria nie są moimi drugimi imionami, tylko inną wersją tego samego. Nic w stylu: Jan Maria czy Erich Maria albo hebrajskie Jicchok Baszewis czy Izrael Jehoszua. Jestem Miriam (Maria).

#### ***14 października / 8 cheszwan, środa***

Gdzieś przy jakiejś okazji wspomniałam, że mój Tata jest Niemcem. Zostałam zapytana, czy mówię z nim w jidysz. No nie. Zupełnie nie. Formalnie mój Tata nie jest Niemcem, lecz Austriakiem. Jego austriaccy rodzice, a moi dziadkowie, przeprowadzili się do Niemiec, gdzie urodził się mój Tata. Mój Tata – niemiecki Austriak albo Austriak mieszkający w Niemczech – poznał niemiecką Niemkę, z którą ma dwoje dzieci, czyli moje o trzynaście lat młodsze przyrodnie rodzeństwo. Ani z nią, żoną Taty, ani z nimi, bratem i siostrą, nie rozmawiam w jidysz. To jakby zapytać moją znajomą Polkę, czy z mężem Czechem porozumiewają się po słowacku.

Rozumiem pytanie. Mnie też kiedyś ciekawiło, jak bardzo podobne są portugalski i hiszpański, skoro Portugalia leży koło Hiszpanii. Ale nigdy nie pytałam Bułgarów, z którymi przyjaźniłam się na studiach na Uniwersytecie Jagiellońskim, czy dogadują się bez przeszkód z Grekami, z którymi sąsiadują. Są takie rzeczy, o które automatycznie pytamy, choć gdybyśmy przez chwilę pomyśleli, okazałoby się, że pytanie nie ma większego sensu.

Czemu miałabym rozmawiać z moim austriacko-niemieckim Tatą w jidysz? Ani ja nie znam tego języka, ani on. Rzeczywiście jidysz pochodzi z niemieckiego i jest do niego bardzo podobny, ale to nie oznacza, że każdy Niemiec nim włada. Jako Polacy możemy rozumieć różne słowa po ukraińsku. Z kolei to, że ja jestem Żydówką, nie oznacza, że urodziłam się z jidysz na ustach. Tak jak, mimo że jestem Polką, nie znam śląskiego ani gwary góralskiej.

W zasadzie nie ma żadnej płaszczyzny, na której mój ojciec, nie-Żyd mieszkający w Niemczech, mógłby rozmawiać ze mną, Żydówką mieszkającą w Polsce, w jidysz. Z Tatą, rodzeństwem, ciotką,

dziadkami i całą rodziną z Niemiec mówię po niemiecku. Z żoną Taty często porozumiewam się po polsku. Jest profesorką slawistyki i z polskim nieźle sobie radzi, używając pięknych, poprawnych form gramatycznych. Ale jidysz, choć jeszcze niedawno rozbrzmiewał na polskich ulicach, nie jest mi do życia niezbędny.

**16 października / 10 cheswan, sobota**

Młodszy Syn poprzez naśladowanie nas nauczył się całować mezuzę. Żydzi, nie tylko religijni, zawieszają ją w swoich domach, instytucjach i synagogach na framudze drzwi wejściowych i prowadzących do pokoi. Zwyczaj ten pochodzi z nakazu zapisanego bezpośrednio w Torze. Pojemnik mezuzy, zwany w języku hebrajskim „domem”, może być wykonany z każdego rodzaju materiału. Solidna, zdobiona konstrukcja nadaje się idealnie na prezent ślubny. Ale można też zawiesić plastikowe pudełko, a nawet wykonane własnoręcznie z papieru. Ważne, aby odpowiednio chroniło wnętrze. Żeby mezuzą spełniała wymogi żydowskiego prawa, w środku należy umieścić zwitek, a na nim odpowiednio wykaligrafowane po hebrajsku słowa konkretnego fragmentu pochodzącego z Tory. Nasze domki kupowane były w Jerozolimie i zdobywane w Polsce. Można trafić na ludzi, którzy handlują najdziwniejszymi rzeczami, często bez wiedzy, do czego służą. I właśnie dzięki komuś takiemu Mąż kupił małą mezuzę z turkusowym kamyczkiem w środku. Zwitki sprowadziliśmy z Izraela, bo nie sposób zdobyć takich w Polsce.

Wśród Żydów przyjęła się zwyczaj dotykania mezuzy podczas wchodzenia do budynku i wychodzenia z niego. To forma przywitania się i pożegnania z miejscem, a zarazem okazanie szacunku przykazaniu Tory. Dodatkowo niektórzy dodają symboliczny pocałunek. Albo najpierw całują rękę, którą potem dotykają pojemnika na framudze. Albo najpierw przytykają do niego palce, a następnie je całują. Niektórzy przybliżają usta bezpośrednio do mezuzy. Ta ostatnia praktyka została zawieszona w czasie pandemii, bo to prosta droga do rozprzestrzeniania się chorób. Zawsze można też dotykać mezuzy symbolicznie, bez kontaktu z ciałem.

My w domu dotykamy, jak chcemy. Czasem podnosimy Młodsza, by same mezuzę pocałowały, jeżeli mają taką ochotę. No i najpierw Mąż podniósł Najmłodszą Córkę, która sama nie dosięga, a potem Młodsze Syna, a ten powtórzył jej ruch.

Wzrusza mnie nie jego pobożność, bo oczywiście gest nie ma u malucha nic wspólnego z religią. Ale to, jak małe dzieci naśladują dorosłych i jak bardzo chcą robić to co oni.

**17 października / 11 cheswan, niedziela**

Kupiłam pojemnik na *cedakę*. Wyglądem zasadniczo nie różni się od skarbonki, choć ma ciut inną funkcję. Łączy się z nią bowiem zwyczaj, który zawsze mi się podobał. W wielu żydowskich domach rodzice z dziećmi regularnie wrzucają po kilka monet do pudełka. Poza oczywistą zaletą, jaką jest odkładanie pieniędzy, to dobry sposób, by od małego uczyć się je oddawać. Bo drobne z cedaki mają zostać przekazane innym. Gromadzone pieniądze nie wiążą się z obietnicą pójścia na lody albo zakupu czegoś większego. Cokolwiek się ueziera, trafi do kogoś spoza rodziny. I tym różni się puszka cedakowa od skarbonki, w której z założenia zbieramy pieniądze na własny cel bądź też na napiwki dla osób pracujących w barze.

W Izraelu takie zamykane pojemniki z małą dziurką można było kupić w każdym sklepie. W większości miejsc, gdzie sprzedawano farbki, nożyczki czy materiały do wyklejank, były też tekturowe lub plastikowe pojemniki do własnoręcznego ozdabiania. W Polsce nasze dzieci brały udział w warsztatach plastycznych zorganizowanych przez jedną z organizacji żydowskich. Niestety ich pojemniki gdzieś się zapodziały, więc postanowiłam kupić coś nowego.

Co ciekawe, wcale nie było to takie proste. Polskie sklepy online oferują wiele podobnych przedmiotów. Ale na znacznej części jest napisane, na co właściciel zbiera – podróże, marzenia,

samochód. Celem bywa też pierwszy milion. Można znaleźć sporo pojemników na prezenty z pierwszej komunii. Ale to też nie dla nas. Nie sposób jednak dostać niczego z napisem „dla potrzebujących”. W końcu zdecydowałam się na pastelową puszczkę z jelonkiem i słonikiem.

Z ciekawości wrzuciłam w Google słowo „cedaka” po hebrajsku. Wskoczyły różne propozycje. Proste, skromne pudełka z napisem *הקדצ*. Ale nie będę sprowadzać z zagranicy pudełek cedakowych za nie wiadomo ile.

Kupując puszkę, dorzuciłam toster w śmiesznie niskiej cenie. Nasz stary niedawno zepsułam. Zacisnęłam kłapkę na kablu, który pod wpływem temperatury się spalił. Wywaliło korki w całej kamienicy. Ale lepsze to niż pożar. Śmiesznie niska cena ma swoje zalety – nie trzeba wiele płacić, ale i wady – szybko się psuje. Zobaczmy. Może się nada.

**18 października / 12 cheszwan, poniedziałek**

Czytając dzieciom bajki żydowskie, natknęłam się na jedną, w której mowa o proroku Izajaszu. Opowieści są króciutkie. Za jednym razem jesteśmy w stanie przeczytać je wszystkie. Ale akurat ta zwróciła moją szczególną uwagę ze względu na wspomnianego proroka.

Raz na jakiś czas ktoś mnie pyta, czy znam Księgę Izajasza, dokładnie rozdziały 52 i 53. Istnieje podejrzenie, częstokroć pewność, że choć księga jest częścią żydowskiego kanonu, to na pewno została zabroniona przez rabinów. W ten sposób niektórzy chrześcijanie tłumaczą fakt, że judaizm nie uznaje Jezusa za pomazańca Bożego. Przecież dokładnie go opisują słowa, które padają we fragmencie 52,13-15:

Oto szczęśliwym będzie sługa Mój, wywyższonym i wyniesionym i wysoko bardzo postawionym. Jak się przerażało widokiem twoim wielu, – tak zeszpeconém było bardziej niż czyjekolwiek wejrzenie jego, a postać jego bardziej niż synów ludzkich, – Tak wstrząśnie on ludów wiele, królowie zamkną przed nim usta swoje, bo czego nie powiadano im, oglądają, a o czém nie zasłyszeli, spostrzegają.

i dalej (53,4-5):

Ale cierpienia nasze on nosił, a dolegliwości nasze on je dźwigał; a myśmy poczytali go za dotkniętego, rażonego przez Boga i znękanego. A był on raniony za przestępstwa nasze, skruszony za winy nasze; każń za pokój nasz na nim, a przez potłuczenie jego myśmy wyzdrowieli\*.

Więc po co czekać nadal na Mesjasza, skoro już się pojawił 2021 lat temu.

Żydzi jednak czekają. Jest to jedna z podstaw judaizmu. Jak pisał Majmonides w swoich *Trzynastu zasadach wiary*: „Wierzę z całkowitym przekonaniem w przyjście Mesjasza i mimo iż może się opóźnić, oczekuję Jego przyjścia codziennie”. Zarówno owo oczekiwanie, jak i wizja świata po przyjściu Mesjasza są różne w zależności od grupy wyznawców. Jedni czatują aktywnie. Śpiewają pełni zaangażowania, modlą się gorliwie i nie omieszkują wspomnieć o Mesjaszu przy każdym pozdrowieniu. Ponieważ era mesjańska będzie czasem globalnego pokoju, zaprzestania wojen i ogólnej harmonii, można zrozumieć, o co ten szal i skąd ekscytacja, gdy pada słowo „masziach”. Czekanie innych jest mniej widoczne. Robią swoje, uznawszy, że bardziej przyczynią się do pokoju na świecie poprzez działanie niż modły. Jeżeli Mesjasz przyjdzie przed ich śmiercią, będą szczęśliwi. Jeżeli się go nie doczekają, trudno. Nie liczą, że świat za ich życia aż tak się zmieni. Co bardziej sceptyczni uważają, że świat prędzej zejdzie na psy, niż przestaniemy się psami szuć.

Kryteria uznania kogoś za Mesjasza są mniej więcej znane. Będzie zwykłym człowiekiem, Żydem, a konkretnie potomkiem króla Dawida. Zjednoczy wszystkich Żydów. Zainspiruje niereligijnych do przestrzegania Tory. Sprawí, że wszyscy będą służyć jednemu Bogu. Odbuduje Świątynię. Zaprowadzi pokój na świecie.

Ale wracając do opowieści dla dzieci. Głodny lis, chcąc zwabić kruka, obiecuje mu, że zbliża się Mesjasz, więc ptakowi nic nie grozi. Przecież prorok Izajasz zapewnił, że wraz z pomazańcem zapanuje pokój. W pewnym momencie lis słyszy ujadanie psów i zaczyna przed nimi uciekać. Kruk dziwi się, skąd ten popłoch, skoro, jak twierdzi zwierzę, idzie Mesjasz i nikt dla nikogo nie będzie już zagrożeniem.

Na to lis odkrzykuje, że to wszystko prawda, tyle że psy nie czytały proroka Izajasza i o tym nie wiedzą.

I w tej historyjce w zasadzie zawiera się krótka odpowiedź na powtarzające się pytanie, czemu Żydzi nie uznają Jezusa za Mesjasza. Bo może i odpowiada opisowi proroka. Ale po jego pojawieniu się nie zapanował pokój na ziemi.

***19 października / 13 cheszwan, wtorek***

Weszłam do pokoju, kiedy Mąż po porannej modlitwie właśnie ściągał tefilin. Uwielbiam widok odcisniętych na ramieniu rzemieni. Zupełnie nie wiem dlaczego. Po prostu mi się to szalenie podoba. Podłużne wgniecenia na skórze są bardzo charakterystyczne. Tak jak to zostało opisane w Torze, tefilin w postaci dwóch pudełek, w których znajdują się kawałki pergaminu z wypisanymi na nich odpowiednimi słowami, przywiązuje się do czoła i do ramienia. Wszystko połączone jest grubym rzemieniem, którym dodatkowo kilkukrotnie obwiązuje się przedramię od łokcia po palce. Sposobów opłatania jest wiele, zależnie od zwyczajów danej społeczności. Tak odziani ortodoksyjni mężczyźni odmawiają poranną modlitwę. Po wszystkim ściągają filakterie, starannie je składają i odkładają do materiałowej torebki. To też piękny widok. Precyzja, delikatność, koncentracja. Chyba że akurat ortodoks jest niechlujem i wrzuca je w pośpiechu. Pokrowce mojego Męża i Starszego Syna są najbardziej typowe, z czarnego aksamitu i ze złotym haftem. Mąż ma wyszyte dwie kolumny z koroną, a Syn po hebrajsku swoje imię i nazwisko. Jego torebka ma jeszcze plastikową, przezroczystą osłonę.

Jak już się pozachwycalam odcisnięciami po mocno zaciągniętych rzemieniach i tym, jak Małżonek starannie schował do torebki tefilin, zapytałam, czy nie zrobiłby nam śniadania. Zrobiłby.

Tosty francuskie na ostro z sałatą wyszły mu pysznie.

***20 października / 14 cheszwan, środa***

Dzisiaj zrobiłam sobie dzień dla siebie. Najpierw cudownie odprężający masaż w SPA, gdzie jako PR-owczyni pracuje moja Szwagierka. Przy okazji mogłam zobaczyć nowy neon, który pojawił się na ścianie, a którego jest pomysłodawczynią. Sporej wielkości hasło #nieprzepraszajaciało szalenie mi się podoba i idealnie pasuje do takiego miejsca. Ile razy sama zawstydzona podczas nakładania maseczki tłumaczyłam, że ten wyprysk na policzku jest nowy, że przepraszam, no i że mam nadzieję, że nie przeszkadza w smarowaniu mnie algami. Albo przepraszająco patrzyłam na dodatkowe kilogramy, które pojawiły się na moim ciele, a które według mnie mogły być niekomfortowe dla pani robiącej manicure.

Po SPA poszłam do kina. Po kinie skoczyłam na kawę. A po kawie wpadłam do sklepu vintage i kupiłam sobie bluzkę.

Wieczorem nalepiłam na komputer naklejkę, którą dostałam, płacąc za masaż. Przedstawia puszyste panie z renesansowego obrazu z hasztagiem #nieprzepraszajaciało.

***21 października / 15 cheszwan, czwartek***

Trafiłam na serial, którego akcja toczy się w Irlandii Północnej. Seryjnego mordercę ściga ambitna policjantka. Oglądałam z przyjemnością, ale irytowała mnie jedna rzecz. Co chwilę ktoś coś wrzucał do wody. Kluczyki do rzeki, komputer do sadzawki, telefon przez most. W głowie pojawiła się myśl: czy to taki północnoirlandzki zwyczaj? Nie potrzebuję, więc siup do wody?

Oczywiście błyskawicznie sama sobie odpowiedziałam. Nie, to przypadek. Zwykłe natężenie podobnych scen. Nic więcej. Nie ma co się doszukiwać objawionej prawdy o mieszkańcach Irlandii Północnej. Zaśmiałam się na głos, wyobrażając sobie, że spotykam w Krakowie jakiegoś jegomościa z Belfastu, nachylam się, patrzę mu prosto w oczy i pytam pełna powagi, co robi z niepotrzebnymi rzeczami, kiedy pada. Czy idzie w deszczu nad Wisłę czy czeka, aż przestanie lać?

A potem stwierdziłam, że to wcale nie takie śmieszne. Przecież to zupełnie naturalne, że uczymy się o innych na podstawie szczątkowych informacji, które do nas docierają. Nie możemy za każdym razem sięgać głębiej, bo fizycznie nie jest możliwe poznanie całego świata z każdej strony. Nie mamy też szans na wymazanie z mózgu tego, czego się właśnie dowiedzieliśmy – odzobaczenia, odsłyszenia, odprzeczytania. Automatycznie wszystko przyswajamy. W efekcie mamy w głowach trochę tego, trochę tamtego i tak brniemy przez życie z ułamkami rzeczywistości.

Z pogodzenia się z tym, że w zasadzie tak działamy i co w tym dziwnego, popadłam w smutek. Okej. Nie da się inaczej. Pozostaje jednak pytanie, co dalej robimy z tymi skrawkami informacji. Czy je obudowujemy, aby stworzyć pełny obraz? I potem żyjemy w przekonaniu, że to, co sobie dopowiedzieliśmy, to prawda absolutna. Nawet jeżeli ktoś bardziej obeznany w temacie powie, że się mylimy, brniemy zapalczywie w obronę swojej teorii. Dostajemy czarny puzzel i decydujemy, że pochodzi z układanki przedstawiającej wysypisko śmieci. No przecież to oczywiste. My wiemy. A ktoś nam mówi, że nie do końca. Czarny puzzel to fragment eleganckiej torebki, a rzecz dzieje się w operze. Nie. Wysypisko śmieci. Wiadomo. Jeden kawałek daje nam poczucie, że widzimy całość.

I co w tym przykrego? A to, że trudno się potem porozumieć. Z takiej pewności co do własnych racji nie rodzą się pytania ani chęć poznania – bo wydaje nam się, że już poznaliśmy całkiem. Gdyby pamiętać o ograniczeniach swojego mózgu, kawałek zawsze byłby dla nas kawałkiem. To może mało. Ale tyle właśnie dostaliśmy. Oglądając serial, który dzieje się w Irlandii Północnej, oglądam serial, który dzieje się w Irlandii Północnej. I tyle. Nie zostaje mi przekazana w pigułce wiedza na temat wszystkich jej mieszkańców. Po obejrzeniu kilku sezonów nadal nic o nich nie wiem.

Ach, smutek przerodził się w złość. Ileż ja spotkałam osób, które po miniserialu *Unorthodox* mają poczucie, że poznały życie wszystkich Żydów na świecie. Ile razy muszę tłumaczyć, że nie każda religijna Żydówka goli głowę po ślubie! Że tylko jeden odłam judaizmu tak robi! Nie. Widzieli, więc wiedzą. A ja się mylę. No ręce opadają.

A o pytaniach w stylu „Czy ten serial dobrze pokazuje rzeczywistość ortodoksów?” już sama nie wiem, co myśleć. No bo przecież to jest historia jednej kobiety. I naprawdę muszę to tłumaczyć? Widz sam tego nie rozumie? To tak, jakbym ja po obejrzeniu francuskiego filmu o przemocowym ojcu alkoholiku pytała znajomych Francuzów, czy w każdej francuskiej rodzinie tata tłucze dzieci. Albo gdybym produkcję o księdzu pedofilu potraktowała jako pretekst do zagadnięcia znajomych katolików o to, którego chłopca wykorzystuje ich proboszcz. Taki sposób myślenia wydaje mi się tak absurdalny, że aż niemożliwy. A jednak mam z nim do czynienia na co dzień.

Ale przecież to dobrze, że ktoś pyta. Lepiej chcieć wiedzieć, co z obrazów przedstawionych na ekranie jest częścią tej jednej historii, a co codziennością przypominającą inne domy. I wtedy mogę odpowiedzieć: „Tak, tak się dzieje, tak to wygląda, taki jest tego powód” lub „Nie, to nie jest norma, to nie jest podstawa judaizmu, nawet bardzo ortodoksyjnego, ani tym bardziej żydowskiej kultury”.

Kiedy ktoś zagaduje, czy na każdym żydowskim weselu mężczyźni tańczą z butelkami na głowie, bo widział taką scenę w *Skrzypku na dachu*, nie powinnam się irytować. To takie samo pytanie jak o zwyczaj noszenia pary młodej na krzesłach czy tańczenia ze świeżo upieczoną małżonką z użyciem sznurka. Taniec z butelkami na głowie to nie jest tradycyjny żydowski taniec. Rzeczywiście pojawia się na weselach, bo kilku facetów przebrało się za ortodoksów i odgrywa scenkę z filmu. Podskakują z butelką, a zebrani klaszczą i pękają ze śmiechu. Po kilku numerach tancerze schodzą ze sceny, zdejmują doczepiane pejsy i wracają do domu z roboty. A krzesła? Owszem, są popularne również wśród niereligijnych Żydów. Sznuerek? Wziął się z chasydzkiego zwyczaju *micwa tanc* (‘tańca micwy’), podczas którego mężczyzna tańczy przed nieruchomo stojącą panną młodą, a parę łączy (a zarazem oddziela) długa wstążka. Czyli w zasadzie każde z pytań o taneczne zwyczaje ma swoje podstawy. Nawet jeżeli na niektóre odpowiedź brzmi: „Niewiele ma to wspólnego z prawdą”.

A co z przekonaniem, że żydowska kobieta to albo chuda, w spódnicy do kostek, ciemnej peruce na bladej twarzy, zapracowana, zahukana, niepatrząca w oczy, albo pulchna, w opinającym się wdzianku z dekoltem, z wystającymi dużymi piersiami, uwodzicielska, łasa na każdego mężczyznę, również cudzego? Oto ktoś, kto widział *Ziemię obiecaną* i *Shtisel*, nie wyobraża sobie, że nie wszystkie Żydówki pasują do jednego lub drugiego opisu. Kiedy słyszę „żydowska uroda”, złość się bardzo. „Uroda

semicka” – rozumiem. Częste określenie używane zwłaszcza w czasie II wojny światowej. „Uroda aryjska” mogła uratować życie, „semickie rysy” stawały się wyrokiem śmierci. Ale „żydowska”? Użycie tego określenia świadczy tylko i wyłącznie o tym, że ktoś obejrzał kilka filmów czy przeczytał parę książek, ale poza tym o Żydach nie wie zupełnie nic. A jest przekonany, że posiada całą wiedzę.

Czy płynie stąd jakiś morał poza tym, że w jednym północnoirlandzkim serialu bohaterowie wrzucają kluczyki do rzeki, ale to nie znaczy, że każda ortodoksyjna Żydówka goli po ślubie głowę? Chyba tylko taki, że przekonanie, że coś wiemy na pewno, odgradza nas od prawdy. Oraz że jedna prawda nie istnieje. A to się wypowiedziałam!

***22 października / 16 cheszwan, piątek***

Odkąd przyszedł toster, spożycie sera wzrosło kilkukrotnie. Wszyscy wpadliśmy w jakiś szał i jemy tosty kilka razy dziennie. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie dwie rzeczy. Raz, że ser w takich ilościach zupełnie nie jest zdrowy. Dwa, że nam się błyskawicznie kończy. W wakacje zamówiliśmy pięć bloków po ponad cztery kilogramy w każdym. Kiedy przyszedł, zapanowała ekscytacja, podobna do tej, jaka nam towarzyszy teraz. Potem chwila uspokojenia. I teraz znowu spożycie sera przyspieszyło. Zapewne skończy się tak jak zawsze. Pochłonimy ostatni gram z 20 kilogramów i będziemy z Mężem niezależnie od siebie wysyłać błagalne wiadomości i prośby do znajomego, żeby przyspieszył produkcję koszernego nabiału. Wreszcie przyjdzie upragnione info, że ser jest gotów i można wysyłać. Zrobimy naradę rodzinną, ile zamówić. Czy może jednak więcej niż poprzednim razem? I pojawią się te same pytania co zawsze. Gdzie ten ser będziemy trzymać. W końcu zdecydujemy się na sześć bloków. Bo dzieci rosną, jedzą coraz więcej. I przyjedzie z Niemiec, gdzie odbywa się ta produkcja, wielkie, ciężkie pudło. Będziemy wzruszeni, podekscytowani i zarazem zafrasowani ilością. Będziemy jeść kanapki z serem, makaron z serem, pizzę z serem, naleśniki z serem. Albo sam ser, grubymi plastrami.

Na razie jednak mamy końcówkę poprzedniej partii, której zniknąć pomoże toster.

***24 października / 18 cheszwan, niedziela***

Mam wrażenie, że jestem dobrą, oddaną Polką. Nie nadaję na nasze państwo, nie narzekam, nie wytykam błędów. Jest mnóstwo rzeczy, które mnie drażnią w nas, Polakach. I które mnie złością w tym, co się w Polsce dzieje. Czy nawet doprowadzają do szału i łez rozpaczy, kiedy patrzę na niektóre poczynania polityków. Ale jestem ostatnia do jojczenia, że „to takie polskie”, krytykowania „a, bo wiadomo, Polacy!”.

Pytana o to, czy w Polsce jest antysemityzm, odpowiadam bardzo ostrożnie. Raczej zbywam uśmiechem, że to nic takiego. Chyba boję się powiedzieć całą prawdę.

Ludzie zwracają na nas uwagę. Starszy Syn ma długie pejsy, nosi jarmułkę. I jemu, i Mężowi koło spodni wiszą frędzle od cicit, którą mają pod koszulkami. Jednej z Córek na szyi wisi duża Gwiazda Dawida. Ja chodzę w chuście, która nadal jest czymś rzadko spotykanym. I jesteśmy sobie przez to trochę inni. Ludzie czasem patrzą na nas z zainteresowaniem, czasem z uśmiechem. Zdarza się, że ktoś coś mruknie z niechęcią pod nosem. Bywa, że krzyknie chamski tekst, i wiadomo, że to do nas, bo jesteśmy Żydami. Choć to nieprzyjemne, nie mamy wrażenia, żeby z czyjejś strony fizycznie nam coś groziło. Nie wygląda na to, żeby ktoś chciał nam dać w nos.

Na ulicach i ja, i moja rodzina czujemy się bezpiecznie. Kiedy mieszkaliśmy w Łodzi, przytrafiło się naszym Starszakom nieprzyjemne zdarzenie w sklepie spożywczym. Ale wszystko skończyło się dobrze. Lokalny pijaczek, który zwyzywał mojego Starszego Syna przy jego dwóch młodszych siostrach, przeprosił. Mimo to jedna z Córek bała się po tym incydencie wychodzić sama z domu. Nawet będąc z nami, trzymała się nas kurczowo i reagowała bardzo nerwowo na podobnych typów. Dla rodzica to potworny ból widzieć strach w oczach kilkuletniego dziecka. Nam zdarzyło się to tylko wtedy, choć oczywiście o ten jeden raz za dużo.

O tym, co można znaleźć w internecie, ani o komentarzach pod wywiadami i rozmowami ze mną nawet się nie wypowiadam. Internet, chociaż ma wielką moc i robi dużo dobrego, jest też wylęgarnią anonimowych frustratów. Naczytałam się wszelkiego rodzaju obelg na mój temat. Że żadna ze mnie Polka, skoro jestem Żydówką. Albo że jestem Polką i po co mi żydostwo. Że religia jest dla kretynów. Albo że mało we mnie Boga jak na osobę religijną. Żebym wyjechała do Izraela, bo tam moje miejsce. Albo żebym zostawiła Izrael w spokoju, bo nie mam do niego prawa. Oczywiście znaczna większość sformułowana bez ładu i składu, całkowicie pozbawiona logiki czy merytorycznych podstaw. Nie ma sensu zatrzymywać się na treściach pisanych przez anonimowych użytkowników.

Ale jeżeli raz na jakiś czas z moich ust wyjdzie słowo „antysemityzm”, podnoszą się dzikie krzyki, żeby mówić też o antypolonizmie! I nie zapominać o tym, co Żydzi robią w Izraelu Palestyńczykom. No i na koniec zawsze pada stwierdzenie, że antysemityzmem Żydzi nazywają wszystko, co im się nie podoba. Za każdym razem. Dzisiaj też spotkała mnie podobna sytuacja.

Już wiem, że to się nazywa whataboutizm. Poznałam to słowo niedawno. Jeszcze nie do końca dostrzegam, jak działa w zachowaniach ludzi, ale wiem, że jest popularną techniką. Polega na atakowaniu drugiej osoby pytaniem „*What about...?*”, czyli „No, a co z...?”. Celem jest odwrócenie uwagi od meritum. Są różnego rodzaju whataboutizmy. I ja ich doświadczam bardzo często, właśnie kiedy poruszam temat antysemityzmu.

Problemy są dwa. Czy milczeć o tym, że antysemityzm czasem nas dotyka, i zapewnić sobie pozorny spokój? Czy mówić o tym głośno, wiedząc, że ściągnę na siebie lawinę, która ma mnie odsunąć od tematu? A jeżeli zdecyduję się mówić, to jak mam się przed tymi atakami bronić?

***26 października / 20 cheszwan, wtorek***

Udzieliłam dzisiaj wywiadu dla jednej z polskich gazet kobiecych. Świetna dziennikarka. Rozmawiałyśmy jak koleżanki, jakbyśmy się znały. Mam za sobą kilkanaście takich rozmów przeprowadzonych przy bardzo różnych okazjach. Czasem zdarza się osoba, która zadaje pytania, jakbym była z kosmosu, a wszystko, co wychodzi z moich ust, było czarną magią. Tym razem miałam wrażenie porozumienia.

Padło pytanie, które pojawia się bardzo często. Jak moja Mama i moja Babcia zareagowały na to, że zdecydowałam się być religijną. Jak najbardziej rozumiem, czemu jest to interesujące. Po pierwsze, moja Babcia jest znaną pisarką. Ludzie chcą wiedzieć, co ona, autorka pięknych dzieł literackich, myśli. Po drugie, moja Mama zajmuje się tematyką żydowską. Napisała kilka bardzo porządnych kilkusetstronicowych książek, które nie mają sobie równych. Jest znawczynią żydowskiego Krakowa przedwojennego, ale też tego z czasów okupacji. Wie wszystko o dzielnicy żydowskiej, Sarze Szenirer, getcie, Oskarze Schindlerze, Tadeuszu Pankiewiczu. Kto ją zna, wie, że chętnie bierze udział w żydowskich wydarzeniach, ale z religią nie ma nic wspólnego. To też jest ciekawe, jak ona, świecka krakowska Żydówka, widzi swoją córkę w chustce.

Do tej pory odpowiadałam, zgodnie z prawdą, zawsze tak samo: „Mama i Babcia były lekko przerażone. Bały się, że zostanę religijną fanatyczką. Myślały, że postradałam zmysły. Patrzyły na mnie ze strachem i brakiem zrozumienia. Po jakimś czasie Mama zaakceptowała mój wybór i bardzo dostosowała się do mojego nowego sposobu życia. Babcia chyba też”.

Mam poczucie, że czasem powtarzamy pewne słowa lub czynności bezmyślnie. Nie zastanawiamy się nad ich zasadnością. Mówimy to samo, co powiedzieliśmy tysiąc razy. Robimy to samo, co zrobiliśmy tysiąc razy. W ten sposób często zastawiamy na siebie samych pułapkę. Piszę to świadoma, że żydowski cykl roczny jest absolutnie powtarzalny. Dlatego za każdym razem, kiedy buduję szałas na Sukot, ustawiam świecznik na Chanukę albo robię paczki na Purim, zadaję sobie głośno pytania: po co? dlaczego? jaki to ma sens?

I teraz przyszedł czas na uwolnienie się z pułapki tych samych pytań i tych samych odpowiedzi. Mam świadomość, że to ja udzielam wywiadu. Mam prawo mówić, co chcę. Ale czuję, że czas ten temat pozostawić w spokoju. Bo z jednej strony mogę swobodnie opowiadać o reakcji Mamy i Babci. Ale



z drugiej strony każda reakcja jest efektem jakichś emocji. A wypowiedzanie się o emocjach innej osoby to już bardzo delikatna sprawa.

Skąd ja mogę wiedzieć, co tak naprawdę czuła moja Babcia, widząc, jak wchodzę w ortodoksję? Znam losy naszej rodziny. Wiem, kto był religijny, kto od religii odchodził, i wiem, jak dla wszystkich skończyła się wojna. Ale nie mam tak naprawdę pojęcia, z czym zmagali się polscy Żydzi na co dzień przed wojną. Czym był dla nich wpis „wyznanie mojżeszowe” w dowodzie? Jakie wywoływał reakcje wśród tych, którym dokument należało okazać? Ile przeprowadzili rozmów na temat asymilacji? Czy w ogóle o tym rozmawiali, a może niektóre rzeczy same się działy? Czy zmianom towarzyszyły nieprzespane noce czy odpowiedzi pojawiały się bez żadnych niepewności? Jak to jest czuć się Polką, ale w oczach prześladowcy być Żydówką, która może stracić życie? Jak to jest być małą dziewczynką mówiącą po polsku, mającą rodziców i dziadków Polaków, a jednak ściganą za swoją „niepolskość”? Co ja o tym wszystkim wiem? Jakim prawem odpowiadam na pytanie, co czuła i co myślała moja Babcia, kiedy jej powiedziałam, że obrzezuję Syna, że zapisuję się do gminy wyznaniowej żydowskiej, że mam zamiar publicznie mówić o swoim pochodzeniu. I że decyduję się na religię pełną reguł, zakazów, nakazów, obostrzeń, odgórnie danych idei.

A Mama? Co ona na to? Nie wiem! Nie wiem, jak to jest być kobietą, której dziecko wybiera zupełnie inną drogę niż ta, w której było wychowywane. Matka całe życie przekazuje córce, że świat nie ma ograniczeń i że nie należy go samemu ograniczać. I córka tak żyje. Chwyta garściami wszystko dookoła. Jako nastolatka pracuje na innym kontynencie, studiuje za granicą, podróżuje po Europie. Trudne decyzje w młodym wieku podejmuje bardzo dojrzałe. Ma łeb na karku, ale wiatr we włosach. I kobiecą siłę przekazywaną z pokolenia na pokolenie, którą zachwycają się wszyscy dookoła. Niewiele osób może pochwalić się takimi paniami w rodzinie. Matka, Babka, Prababka i Praprababka. Niesamowite postacie! Każda na swój sposób szła pod prąd.

I nagle ja, tak dobrze się zapowiadająca, zbaczam z tej drogi. Poznają mężczyznę, po trzynastu dniach jesteśmy zaręczeni, a moje życie zmienia się całkowicie. Jak pokażą kolejne lata, pozostaną praktycznie tą samą osobą, tylko moja codzienność się zmieni. Ale na razie rodzina i znajomi patrzą na mnie z szeroko otwartymi oczyma, nie wiedząc, co myśleć o sprawie. Czy rozmawiać ze mną? Przekonywać, że popełniam błąd? A może doradzić leczenie psychiatryczne.

Bo jestem świecką Żydówką. Mam króciutkie włosy, luźne ogrodniczki nad kolano. Pracuję w żydowskiej instytucji, jestem na studiach doktoranckich z socjologii, a w weekendy na poddyplomowych z PR-u. Sporo spotkań towarzyskich. Moje życie osobiste też już jest mocno ugruntowane, a ja jestem związana z pewnym człowiekiem.

Facet, którego poznają, jest religijny i właśnie ma jechać do Izraela na studia. Zanim wyleci na bliżej nieokreślony czas, na moim palcu pojawia się pierścionek, padają zapewnienia o wspólnej przyszłości.

Po pięciu miesiącach odbywa się ślub, żydowski, a ja jestem spokojna i całkowicie pewna tego, co robię. On przez ten cały czas przebywa za granicą, a ja poznają tajniki judaizmu, w który wkręcam się całkowicie. Przestaję wychodzić w piątki na imprezy ze znajomymi – to bardzo niesabatowe zajęcie. W tym czasie zostaję w domu, zapalam świeczki i uczę się nie korzystać z elektroniki. Robię porządki w ubraniach. Zostają spódnice i sukienki za kolano. Wyrzucam miniówki, choć akurat nie mam ich wiele. Na bok odkładam rzeczy, w których nie będę chodzić, ale których pozbywać się nie chcę. Wynajduję wszystkie chustki, jakie mam, i znajduję im bardziej podręczne miejsce. Teraz będę po nie sięgać znacznie częściej. Porządnie sprzątam całą kuchnię. Oddaję produkty, które są niekoszerne i które nie spełniają wymogów żydowskiego prawa. Przeglądam wszystkie naczynia. Dzielę na te do mlecznych posiłków i te do mięsnych.

Nie towarzyszy temu żaden smutek. Raczej ekscytacja jak przed wielką podróżą. Dzielę rzeczy na te, których nie będę potrzebowała – choć kiedyś były dla mnie niezbędne, i na te, które teraz będą odgrywać w moim życiu znaczącą rolę. A potem życie toczy się dalej, aż do dnia dzisiejszego. Nie postradałam zmysłów. Nie stałam się fanatyczką. Jest mi dobrze w judaizmie. Ale to moja opowieść. Moja Mama ma swoją. Moja Babcia jeszcze inną. Chyba czas przestać odpowiadać za nie.

Dostałam dzisiaj pytanie, co się dzieje z Żydami po śmierci. Wyobraziłam sobie niebo, a w nim boksy, takie, jakie mają konie. W jednym umiejscowieni Polacy, w drugim, znacznie większym, Chińczycy, w trzecim protestanci, zaraz obok prawosławni, w kolejnych Egipcjanie, Australijczycy, buddyści i na końcu mała kąt dla Karaimów. Dostyc szybko owo niebo w mojej głowie przerodziło się w piekło z porozrywaniem ciałami. Głowa muzułmańskiego Francuza w boksie dla Francuzów, a nogi w tym przeznaczonym dla wyznawców islamu. Jeszcze gorzej mieliby ludzie z mieszanych małżeństw. Owoc miłości Brazylijczyka z Japonką, których wiarą byłby katolicyzm. Lewa ręka, lewy pośladek i lewa pierś tu, prawa ręka, prawy pośladek i prawa pierś tam, a serce, jelita, wątroba i płuca gdzieś zupełnie indziej. Ale nie napisałam tego wszystkiego w odpowiedzi zwrotnej. Poprzestałam na zgodnym z prawdą „nie wiem”.

Po dwóch godzinach przyszło serduszek i kolejne pytanie: „Ale w co wierzą Żydzi, że co jest po śmierci?”. Odpisałam, że nie ma jednej nadrzędnej idei, ponieważ nikt nie był po tamtej stronie. To znaczy, są po niej wszyscy umarli, ale nikt nie wrócił, aby zdać dokładną relację. Przynajmniej nikt, kogo judaizm uważa za autorytet w tej dziedzinie. Pomysłów na to, co czeka nas w *Olam ha-Ba*, czyli „przyszłym świecie”, jest wiele, niektóre pojawiają się w najważniejszych dla Żydów pismach i najróżniejsi rabini na przestrzeni lat się nad tą kwestią pochylali. Ale nie znaleźli ostatecznej odpowiedzi, która byłaby podstawą żydowskiej religii.

Osoba po drugiej stronie ekranu nie dawała za wygraną. Widziałam, że bardzo chce dostać jakiś konkret. Ułatwiła mi to, dociekając: „No a jak się Żydów chowa?”. Jednym kliknięciem przesłałam jej gotowy post, który napisałam kilka miesięcy temu na Instagramie.

Ciało do trumny musi trafić w całości. Jeżeli osoba uległa tragicznemu wypadkowi, zbiera się wszystkie części jej ciała, by je razem pochować. Nie ma kremacji.

Ze względu na świętość ciała autopsja jest niewskazana. Robi się ją tylko w wyjątkowych okolicznościach. Unika się również ekshumacji. Z Tory wiemy, że w czasach biblijnych ciała były przenoszone, ale współcześnie rabini są takim praktykom przeciwni, chyba że powodem ekshumacji jest dobro zmarłego.

Przygotowaniem zwłok do pochówku, czyli *taharq*, zajmuje się *chewra kadisza* – męskie lub żeńskie stowarzyszenie, w którego skład wchodzi Żydzi\_ówki. Ciało starannie się myje (zmywa się również makijaż czy lakier z paznokci) i oczyszcza (na przykład z plastrów). Każdy włos, który wypadł, każdy odłamany paznokieć, wsadza się do woreczka, który też trafia do trumny. Gdy ciało jest czyste, dokładnie oblewa się je wodą, wypowiadając odpowiednie błogosławieństwa i modlitwy.

Na ciało wkłada się białą szatę zwaną *tachrichim*, tak by zakryła je całe, włącznie ze stopami, dłońmi i twarzą.

Kiedyś ciało chowano bezpośrednio w ziemi. Dzisiaj trafia do drewnianej, prostej trumny z małymi dziurami, aby pozostawało – choćby symbolicznie – w kontakcie z gruntem. Trumna zostaje zamknięta. Zmarły jest pilnowany od śmierci aż do pochówku. Nazywa się to *szmirq*, co dosłownie oznacza czuwanie. Podczas pogrzebu nie wystawia się zwłok na widok.

Zmarły powinien zostać pochowany najszybciej, jak się da.

Pogrzeb może się odbyć w domu pogrzebowym lub nad grobem. Jeżeli umarł ktoś wielki, urządza się go w synagodze.

Żałoba, zwana *awelut*, różni się w zależności od stopnia pokrewieństwa, jaki nas wiąże ze zmarłym. Tych, którzy stracili mamę lub tatę, obowiązuje *awelut* trzystopniowy. W przypadku pozostałych z siedmiu najbliższych krewnych (brat, siostra, syn, córka, małżonek\_ka) żałoba obejmuje tylko dwa etapy. Pierwsze siedem dni od pogrzebu to *szywa*, w jej czasie żałobnicy siedzą w domu na niskich stołkach, w podartych szatach (drze się je lub lekko rozrywa na wysokości serca na wieść o śmierci). W tym czasie bliscy dostarczają im jedzenie, żeby nie musieli się o to troszczyć. Kolejne trzydzieści dni, zwane *szloszim*, to powrót do codziennych zajęć, ale z powstrzymaniem się od radosnych

czynności. *Szana* obejmuje cały rok po śmierci rodzica. W tym czasie codziennie recytuje się kadisz.

Groby najczęściej wznosi się skromne. Informacje o zmarłych wyryte są na macewach.

Dostałam kolejne serduszko, a pytania ustały.

**29 października / 23 cheswan, piątek**

Wrzuciłam na Instagrama kilka zdjęć przedstawiających żydowski ślub. Na jednym chasydzka para. On brodaty, w sztrajmlu, czyli wielkiej futrzanej czapie, i białym kitlu, zakładanym przez niektórych żydowskich mężczyzn na wielkie uroczystości, jak Rosh ha-Shana, Jom Kippur czy własny ślub. Ona w białej sukni do kostek, z wyszywanymi rękawami sięgającymi nadgarstków i w białym czepku. Na drugim zdjęciu pan młody ze świeżo ogoloną brodą, w garniturze i w czarnej jarmułce. Panna młoda w kreacji z rozkloszowanym, haftowanym dołem, z prześwitującą górą i odsłoniętym torsem. Trzecia fotografia przedstawiała dwóch mężczyzn pod ślubnym baldachimem. Obaj w kipach, okryci tałesem. Trzymając się za ręce w obecności rabina i zgromadzonych gości, właśnie rozbili kieliszek, jak każe zwyczaj.

I posypały się pytania, których mogłam się spodziewać. Jak to? Judaizm pozwala na jednopłciowe małżeństwa?

Odpowiedziałam tak jak zawsze w takich sytuacjach. Głównych odłamów judaizmu jest kilka i choć łączą je pochodzenie i podstawy, różnią się między sobą. Wiele zależy od odpowiedzi na pytanie o autorstwo Tory. Żydzi ortodoksyjni uważają, że dał nam ją Bóg, więc jesteśmy bezwzględnie związani prawem zawartym w Piśmie i na jego podstawie ustanawianym przez rabinów. Żydzi konserwatywni i reformowani uznają z kolei, że Torę spisał Mojżesz, a że był zwykłym człowiekiem, wspomniane w niej zakazy i nakazy można (i to w szerokim zakresie) modyfikować, a część z nich mogła już nawet w ogóle przestać obowiązywać. Dlatego ortodoksyjni mężczyźni nie poślubi mężczyzny, kobieta kobiety też nie. Ale już judaizm nieortodoksyjny dopuszcza śluby jednopłciowe – do tego mogą ich udzielać nie tylko rabini, ale też rabinki, których wśród konserwatywnych i reformowanych Żydów nie brakuje. To podstawowe rozróżnienia, lecz odłamów jest znacznie więcej. Sama ortodoksja dzieli się na tę bardziej i tę mniej restrykcyjną. Będą chasydzi i ich dosyć odmienny od reszty Żydów świat. I ortodoksi nowocześni, którzy trzymając się praw Tory, starają się iść z duchem czasu. A i między konserwatywnymi i reformowanymi mamy cały wachlarz możliwości. Jeżeli żyjemy w miejscu zamieszkałym przez liczną społeczność żydowską, prawdopodobnie mamy w pobliżu kilka synagog, a każda jest inna. A rabini, nawet podążający tym samym nurtem, mają odmienne zdania w zasadniczych kwestiach.

Kiedy mówię o żydowskim ślubie, zarówno para chasydów, jak i para gejów może zilustrować temat. Taki to właśnie jest ten judaizm i tak różni są ci Żydzi.

**31 października / 25 cheswan, niedziela**

No i spalił nam Starszy Syn wykładzinę. Jakoś niechcący mu się rozgrzane żelazko odłożyło. Ale naprawdę na sekundę. Odkąd mu oznajmiłam, że prasuję niechętnie i tylko w wyjątkowych sytuacjach, sam się zajmuje swoimi koszulami. Nie ma ich wiele i zakłada je tylko na większe uroczystości. Więc prasuje rzadko. Może stąd to „przypadkowe położenie”, które pozostawiło charakterystyczny ślad z dzióbkiem. Oczywiście wykładzina była nowa. Przecież na tę, która miała kilkanaście lat i była u nas jeszcze dwa miesiące temu, by żelazka nie położył. No skąd. Tak jak dziecko nie wybrudzi już brudnej bluzki. Ale gdy tylko założy mu się czyściutką, bielutką, od razu ląduje na niej czekolada. Kromka jak spada, to zawsze masłem w dół, najlepiej na świeżo umytą podłogę. Siusiu trzeba będzie zrobić, kiedy rodzic założy maluchowi ostatnią część zimowej garderoby. Albo wtedy, kiedy właśnie pilot oznajmił, że pasy muszą być zapięte i wstawać z fotela nie wolno, bo samolot się wzbija. Pięć minut wcześniej, kiedy wszyscy szli załatwić się „na zaś”, dziecku absolutnie się nie chciało.

*1 listopada / 26 cheszwan, poniedziałek*

Znowu odbyłam krótką, ale dla rozmówczynie zapewne istotną rozmowę.

- Czyli jeżeli moja babcia była Żydówką, to i ja nią jestem?
- Babcia ze strony mamy czy taty?
- Ze strony mamy.
- Tak, *mazel tow*, ty też jesteś Żydówką.

Teraz przyszło mi do głowy, że to szalenie ciekawe, co czuje i myśli osoba, która właśnie się dowiedziała, że jest Żydem\_ówką. Zapewne każda zupełnie coś innego. Może powinien być taki program rozrywkowy „Mamy cię! Jesteś Żydem”. Znajdować osoby z żydowskimi przodkami, oznajmiać im, co to oznacza, i ukrytą kamerą nagrywać ich reakcje. A potem jak w tych popularnych *reality show* prosić, by zrelacjonowały swoje emocje. I jeszcze pytać znajomych danej osoby, co myślą o tej rewelacji. Wydaje mi się, że program szybko zdobyłby popularność.

No bo prawda jest taka, że każdy człowiek, którego mama jest wedle żydowskiego prawa Żydówką, również jest Żydem, nawet jeżeli nie jest Żydem tata. Czy ateista, czy chrzczony, czy z katolickiej rodziny, czy z partnerem nie-Żydem, czy z dziećmi, które właśnie przystąpiły do pierwszej komunii. Jeżeli zechce, będzie mógł wziąć żydowski ślub (pod warunkiem że wybrankiem\_ą jest inny\_a Żyd\_ówka) i być pochowany na żydowskim cmentarzu. Jeśli jest mężczyzną, może być częścią ortodoksyjnego *minjanu*, to jest kworum modlitwonego składającego się z dziesięciu Żydów po *bar micwie*, czyli powyżej trzynastego roku życia.

Ja jestem przykładem takiej osoby. W linii żeńskiej od pokoleń sięgających setek lat wstecz były zawsze Żydówki. I choć mój Tata nie jest Żydem, ani nie był nim mój dziadek, a nawet pradziadek, ja jestem Żydówką. I nie ma znaczenia, że nie byłam wychowywana w judaizmie, nie chodziłam regularnie do synagogi ani nie obchodziłam żydowskich świąt – ja jestem Żydówką.

Jeżeli Żydem jest tata lub inny męski przodek, wedle judaizmu Żydem\_ówką się nie jest. Nadal, zwłaszcza jeżeli nie ma potrzeby być częścią ortodoksyjnej społeczności, można się jednak za Żyda uważać i Żydem nazywać. Można nawet być członkiem żydowskiej społeczności, zapisać się do gminy wyznaniowej żydowskiej, a nawet ubiegać się o izraelskie obywatelstwo. Ale nie będzie się liczoną do *minjanu*, żydowskiego ślubu się już nie weźmie. A w Izraelu, nawet jeśli się jest obywatelem, nie weźmie się żadnego ślubu, ponieważ funkcjonują tylko religijne, a cywilnych w tym państwie brak. *Zera Israel*, czyli osobie, która ma tatę Żyda, łatwiej jednak przejść konwersję. Niektóre żydowskie środowiska naciskają wręcz, by „potomkowie Izraela”, bo tak się ten termin tłumaczy na polski, stawali się pełnoprawnymi Żydami.

Judaizm konserwatywny i reformowany bardziej liberalnie podchodzą do tego, czy żydowskim krewnym w rodzinie była kobieta czy mężczyzna. Świat świeckich Żydów jeszcze mniej przykładą do tego wagę. Dlatego kiedy mówimy o Żydach, warto dodać, czy są halachiczni (czyli – wedle żydowskiego prawa zwanego halachą – po mamie, babci, prababci), czy niehalachiczni (czyli po tacie, ojcu taty, mamie taty, ojcu mamy i całej reszcie dalszych krewnych).

Ktoś, kto nie jest Żydem halachicznym, ale chce być Żydem ortodoksyjnym, musi się zdecydować na konwersję, czyli przejść na judaizm. Tak samo jest z osobą, która nie ma żadnych żydowskich korzeni, ale pragnie być częścią ortodoksyjnego świata. Częstokroć proces konwersji w pierwszym przypadku jest prostszy i krótszy, ponieważ powód i chęć przynależności do narodu żydowskiego są łatwiejsze do zrozumienia. W zasadzie dana osoba ma tę samą historię co inni halachiczni Żydzi. Dlatego też w niektórych konserwatywnych i reformowanych społecznościach zostanie uznana za Żyda nawet bez konwersji. W innych będzie musiała ją mimo wszystko przejść, bo tradycja dziedziczenia żydostwa po matce jest bardzo silna i sięga czasów Talmudu.

*2 listopada / 27 cheszwan, wtorek*

Rozmawiając z jakąś przypadkową osobą, powiedziałam, że Chanuka zaczyna się pod koniec listopada. Rozmówczyni zmarszczyła brwi i powiedziała, że w tym roku święto wypada wyjątkowo wcześnie. Uśmiechnęłam się. Już to słyszałam.

Nie. Zupełnie nie. Chanuka jest w tym roku dokładnie wtedy, kiedy powinna być. Co więcej, jest w tym samym czasie, co była rok temu i będzie za rok, czyli zacznie się 25. dnia miesiąca kislew. I będzie trwała, również jak przez ostatnie tysiąclecia, osiem dni. Chciałam powiedzieć, że to raczej Gwiazdka jakoś tak wyjątkowo późno. Ale ugryzłam się w język, bo nie miałam pewności, czy mój żart się spodoba.

Dobrze rozumiem, że dopasowujemy rzeczywistość do tego, co jest nam znane, i patrzymy na świat przez pryzmat przekonań, które mamy w głowie, i zdobytych doświadczeń. Dlatego łatwo przyswoić schemat, że Pesach jest mniej więcej wtedy, kiedy Wielkanoc, a Chanuka jakoś blisko Narodzenia Pańskiego.

Ale chyba warto pamiętać, że jednak kalendarz gregoriański i żydowski są zupełnie różne. I ja wiem, że nawet jeśli się zrozumie tę różnicę, to w praktyce łatwo się pogubić.

Kalendarz gregoriański jest kalendarzem słonecznym i podąża za ruchem Ziemi wokół Słońca. W rezultacie nie ma sezonowych przesunięć. Przesilenia zimowe czy letnie będą zawsze tego samego dnia. Patrząc na konkretną datę, możemy być pewni, jaka to pora roku. Kto się urodził w sierpniu, zawsze będzie miał problemy ze zorganizowaniem imprezy, bo to środek wakacji i wszyscy są w rozjazdach.

Kalendarz muzułmański, czyli księżycowy, idący za ruchem Księżyca wokół Ziemi, traci tę idealną synchronizację z porami roku i jest podatny na sezonowe przesunięcia. Święto ramadan może wypaść raz latem, a raz zimą. Zachowuje natomiast doskonałą zgodność z fazami Księżyca, czego nie robi kalendarz słoneczny. Zawsze pierwszym dniem każdego miesiąca jest now, a w jego połowie wypada pełnia. W kalendarzu słonecznym brakuje spójności księżycowej, ponieważ dni nowiu i pełni Księżyca zmieniają się z miesiąca na miesiąc. Księżyc będzie miał inny kształt 1 lipca i 1 stycznia.

Kalendarz żydowski jest połączeniem obu tych rachub. Oznacza to, że rok rytualny jest rokiem słonecznym – pory roku się nie przesuwają, a miesiące są księżycowe, czyli zaczynają się zawsze w nowiu. Taka fuzja przysparza jednak trudności. Nie da się ich łatwo zsynchronizować, ponieważ porządku Księżyca i Słońca nie są równoległe. Miesiąc księżycowy, czyli czas, którego Księżyc potrzebuje, by okrążyć Ziemię, trwa około dwudziestu dziewięciu dni i dwunastu godzin. Dlatego miesiące żydowskie mają naprzemiennie dwadzieścia dziewięć i trzydzieści dni. Dwanaście miesięcy księżycowych trwa 354 dni. Rok słoneczny liczy 365,25 dnia – jest to czas obiegu Ziemi wokół Słońca. Z rachunku wynika jedenaście dni różnicy między rokiem księżycowym a słonecznym. Kalendarz żydowski poradził sobie z tym, dodając do siedmiu z każdych dziewiętnastu lat dodatkowy, trzynasty miesiąc. Jednocześnie, dla całkowitego wyrównania rachunku, w dwóch miesiącach dodaje się jeszcze po jednym dniu.

Osoba F urodzona dnia Y w miesiącu Z według kalendarza żydowskiego jest również urodzona dnia A w miesiącu B według kalendarza gregoriańskiego. Kiedy się rodziła, te dwie daty akurat się pokrywały. Ale że prawdopodobieństwo powtórzenia takiej konfiguracji jest małe, co roku może obchodzić urodziny dwa razy.

Dlatego Chanuka, która się zaczyna 25 kislew, i Gwiazdka przypadająca 24 grudnia czasem będą obok siebie, a nawet się pokryją, a czasem będzie między nimi miesiąc różnicy. Ale żadne ze świąt nie jest ruchome. Są tylko ruchome względem siebie. Dlatego zdanie „Chanuka w tym roku wypada wyjątkowo wcześnie” jest i nieprawdziwe, i niepoprawne.

*4 listopada / 29 cheszwan, czwartek*

Czas zacząć kupować prezenty na Chanukę. Najważniejszy jest pomysł. Realizacja to już sprawa drugorzędna. W naszym domu mamy zwyczaj, że każde dziecko przez osiem świątecznych dni dostaje mały upominek i coś słodkiego. Otwieramy paczki dopiero po południu po zapaleniu chanukowych świec. W każdym domu żydowskim jest trochę inaczej, bo zwyczaj obdarowywania się z tej okazji jest nowy i narodził się wraz z prezentowym szaleństwem towarzyszącym Gwiazdce. Są rodziny, w których prezentów się nie daje. Albo inaczej. Daje się, ale przy okazji każdego święta, nie tylko Chanuki. I takie, w których jest tylko jeden prezent, za to większy. Moja Mama, kiedy byłam małą dziewczynką, rozwieszała w moim pokoju długi sznur, a na nim dwadzieścia cztery paczuszki. Otwierałam je codziennie od 1 do 24 dnia grudnia. Tak jak w innych polskich domach, również tych niechrześcijańskich, była choinka, a pod nią podarki przyniesione przez aniołka. Połączyłam wspomnienie z dzieciństwa z żydowskim świętem i stał osiem prezentów przez osiem dni.

Kiedy mieszkaliśmy w Izraelu, jechałam na stare miasto w Jerozolimie i szłam do kilku ulubionych sklepów – jednego z zabawkami na Mea Shearim, drugiego przy ulicy Jaffo i kilku innych napotkanych po drodze. Kupowałam jakieś tanie drobiazgi. Czasem służyły dzieciom dłużej, czasem krócej. Były breloczki, pistolety na wodę, puzzle, układanki, pudełeczka, małe figurki, pluszaczki. Po przeprowadzce do Łodzi wybór sklepu, w którym nabędę jakieś duperele, był oczywisty, bo jest w Polsce jeden taki, który od razu polubiłam. Akurat mieszkaliśmy niedaleko. Ołówki, gumki w dziwnych kształtach, notesiki, małe kalejdoskopy, koraliki itp.

Kiedy byłam w ciąży z piątym dzieckiem, nasza mnie nagła potrzeba, by wszystkie prezenty zrobić własnoręcznie. I do obdarowywanych dołączyć Męża. Zatrwożyłam się myślą, że te wszystkie gotowe przedmioty są zrobione z materiałów szkodliwych dla środowiska. Nie bardzo wiem, kto stoi za ich wyrobem i czy kupując, nie przyczyniam się do wyzysku ludzi na innym kontynencie. Zawzięłam się i wieczorami tworzyłam. Powstały spersonalizowane zakładki do książek – na których każdy znalazł swoje zdjęcie i wycięte z gazet określające go słowa. Były ręcznie malowane miseczki. I breloczki z żywicy. I pocztówki z Izraela z kilkoma miłymi zdaniemiami ode mnie. Dzieci się cieszyły, było im miło, że tak się postarałam. Ale widziałam, że jednak od ułożonej przeze mnie papierowej róży wolałyby kupioną drewnianą szkatułkę. Kolejny rok zbiegł się z pandemią i wszystkie możliwości były ograniczone. Postawiłam na platformę online, na której jest wszystko. Znowu trochę plastikowego bądzie, które cieszy niesamowicie. Kredki do malowania twarzy, kolorowanki, piłeczki, gumowe dinozaury i plastikowe kacuszki do kąpielii.

W tym roku będzie jeszcze inaczej! Polscy rękodzielnicy i polskie sklepy. Najlepiej przedmioty z ekomateriałów. Wszystko mogę załatwić, nie wychodząc z domu. Tylko trzeba poszperać, poszukać, wybrać. I zapłacić.

*6 listopada / 2 kislew, sobota*

Podczas szabatowej kolacji rozmawialiśmy o zwierzętach. Nie mam już pojęcia, jak zeszło na ten temat. W każdym razie Starszy Syn powiedział, że szakaloty to ciekawe wodne ssaki. Pokiwaliśmy głową, że rzeczywiście fascynujące. Po czym popatrzyliśmy po sobie, a ja wybuchnęłam śmiechem. Zapytałam, czy szakalot to może kolega lejenia. Lejenia, z pięknym porożem, z kolei rysowała kiedyś Najmłodsza Córka. Wtedy już wszyscy się śmialiśmy. A ja przypomniałam sobie, jak pewnego lata Najstarsza Córka, która wtedy była jeszcze małą dziewczynką, godzinami oglądała książkę brata o lasach. Któregoś dnia poprosiła, bym poczytała jej o rabinie Hoodzie, o którym jest notka na jednej ze stron. Dopiero po chwili zrozumiałam, że ona nie słyszała wcześniej o Robinie Hoodzie, a że rabinów znała kilku, to zrobił jej się złodziejaszek rabin Hood. Dwa lata później bardzo chciała oglądać „Chorego Pottera”.

*7 listopada / 3 kislew, niedziela*

W Krakowie odbył się marsz przeciw ograniczeniom praw reprodukcyjnych kobiet. Wzięłam w nim udział, ponieważ obostrzenia dotyczące przerywania ciąży zaczynają mnie coraz bardziej niepokoić. Nie chcę rozprawiać o aborcji, bo każda sytuacja jest inna. Dlatego też kiedy ktoś mnie pyta o stosunek judaizmu do tej kwestii, nie mogę w jednym zdaniu dać wyczerpującej odpowiedzi. Bo nie można powiedzieć ani że jest za, ani że przeciw. Mówię, zgodnie z prawdą, że judaizm jako religia dopuszcza aborcję. Co więcej, przez pierwsze czterdzieści dni od zapłodnienia to, co jest w łonie, traktuje się jako zwykłą wodę. Na tym etapie ciąży można ją z większą łatwością przerwać. W późniejszym etapie przesłanką do aborcji będzie oczywiście zagrożone życie matki. Zagrożenie nawet nie musi być śmiertelne. Jeżeli ma podupaść na zdrowiu fizycznym lub psychicznym, usunięcie ciąży będzie wręcz zalecane – i to zarówno przez żydowskich lekarzy, jak i przez ortodoksyjnych rabinów.

W marszu wzięłam udział. Szłam z tłumem, trochę krzycząc, a trochę słuchając, co krzyczą inni. Czy to coś daje? Czy takie zgromadzenia, transparenty, wspólna złość przekładają się na realne działania? Nie wiem. Nie mam pojęcia, czy wściekły tłum w jakikolwiek sposób rusza rządzących. Czy ma wpływ na resztę społeczeństwa. Czy wywrze presję na głosujących w kolejnych wyborach. Ale w swojej bezsilności godzina marszu daje minimalne i może złudne poczucie, że coś mogę zrobić.

W takich i podobnych sytuacjach przypomina mi się opowieść z Tory o pięciu córkach Selofchada, które są wymienione z imienia. To zasługuje na dodatkową uwagę, ponieważ Tora często mówi o paniach per „żona X”. Poznajemy imiona tylko kilku z nich. Wśród nich są właśnie Machla, Tyrca, Chogla, Milka i Noa, które odumarł ojciec, a że nie miały mężów, nie przysługiwało im prawo do dziedziczenia ziemi. Wedle obowiązującego prawa własność rodzica miała odtąd należeć do męskich krewnych. Krzywda osieroconych nie ograniczała się przy tym do kwestii finansowych, chodziło bowiem również o to, że niemożność przekazania własności potomkom była równoznaczna z wygaśnięciem gałęzi rodziny, a wraz z nią pamięci o krewnych ojca.

Dziewczyny udały się zatem do Mojżesza i poskarżyły się na niesprawiedliwe prawo. Prorok uznał, że sprawa jest poważna, i zwrócił się z nią do Boga. A Bóg stwierdził, że siostry mają rację, i prawo zmienił.

W tej króciutkiej opowieści lubię to, że męski świat pod wpływem kobiet zmienił się w świat równościowy. Przynajmniej w tym jednym, małym aspekcie. Tych kobiecych aktywistek nie było dużo. Zaledwie pięć. Albo aż pięć, skoro udało im się uzyskać to, co było dla nich ważne. Dla mnie ta opowieść jest istotna, bo daje mi poczucie, że każdy sprzeciw wobec niesprawiedliwości ma znaczenie. Któryś w końcu przeniesie skutek.

*8 listopada / 4 kislew, poniedziałek*

Zamówiłam maseczki. Uważam, że zupełnie dobrze nadają się na prezent. Skoro można na Gwiazdkę dawać skarpetki i krawaty, to czemu nie maseczkę. Rok temu też dostali. Ale nie szkodzi.

*10 listopada / 6 kislew, środa*

Wczoraj Mąż był na nogach od świtu. W ciągu dnia załatwił mnóstwo rzeczy. Wieczorem zrobił pyszną kolację i każdemu dziecku spakował obiadowki. Chociaż był już koszmarnie zmęczony, zapytał i Starszaki, i Młodsza, na co dokładnie mają ochotę. Jedno poprosi bakalie, drugie też, ale bez orzechów, trzecie woli banana. Kanapka z masłem i z sałatą, tylko że bez pomidora, bo się rozciapciuje. Dla Starszego chętnie z pomidorem, ale jeszcze majonezem. I tak dalej, i tak dalej. Mąż poukładał na stole kupki, każdą podpisał, żeby nie było wątpliwości, co dla kogo. Rano jedno z dzieci przyszło

z pretensją. Obiad jest w śniadaniówce. Śniadaniówce! Nie weźmie śniadaniówki z makaronem ze szpinakiem do szkoły, bo makaron ze szpinakiem nosi się w obiadowce. A lepiej podgrzany w termosie, bo na półgodzinnej przerwie nie ma przecież czasu na wkładanie jedzenia do szkolnej mikrofalówki. Przez pół godziny to nawet nie ma czasu zjeść, więc dziwne, że się dziwimy, że jedzenie wraca. Tak czy siak, śniadaniówka z obiadem przekracza wszelkie granice przyzwoitości.

*12 listopada / 8 kislew, piątek*

Kusiło mnie dzisiaj, zresztą jak co piątek, by pokazać w social mediach, co przygotowuję na szabatową kolację. Jak kroję warzywa na sałatki, jak blenduję oliwki na pastę i jak doprawiam łososia. I kiedy już wzięłam telefon do ręki, tak jak tydzień temu i dwa tygodnie temu, i jeszcze wcześniej, natychmiast z pomysłu zrezygnowałam. Jest tyle świetnych programów kulinarnych, tyle kont poświęconych jedzeniu. Byłoby wręcz nieprzyzwoitością wyskakiwać ze swoimi umiejętnościami, które są wystarczające dla naszej siódemki i czasem jakiegoś gościa, ale nie są niczym spektakularnym, zwłaszcza w porównaniu z innymi. Każdorazowo moja myśl, by pokazać siebie w kuchni w fartuszkach, bierze się z próśb, które licznie dostaję.

Fakt, że jestem Żydówką, łączy się ludziami z „kuchnią żydowską”. Kiedy wprost pytam, co mają na myśli, kiedy mnie proszą, bym im coś z „kuchni żydowskiej” przyrządziła, słyszę, że chodzi o coś „naszego, lokalnego, no tego, co jako Żydzi jadamy”.

W zasadzie nie wiem, co odpowiadać. Że najczęściej to gotuję spaghetti? Na śniadanie są płatki z mlekiem. Na drugie śniadanie kanapka z samym masłem albo z serkiem. A na kolację „jajcowa”, ewentualnie naleśniki, jeśli Najstarsza Córka zrobi. Do tego nieograniczony dostęp do owoców i warzyw, po które dzieci sięgają między posiłkami. No, ani to kuchnia lokalna, ani żydowska. Czuję, że każdorazowo, kiedy na pytanie „Co u was na obiad?” odpowiadam: „Ryż z warzywami”, sprawiam zawód. Trochę więcej się po mnie, Żydówce, spodziewali. Jakiegoś falafela co najmniej. A najlepiej nazw potraw, których nigdy nie słyszeli. Jakbym odpowiedziała, że będzie domowa chałka z babaganusz! Jakaż by to była radość! Babaganusz! Brzmi zjawiskowo! A potem koniecznie przepis. Kochaniutka, jak to robisz, powiedz nam!

I nieważne, ile razy powiem, że gotuję zwyczajnie, prosto, bez sięgania do książek. Błagalne prośby o przepis na czulent pojawiają się bezustannie. Tak, przyrządzam czulent. Na oko. Jak mi serce powie i co ręka wyciągnie z misek z warzywami. Ale nie wedle rodzinnej receptury z tajnymi składnikami, przekazywanej z pokolenia na pokolenie. U nas w domu nikt czulentu nie robił. Gdyby mnie za granicą poproszono, żebym przyrządziła prawdziwe polskie ogórki kiszzone, to też by się okazało, że w życiu takowych, choć jestem Polką całym swoim ciałem, nie zrobiłam. Nie ulepiłam też pieroga, naszej narodowej polskiej potrawy. A nie, przepraszam. Raz lepiłam z Babcią uszka z kapustą. Rozpadły się, zanim trafiły do barszczu. Tak samo postrzegam swoją żydowskość. Bez książek kucharskich przekazywanych kolejnym pokoleniom w dniu ślubu. Bez dedykacji prapraprababki „dla córeczki, niech jej kuchnia rozpromienia serca domowników”. Bez wytłuszczonych stronic ze śladem gefilte fisz. Za to chętnie z gefilte fisz w brzuchu, jeżeli ktoś mi zaproponuje.

Czasem jestem gotowa podać przepis na chałkę Męża. I pokazać go w akcji. Bo to on u nas piecze. Ale to jakby profanacja obrazu żydowskiej kobiety, który – jak się okazuje – mają liczni. Chałka? Robiona przez mężczyznę? No to jakby *Happy Birthday* Marilyn Monroe zaśpiewał męski głos. Są granice przyzwoitości! Więc raczej się tym nie chwaleb. Humus od niechcienia może facet zrobić. Ale pieczywa niech się nie tyka. Więc co z tym humusem? Jak wy go tam, kochaniutcy, robicie? Wiem, co mnie zaraz czeka, ale skoro powiedziałam alef i wrzuciłam zdjęcie pasty, trzeba powiedzieć bet i dodać instrukcję obsługi. Odpowiadam: zblendować ciecierzycę z czosnkiem, tahini, wodą spod ciecierzycy i oliwą. Dosmaczyć przyprawami. Gotowe.

Wtedy dopiero rusza lawina pytań. Jakbym otworzyła puszkę jakiejś żydowskiej Pandory, tylko zamiast nieszczęść wyskakują znaki zapytania. Ale jaką ciecierzycę? I czy może być cieciorka? To nie to samo? A jaka jest różnica? Aha. A ile tej ciecierzycy? A ugotowaną czy z puszki? Lepsza ugotowana?



Ojej! A jak długo gotować? Namoczyć wcześniej? Kurczę. A w jakiej ilości wody moczyć? A może być jednak z puszki? O, to dobrze. A jaka firma najlepsza? A wody ile dodać? A tahini? Jak długo blendować? A ta oliwa jaka ma być? A jakie przyprawy wsypać? Jak to wedle smaku? Ale ile dokładnie? A pieprz może być? Bo ja lubię pieprz. Może? O, super. A papryka? Żeby było na ostro? Wolno? Wolno, uff, to dobrze, bo się bałam, że nie wolno.

Pół dnia na instagramowej infolinii. Dobrze, że nigdy nie pokusiłam się o podanie przepisu na to babaganusz. Już to widzę. Upiecz bakłażana, obierz ze skóry i zblenduj z sokiem z cytryny, tahini, oliwą i solą. Gotowe. A...?

Jestem niesprawiedliwa, podśmiechując się. Po pierwsze dlatego, że gdybym spotkała Tajkę, poprosiłabym ją o przepis na tajska zupę. Uznałabym, że jako Tajka urodziła się z tą wiedzą, a wszystkie przepisy w internecie nie mogą się tej wiedzy równać. Francuza zapytałabym, jakie wino najbardziej poleca, nie biorąc zupełnie pod uwagę, że jego winny gust może się różnić od mojego. Francuz to Francuz. Wie najlepiej, jakie wino będzie mi smakowało. Mieszkańca Jamajki zaprosiłabym do swojego ogrodu z nadzieją, że objaśni mi tajniki hodowli marihuany, wskaże, gdzie najlepiej ją posadzić, poczęstuje mnie wielkim jointem, którego będziemy palić, podczas gdy on będzie robić mi dredy. Pracownicy salonów kosmetycznych o dredach nie wiedzą nic w porównaniu z przeciętnym mieszkańcem Jamajki.

Po drugie, z tymi przepisami nie do końca tak u mnie jest. Czasem sięgam po jakiś do jednej z kilku moich książek kucharskich. I są wśród nich też takie poświęcone kuchni żydowskiej. Najczęściej robię to, kiedy brakuje mi pomysłu na szabatową kolację. I staram się podążać krok za krokiem wedle instrukcji. Ale zawsze kończy się tym, że jakiegoś składnika nie mam, więc go zastępuję, a do tego często mieszają mi się proporcje. Te książki są naprawdę przydatne, ale bardziej jako cenna inspiracja. Są tylko trzy rzeczy, przy których przyrządzaniu muszę się dokładnie trzymać wskazówek. I mam na nie przepisy w mojej własnoręcznie robionej książce kucharskiej – wkładam je na małych karteczkach do albumu na zdjęcia. Dzięki folii łatwiej zetrzeć brud. Przepisów używam do: naleśników, ryżu na sushi i tarty cytrynowej. Kiedyś w moim rodzinnym domu robiłam cwibak wedle receptury z bardzo starej książki, która stała u nas w kuchni. Odkąd się wyprowadziłam, ciasto robię na oko. Może dlatego wychodzi gorzej, niż kiedy je piekłam, mieszkając jeszcze z Mamą.

***14 listopada / 10 kislew, niedziela***

Właśnie obejrzałam ciekawy wywiad wykładowcy Uniwersytetu Warszawskiego, który prowadzi poradnię językową na Instagramie i YouTubie. Znana polska lektorka, z którą rozmawiał, powiedziała, że bardzo przeszkadzają jej feminy, nie jest w stanie się do nich przyzwyczaić i niektóre brzmia w jej uszach karykaturalnie.

Dzięki niej uświadomiłam sobie, że ja feminy uwielbiam. Sprawiają mi każdorazowo ogromną radość – i kiedy ich słucham, i kiedy sama używam. Raduje mnie wielce i tworzenie nowych, i przyswajanie starych, i próbowanie prawidłowego wypowiedzenia tych, które łamią żuchwę. Oczywiście kieruje mną dążenie do językowego równouprawnienia. Sekretarz, oficer i prezydent są oczywistością, ale sekretarka kojarzy się z podawaniem kawy, oficerka z czapką, a prezydentkę podkreśla słownik w Wordzie. Są drukarz, kowal czy chirurg, za to drukarka była do tej pory przedmiotem, a nie funkcją, przy kowalce nie wiadomo, o co chodzi, a przy chirurgce zaplujemy się solidnie. Można to przecież zmienić, nawet się specjalnie nie wysilając, bo feminy to żadna nowość. Część z nich istnieje od dawna, tylko zostały zapomniane i brak nam przyzwyczajenia. Ale to kwestia wprawy. Skoro dajemy sobie radę w zbieraniu źdźbeł nad źródłem wśród chrząszczy w Szymankowszczyźnie, to nie strasze nam przechodzini ani weterynarka.

Ponieważ dzisiaj podziały między profesjami męskimi i żeńskimi się zacierają, warto zrobić miejsce psycholożkom, prezeskom, lekarkom, ale też widzkom, czołgistkom czy ochraniarkom. I przy okazji przypomina mi się taka zagadka logiczna. Ojciec i syn mają wypadek samochodowy. Ojciec umiera na miejscu, syn trafia na stół operacyjny. Chirurg już ma operować, ale nagle mówi poważnym

głosem: „Nie mogę tego robić. To moje dziecko”. O co chodzi? Ludzie częściej odpowiadają, że doktorem jest zapewne drugi tata, a rodzice byli parą homoseksualną, niż że lekarzem jest matka chłopca. Ja akurat od małego w roli doktorów widzę panie. A wszystko to dzięki doktor Quinn – bohaterce serialu, który namiętnie oglądałam jako dziewczynka, podkochując się i w jej adoptowanym synu, i jej partnerze.

Wracając do tematu, muszę dodać, że tak samo jak lubię tworzenie feminatywów, tak kibicuję wszelkim maskulinywom. Nie trzeba szukać męskiej formy do przedszkolanki, ponieważ przedszkolankę i tak zastępujemy nauczycielką wychowania przedszkolnego. Ale znajdują się inne. Kiedyś usłyszałam słowo „sucz” na określenie jakiegoś jegomościa.

Dla jasności. Niech każdy mówi, jak chce. Sama jestem daleka od poprawiania kogokolwiek. Pani sędzia jest sędzią, a nie sędziwą – okej. Nowo poznana kobieta mówi, że jest psychologiem. Niech będzie psychologiem. Skoro w szkole jest pani dyrektor, to nie będę się do niej zwracała per „dyrektorko”. Zaprzyjaźniona dama biorąca udział w powstaniu warszawskim zaklina się, żeby jej nie nazywać powstanką. Nigdy w życiu nie zrobiłabym przy niej inaczej. Odwiecznie mówię o niej wedle życzenia „powstaniec”.

Ale w tym wszystkim poza możliwością pełnego równouprawnienia w naszej pięknej polszczyźnie bawi mnie słowotwórstwo. Po prostu. Młodzież tworzy nowe wyrazy, które wchodzą do języka polskiego i ze slangu często przeradzają się w mowę dorosłych. Zapożyczamy bezwiednie z angielskiego, nie zauważając nawet, że dane słowo nie narodziło się ani w Warszawie, ani w Busku-Zdroju, ale w Londynie czy innym Waszyngtonie. To czemu nie zrobić miejsca feminatywom czy – choć w mniejszym stopniu – maskulinywom?

Sama przez całe życie tworzyłam słowa, które nie istnieją. Nie mówię o braku poprawności językowej, bo nad tą chętnie pracuję. Każdą krytyczną uwagę przyjmuję z należytych skupieniem. Pozostanę wierna jedynie jajęcznicy, mimo że wszyscy dookoła twierdzą, że to jajecznica. Żeby uniknąć konfrontacji, zaczęłam robić jajka sadzone. Ewentualnie, jeżeli nie ma innej możliwości, a na patelni leżą wymieszane jajka, mówię na nie jajcowa. Choć u nas ta nazwa obsługuje również pastę jajeczną.

Pomijając kulinaria, można mnie językowo poprawiać. Jeżeli mówię „na tapetę”, niech rozlegną się krzyki oburzenia, że mówi się „na tapet”. Sama z równym zaangażowaniem próbuję wyplenić „pójście pod kąpiel” u moich dzieci, tłumacząc z uporem maniaka, że idzie się pod prysznic, ewentualnie do kąpeli. No i coś czuję, że minie trochę czasu, zanim przestanę słyszeć „byłam na placu zabawie”.

Ale każde nowo powstałe słowo przyjmuję z otwartymi ramionami i wielkim uśmiechem na twarzy. Do naszego domu rodzinnego weszła na dobre baharda. Takiego wyrazu użyłam w jednym z wypracowań jeszcze jako dziecko szkolne. Byłam przekonana, że istnieje zaraz obok watahy, hordy, bandy i brygady. Wtedy nie istniało. Dzisiaj już jest. Przynajmniej u nas. Baharda to po prostu duża grupa ludzi. Moja Mama nieraz pyta, kiedy przyjdę ze swoją bahardą, i dobrze wiem, o czym mówi. Z kolei w innym domu przyjęło się słowo, którego użył mój Starszy Syn. Podobno w trakcie wspólnej gry powiedział, że nie chce, by dołączyła siostra, bo jest oszukistką. Odkąd dowiedziałam się o tym po latach, sama zaczęłam tak mówić. Jeżeli coś nam smakuje, mówimy, że jest przeborne. Któremuś z dzieci połączyło się wyborne z przepysznym i tak zostało. Przykłady mogłabym wymieniać w nieskończoność.

Tak jak jestem za tym, by mówić wyraźnie i poprawnie, tak i za tym, by słowem się bawić, rzeźbić je, formować i tworzyć nowe.

**15 listopada / 11 kislew, poniedziałek**

Skoczyliśmy z Mężem do Ikei. On chciał kupić kilka drobiazgów potrzebnych mu do majsterkowania, a ja przy okazji postanowiłam poszukać czegoś na prezenty chanukowe. Odbiegnę tym samym od pomysłu pozostania przy polskich wyrobach. Kupiłam dla każdego nowy ręcznik w innym kolorze. Te, których używamy, już całkiem nadają się na szmaty do podłogi. I po paczce kredek, pisaków i mazaków. Kolejne dwa dni załatwione.

**16 listopada / 12 kislew, wtorek**

Pod jednym z moich postów na Instagramie toczy się dyskusja nad zasadnością zakazu jedzenia wieprzowiny i łączenia mięsa z mlekiem. Nie biorę w niej udziału, choć każdemu daję serduszko, odpowiednik facebookowego lajka. Nie przytakuję, istota przykazań z Tory nie leży w tym, by znaleźć dla nich wyjaśnienie. Część jest w pełni zrozumiała. Nazywają się *miszpatim*, co po hebrajsku znaczy dosłownie ‘prawa, wyroki’. Czy jest się osobą religijną czy nie, Żydem czy katolikiem, „nie zabijaj” czy „nie kradnij” nie wymagają dodatkowych wyjaśnień, można powiedzieć, że są uniwersalne i jasne dla każdego.

Druga kategoria to *edot*, czyli świadectwa. Na pierwszy rzut oka mogą się wydawać dziwaczne, zwłaszcza jeśli o Żydach i ich historii niewiele wiemy. Kiedy mówię, że obowiązuje nas nakaz odpoczynku raz na siedem dni albo dęcia w szofar na Rosz ha-Szana, albo przesiadywania w szałasach w Sukot, naturalnie pojawia się pytanie „ale dlaczego?”. I potem następuje logiczna odpowiedź. Bo według tradycji żydowskiej Bóg stworzył świat w sześć dni, a siódmego odpoczął. Niedziela uważana jest, nie tylko w judaizmie, za pierwszy dzień tygodnia, dlatego sobota jest naszym dniem wytchnienia. Szałas budujemy na pamiątkę tego, że Izraelici, idąc przez pustynię, nie mieli możliwości wznoszenia trwałych budowli. A dęcie w róg barani ma – jak już wiemy – pobudzić dusze na nowy rok. Są to zatem nakazy i zakazy umocowane w naszych dziejach, w codziennym życiu przypominające nam o ważnych dla Żydów wydarzeniach.

Jest wreszcie trzecia kategoria praw – *chukim*, czyli ‘przykazania (*sensu stricto*), ustawy’ – które pozostają niezrozumiałe zarówno dla wiernych, jak i dla mędrców Talmudu oraz filozofów z najwyższej półki. Tak ma być, bo tak jest napisane i nikt nie ma pojęcia dlaczego. Przykładem jest nakaz obrzezania, wiązania tefilinu, przytwierdzenia mezuzy, a także zakaz jedzenia drapieżnych ptaków oraz wspomnianej wieprzowiny. Na przestrzeni wieków nad sensem tych przykazań główkowali liczni. Bo nie dla każdego „Bóg tak powiedział” jest wystarczające. Raz po raz pojawiają się jakieś ciekawe i sensowne wyjaśnienia (zdrowotne, medyczne, psychologiczne, filozoficzne czy seksuologiczne), nigdy jednak nie dają one ostatecznej odpowiedzi.

Przyznam, że takie wyjaśnienia zawsze szalenie mnie cieszą, bo sama przy okazji mam możliwość zastanowienia się nad zasadami mojej religii. Niedawno przeczytałam, że zakaz golenia boków brody, który pojawia się w Torze, wziął się stąd, że bardzo łatwo było zaciąć się przy goleniu. Przez chwilę zupełnie nie rozumiałam, skąd taki pomysł. Przecież golimy nie tylko brodę, więc czemu zakaz dotyczy akurat tego miejsca. Chwilę mi zajęło, zanim sobie uświadomiłam, że jeszcze niedawno istniał świat zupełnie inny od tego, do którego jestem przyzwyczajona. Kiedyś golono tylko twarz, bo włosy na nogach, pod pachami, w okolicach bikini były dla wszystkich zupełnie naturalne, i u kobiet, i u mężczyzn.

**17 listopada / 13 kislew, środa**

Byłam na USG piersi. Pierwszy raz w życiu. Cytologię robię regularnie. Ginekologicznie jestem pod stałą opieką, głównie ze względu na liczne ciążę. Lecz o piersiach do tej pory nie myślałam. Albo myślałam, ale może się bałam. Klasyczne działanie, a raczej jego brak. Nie pójde do lekarza, bo jeszcze się okaże, że jestem chora. Zamiast iść czym prędzej, żeby w razie choroby szybciej zareagować. Na nic się zdają tysiące opowieści o ludziach, którzy zwlekali z badaniami, a jak się okazało, że coś w ich organizmie nie działa, było za późno. Na przykład trzeba było wyciąć macicę, choć gdyby kobieta zareagowała wcześniej, można byłoby nie tylko uratować narząd, ale też zachować płodność. Mimo takich historii nadal zwlekamy, przekładamy wizytę, odwołujemy, bo mamy coś ważniejszego. I ja tak właśnie dotrwałam sobie do dnia dzisiejszego, a moje piersi nie zostały zbadane ani razu.

Badanie było bardzo krótkie. Nazwałabym je przyjemnym, gdyby nie to, że obcy mężczyzna

dotykał moich nagich piersi, co jednak mnie peszyło. Nie zapytałam wcześniej, jakiej płci będzie osoba przeprowadzająca badanie, więc widok pana brodacza lekko mnie zbił z tropu. Ale nie ma to przecież znaczenia. Ważne, żeby się znał na rzeczy. Ortodoksyjny judaizm restrykcyjnie podchodzi do dotyku osób przeciwnej płci, które nie są ze sobą spokrewnione. Nie dotyczy to jednak przełamywania bariery bliskości, jeśli jest konieczna do wykonania konkretnej pracy. Ponieważ zajęciem fryzjera jest strzyżenie włosów, wolno mu układać fryzury mężatkom, które zwyczajowo nie pokazują się publicznie bez nakrycia głowy. Ginekolog może zaglądać kobiecie w najintymniejszą część jej ciała, nawet jeżeli w jej społeczności, rodzinie i domu przyjęło się dokładnie je zakrywać, zwłaszcza przy mężczyznach. Basenu czy plaży może pilnować ratownik, nawet jeżeli jest to miejsce tylko dla pań.

Więc choć nie byłam gotowa na faceta, oddałam się z uśmiechem na twarzy w jego specjalistyczne ręce. Po wydotykaniu piersi przejechał po nich dyndzołkiem podłączonym do monitora. Ten dotyk i smarowanie klejącej, zimnej mazi dobrze znam. Niczym się nie różni od USG ciążowego. Po dziesięciu minutach wyszłam z diagnozą, że wszystko jest dobrze, i zachętą, bym się pojawiła za rok lub dwa, bo dla własnego dobra piersi należy badać regularnie.

**18 listopada / 14 kislew, czwartek**

Na Instagrama wrzuciłam post z fotografią naszej siódemki. Zdjęcie zrobiła świetna fotografka podczas wspólnego spotkania w jej domu. Uwieczniła nas w swoim ogrodzie. Stoimy wyprostowani, uśmiechnięci, a przy naszych nogach biega pies. Od razu pod postem pojawiły się komentarze, że wyglądamy pięknie, ale też, że cudowna psina, i pytania, czy nasza. Odpowiedziałam, że zwierzę nie jest nasze, lecz fotografki i jej rodziny. Wtedy pojawiły się uwagi, które szalenie mi się spodobały.

Zostałam upomniana, żeby nie mówić o psie jako o czyjejś własności, bo to jednak żywa istota. Nie mam pojęcia, jaka jest tendencja wśród ludzi, którzy mieszkają ze zwierzętami. Czy rzeczywiście odchodzi się od mówienia „moja świnka morska” czy jednak robi to mały margines dzielących dom z kotem czy papugą. Dla mnie słowo „mój” oznacza bliskość. O dzieciach, Mężu czy przyjaciołach też mówię w ten sposób. Ale wzięłam sobie ten komentarz do serca i w kolejnych pytaniach pod postem odpowiadałam, że pies na fotografii to przyjaciel fotografki i jej rodziny.

**19 listopada / 15 kislew, piątek**

Dzisiaj 15 kislew – żydowska data urodzin Środkowej Córki. *Mazel tow* dla niej!

**20 listopada / 16 kislew, sobota**

Minęło kilka szabatów, odkąd mamy puszkę cedakową. Sprawdza się świetnie. Dzieci pilnują, by mieć przygotowane drobne, kiedy zapalam świece w piątkowy wieczór przed rozpoczęciem święta. Przy okazji tłumaczę im, po co zbieramy pieniądze, i opowiadam o koncepcie cedaki – że każdy Żyd ma obowiązek oddawania dziesięciny, czyli 10 procent swoich zarobków. Nie wnioskuję, czym dokładnie jest zarobek, bo często sama mam z tym problem. Czy dotyczy to również świadczeń socjalnych, takich jak 500+? Albo stowy, którą Babcia da mi na urodziny? Albo zwrotu podatku? Młodsza i tak jeszcze nie bardzo rozumieją, co oznacza jedna dziesiąta, więc zawieszam sprawę. Choć dla starszych to bardzo ciekawy temat do rozmowy.

Potem pojawia się kwestia, komu te pieniądze przekazać. Dzieci mają różne pomysły. Niektóre absurdalne, inne bardzo sensowne. Zasada jest taka, że powinno się zaczynać od osób najbliższych. Ubogi krewny, znajomy ze społeczności czy koleżanka w pilnej potrzebie. Jeżeli nadal ma się pieniądze, można rozszerzyć zasięgi.

Podczas wrzucania kilku złotych do cedakowej puszeki pomijam omawianie z dziećmi

możliwości stałych przelewów bankowych, które również są dobrym sposobem wypełnienia micwy. Ale starszacom już tłumaczę, że najlepiej wesprzeć kogoś, zanim popadnie w ubóstwo. Że można to zrobić poprzez prezent, pożyczkę bądź zaproponowanie partnerstwa. I że lepiej dać pracę lub wesprzeć w znalezieniu takowej niż wręczyć kasę. Na zasadzie lepsza wędka niż złowiona ryba. No i że są trzy sposoby przekazywania datku. Najlepszy, kiedy darczyńca nie zna osoby otrzymującej wsparcie i odwrotnie. Anonimowość obu stron może ułatwić późniejsze kontakty. Można o nią zadbać nawet w kręgu najbliższych. Im większą ma się rodzinę, tym jest to prostsze. Dawanie, ale też branie, jeżeli jest się w potrzebie, to część żydowskiej religii. Ze względu na takie wpisanie datków w kulturę nikt nie dopytuje, od kogo pochodzą. Tutaj wspominam o *gabaju*, którego powoływano w żydowskich społecznościach. Zbierał pieniądze do jednej puszki, a potem wedle uznania rozdelał pośród potrzebujących. Dzisiaj tę funkcję przejęły organizacje charytatywne oraz społeczności żydowskie. Jeżeli całkowita anonimowość nie jest możliwa, dobrze, jeśli przynajmniej obdarowany nie wie, od kogo pochodzą pieniądze. No i opcja trzecia, najmniej pożądana – kiedy obie strony wiedzą, kto komu pomaga.

Ja sama, wspierając różne zbiórki, mierzę się z dylematem, czy pozostać anonimowa czy wpisać swoje dane. Z jednej strony miło mi, kiedy inni widzą, że dałam pieniądze. Ale to mocno egocentryczne. Bo skupiam się na tym, że to ja dałam. A nie chodzi o mnie, tylko o osoby w potrzebie. Zbiórka nie jest miejscem na szpanowanie szerokim gestem. Z drugiej strony chcę dać dobry przykład. Dlatego jestem za tym, żeby głośno mówić o datkach, które się przekazuje innym. No więc czasem jestem anonimem, czasem upublicznię swoje dane.

No i na koniec, podczas tego cotygodniowego wrzucania monet do puszki, rozmawiam z dziećmi o osobach proszących na ulicy. Niektóre są brudne, inne bardzo brzydko pachną. Nie dziwię się, że czasem wzbudzają lekkie obrzydzenie i niechęć. Poza tym nie mamy obowiązku dawać każdemu proszącemu o dwa złote. Ale zawsze należy odmawiać z szacunkiem. Popatrzeć takiej osobie ciepło w oczy, uśmiechnąć się, grzecznie powiedzieć, że się nie da pieniędzy, i życzyć miłego dnia. Unikanie wzroku, udawanie, że się nie widzi i nie słyszy, ignorowanie są nie w porządku i nikt nie zasłużył na takie traktowanie.

***21 listopada / 17 kislew, niedziela***

Wieczorem dzięki Zoomowi wzięłam udział w wykładzie o Chanuce – był on przewidziany dla rodziców dzieci, które uczestniczą w popołudniowych zajęciach w e-szkole. Prowadzącą była kobieta, która świetnie pisze do żydowskiego magazynu wydawanego co miesiąc w Polsce oraz jest jedną z osób uczących nasze dzieci we wspomnianej szkole. Szalenie cenię sobie jej wiedzę, umiejętność jej przekazywania i podejście do świata. Kiedy tylko mam czas i możliwość, staram się dołączać do tego typu spotkań prowadzonych również przez innych specjalistów. Zawsze można utrwalić to, co się ma w głowie, i dowiedzieć się czegoś nowego.

***22 listopada / 18 kislew, poniedziałek***

Dzisiaj wieczorem z kolei ja miałam wykład o Chanuce dla osób z żydowskiej organizacji studenckiej. Część spotkałam na żywo, część znam właśnie z takich spotkań. Przyznam, że uwielbiam mieć z nimi zajęcia. To zawsze jakiś powiew świeżości, zwłaszcza w tych pandemicznych czasach. Ktoś robi sobie kolację, ktoś inny daje całusa swojej dziewczynie, gdzieś tam jakiś współlokator się prześlizgnie, czasem dołączają kot lub pies. Zawsze pojawiają się superciekawe pytania, które skłaniają mnie, żeby poszukać odpowiedzi.

***23 listopada / 19 kislew, wtorek***

Paczki z prezentami na Chanukę gromadzą się licznie. W ciągu następnych dni przyjdą wszystkie, które zamówiłam. Wyrobię się i wszystko będzie gotowe na czas. Brawo ja!

Kiedy kupowałam kolejne zabawki, naszała mnie pewna niepokojąca myśl. W zasadzie robię dokładnie to, czemu wieki temu sprzeciwiali się moi bardzo dalecy przodkowie.

Chanuka jest obchodzona na pamiątkę wydarzeń, które miały miejsce w II wieku p.n.e. Ówczesny władca z hellenistycznej dynastii Seleucydów, Antioch IV, zakazał podwładnym Żydom kulturowania ich obyczajów oraz religii. Chciał ich zmusić do przyjęcia obyczajów i wierzeń greckich. Część wyznawców judaizmu z obawy o swoje życie poddała się hellenizacji. Inni trwali przy swojej tradycji. Studiowali Torę, co było zabronione. Obchodzili szabat, obrzezali synów, jedli koszernie. I modlili się do jednego Boga. Kiedy władca zrabował Świątynię Jerozolimską, najważniejsze dla Żydów miejsce, umieścił w niej posągi greckich bożków, kazał im oddawać pokłony, a na koniec złożył w ofierze świnie, wybuchło powstanie narodowyzwolenicze. Na jego czele stanął Matatiasz – naczelny kapłan – wraz z pięcioma synami. Powstanie zwane machabejskim trwało kilka lat i zakończyło się pokonaniem Seleucydów.

Chanuka wiąże się z zapaleniem świeczek, jedzeniem pączków, graniem w drejbla (to specjalny bączek, którego się puszcza przy okazji tego święta) i obdarowywaniem dzieci czekoladowymi monetami. To wszystko w gronie rodziny i przyjaciół. Jeszcze do niedawna nie praktykowało się wręczania prezentów. I nadal w sporej części żydowskich domów nie ma takiej tradycji. Ewentualnie daje się pieniądze czy jakiś drobny podarunek jak podczas innych żydowskich świąt. Więc skąd się ta tradycja nagle wzięła? Przyszła od chrześcijan, którzy obdarowują się nawzajem z okazji Gwiazdki. Ponieważ oba święta wypadają mniej więcej w tym samym czasie, w jednych domach pachnie smażoną oliwą, w drugich przyprawami korzennymi. W jednych radość wzbudza ogień, który najczęściej cieszy, w drugich cudownie zapakowane pudła z kokardami, które kryją spełnione marzenia. Sklepy pękają w szwach od podsuwanych kupującym prezentów. W każdej reklamie brzmią nawoływania, by kupić córce laleczkę, a synkowi samochodzik, a babci filiżankę, a cioci szaliczek, a mężowi spinki do mankietów, a kuzyneczce misia, chrześniak zaś ucieszy się z piłki. Nic dziwnego, że żydowskie dzieci zaciskają zęby z zazdrości, a żydowskie matki w pośpiechu biegną, aby i swoim pociechom coś kupić. I nagle rodzi się tradycja prezentów chanukowych. Żeby być jak większość dookoła. Żeby nie odstawać. Żeby się nie wyróżniać.

Ja zdecydowałam się na upominki dokładnie z tych samych powodów. Nie chcę, by moje dzieci w szkole wysłuchiwały opowieści o tym, co dostali koledzy i koleżanki, sami nie dostawszy zupełnie nic. Więc może i nie ma z okazji Chanuki wielkich playmobili. Ale za to prezenty są przez osiem dni.

**24 listopada / 20 kislew, środa**

Przed chwilą Młodsza pobiły się o zabawkę. Nie doszło do drastycznej sceny, bo szybko zareagowaliśmy. Ale ze wspólnej zgodnej zabawy płynnie przeszły do wrywania sobie książeczki, potem autka. W obojgu narastała złość, której nawet nie próbowały zdusić. Każde chciało bawić się akurat tym, co drugie miało w rączkach. I bez żadnych zahamowań używało wszelkich chwytów, aby cel osiągnąć. Zanim wkroczyłam do akcji, żeby je uspokoić, chwilę im się przyglądałam. Często pozwalałam dzieciom, również tym starszym, spróbować samodzielnie rozwiązać konflikt. Wtrącam się tylko wtedy, kiedy czuję, że mediator jest niezbędny.

Patrzyłam na nie i zastanawiałam się, skąd powiedzenie „niewinne jak dziecko”, którego zresztą nigdy nie używam. Bezbronne? Tak, w pewnym sensie całkowicie. Niewinne, ponieważ zupełnie pozbawione narzędzi kontroli? Też trochę. Uniewinnić można złoćcę, jeżeli okaże się, że w chwili morderstwa był niepoczytalny. Takie wyjaśnienie mnie przekonuje. Myślę, że właśnie to jest jednym z powodów, dla których nieletni nie podlegają odpowiedzialności karnej. Bo wszystkich po pierwszym przesłuchaniu uznano by za niespełna rozumu.

To, że od kilku stuleci upatruje się w dziecku boską czystość, brak jakiegokolwiek winy, samo

dobro, wydaje mi się jednak naciągane.

Może to tylko moja piąteczka taka jest i zaraz się okaże, że jesteśmy całkowicie odosobnieni. Ale ja sama od żadnego dorosłego nie dostałam tyle ciosów, ile od własnych pociech, którym przecież dałam część siebie. Niewdzięczność to mało powiedziane. A i w kontaktach z innymi osobnikami ludzkimi dzieci potrafią być dziko brutalne. Przerażliwe krzyki, bo płatki nie w takiej miseczce. Tupanie nogami i awantura w parku, bo samo chciało zdjąć skórkę z banana, a zrobiła to matka. I teraz ten banan na pewno nie zostanie zjedzony. Otworzenie jogurtu w sklepie i odłożenie go z powrotem na półkę, bo jednak nie smakuje. Ciągnięcie za włosy, bo brat usiadł tam, gdzie się chciało usiąść. Nie powiedziało się o tym, ale i tak należy się ściągnięcie siłą. Czasem strach z takim z domu wyjść. Wybiegnie na ulicę, bo zobaczyło motyla po drugiej stronie. Oznajmi sąsiadce, że jest brzydka, bo akurat zechce się odezwać i wyrazić opinię.

Bardzo mi pasuje pewien żydowski koncept. Istnieje przekonanie, że każdy z nas rodzi się z *jecer ha-tow* i *jecer ha-ra*. To pierwsze to skłonność do dobra. To drugie w dosłownym tłumaczeniu oznaczałoby słabość do zła, ale konkretnie chodzi o najprostsze fizjologiczne potrzeby, które każdy musi zaspokajać, by przetrwać. Różnica między dziećmi a dorosłymi jest taka, że te pierwsze nie mają jeszcze kulturowego obycia. Zamiast powiedzieć „proszę”, będą wyrwać. Zamiast podziękować, odejdą bez słowa. Nie przeproszą, bo nawet nie zrozumieją, że coś komuś zrobiły. Jeżeli poczują, że chcą się wypowiedzieć, wypowiedzą się, choć dorosły ugryzłby się w język, wychowany, że tak nie wypada. Siorbiąc i mlaszcząc, jeść będą palcami. Bo tak im łatwiej pochłaniać coś, na co mają ochotę. Ich rodzice to samo danie skonsumują nożem i widelcem, ewentualnie pałeczkami – chyba że akurat mieszkają w takiej części świata, w której wszyscy jadają rękoma. Resztki sosu dzieci wytrą rękawem świeżo wypranej bluzki, podczas gdy ich pełnoletni opiekunowie niepostrzeżenie użyją serwetki.

Małe dzieci nie wydają mi się niewinne, lecz niewychowane. I żadna to obelga wobec rodziców i opiekunów. Po prostu jeszcze nie zdążyły przyswoić wszelkich zasad kulturowych. Sięgają po to, czego chcą, a swoje potrzeby – *jecer ha-ra* – stawiają na pierwszym miejscu. Zapewne już niedługo poznają wszelkie tajniki współżycia z innymi, wrodzony egocentryzm zastąpią myśleniem o innych.

Myślę, że człowiek z natury jest dobry – ma w sobie to pierwotne *jecer ha-tow*. Jeżeli będzie dostawał wsparcie i poczucie bezpieczeństwa, które wzmacniają prawidłowy rozwój, prawdopodobnie dobry pozostanie. Bez tego może skończyć ze złem i wewnątrz, i na zewnątrz. Do tego ludzie rodzą się z silną skłonnością do zaspokajania swoich potrzeb, czyli owym *jecer ha-ra*. Właściwie kierowani nauczą się jednak myśleć również o potrzebach innych.

W bijatyce między dziećmiakami najbardziej zdumiało mnie, jak szybko wybuchł konflikt. I jak szybko wygasł. Minutę po tym, jak ich rozdzieliłam, znowu zgodnie się bawili.

**26 listopada / 22 kislew, piątek**

Przy okazji Chanuki pojawiają się zawsze te same pytania, czyli jak ona się ma do Gwiazdki. A to mi przypomina pewne spotkanie, na którym byłam kilka lat temu. Tematu dokładnie nie pamiętam, ale było to coś w stylu: „Czy Chanuka to żydowskie Boże Narodzenie?”. Na scenie siedzieli rabin i osoba prowadząca. Widownia wypełniona po brzegi. W powietrzu czuć było pełną powagę. Najpierw prowadzący przywitał się z przybyłymi, potem przedstawił rabina i powiedział kilka słów o sobie. Wyraził też, jak bardzo jest szczęśliwy, że taką rozmowę może prowadzić. Wziął łyk wody. Chrząknął. Nabrał powietrza w płuca i zadał pierwsze pytanie.

– Rabinie, czy Chanuka i nadchodzące święta chrześcijańskie mają ze sobą coś wspólnego?

– Nie – odpowiedział rabin i zamilkł.

To krótkie stwierdzenie zbiło prowadzącego z tropu.

– Ach, tak, hm, ale jednak oba święta przypadają w tym samym czasie, w grudniu – kontynuował prowadzący z nadzieją, że przekona rabina do swojego zdania.

– Nie zawsze – odpowiedział rabin i znowu zamilkł.

Porównanie świąteł? Nie bardzo. Tutaj ogień świeczek, tu lampki choinkowe. Oba święta są

radosne? Rzeczywiście. Ale większość świąt i żydowskich, i chrześcijańskich jest radosna. Prowadzący zadawał coraz bardziej zawile pytania z nadzieją, że jednak coś łączy Chanukę i Gwiazdkę, a rabin za każdym razem odpowiadał jednym krótkim słowem, ewentualnie długo myślał i odpowiadał dwoma słowami. Przez chwilę miałam wrażenie, że prowadzący się rozpłaczę. Ale w końcu trafił na trop. Prezenty. Rabin zlitował się nad wszystkimi i pociągnął wątek, który rzeczywiście minimalnie łączy te dwa święta. Ale poza tym nie mają ze sobą naprawdę nic wspólnego.

***27 listopada / 23 kislew, sobota***

Szabat skończył się na tyle wcześnie, że zdążyłam dopakować resztę prezentów. Nie chciałam tego zostawiać na jutro, bo nie będę miała kiedy zamknąć się w pokoju. Nie ma u nas żadnej tajemnicy. Wiadomo, że prezenty są od nas, dorosłych. Ale podejrzewam, że podniecenie i tak kierowałoby dzieci w moim kierunku, co utrudniałoby całą sprawę. Jest czterdzieści osiem prezentów – coś małego plus słodyczki. I instrukcja obsługi, która zawiśnie na lodówce.

Każdy dzień Chanuki ma inny kolor papieru. Każda osoba z rodziny – inny kolor wstążki. Ja mam wszystko zapisane w zeszytiku, żeby w razie pomyłki móc szybko sprawdzić, co dla kogo było przypisane w danym dniu. Zobaczymy, czy się ryplam, czy nie.

***28 listopada / 24 kislew, niedziela***

Chanukowy maraton trwa. Rano zajęcia dla dzieci w jednej z żydowskich organizacji. Dekorowanie paczków, gry i zabawy. W ciągu dnia zawiesiłam i porozmieszczałam w całym mieszkaniu prezenty dla dzieci i Męża. W każdym drobna słodyczka. Po południu zapaliliśmy pierwszą świeczkę chanukową i każdy otworzył swoją paczkę przewidzianą na ten dzień. Dzisiaj były książki i gry. Pod wieczór przyjechali Teściowie z Łodzi z wielkimi paczkami dla każdego z nas. W środku same cudowności. Zabawki, gry, dla nas pościel, o której dawno marzyłam, ale żał mi było kasy. I mieli dla nas słodycze w ilościach hurtowych. Dobrze, że Mąż poprosił, aby było oszczędnie w czekoladach. Inaczej zajechaliby minivanem albo nawet wielkim autobusem wypchanym po brzegi.

***29 listopada / 25 kislew, poniedziałek***

Chanuka Chanuką, ale dziewięć lat temu urodziło się moje trzecie dziecko, Środkowa Córka. Przepiękny poród na kanapie w naszym jerozolimskim mieszkaniu wspominam błogo – pomijając rozrywający ból, jaki towarzyszył wypychaniu ponad czterech kilogramów mojego obecnego szczęścia. Mieszkaliśmy w Izraelu od roku, ale nadal nie mieliśmy izraelskiego obywatelstwa. Przez to nie byliśmy w pełni ubezpieczeni. Starłam się mieć dla każdego członka rodziny wykupioną prywatną polisę w razie wypadku. Ale ona nie pokrywała kosztów porodu. Tak samo jak ubezpieczenie turystyczne. Więc żeby nie płacić kroci za szpital, zdecydowałam się rodzić w domu. Gdybym czuła, że to nie dla mnie, pojechałabym na jakiś czas do Polski, powiła małeństwo i wróciła do Izraela. Ale wybrałam pozostanie. Długo myślałam o tym, jak bezpiecznie urodzić bez żadnej medycznej wiedzy, bez znajomych obeznanych w temacie. W końcu uznałam, że muszę poszukać porady, bo ogromną nieodpowiedzialnością byłoby pozostawić sprawę samym sobie. Uczyłam się wtedy w religijnej szkole dla dziewczyn, z najróżniejszymi programami dostosowanymi do rozmaitych potrzeb. Kilkumiesięczny kurs dla obcokrajowczyń. Roczny dla nastolatek z USA. Osobny dla Etiopiek. I taki dla bardziej uczonych w Torze, które po ukończonym szkoleniu stawały się specjalistkami w żydowskim prawie. Któregoś dnia zebrałam się na odwagę i mocno skrzepowana poprosiłam na stronę jedną ze starszych kobiet, która budziła moje zaufanie. Wiedziałam, że sama ma kilkoro dzieci, tak jak jej koleżanki z programu. Uznałam, że może jakoś mi pomoże, coś doradzi. Bałam się, że popatrzy na mnie oburzona,



że skrytykuje pomysł domowego porodu jako niebezpieczny i nieodpowiedzialny. Stało się zupełnie inaczej. Najpierw powiedziała „*mazel tow*” na wieść, że jestem w ciąży. Potem pogratulowała pomysłowi rodzenia w domu, mówiąc, że z sześciorga jej dzieci jedno przyszło na świat u niej na podłodze, a dwoje w baseniku postawionym w salonie. Ale ponieważ było to piętnaście lat temu, odesłała mnie do młodszych koleżanek. Najpierw wskazała palcem stojącą grupkę uczennic. Dokładnie powiedziała, która z nich i jak dawno temu rodziła w domu oraz która ma kontakt do najlepszej położnej domowej w Jerozolimie. Widząc moje skrępowanie, zapytała, czy chcę, żebyśmy to od razu załatwiły. Kiwnęłam z aprobatą głową. Wzięła mnie za rękę i przedstawiła kilku paniom. Jedna za drugą zaczęły zapisywać mi namiary na swoje położne, zachwalając jedną, nie polecając drugiej. Płynnie, jak to w takich sytuacjach bywa, przeszły do opowiadania sobie o porodach.

Wieczorem byłam umówiona z izraelską Amerykanką, która po pierwszym spotkaniu od razu mi się spodobała. Kiedy przyszło co do czego, pojawiła się uśmiechnięta od ucha do ucha i asystowała mi przez kolejne godziny, aż urodziłam.

I dzisiaj dziecię me kochane obchodzi urodziny. Ale nie będziemy ich hucznie świętować, bo jest mnóstwo innych atrakcji. Zaraz kiedy dzieciaki wrócą ze szkoły, przedszkola i żłobka, zapalimy drugą świeczkę chanukową. Potem wszyscy otworzą swoje paczki. Dzisiaj są maseczki. Po dwie dla każdego. Jedna kolorowa, druga farbowana na niebiesko przeze mnie. Idealnie się składa, bo będą mogli je założyć na wyjście. Żydowska instytucja, której jesteśmy członkami, zorganizowała wycieczkę do ogrodu świąteł. Wybieramy się całą ekipą. A potem idziemy jeszcze na imprezę chanukową, na którą zaprasza inna żydowska instytucja. Dzięki temu, że w Krakowie są dwie prężnie działające niezależnie od siebie żydowskie organizacje, podczas świąt nie narzekamy na brak zajęć i atrakcji.

***30 listopada / 26 kislew, wtorek***

Wczorajszy dzień udał się świetnie. Wróciliśmy do domu przemarznięci bieganiem po ogrodzie świąteł, w którym było tak lodowato, że żadna herbata nie pomagała. Najedzeni pysznościami na imprezie. I nacieszeni obecnością innych ludzi, którzy tak jak my obchodzą Chanukę. Była wszak jedna wpadka. Dzieci założyły nowe, ręcznie farbowane maseczki od mamusi. Co mogło pójść nie tak? Puściła farba. W efekcie czego miałam koło siebie kilkoro smerfów z niebieskimi nosami i policzkami.

To mi przypomniało moje i mojej Mamy przerażenie na widok sonej nogi Młodsze Syna, który wtedy był noworodkiem. Dzień przed obrzezaniem wykąpałam go, nie wiedząc, jak szybko po tym zabiegu będzie można malucha umyć. Wycierałam starannie moją nowo narodzoną kruszynkę, kiedy moja Mama stojąca obok zobaczyła, że stopa jest niebieska. *Mohel*, który miał dopełnić rytuału, był już w drodze. Kilkoro gości zaprosiliśmy na uroczystość. A tu się okazuje, że chłopiec ma jakąś dolegliwość, która jest całkowitym przeciwwskazaniem do obrzezania. I pał sześć, że trzeba będzie przełożyć imprezę. Ale świadomość, że mojemu dziecku coś dolega, była straszna. Może jakiś zator w żyłę, może niewydolność krążenia. Zaczęłam intensywnie rozmasowywać nogę, czując ciężki oddech strachu Mamy na karku. Zapytała tylko szeptem (jakby podniesiony głos mógł zaszkodzić sonej kończynie), czy zawołać Męża. Odpowiedziałam, że na razie nie, po co i on ma się denerwować. Tarłam mininóżkę, póki siność nie zaczęła ustępować zdrowemu kolorowi skóry i póki nie przeniosła się na moją rękę. Dopiero wtedy zrozumialiśmy, że powodem stresu jest ręcznik, którym wycieram malucha, a który w ostatnich tygodniach ciąży zafarbowałam na niebiesko. Służył nam kilka lat i był już mocno sprany, więc zamiast go wyrzucić, dałam mu nowe życie dzięki pięknemu błękitowi.

***1 grudnia / 27 kislew, środa***

Czwarta świeczka chanukowa. Dzisiejszym prezentem były szklanki w kształcie misiów dla dzieciaków i w kształcie czaszki dla Męża.

**2 grudnia / 28 kislew, czwartek**

Piąta świeczka chanukowa. Kieliszki zielone dla Męża i jakieś duperele dla dzieciaków. Przeglądając materiały, jakie mam na temat Chanuki, i przygotowując zajęcia na niedzielę, przeczytałam coś, o czym już wiedziałam, ale zapomniałam. Dwudzieste piąte słowo w Torze to światło. A Chanuka, czyli Święto Świateł, zaczyna się dwudziestego piątego dnia miesiąca kislew. Spodobało mi się to.

**4 grudnia / 30 kislew, sobota**

Wczorajszą, szóstą świeczkę zapaliliśmy zaraz przed zapaleniem świeczek szabatowych, a dzisiajszą, siódmą, zaraz po hawdali. Wśród prezentów były drewniane układanki. Z kosmosem i Układem Słonecznym dla Męża, z kolorowymi jabłuszkami i takimiż kuleczkami dla Młodszego Syna, z etapami ciąży dla Najmłodszej Córki, z piersią i jej przekrojem dla Środkowej, z wulwą i jej częściami dla Najstarszej oraz z penisem i jądrami dla Starszego Syna. No bo czemu edukacja ma się ograniczać do tego, jak są zbudowane serce czy płuca, skoro narządy rozrodcze są równie ciekawe i ważne. O ile nie ciekawsze i nie ważniejsze.

Dzisiejszym prezentem jest ręcznik dla każdego. Dla mnie też.

**5 grudnia / 1 tewet, niedziela**

Ósmą i ostatnią świeczkę chanukową zapaliliśmy w żydowskiej instytucji w obecności lokalnego rabina i innych członków społeczności. Moim zadaniem było przygotowanie chanukowego quizu, znajomi, z którymi prowadzimy niedzielne zajęcia, uczyli dzieciaki grać w drejbla oraz podstawowych zwrotów po hebrajsku. Po powrocie zapaliliśmy swoją chanukiję, ponieważ ten nakaz obowiązuje każdy dom, a nie tylko daną osobę. Oznacza to, że niezależnie, w ilu zapaleniach brało się udział, i tak należy zadbać o świecznik w swoim oknie.

**6 grudnia / 2 tewet, poniedziałek**

Bardzo mi trudno używać określenia „Boże Narodzenie”. Podobnie mam z „Bożym Ciałem”. Dla mnie oba są oksymoronami. Dodatkowo całkowicie sprzecznymi z judaizmem. Podstawą wiary żydowskiej jest to, że Bóg był, jest i będzie – nie ma momentu, w którym się urodził, ani nie będzie takiego, w którym umrze. I nie ma znaczenia, że chodzi o urodziny Jezusa, a nie Boga, który występuje w Pięcioksięgu Mojżeszowym. Uznawanie człowieka – jak to się mówi: z krwi i kości – za część, która składa się na Boga, a przez to jakby nim się staje, również absolutnie kłóci się z monoteizmem judaizmu.

„Boże Ciało” można uznać za przenośnię. Przecież taka personifikacja w Torze nie należy do rzadkości. Jest palec, jest ręka, więc dlaczego nie ciało? Bo wchodzimy tu również w obszar znaczenia dosłownego. Choć Bóg nie ma ciała, miał je Jezus, który jest utożsamiany z Bogiem. Lub przynajmniej z jego synem. I to wszystko, niezależnie od tego, z jakiej strony patrzymy ani jak interpretujemy nazwy tych świąt, jest niezgodne z żydowską religią.

Rozmyślałam nad Gwiazdką i Narodzinami Pańskimi, które się zbliżają. Nagle przypomniały mi się pewne zajęcia, które zorganizowałam dla grupki dzieciaków. Nie pamiętam już, jakiego tematu dotyczyły – chyba ognia w kulturze żydowskiej. W pewnym momencie jeden z chłopców zaczął pytanie od: „A ten Pan Bóg...”. To była moja pierwsza rozmowa na temat Pana i na temat Boga, dlatego tak dobrze zapadła mi w pamięć. Dialog między mną a chłopcem oraz innymi dziećmi brzmiał mniej więcej tak:

– My mówimy „Bóg”. Bez „Pan” – powiedziałam.  
– A czemu? – zapytał.  
– No bo Bóg nie jest panem. Nie ma ciała. Żadnego. Dlaczego więc przypisywać mu cechy męskie? – wyjaśniłam.  
– Tak, tak, ale jemu chodziło o... no... o to, że Pan Bóg to taki Pan świata – włączył się brat mojego rozmówcy.  
– No właśnie. Czyli zakładamy, że światem rządzi mężczyzna? – zapytałam.

W tym momencie zaległa cisza. Obecni rodzice zaczęli mi się bacznie przyglądać. Pamiętam jak dziś, że słowa zaczęły ze mnie płynąć, chociaż wcale nie miałam przemyślanej odpowiedzi, a tym bardziej jej wersji przygotowanej na potrzeby warsztatów dla dzieci.

– Wiecie... – kontynuowałam, wykorzystując ciszę – Bóg nie ma ciała, o czym mówią wszystkie religie monoteistyczne, nie tylko judaizm. Nie może być więc ani panem, ani panią. Dlaczego zatem przyjęło się takie mówienie?

Z jednej strony czułam, że powinnam w tym momencie wspomnieć o Torze, gdzie Bóg jest opisywany głównie w formie męskiej. Z drugiej jednak uznałam, że przemilczę ten fakt, bo co innego stosować męskie zaimki i końcówki, a co innego ciągle dodawać odmieniane przez wszystkie przypadki określenie „pan”. Kontynuowałam swoją myśl.

– Kiedy mówimy Pan Bóg, łatwo się zapędzić. Pan Bóg, Pan świata, Pan Dyrektor, Pan Policjant, Pan Doktor, Pan Prezes... I tak dużo robi nam się tych panów, że gdy pojawia się jakaś pani, to się nam to dziwne wydaje. A nie powinno. Bo kobiety... – chciałam dodać coś bardzo dla mnie ważnego. Ale nie musiałam. Dzieciaki dokończyły za mnie.

– Kobiety też mogą być paniami świata!

Cudownie było to usłyszeć z ust pokolenia przyszłych dorosłych.

– Dokładnie. Dlatego ja mówię „Bóg”. I nie dodaję żadnego „Pana”. Żeby zrobić miejsce również paniom.

Na koniec dodałam jeszcze, że w żydowskiej tradycji mówimy też Ha-Szem, Adonaj czy Elohim oraz że używamy określenia Szechina, czyli boska obecność, po czym wróciłam do tematu bodajże ognia.

Tak mi się przypomniało przy okazji rozważań nad boską naturą.

**7 grudnia / 3 tawet, wtorek**

Miałam zajęcia o Chanuce w szkole Starszaków. Chciałam wypaść dobrze, żeby im nie zrobić obciachu. Zaczęłam od przeczytania imion uczestników, którzy na moją prośbę przypięli sobie plakietki. Próbowałam przyporządkować twarz do opowieści, jakie słyszałam na temat tych osób od moich dzieci. Wszystko szło świetnie. Ta dziewczynka to koleżanka, z którą Środkowa Córka chodzi na zajęcia teatralne, z tą Starszy Syn grał w karty na przerwie, tamte dwie to siostry... O, a o tej Najstarsza Córka często opowiada. Zwróciłam się do dziewczynki po imieniu, uśmiechając się zadowolona z siebie, że wiem, kim jest. No, nie bardzo. Dziewczynka okazała się chłopcem, o którym nie raz słyszałam od Starszego Syna. Chłopak nie poczuł się dotknięty. Pośmialiśmy się wszyscy. Choć odniosłam wrażenie, że przynajmniej jedno z obecnej trójki moich dzieci miało ochotę uciec ze wstydu.

Kiedy ochłonęłam, zaczęłam swoje zajęcia o Żydach i Chanuce. Pojawiły się pytania, na które odpowiadałam. Te pochodzące od dzieci z katolickich rodzin były bardzo dokładne, wnikliwie i poparte rzadko spotykaną u młodzieży wiedzą. Godzina minęła błyskawicznie. Po zajęciach moi dali znać, że było okej, więc odetchnęłam z ulgą, bo ich opinia jest dla mnie zawsze najważniejsza. Zanim się spakowałam, podszedł do mnie jeden chłopiec. Już w trakcie spotkania dawał znać, że chce poruszyć bardzo ważną kwestię, ale woli na osobności. Poczekaliśmy oboje, aż wszyscy wyjdą na przerwę, po czym zwrócił się do mnie z pytaniem, czemu wszyscy nie lubią Żydów. Odpowiedziałam, że nie ma jednego wyjaśnienia. Historia polsko-żydowska jest bardzo długa. Po drodze było wiele nieporozumień między obiema grupami. Sporo stereotypów narosło po obu stronach. Wtedy chłopiec zadał pytanie, czy

jednym z powodów nie jest to, że Żydzi zabili Jezusa. Słyszałam to tysiące razy. Ale pierwszy raz z ust dziesięciolatka. Stwierdziłam głośno, że to nie do końca tak było. Dawno temu żyli sobie Żydzi, a dokładniej Izraelici. I wśród nich pojawił się jeden o imieniu Jezus. Zaczął głosić publicznie swoje nauki i część Żydów poszła za nim. Nie zdążyłam dojść do tematu Rzymian, bo chłopiec zapytał, czy ja wtedy też za Jezusem poszłam. Odpowiedziałam, że nie. Na pytanie, dlaczego nie, użyłam najprostszego argumentu, jaki przyszedł mi do głowy. Jeszcze nie było mnie wtedy na świecie. Chłopak opowiedział „aha” i odszedł zjeść kanapkę.

**9 grudnia / 5 tawet, czwartek**

Przygotowania do niedzielnego wykładu na temat szacunku skłoniły mnie po raz kolejny do zastanowienia się nad tym, czym ów szacunek jest. I przypomniała mi się pewna sytuacja, która wraca do mnie raz na jakiś czas. I przyznam, że ściska mi serce.

Kilka lat temu razem z Mężem lecieliśmy do Izraela. Lot z Okęcia na lotnisko Ben Guriona w Tel Awiwie. Podczas odprawy byliśmy świadkami pewnej sytuacji. Ortodoksyjna rodzina przechodziła przez bramki. Kobieta została poproszona o ściągnięcie czapki. Odmówiła. Wyglądało na to, że choć wszyscy próbowali używać angielskiego, obsługa nie rozumie, czemu nakrycia głowy zdjąć nie można, a pasażerka nie jest w stanie zrozumieć, w czym problem. Po obu stronach zabrakło cierpliwości, kilku uśmiechów i próby wzajemnego zrozumienia się. Pojawiło się zniecierpliwienie i rozdrażnienie. Wyglądało na to, że nikt nie chce zrobić pół kroku w kierunku drugiej osoby, by lepiej wyjaśnić swoją potrzebę. Wkroczyłam, żeby spróbować swoich sił w roli mediatora. Ochronie wyjaśniłam, że pasażerka ze względów religijnych nie chce ściągać czapki. Pasażerke, że ochrona ma obowiązek sprawdzać każdego. Ale niestety było już za późno. Obsługa lotniska, chcąc pokazać kobiecie, że chodzi o czapkę, wyciągnęła rękę w stronę jej głowy. Kobieta przestraszyła się, że ktoś jej tę czapkę ściągnie. Zaczęła krzyczeć i płakać. Wtedy na ratunek ruszył mąż, przekraczając wszystkie możliwe bramki, na co nie dostał pozwolenia. Chciał pocieszyć żonę, a ściągnął dodatkowych ludzi. Ochrona, nie wiedząc, co się dzieje, wezwała posiłki. Dookoła rodziny wyrosło kilku uzbrojonych mężczyzn. Wtedy płakać zaczęły dzieci. Zdenerwowany płaczem ojciec zaczął krzyczeć głośniej od żony. Jedna z policjantek, chcąc go uspokoić, złapała go za ramię. On w odruchu obronnym się odmachnął, co zostało uznane za bezpośredni atak z jego strony. Próbowałam uspokajać jednych i drugich, czując się jak w filmie akcji. Ale niewiele to dało. Akcja skończyła się dla mnie bardzo przygnębiająco.

Kiedy rodzina wreszcie przeszła, kilku pracowników lotniska skwitowało sytuację pogardliwym „znowu Żydzi” i dodało kilka wulgarnych epitetów. Nie dziwię się. Prawdopodobnie to nie pierwsza trudność, z jaką się musieli zmierzyć. Wiem, że ani mieszkańcy Izraela, ani chasydzi z Ameryki nie są łatwymi pasażerami. Czytałam o awanturach nie raz, słyszałam o nich od obsługujących bramki i sama byłam świadkiem zachowań, za które było mi dziko wstyd. Są jednak jakieś granice w wyrażaniu się na temat drugiego człowieka.

Kobieta, odchodząc we łzach, szeptała do męża, że nie dziwi się, że w Polsce wydarzył się Holokaust, skoro tak się tu traktuje Żydów. Mąż kiwał głową na poparcie jej słów. Rozumiem. Możliwe, że wreszcie zdecydowali się odwiedzić kraj, w którym zginęli ich przodkowie. Może mieli za sobą kilka trudnych dni. Nie wiem, jakie uczucia może budzić miejsce, gdzie ktoś z bliskich został zamordowany tylko dlatego, że był Żydem. Ale żadne uczucia nie usprawiedliwiają obarczania odpowiedzialnością za tragedię całego narodu.

Kiedy następnym razem obsługa trafi na ortodoksyjnych Żydów, będzie uprzedzona. Trudno będzie o uśmiech czy życzenia miłej podróży.

Kiedy żydowska rodzina będzie opowiadać o wyjeździe do Polski, na pewno wspomni o tym zdarzeniu, co bez wątplenia spotęguje traumatyczne wizje Polski.

A co by było, gdybyśmy jako ludzkość, wszyscy bez wyjątku, między matematyką a historią mieli przedmiot „obywatel świata”? Czy gdyby od małego uczono nas, że ludzie się różnią, nie mielibyśmy bardziej świadomych, a przez to mądrzejszych dorosłych? Gdyby co tydzień ktoś prowadził

z nami zajęcia na temat tego, że ludzie są nie tylko biali, ale też czarni. Lub odwrotnie, że poza czarnymi są też biali. Że chrześcijaństwo to niejedyna religia. Tak jak i judaizm nie ma monopolu na prawdę. Ani islam. Ani nawet ateizm. Gdyby pokazywać młodzieży różne stroje noszone to tu, to tam. Wielkie sobole czapy i pejsy u chasydów, kilty u Szkotów, długie pazury u drag queen, obcasy i kapelusze w Londynie, bosa stopy i nagie piersi Buszmenów. I tak dalej. Starczyłoby tematów na osiem lat szkoły podstawowej. Bo nie mówię o oddolnych inicjatywach nauczycieli, którzy realizują ze swoimi uczniami fantastyczne projekty. Ani o fundacjach, które próbują dostać się do szkół z jakimś poszerzającym horyzonty kursem. Mówię o obowiązkowym przedmiocie. Ocenianym dokładnie tak samo jak biologia i chemia.

Jeżeli kiedyś zostanie ministrami edukacji, to będzie moja pierwsza reforma.

**12 grudnia / 8 tawet, niedziela**

Wygłosiłam dzisiaj kolejny wykład o przykazaniu: „Szanuj bliźniego swego jak siebie samego”. Jaki to jest cudowny temat! Zaproponowano mi trzy podobne spotkania, ale dla różnych grup. Wiedziałam, że mogę mówić za każdym razem to samo. Nie chciałam jednak, żeby były identyczne, ze względu na siostrę, która je organizowała i miała być na każdym. I udało się. W zasadzie były to trzy zupełnie inne wykładodyskusje. Mnóstwo wartościowych uwag i nowych spostrzeżeń, również z katolickiego punktu widzenia. Bardzo wzbogacające doświadczenie.

Wśród pytań, które ja zadawałam uczestnikom, i tych, które padały w moim kierunku, najważniejsze były dla mnie konkretne punkty. A wśród nich aspekt, o którym często nie myślimy od razu. Szanowanie innych nie zawsze jest proste. Ale równie trudne jest szanowanie siebie. A od tego zawsze trzeba zacząć. I to z pełną powagą. Zwłaszcza że to nakaz z Tory, a nie jakieś współczesne fanaberie i gadki psychologów. To stanowisko sprzed setek lat.

Najpierw koniecznie trzeba siebie postrzegać jako osobę wartościową i godną uznania. Patrząc w lustro, należy się do siebie uśmiechać. Absolutnie i całkowicie być dla siebie dobrym. Słuchać swoich potrzeb i swojego wewnętrznego głosu. Nie umniejszać sobie. Dostrzec i pochwalić swoje zasługi. Zadawać pytania: „Czego chcesz?” i „Co mogę dla siebie, drogi\_a, zrobić?”. Dopiero kiedy dostrzeżemy własną osobę i ustalimy sami ze sobą, że na sto procent jest ona godna szacunku, możemy próbować wypełnić nakaz. Inaczej nie da rady.

**13 grudnia / 9 tawet, poniedziałek**

W mojej ukochanej kawiarni, w której często przesiaduję, stanęła duża choinka. Ja rozumiem. Święta. Wszyscy chcą, żeby klientom było miło. I to miejsce o klientów naprawdę dba. Dla rodziców przewijak w toalecie, zaraz obok tampony i podpaski. Dla zwierzaków miska z wodą przed wejściem. A na drzwiach nalepka z tęczą flagą i napisem „Jesteś tu mile widziany”. Ale kurczę. Mnie ta choinka już przytłacza. Nie oczekuję, że przy barze będzie karteczka z napisem „Życzymy wesołych Świąt”, a obok rysunku Mikołaja mała chanukija, jak było w zaprzyjaźnionym barze w Łodzi. Wiem, że nie można oczekiwać, że obsługa będzie śledzić kalendarz wszystkich religii, żeby nikogo nie pominąć. Ale nic na to nie poradzę, że odechciało mi się siedzieć w moim ulubionym miejscu, bo przestało być moje. Wysłałam. Wrócę w styczniu.

Wieczorem pożałowałam się Szwagierce. Nie wiem, czy to moje słowa czy ogólnie panująca „magia świąt”, która i jej daje się we znaki. Ale sama zdecydowała, że w SPA, w którym pracuje, żadnych krzykliwych ozdób w postaci bombek czy łańcuchów nie będzie. Bo może nie dla wszystkich ta presja wyjątkowego nastroju jest przyjemna. Nie mówię tylko o Żydach. Nadal jest pandemia. Ze względu na ograniczenia niektórzy nie zobaczą swoich bliskich drugi rok. Inni w ogóle nie mają rodziny albo z rodziną zerwali stosunki. Oni wszyscy w święta będą sami jak palec. Z kim i dla kogo mają stawiać choinkę, wieszać ozdoby i kupować prezenty? Może miejsca, których nie zdominowała Gwiazdka, też są potrzebne? I też byłyby przejawem dbałości o klienta?

**14 grudnia / 10 tawet, wtorek**

Wiedząc, że w tym jednym miejscu na pewno nie usłyszę *Jingle bells* ani innego *We wish you a merry Christmas*, poszłam do SPA na masaż twarzy. Mam wrażenie, jakby za dotknięciem magicznej różdżki, a konkretnie wprawnych paluszków, ubyło mi kilka lat. Oddałam się godzinnej rozkoszy, która zrobiła mi doskonale. Jeżeli istnieje niebo i ja do niego trafię, to będę w nim masowana non stop.

**15 grudnia / 11 tawet, środa**

Starszaki, zamiast odrabiać lekcje, poszły lepić bałwana. I bądź tu mądry. Gonić do nauki czy pozwolić się bawić?

**16 grudnia / 12 tawet, czwartek**

Jeśli jeszcze raz usłyszę, że choinka to zwyczaj pogański, to zacznę głośno krzyczeć. Co mnie to interesuje? Nie stawiam jej i już. Nie jestem katoliczką, więc nie obchodzę narodzin Jezusa, którego katolicy nazywają Synem Bożym. Ani nie jestem ateistką, dla której to zwyczajny czas z rodziną, a choinka to tradycja, z której nie chce się zrezygnować. Ani nie jestem poganką, która zapoczątkowała stawianie udekorowanych świerków i sosen. Gwiazdka to nie moje święta, a choinka nie jest symbolem mojego biesiadowania z najbliższymi. Zupełnie nie rozumiem, w czym tkwi problem. Że my żyjemy trochę inaczej. Liczba osób, które próbują mnie przekonać, że papier pakunkowy w choinki świetnie nadaje się też na prezenty chanukowe, jest nieprawdopodobna. I że choinka jest symbolem świąt jako takich, no wszystkich w zasadzie. I że naprawdę zupełnie mi się w głowie pomieszało. Nie umiem odpuścić i po prostu, tak jak cała reszta Polski, cieszyć się tym magicznym czasem.

Czy ja się dziwię, że sąsiedzi nie mają indyka na Święto Dziękczynienia? Albo krytykuję, że nie poszczą w ramadan? Dla mnie ani Gwiazdka, ani choinka, ani nawet mikołaj nie są niczym wyjątkowym. Ufff, ciekawa jestem, ile razy jeszcze będę musiała to tłumaczyć.

**18 grudnia / 14 tawet, sobota**

Podczas wczorajszej szabatowej kolacji jak zawsze Starszaki opowiadały o szkole. Koniec semestru za pasem. Oceny na półrocze powoli wystawiane. Będzie kilka szóstek, piątek i czwórek, parę trój. I bardzo dobrze. Przynajmniej nie muszę się zastanawiać, co powiedzieć dzieciakom. Mogę za to pogratulować, nawet się wzruszyć, że tak im dobrze idzie. Gdyby któreś z nich miało same trójce czy dwójki, to stanęłabym przed dylematem. Czy klepać po ramieniu i mówić zgodnie z własnym przekonaniem, że zupełnie nie ma się czym martwić, bo oceny nie są najważniejsze? To mogłoby podziałać demoralizująco. I byłoby sprzeczne z ideą szkoły, w której przecież o oceny, czy mi się to podoba czy nie, chodzi. Czy kiwać w zadumie głową, całkowicie wbrew sobie, i wdychać, że no chyba trzeba coś z tym zrobić, no bo jak to trzy minus. Kłamałabym jak z nut, ale szła z duchem szkolnym, pedagogicznym, dyrektorskim i rodzicielskim. Na szczęście mogłam po prostu powiedzieć „super”.

Z tematu szkoły i ocen płynnie zeszło na przyszłość Starszego Syna. Powrócił temat wyjazdu do liceum do Izraela. Znam ten plan. Syn o nim wspominał kilka lat temu. Jak widać, nie zmienił zdania. Jak i do swojej służby w izraelskim wojsku. Nadal chce ją odbyć. I tu matczyne serce się rozdziera prawdziwie. Pragnienia dziecka kontra uczucia matki. Z jednej strony chcę wspierać każdą decyzję, jaką podejmie. Dlaczego ma nie wyjechać do państwa, w którym spędził cztery lata, które zdążył na swój dziecięcy sposób poznać? Rozumie hebrajski całkiem nieźle. Kwestią kilku miesięcy będzie całkowite

przypomnienie sobie tego języka. I jestem pewna, że szybko się rozgada. Jest chłopakiem, z którym łatwo nawiązać kontakt, więc o nowych kolegów jestem spokojna. Ale co z moją tęsknotą za nim? Przecież ten chłopiec leżał pod moim sercem dziewięć miesięcy. Umościł się między jelitami a wątrobą. A potem wyszedł niczym przybysz z kosmosu i pokochałam go jak nigdy nikogo wcześniej. A teraz miałby tak po prostu spakować się i wsiąść do samolotu, zostawiając mnie całą we łzach. A co z moim strachem, że się od siebie oddalimy? Teraz mam go tak blisko. Na wyciągnięcie ręki. Mogę w każdej chwili przytulić, pogłaskać, zapytać, jak się ma. Oddalony o kilka tysięcy kilometrów, zniknie z mojego radaru. Zacznie mieć swoje życie, w którym mnie już nie będzie. Wiedziałam, że to kiedyś nastąpi. Tylko nie tak szybko, nie piętnaście lat od zawiązania tej matczynej nici! Z drugiej strony taka rola rodzica. Karmi, tuli, a potem macha na pożegnanie z uczuciem, jakby mu wyrwano kawałek serca. Wiem, że dam radę. Popłaczę, pochlipię, ale nie będę smarkała mu w koszulę ani nawet kurczowo trzymała za rękę. Puszczę, kiedy będzie czas. Kiedy on będzie gotów, nawet jeżeli dla mnie będzie za wcześnie.

Sprawa wojska natomiast niepokoi mnie znacznie bardziej. Nie dość, że daleko, to jeszcze w środowisku nie tylko mi nieznanym, ale też zupełnie obcym. Nagle mój Syn z karabinem na ramieniu. Ile razy o tym myślę, czuję ciarki na całym ciele. Widziałam takich młodzieniaszków tysiące razy. Zawsze wywoływali we mnie dziwne uczucie. Pewną zwykłą sytuację pamiętam, jakby wydarzyła się dziś. Kiedy z Krakowa sprowadziliśmy się do Izraela, początkowo nie mieliśmy własnego mieszkania i zatrzymaliśmy się u znajomych. Któregoś dnia do domu wpadł syn gospodarzy. Rzucił karabin na ziemię i pobiegł do toalety. Stałam jak wryta. Nie mogłam się poruszyć, a moje oczy wlepione były w leżącą bezwładnie giwerę. Nigdy wcześniej, z wyjątkiem strzelnicy, na którą chodziłam z kolegami, nie widziałam żadnej broni z tak bliska. Kiedy wrócił, powiedział „cześć”, podniósł karabin i poszedł do pokoju. Dopiero wtedy odetchnęłam. Z czasem przyzwyczaiłam się do widoku mundurów, pistoletów za paskiem u każdego ochroniarza stojącego czy to przy sklepie, czy przy wejściu na dworzec autobusowy, czy nawet przed bramką do szkoły dla religijnych dziewczyn, w której się potem uczyłam. Ale myśl o tym, że mój Syn ma być takim kolesiem, sprawia, że na chwilę robi mi się słabo. I czego będą go uczyć w tym wojsku? Tego, by miłować innego jak siebie samego, bez wyjątku? Czy z wyjątkiem wroga Izraela? A co, jeśli źle trafi i zrobią mu pranie mózgu? Poznałam jednak wiele osób – i mężczyzn, i kobiet – które odbyły trzy- lub dwuletnią służbę wojskową, a ich miłowanie bliźniego bez wyjątku było bez zarzutu. Ich wypowiedzi, również te na temat polityki Izraela, nie wywoływały we mnie dyskomfortu czy zdziwienia. Wiem też, jak Syn jest wychowywany, że ma chłopak łeb na karku i nie da sobie ciemnoty wciskać. Ale mimo wszystko. Czuję niepewność, kiedy myślę, że za kilka lat ma pójść do wojska.

***19 grudnia / 15 tawet, niedziela***

Rano na Instagramie dostałam wiadomość od jednej z obserwatorek. Było to nagranie z krakowskiej galerii. Kolędniczy i ktoś przebrany za Żyda okładający kogoś przebranego za jakiegoś dziwne zwierzę. Gdzieś kiedyś widziałam coś podobnego, ale moja świadomość ten obrazek skutecznie zapodziła. Potem rozmawiając ze znajomymi, dowiedziałam się, że zwierzęciem jest turoń, czyli maskara przedstawiająca rogate, czarne i włochate stworzenie z kłapiącą paszczą. Ale Żyd z kijem pozostał zagadką i nie wiem, czy chcę ją rozwiązać. Przy okazji opowiedzieli mi, że w jednym z krakowskich muzeów oglądali jasełka. Znalazłam dostępne na YouTube nagranie. Piękna szopka, a w niej kukielki. Wśród nich kukielka Żyda. W pierwszej scenie Żyd rozmawia z chłopem. Chłop oznajmia narodziny Mesjasza, któremu kłaniają się królowie. Żyd nie chce uwierzyć, że na sianie leży ktoś tak wielki i możny, więc do niego nie pójdzie, choć mirrę i kadzidło monarchowie zakupili w jego kramie. W drugiej scenie Żyd rozmawia z Twardowskim. Twardowski każe Żydowi tańczyć. Żyd nie ma na to ochoty, bo jest szabat, ale pod groźbą dostania w łeb zaczyna podrygiwać. Twardowski śpiewa, że Żyda nauczy, że go kijem z tyłu wymłóci. Na koniec przylatuje diabeł i porywa Żyda na Łysą Górę, by zedrzyć z niego skórę. Twardowski kwituje to słowami: „Porwali diabły, co swoje”. Jak można małym dzieciom czy komukolwiek pokazywać takie rzeczy i porównywać jakąkolwiek narodowość czy religię

do diabłów?

Jeżeli ktoś mnie zapyta, co mi szkodzi pójść z dziećmi zobaczyć szopki krakowskie, to będę miała wreszcie argument.

**20 grudnia / 16 tawet, poniedziałek**

Mąż ze Starszym Synem nad ranem wylecieli do Jordanii. Uśmiechnięci, ale zmęczeni podróżą, dotarli do Ammanu. Wysłali zdjęcie z jakiejś kawiarni. Syn w czapce i ze schowanymi pod nią pejsami. Dziwny dla mnie widok. Przyzwyczajona jestem, że po bokach głowy ma znacznie dłuższe włosy niż na jej czubku. Pejsy rzadko przycina, przez co są całkiem długie. Taki jego wybór, taka wola i taka jego fryzura. Ale teraz były niewidoczne. Wiem też, że obaj schowali cicit do spodni, choć długie nitki ze specjalnymi węzłami zawsze wiszą im koło pasa. Dwa frędzle z przodu na wysokości kieszeni, dwa z tyłu, obok pośladków. Teraz były wpuszczone do środka, przez co przestały być widoczne.

Jeszcze przed wylotem Mąż mówił, że dla bezpieczeństwa tak zrobią. Nie wiem, na ile zagrożone jest życie Żyda w Jordanii. Ale może, zwłaszcza w miejscu, którego się nie zna, lepiej dmuchać na zimne. Mnie samej zdarzyło się z dwa lub trzy razy, kiedy mieszkaliśmy jeszcze w Łodzi, poprosić syna, by założył kaptur. Zrobiłam to, bo nie czułam się pewnie. Ciemno, jacyś rośli mężczyźni. Wiedziałam, że nic nam nie zrobią. Ale nie miałam pewności, że nie krzykną, nie bluzgną albo nie zwyzywają. Skoro nieraz wcześniej słyszałam „żydowskie psy” lub znacznie łagodniej „zdejmij tę myckę”, którym również Synowi kilka razy się oberwało, i teraz mogło polecieć w naszą stronę coś tego typu. Dziwny ten świat, w którym trzynastolatek musi udawać, że nie jest tym, kim jest.

Wieczorem znajoma na facebookowej grupie dla żydowskich kobiet napisała, że ma dosyć, ponieważ znowu w szkole jej córka w piątej klasie na lekcji historii usłyszała o tym, jak to Żydzi gnębili chrześcijan. Zapytała, co ma robić. Szukała rady. Może zostawić sprawę w spokoju, choć wie, że potem będzie czuła się jak tchórzka. Ale przynajmniej nie będzie draki. Albo pójść znowu do dyrekcji, znowu poprosić o rozwałę i znowu narazić córkę na niechęć ze strony grona pedagogicznego. Odpisałam najlepiej, jak potrafiłam. „Nie wiem, nie wiem, nie wiem. Ręce opadają”. Głupie powiedzenie z tymi rękoma. Ale w zasadzie często czuję to fizycznie. Ręce gotowe do działania, do akcji, nagle bezwładne, pozbawione mocy leżą w dół i tak wiszą jak uschnięta gałąź.

**21 grudnia / 17 tawet, wtorek**

Mąż ze Starszym Synem przesłali fotki z pustyni. Podobno nakręcono na niej kilka części *Gwiezdnych wojen*. I sporo filmów, których akcja dzieje się na Marsie. Wyglądają super. Oderwani od naszej codzienności, gdzieś poza naszą przestrzenią. Nie żeby nasze życie było złe. Ale dobrze czasem znaleźć się na innej planecie, aby pewniej stąpać po ziemi. My z Najstarszą i Środkową Córką też się wybieramy w jakąś podróż. Może Lizbona. Starszaki ćwiczą capoeirę, ich capoeirskie ksywki są po portugalsku, tak jak i wiele zwrotów w tej dziedzinie sportowej. Mogłyby się ciut osłuchać z językiem. Albo Barcelona. Uczą się w szkole hiszpańskiego. Byłaby okazja, żeby poćwiczyć. Lub Ateny. Kręci je Grecja. Odmówiłam Środkowej Córcie Paryża i Londynu, uznając je za drogą imprezę. I – muszę się przyznać – także dlatego, że te miasta porządnie zwiedziłam. Sama myślałam o Amsterdamie lub Kopenhadze. Myślę, że cena i dostępność biletów same za nas zadecydują. Wiemy, że ma być w Europie i nie za zimno.

**22 grudnia / 18 tawet, środa**

Podczas przygotowywania kolacji jedna z Córek powiedziała, że od początku zeszłego roku, odkąd poszła do nowej szkoły w Krakowie, bardzo starała się przypodobać jednej nauczycielce. Od razu



zauważyła na jej szyi duży krzyż. Pomyślała, że skoro Żydów nikt nie lubi, to ona musi się bardziej postarać, by zyskać sympatię.

Odruchowo usiadłam i przez chwilę nie wiedziałam ani co powiedzieć, ani co o tym myśleć. Czy bardziej mi żal Córki, bo żyje w świecie, w którym dla wielu osób zawsze będzie tą niechcianą tylko dlatego, że jest Żydówką? Czy boli mnie to, że już teraz, jako mała dziewczynka, próbuje się przypodobać? Czy może to, że krzyż wywołuje u niej taką reakcję?

W naszym domu poruszamy tematy wszelkiego rodzaju. Z Mężem rozmawiamy o wszystkim, co nas interesuje, nie bacząc, czy dzieci są obok czy nie, uznajemy bowiem, że nie ma w tym, co mówimy, słów ani komunikatów nienadających się dla ich uszu. Jednak o Kościele katolickim nie gadamy wcale. Nie żeby nas ten temat nie poruszał. Żyjemy w kraju, w którym dominuje religia katolicka, i wszelkie tematy z nią związane dotyczą również nas. Porusza mnie żywo stanowisko księży i to, co przekazują wiernym, a co potem wierni niosą w Polskę. Jestem jednak bardzo ostrożna. Boję się głośno wydać fałszywy osąd, pójść za daleko w ocenie. Czuję moralny opór przed wytykaniem, kto, gdzie i jakie popełnia błędy. Jeżeli mam być krytyczna wobec jakiejś religii, to tylko wobec judaizmu. I to jest moje pole działania. Od rzeczy mi nieznanych, które mogłyby mnie niezdrowo pobudzić, trzymam się z daleka. Nie jest więc możliwe, żeby Córka w naszym domu usłyszała jakąkolwiek rozmowę, z której mogłaby wywnioskować, że katolicy nie lubią Żydów. Skąd jej się więc to wzięło? Chyba ta myśl zaniepokoiła mnie najbardziej. To, że ludzie, bliżej nieokreśleni, jako jakaś nienamacalna masa, są wobec Żydów wrogo nastawieni, wiemy nie od dzisiaj. Ale zakładać, że jakaś konkretna osoba może być do mojej Córki, konkretnej Żydówki, uprzedzona, tylko na tej podstawie, że nosi krzyż? Przecież to kolejne powielanie stereotypów, które niczego nie wnoszą do wspólnej żydowsko-katolickiej egzystencji.

Czy to możliwe, że po świecie krążą pewne przekonania, które przekazywane są jakby nigdy nic, gdzieś przy zupełnie błahej okazji, ale ich wyłapanie graniczy z cudem? A jak już się uda, to trzeba dużo wysiłku włożyć, by naprawić błąd.

Powiedziałam Córce, że tak jak Żyd nie oznacza nikogo gorszego, tak krzyż nie jest równoznaczny z niechęcią do Żydów.

**23 grudnia / 19 tawet, czwartek**

Kupiłam bilety dla siebie i córek. Lecimy w styczniu do Barcelony! Nie wiem nic o tym mieście. Ale wszystkie budowle Gaudiego, które widziałam na zdjęciach, zawsze mnie zachwycały. Myślę, że moja dusza taka jest. Pofalowana i kolorowa.

Po południu umyłam okna w całej kamienicy. Pomyślałam, że może sąsiadce, która mieszka pod nami, a która jest katoliczką, będzie miło. W końcu jutro ważny dla niej i dla jej rodziny dzień. Nie upiekę im makowca, bo nie umiem. Ale przynajmniej jak wyjrzą na zewnątrz, idąc klatką schodową, to zamiast ciemnych smug zobaczą piękną polską zimę. Mycie okien w kamienicy uważam za nasz obowiązek. W końcu stanowimy 70 procent jej mieszkańców i jesteśmy najmłodszy. Brudne szyby od dawna do mnie wołały: „Umyj nas, umyj nas”. Ale jakoś udawałam, że nie słyszę. A potem stwierdziłam, że skoro cała Polska myje okna, to i ja spróbuję. I skoro już miałam płyn w jednej ręce i szmatki w drugiej, przeleciałam okna również w naszym mieszkaniu. A co!

**25 grudnia / 21 tawet, sobota**

Rano, jak prawie zawsze w dzień wolny, obudziły mnie krzyki. Ktoś się z kimś pobił, ktoś komuś dokuczył, ktoś kogoś wyzwał. Leżałam i zastanawiałam się, kiedy ten dziecięcy jazgot przestanie towarzyszyć mojej codzienności. Kto ma dzieci, wie, o czym mówię. Kto ich nie ma, może sobie wyobrazić stado mew. Nie dadzą zjeść w spokoju, wszędzie niepohamowanie brudzą i wydają dźwięki, które wdzierają się wprost do mózgu. Próbowałam wyobrazić sobie, że budzę się sama. Wtedy kiedy

mój organizm się wyśpi. Nie kiedy w domu zaczyna się huragan. Rozmyślałam nad swoim życiem wielodzietnej matki i nad tym, czy bardziej to życie lubię czy bardziej mnie męczy. Aż po kolei do łóżka zaczęły schodzić się dzieci. Kolejna istotka włąziła pod kołdrę i mocno się przytuliła. Ciepłutka jeszcze od snu, mięciutka i pachnąca. Przez jakiś czas było miło, błogo. Poczułam, że to moje życie zdecydowanie daje mi mnóstwo radości. Wspólne przytulanki z Najmłodszym i wszystkimi Córkami po jakimś czasie, co było do przewidzenia, zamieniły się w przepychanki. Ktoś kogoś niechcący kopnął, ktoś zajął komuś miejsce. Do tego bezlitosny Najmłodszy, który bez pardonu wkłada palce w oczy, sprawdzając, jak daleko można je wepchnąć, oraz ciągnie za włosy, żeby się przekonać, ile trzeba siły, by włos wyrwać. I nagle któraś z dziewczyn krzyknęła, że trzeba iść na zewnątrz, bo spadł śnieg, a śnieg to zawsze świetna zabawa. Powyciągałam wszystkie kombinezony, jakie mamy, zrobiłam kanapki i po półgodzinie dom był pusty. Ot tak. Wywiało nagle całą czwórkę, włącznie z Najmłodszym, którego siostry postanowiły zabrać.

Weszłam z powrotem do łóżka i zaczęłam czytać książkę na przemian z gazetami. Po jakimś czasie Najstarsza Córka przyniosła przemoczzonego i przemarzniętego brata, po czym wróciła do sióstr. Przebrałam małego i pod kołdrą grzałam mu stópki i rączki. Wsłuchiwalismy się w śmiechy dziewczyn dobiegające z zewnątrz, aż zasnęły. Ja też przymknęłam oczy, póki nie poczułam przenikliwego chłodu dobiegającego z korytarza. Córka nie zamknęła za sobą drzwi. Och, gdyby ludzie rodzili się z umiejętnością zamykania drzwi, byłoby przyjemniej.

**26 grudnia / 22 tewa, niedziela**

Chciałam zrobić Mężowi i Starszemu Synowi niespodziankę i pojechać po nich na lotnisko. Dziewczyny podchwyciły pomysł. Najmłodszy automatycznie też. Po tygodniu ich nieobecności mocno się stęskniliśmy. Plan był bardzo prosty. O wyznaczonej porze ubrać się, zejść trzy piętra w dół, wejść do samochodu, wyruszyć w dwudziestominutową drogę, zaparkować samochód, dojść do miejsca przylotów i czekać na panów, którzy na pewno będą na nasz widok bardzo zaskoczeni i szczęśliwi.

Wszystko szło zgodnie z planem. Póki się nie okazało, że na dworze jest koszmarnie zimno, a dziewczyny wzięły kluczyki nie do tego samochodu. Trzeba było wrócić do domu, a to wymagało długiego podejmowania decyzji, kto się cofnie. W tym czasie zorientowałam się, że auto, co zupełnie niepodobne przy przymrozkach, jest całe w lodzie. Nie można było użyć żadnej ze skrobaczek, które były w obu samochodach, bo Środkowa Córka z kluczykami do pierwszego jeszcze nie przyszła, a te do drugiego już zabrała z powrotem. Kiedy wreszcie można było samochód otworzyć, drzwi okazały się zbyt zamrożone. Kiedy ja chuchałam na klamkę z nadzieją, że pod wpływem ciepła puści, Najmłodszy Syn tarzał się w śniegu. Kiedy drzwi odtajały i można było wejść do środka, okazało się, że jednak nie ma skrobaczki. Kiedy odgarnęłam śnieg rękoma, a lód zeszkrobałam trochę paznokciami, włączyłam silnik, żeby podgrzać szyby, i zobaczyłam, że bak jest pusty. W tym czasie część dzieci biła się o miejsce, a Najmłodszy wył, bo mu było zimno. Kiedy sięgnęłam do kieszeni, żeby się upewnić, że mam ze sobą portfel i że będziemy mogli zatankować po drodze, okazało się, że zostawiłam go w domu. Znowu chwilę zabrało nam podjęcie decyzji, kto wróci po kartę. Kiedy jedna z Córek pobiegła znowu na górę, przyszedł sąsiad z ratunkiem i zeszkrobał większość lodu swoją skrobaczką. To ten typ sąsiada, który zjawia się wtedy, kiedy jest najbardziej potrzebny, i staje się lekiem na aktualną bolączkę.

Kiedy wszyscy siedzieliśmy w aucie, uświadomiłam sobie, jak bardzo kocham rower, którym poruszam się najchętniej. Zrobiłam dobrą minę do złej gry, czyli do kierowania pojazdem mechanicznym, i ruszyliśmy dwadzieścia minut później, niż planowałam. Jedna z Córek włączyła nawigację. Druga ogrzewanie w samochodzie. W obu rzeczach są lepsze ode mnie i w duchu dziękowałam, że mam je obok. Też dzięki nim wiedziałam, jakiej benzyny użyć, i nie nalałam zwykłej do diesla, bo tego by już było za wiele.

A potem to już był luz. Ciemna, oblodzona droga, bardzo słaba widoczność. Podjechaliśmy pod *kiss and fly*, akurat kiedy panowie szukali taksówki. Nie było wyczekiwania przed bramką ani wielkiego zaskoczenia, ale radość ze spotkania wynagrodziła nam wszystkim odmrożone paluszki. A potem,

wyjeżdżając, Mąż niechcący przejechał przez parking, więc nas ta pięciominutowa akcja odbierania z lotniska kosztowała dychę.

**27 grudnia / 23 tawet, poniedziałek**

Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale w naszej łazience stoi trzynaście szczoteczek do zębów. A nas jest tylko siedmioro. Jednym giną skarpetki, innym rozmnażają się szczoteczki. Widocznie musi być jakaś równowaga na świecie. Są trzy elektryczne dla tych, którzy takich lubią używać. W szabaty, kiedy nie włączamy prądu, jedna osoba odłącza końcówkę, a dwie mają dodatkowe szabatowe szczoteczki bambusowe. To dziewięć. A skąd są pozostałe cztery? Któraś z nich została chyba po ostatnim nocowaniu kuzynki. Albo była to spontaniczna decyzja, że dziewczynka w wieku między Środkową a Najmłodszą Córką zostanie u nas, albo nocowanie było umówione, ale spontanicznie nie zabrała ze sobą kosmetyków. Zostają trzy nadprogramowe.

Dzieci często jeżdżą do Łodzi na kilka dni, czasem zostają na noc u wspomnianej kuzynki czy jakiejś zaprzyjaźnionej osoby. Wracają do domu przekonane, że szczoteczkę po drodze zgubiły, i biorą sobie nową. A po kilku dniach się okazuje, że szczoteczka była cały czas w plecaku.

Kiedyś zadowolona z siebie zdecydowałam, że z plastikowych przerzucamy się na te, które nadają się do recyklingu. Kiedy przyszło opakowanie z dwudziestoma identycznymi sprzętami, znalazłam rozwiązanie i lekko pomalowałam lakierem do paznokci główkę każdej szczoteczki. Każdy wybrał sobie tę, która mu kolorystycznie odpowiadała. Wtedy dodatkowo napisałam pierwszą literkę imienia, żeby już był ład całkowity. Szczoteczkowa idylla i porządek trwały krótko. Szybko zniknęło *R*, *B* wędruje po mieszkaniu i jest w różnych dziwnych miejscach, za to nie wiedzieć kiedy pojawiło się drugie *J*.

Postanowienie na dziś. Porządek w szczoteczkach do zębów.

**28 grudnia / 24 tawet, wtorek**

Wreszcie znalazłam czas, żeby zajrzeć do nowego miejsca, w którym część żydowskiej społeczności się teraz modli. Mąż i dzieci byli tam już wiele razy. Ja jeszcze nie. W Krakowie jest kilka synagog, które nie zostały przerobione na sklepy czy knajpy. Cztery nadal pełnią funkcję bożnic. W każdej bywałam przy różnych okazjach. Na modlitwach szabatowych i świątecznych, ślubach, bat i bar micwach, obrzezaniach czy koncertach. To, gdzie na przestrzeni ostatnich kilkunastu czy kilkudziesięciu lat akurat modlą się lokalni, ale też przyjezdni Żydzi, zależy od wielu czynników. Znaczenie ma, czy budynek akurat nie jest remontowany, jak liczna jest grupa – jeżeli składa się w większości z krakusów, można wybrać mniejszą synagogę, jeżeli do miasta akurat zjechały tłumy, lepsza będzie ta większa. Również nie bez wpływu są aktualne stosunki między gminą, organizacjami a urzędującymi rabinami. Przekonanie, że Żydzi trzymają się zawsze razem, ma w sobie wiele prawdy. Cały judaizm opiera się na wzajemnym wsparciu. Nie oznacza to jednak, że każdy Żyd z każdym Żydem się dogada, bo wewnątrz społeczności co rusz dochodzi do jakichś konfliktów, które dzielą ludzi. Pod tym względem jesteśmy dokładnie tacy jak wszyscy dookoła. Nawet jeżeli przyświeca nam ten sam cel, to i tak ktoś kogoś poturbuje. Nie wiem, czy świadomość, że w innych kręgach skoncentrowanych wokół jednej sprawy również dochodzi do starć, powinna mnie uspokajać czy jeszcze bardziej niepokoić. W feministycznych grupach dochodzi do przegryzania sobie gardeł, w środowiskach LGBT+ łatwo oberwać od innej sojuszniczej osoby, nie mówiąc już o tym, że lewicowcy też się między sobą kłócą. Gdyby tylko Żydzi skakali sobie raz na jakiś czas do oczu, uznałabym, że widocznie taki z nas naród. Byłoby mi przykro, ale uspokajałoby mnie, że przynajmniej reszta świata dąży do pokoju. Niestety oko wydłubać może ci nie tylko wróg, ale też przyjaciel – niezależnie od pochodzenia, religii, orientacji seksualnej czy poglądów.

Tak czy siak, przeniesienie się z Torą do nowego miejsca to wynik zbiegu kilku okoliczności,

w które wchodzić nie będę. W wynajmowanym lokum znalazło się wszystko, co niezbędne, by mieć ortodoksyjną synagogę. Jest aron ha-kodesz, czyli miejsce, w którym przechowuje się Sefer Torę – zwoje Pięcioksięgu Mojżeszowego. To, co mamy w domach w drukowanej wersji, też potocznie zwane jest Torą, ponieważ zawiera dokładnie ten sam tekst. Ale Tora właściwa, która służy publicznemu czytaniu przy minimum dziesięciu Żydach (minjanie), to ta, która została wykaligrafowana przez specjalnie do tego wykwalifikowaną osobę zwaną soferem. Przez mniej więcej rok ostrożnie stawia literki na pergaminie. Kiedy całość jest gotowa, nawija się ją na dwa wałki, których końcówki wystają, by było za co chwycić. Czasem są pięknie rzeźbione. Na to nakłada się materiał, nierzadko zdobiony. Aszkenazyjscy Żydzi wybierają sukno. Sefardyjscy najczęściej trzymają Torę w drewnianej lub metalowej stojącej skrzyni. Często do Tory dołączony jest jad, który zawieszają na niej na łańcuszku. Kiedy zwój łąduje na bimie, czyli specjalnym podwyższeniu w środku synagogi, jad pomaga śledzić czytany tekst, żeby nie dotykać go palcem. Najczęściej wygląda tak samo. Długi, w postaci jakby kijka zakończony małą dłonią z wyciągniętym palcem wskazującym. Bywa zdobiony.

Przyznam, że nie mam pojęcia, skąd pochodzi Tora w naszym miejscu modlitwy. Zapewne, jak to najczęściej bywa, ktoś ją ufundował. Kiedy nowy zwój trafia do synagogi, zawsze towarzyszy temu wielka uroczystość. Publicznie stawia się ostatnie litery, zaprasza lokalne media. W Izraelu pewnego razu dobiegła mnie z zewnątrz muzyka typu hebrajskie disco i kiedy wyjrzałam przez okno, zobaczyłam sporą grupę, która w eskorcie policji środkiem ulicy wiozła nową Torę. Dookoła biegały dzieci i tańczyli ludzie.

W naszej nowej synagodze stoją regały pełne modlitewników i książek dla tych, którzy chcą tu przyjść się pouczyć. To standard, bo bożnica, na co mogłaby wskazywać polska nazwa, nie służy tylko do modlitwy, ale też do przesiadywania w niej. Dlatego na zapleczu stoją czajnik, kubki oraz saszetki z kawą i herbatą. Są stoły, na wypadek gdyby trzeba było zjeść świąteczny posiłek przy okazji szabatu, święta czy innej uroczystości.

W lokum, do którego poszłam, na drugim piętrze jest też wydzielona część dla kobiet w postaci pomieszczenia z wielkim oknem wychodzącym na całą synagogę, tak by zebrane wszystko widziały. Kolejny standard w ortodoksyjnych bet midraszach, w których kobiety i mężczyźni modlą się osobno, a dzieci biegają między nimi.

Wyszłam, uśmiechając się na myśl o tym, że moje Młodszaiki pewnie przebiegły tymi schodkami już tysiąc razy, za każdym razem kiedy przychodzą tu z Mężem.

**30 grudnia / 26 tewel, czwartek**

Byliśmy całą gromadą w muzeum iluzji. Ależ świetna zabawa! Każdy z nas znalazł coś dla siebie. Biegaliśmy po pomieszczeniach, wołając siebie nawzajem do kolejnych atrakcji. Pozwoliliśmy oszukać nasze zmysły i trochę dowiedzieliśmy się, jak działają. Było super.

**1 stycznia / 28 tewel, sobota**

Przedziwny szabat. Podczas kolacji Najmłodsza Córka zrobiła przedstawienie o grzybach. Bardzo wnikliwie opisała ich charakter. Przez chwilę miałam wrażenie, że mówi o bliskich znajomych. Dziecięcy umysł niezmiennie mnie zachwyca.

Dosyć szybko skończyliśmy jeść i postanowiliśmy pójść na spacer. Coś cudownego. Szliśmy przed siebie pustą alejką, jakby był środek nocy, a poza nami nie było nikogo na ziemi. Zapach świeżości połączony z nieuchronnym mijaniem czasu. 31 grudnia to dla nas, Żydów obchodzących Nowy Rok na jesieni, data jak każda inna. A jednak jakoś zawsze czuję się tego dnia dziwnie. Jakby było tu i teraz, ja pośrodku uniwersum, a obok rozpedzony świat. Albo zupełnie inaczej. Świat w zwolnionym tempie. Najstarsza Córka położyła się na ławce, Starszy Syn usiadł obok, a młodsze zbiegały z górki i wspinały się z powrotem, Mąż patrzył w dal. Gdzieś tam ludzie chłodzą szampana. Jakies kobiety stroją się przed

lustrem, zakładają małą czarną, malują usta na czerwono. Jacyś mężczyźni narzucają marynarki. Jakies dzieci liczą na to, że nie będą musiały iść spać przed północą. Jedni gromadzą fajerwerki, inni dają psom środki uspokajające, wiedząc, że zaraz będą dygotały z przerażenia od wybuchów. Atmosfera gęstnieje. Czy nadchodzący rok będzie lepszy od poprzedniego?

U nas wino już dawno otworzone i stoi na stole wypite do połowy. Ja nie zakładam sylwestrowej kreacji. Mąż nie prasuje koszuli. Zaraz wrócimy do domu, wskoczmy w piżamy i pójdziemy spać. Dzieci nie będą nas prosić, byśmy pozwolili im jeszcze chwilę posiedzieć. W szabat też lubią wcześniej się kłaść. Przyzwyczyły organizmy do takiego trybu.

Więc oto żydowska rodzina na szabatowym spacerze w roku 5782, a dookoła radość z wkraczania w rok 2022. Jest w tym jakaś czasoprzestrzenna mistyka.

Po powrocie dotlenieni rozeszliśmy się do łóżek i każdy błyskawicznie zasnął. Obudziły mnie strzały. Wybiła północ. Za oknem szalały światła. Kocham widok fajerwerków. Wiem, że dla zwierząt to koszmar. Ale dla mojego oka rozkosz. Stałam w oknie z tym samym uczuciem, które mi towarzyszyło na spacerze. Alternatywne rzeczywistości.

Zasypiałam w huku, zerkając czasem na rozbłyśki w oddali.

A dzisiaj już mamy styczeń.

Nawet nie chcę o tym myśleć. Niebawem moje urodziny. Tak bardzo nie jestem gotowa być kobietą zbliżającą się, nawet jeżeli wolnymi krokami, do czterdziestki. Nie chcę dodawać kolejnego roku do mojego wieku.

**3 stycznia / 1 szwat, poniedziałek**

W judaizmie alkohol odgrywa istotną rolę. Po pierwsze, nie jest zabroniony, co jest mi bardzo na rękę. Po drugie, pojawia się przy wielu okazjach. Zwłaszcza wino ma swoje wyjątkowe miejsce w żydowskich sercach. Wieczorny i poranny kidusz w szabat i święta oraz hawdałę odmawia się nad tym alkoholem. W Pesach wypija się go cztery kieliszki. W Tu bi-Szwat miesza się wino białe z czerwonym. W Purim praktykuje się zwyczaj solidnego picia. Ale poza tym świętem zupełnie nie o upijanie się chodzi. Wręcz przeciwnie. Nie powinno się modlić pod silnym wpływem procentów ani na kacu, kiedy trudno skupić myśli na czymś poza bólem głowy i pragnieniem. To wyraz braku szacunku do Boga, przed którym należy stawać jak przed królem. Zważywszy na to, że religijni Żydzi modlą się trzy razy dziennie, niewiele mają czasu, by porządnie nadużyć. I też nie powinno się baraszkować pod zbytnim wpływem procentów, żeby zbliżenie pozostawić w sferze trzeźwej duchowości i wzniosłej boskości, nie dopuszczając do głosu nieposkromionej chuci.

Z alkoholu jednak nie robi się tabu. Chłopcu podczas obrzezania zwilża się usta winem, a dzieci dostają po łyku z kiduszowego kieliszka. Napój jak każdy inny, tylko należy uważać i pić rozważnie. Oczywiście co dom, to obyczaj i w każdym jest inaczej. U jednych solidne picie, u innych jedynie sok z winogron zamiast wina. Ale ograniczając się do kilku zdań, tak właśnie bym przedstawiła sprawę.

A zaczęłam rozmyślać nad alkoholem pod wpływem kilku osób w social mediach. Wyraziły troskę o dzieci i to, że przez dorosłych pojone są bezalkoholowym szampanem. Kolorowe butelki wzorowane na oryginalne, wypełnione bąbelkową słodyczą, cieszą się dużym powodzeniem przy okazji sylwestra czy innych imprez. Mnie one nigdy nie raziły. Wszystkie dzieci chcą być trochę jak dorośli. Jedne udają, że się malują, inne rozmawiają przez kawałek tektury, jakby to był najnowszy smartfon. Moje, niezależnie od płci, na jakimś etapie rozwoju albo kiwały się, wydając dziwne dźwięki i naśladując modlących się mężczyzn, albo nakładały na głowę chustkę, tak jak ja.

No i może problem zaczyna się wtedy, kiedy dorosłość utożsamiana jest z wódką czy piwem. Być jak ciocia – to z kieliszkiem udawanego szampana, być jak wujek – to lekko się zataczać. Alkohol to jednak używka, która jest i szkodliwa w nadmiarze, i przyczynia się do ciężkiej choroby, jaką jest alkoholizm. A on nie tylko niszczy osobę pijącą, ale też ma wpływ na jej najbliższych. Ja wiem, wiem. Takie gadanie, jakbym nie umiała się bawić. No bo wiadomo, że na rauszu lepiej rozmowa idzie, po procentach żarty wydają się zabawniejsze, a kieliszek czegoś mocniejszego rozluźnia i odstresowuje.

Samej nigdy by mi nie przyszło do głowy, że szampan dla dzieci to może nie najlepszy pomysł. Ale kurczę. W jaki sposób potem taki nastolatek ma odmówić piwa? Przecież od małego był przyzwyczajany, że jeśli ma być miło, to tylko po alko – wśród dorosłych prawdziwym, wśród dzieci udawanym. Sama na abstynentów patrzyłam wiele lat podejrzliwie. Nie piją? Ale czemu? Wino, gin z tonikiem, chociaż piwo. No, tylko że jeżeli komuś jest dobrze na trzeźwo, to czemu ma pić? Co za absurd? Raczej powinno się odwrócić pytanie i zadać je w sposób tak rzadko w Polsce słyszany: „Pijesz? Ale czemu?”.

Sporo widziałam ostatnio zniszczeń spowodowanych wódką. Za dużo machania ręką na problem alkoholowy i udawania, że wszystko jest dobrze, kiedy jest bardzo źle. A przyzwolenie na picie mnie zadziwia. Więc może ten szum wokół przeznaczonych dla dzieci trunków, które leżą koło wysokoprocentowych, jest zasadny?

Nie zapomnę święta Purim, kiedy mieszkaliśmy pod Jerozolimą. Nasz domek znajdował się wśród innych należących do jesziwy, czyli szkoły dla religijnych Żydów. Naszymi sąsiadami byli stateczni mężowie, wielodzietni ojcowie, przyszli rabini, którzy mieli za jakiś czas objąć poważne funkcje liderów żydowskich społeczności. Alkohol pojawiał się w domach przy okazji szabatów czy świąt. Jakieś piwko do grilla. Ale kiedy przyszło święto Purim, niektórzy panowie sobie mocno pofolgowali. Uderzyły mnie dwie rzeczy. Dorosli faceci pili jak uczniaki, jakby zupełnie nie wiedzieli, jak to robić. Część już w południe była mocno zawiana. Jeden zwymiotował w budynku, drugi leżał na trawie, jakaś grupa śpiewała, fałszując. Widać było, że bardzo im w tym pijaństwie dobrze, a jednocześnie że jest to dla nich sytuacja bardzo wyjątkowa i niezdarzająca się często. Drugą rzeczą, jaka przykuła moją uwagę, był spokój, z jakim na to wszystko patrzyły ich żony. Żadna nie zaganiała do domu, żadna nie robiła wyrzutów, żadna nie peszyła się przed dziećmi. Maluchy za to biegały dookoła trochę zdziwione, trochę rozbawione, ale zupełnie nieprzestraszone. Już wczesnym wieczorem zrobiło się pusto i cicho. Następnego dnia niektórzy wcale nie wyszli z domu, polegając na kanapach, inni pokazali się w kolorach zielonkawobladych. A dzień później wrócili do swoich codziennych obowiązków. Podobna sytuacja powtórzyła się rok później. Również z okazji Purim.

***4 stycznia / 2 szwat, wtorek***

Mąż pojechał do pracy, a ja zabrałam dzieci na kilka dni do Łodzi. Mam wprawę w podróżowaniu ze swoją gromadą. Nawet jeżeli jestem sama, wychodzi mi to nieźle. Przeżyłam sporo samotnych lotów między Polską a Izraelem z dwojgiem malutkich dzieci i w zaawansowanej ciąży, z trojgiem, z trojgiem i w ciąży. Pociągami też poruszamy się sprawnie. Wiem, co spakować do torby, aby się nie przedzwignąć, ale mieć wszystko pod ręką, oraz jak pokierować dziećmi, by się nie zgubiły i nie spadły na tory.

Ale do dzisiaj zupełnie sama z piątką jeszcze nie podróżowałam. Doświadczenie ekstremalne. Pomaga mi w takich sytuacjach nastawienie, którego nauczyłam się od Męża. Traktuj wszystko jak przygodę.

Więc kiedy Starszaki się pobiły o miejsce przy oknie, mój wewnętrzny głos mówił: „Och, przygoda”. Kiedy musiałam przebrać Młodsze Syna, a Najmłodsza Córka uparła się, żeby wejść z nami do kabiny, i prawie utknęliśmy na dobre, bo to nie miejsce na trzy osoby, powtarzałam szeptem: „Ależ przygoda”. Kiedy połowa z nich połała się wodą, więc musiałam wygrzebać z dna walizek i bagaży ubrania na zmianę, nuciłam sobie: „Hej ho, przygodo”. A gdy po trzech i pół godziny czytania, rysowania, chodzenia do warsu po lemoniadę, spacerowania po pociągu, jedzenia kanapek i sama nie wiem już czego dotarliśmy na miejsce, jedyne, co miałam w głowie, to: „Ja piernicę, no dziękuję za taką przygodę”.

***5 stycznia / 3 szwat, środa***

Po przyjeździe do Łodzi i przekroczeniu progu domu Teściów w pierwszym odruchu skierowałam się do kuchni i zajrzałam do lodówki. To znaczy, że czuję się u nich jak u siebie. Jakby ich dom był moim domem. To bardzo przyjemne i budujące uczucie. I nie ma znaczenia, że żyją inaczej niż my. Pomimo tylu odmienności są dla mnie bardzo ważni. „Pomimo”? Jakby warunkiem miłości i bliskich stosunków było wspólne pochodzenie, to samo wyznanie czy takie same preferencje kulinarne. Nie. Bez „pomimo”.

Tak bardzo męczą mnie zdania typu: „Jestem katoliczką, ale i tak mnie interesuje to, co opowiadasz”. A co, bycie katolikiem oznacza, że należy się zamknąć na innych? „Jestem ateistką. Ale nawet ciekawe to, co mówisz”. Czyli ktoś, kto nie wierzy w Boga, nie może słuchać z zainteresowaniem kogoś, dla kogo wiara jest ważna? Nie lubię takich stwierdzeń, a właśnie ich użyłam. Poprawna wypowiedź brzmi: „Moi Teściowie są od nas różni. U nich w domu czuję się jak u siebie. Są dla mnie ważni”.

*6 stycznia / 4 szwat, czwartek*

Chodząc po żydowskim cmentarzu w Łodzi, jednym z największych w Europie i na pewno najpiękniejszych, jakie widziałam, poczułam to, co zawsze, kiedy mam do czynienia z żydowskimi śladami w Polsce. Smutek. Wielki, ogromny smutek. Taki, który przesywa całe serce, mości się w nim i długo nie chce wyjść. Jeszcze niedawno – kilkadziesiąt lat w porównaniu z wiekami naszej historii to niewiele – na polskich terenach mieszkali Żydzi. Nie kilka tysięcy, tak jak teraz. Kilka milionów.

W takich sytuacjach doznaję pewnego rodzaju niedowierzania połączonego z zachwytem. Mimo że znam historię polskich Żydów, zawsze kiedy mam do czynienia z jakimś żydowskim śladem, otwieram ze zdumienia oczy. Wiem, że w trzech największych miastach współczesnej Polski – Warszawie, Krakowie i Łodzi – stanowili ponad 30 procent ludności. Co trzeci mieszkaniec był Żydem! Oczywiście były miejsca, w których ten odsetek był znacznie niższy. Ale za to w wielu miasteczkach i mniejszych miastach, które przed wojną leżały na terenach należących do Polski, Żydów było więcej niż połowa. Wymienić warto: Jędrzejów – 73,1 procent, Pińsk – 63,4 procent, Węgrów – 60,45 procent, Kobryń – 55,6 procent, Tomaszów Lubelski – 54 procent, Słonim – 52,8 procent, Brody – 50,5 procent. To wszystko jest mi znane. A mimo to słowa „Ale jak to?” cisną mi się na usta, kiedy ktoś do mnie pisze: „Jestem z Ruska obok Darłowa. Jest u nas cmentarz żydowski”, „W Częstochowie filharmonia znajduje się w budynku posynagogałnym”, „W Płocku, gdzie mieszkam, działa Muzeum Żydów Mazowieckich”, „Moja rodzina pochodzi z Mikowa. Pamiętam, jak dziadek pokazywał mi kirkut”, „W Józefowie bibliotekę otworzyli w starej synagodze”. Początkowo myślę, że to niemożliwe. Nie wiedzieć czemu, nie chce mi się wierzyć. Ale sprawdzam informacje o tych miastach, żeby potwierdzić otrzymane wiadomości. I czytam, że w Rawie Ruskiej w wyborach do rady miejskiej po I wojnie światowej wśród radnych znajdowało się dwudziestu dwóch Żydów, dwudziestu Polaków i sześciu Ukraińców. W 1933 roku miejsce w radzie otrzymało dwudziestu czterech Żydów. W Częstochowie 23 kwietnia 1941 roku utworzono getto, w którym znalazło się około 40 tysięcy osób pochodzenia żydowskiego. Przed jego likwidacją wydzieloną dzielnicę zamieszkiwało 48 tysięcy osób. W Płocku w okresie międzywojennym były trzy chedery – szkoły dla żydowskich chłopców – i jesziwa. Wydawano też żydowską prasę w języku jidysz: „Płocker Cajtung” (Gazeta Płocka), „Dos Płocker Leben” (Życie Płocka) czy „Dos Płocker Wort” (Słowo Płocka). Sprawdzam, gdzie jest Mików i co to za miejsce, bo wcześniej o nim nie słyszałam. Okazuje się, że to osada położona w województwie podkarpackim, nad rzeką Osławą. W 1816 roku wybudowano w niej synagogę. W spisie ludności w 1900 roku odnotowano 6638 mieszkańców. W tym 192 Żydów. Mieli swój Związek Pielęgnowania Chorych i Związek Pogrzebowy „Chewra Kadisza”. Dalej Józefów. Dzisiaj liczy sobie prawie 3 tysiące mieszkańców. W XIX wieku powstały w nim dwie żydowskie drukarnie. W 1830 roku Żydzi stanowili 73 procent ludności. A to tylko mała część tych wszystkich miejsc, w których można napotkać żydowskie ślady. Nie wspominając o tym, że nadal odkrywano stare cmentarze, żydowskie księgi. Co rusz media donoszą o znaleziskach liczących kilkadziesiąt czy kilkaset lat.

Choć sama jestem Żydówką i pochodzę z żydowskiej rodziny, na co dzień jakoś o tym nie pamiętam. Mój prapradziadek Jakub Mortkowicz był znanym księgarzem i wydawcą książek. Publikował dzieła wielu ważnych polskich pisarzy, między innymi Marii Dąbrowskiej, Leopolda Staffa, Stefana Żeromskiego, Bolesława Leśmiana, Juliana Tuwima czy Janusza Korczaka. W 1928 roku został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Oboje rodzice Jakuba Mortkowicza byli Żydami. On sam jest pochowany na żydowskim cmentarzu w Warszawie. Jego żona, a moja praprababka Janina Mortkowicz, z domu Horwitz była wnuczką naczelnego rabina Wiednia Lazara Horwitza. W wydawnictwie zajmowała się głównie działem literatury dla dzieci i młodzieży. Pisała opowiadania, wydała książkę *O wychowaniu estetycznym*, przetłumaczyła *Chłopców z Placu Broni* Ferencza Molnára, *Cudowną podróż* Selmy Lagerlöf oraz serię opowieści o doktorze Dolittle Hugh Loftinga. Ich córka, a moja prababka Hanna Mortkowicz była pisarką i scenopisarką. Jej córka, a moja Babcia to Joanna Olczak-Ronikier, za to jej córka, a moja Mama to Katarzyna Zimmerer.

Znam swoje drzewo genealogiczne. Przy każdej z tych osób Wikipedia dodaje „pochodzenie żydowskie”. A to tylko najbliżsi krewni. Są jeszcze liczne odnogi tej rodziny. Bracia, siostry, kuzyni, kuzynki, córki i synowie. A takich żydowskich familii jak moja, często mających ogromny wpływ na polską kulturę, były setki, tysiące. I dzisiaj w Polsce żyją ich potomkowie. A mimo to, słysząc, że ktoś ma wśród przodków Żyda, mówię z niedowierzaniem: „Serio?”. Jakby to było niemożliwe. Rzeczywistość jest inna. Odsetek współczesnych Polaków, którzy mają żydowskie korzenie, jest spory. Część nawet nie zdaje sobie z tego sprawy, bo pochodzenie było ze strachu skrzętnie skrywaną tajemnicą. Czasem ktoś ją w wieku dorosłym odkrywa, bo odnajduje list w jidysz, dostaje wiadomość od krewnych z Izraela albo dowiadyuje się o wszystkim bezpośrednio od umierającej babki, która na łożu śmierci postanawia podzielić się informacją o swoim rodowodzie. Inni nigdy nie poznają prawdy, przekonani, że za nazwiskiem Kowalski czy Nowak żadna niespodzianka się nie kryje. Ale prawda jest taka, że w wielu polskich żyłach płynie żydowska krew.

*7 stycznia / 5 szwat, piątek*

Chodząc po Łodzi i odwiedzając stare kąty, wpadłam na daleką znajomą. Najpierw grzecznościowe „co tam słysząc” i „jak się macie”. Kiedy już nadrobiłyśmy zaległości w swoich życiorysach i nie bardzo było o czym gadać, ale jeszcze chciałyśmy sobie razem postać, zeszło na temat innych. Obie się ożywiłyśmy. A ta to to. A tamta to tamto. A ci są razem. A ci już razem nie są. A ona jest w ciąży. Chyba z nim. Ale może z kimś innym. Tamtym gorzej się powodzi. A, słuchaj, a wiesz, że...? Nie wiedziałam. A słyszałaś o...? Nie słyszałam. A powiem ci... No mów, mów! To było superciekawe. Tyle dowiedziałam się o różnych starych znajomych! W pewnym momencie poczułam, że nadmiernie się ekscytuję niepowodzeniem kogoś, z kim popadłam w mały konflikt. Wtedy powiedziałam stop. No kurczę. Przecież tego typu rozmowy są przez judaizm zabronione. Jak łatwo o tym zapomnieć i się zapędzić. Słowa z Księgi Wa-jikra (Kapłańskiej) 19,16: „Nie chodź jako oszczerca w narodzie twoim”, rabini czytają nie tylko jako zakaz kłamania na czyjś temat w celu zniesławienia, mówienia o kimś źle tak, by tej osobie zaszkodzić, ale też zwykłego plotkowania, które jest opowiadaniem sobie o czyimś życiu w ramach prostej rozrywki. Cała koncepcja *laszon hara* – po hebrajsku: לשון הרע, co dosłownie oznacza ‘zły język’ – jest oczywiście bardzo trudna do zdefiniowania. W praktyce często nie da się jednoznacznie ocenić, ani jakie są intencje osoby, która o kimś opowiada, ani tej, która słucha, ani jakie konsekwencje może mieć przekazana informacja. Ale częstokroć znacznie lepiej ugryźć się w język niż powiedzieć za dużo.

Uczy nas też tego opowieść o Miriam, siostrze Mojżesza. Prorokini najwyższej rangi została porażona dziwną chorobą tylko dlatego, że drugiemu bratu, Aaronowi, opowiadała o życiu osobistym Moszego.

Nie znam świata, który byłby wolny od plotek, z żydowskim włącznie. Sama dobrze o tym wiem. Ale *laszon hara* jest obok jedzenia świni, wróżenia i robienia sobie tatuaży przez judaizm zakazane.



*8 stycznia / 6 szwat, sobota*

Wczoraj, 5 szwat, wypadła moja żydowska data urodzin. *Mazel tow* dla mnie!

*9 stycznia / 7 szwat, niedziela*

Znowu okrzyki oburzenia. Rozumiem, że niektóre rzeczy trudno zrozumieć. Zwłaszcza jeżeli nigdy nie mieliśmy z nimi wcześniej do czynienia i nie bardzo wiemy, na czym polegają. Ale wydaje mi się, że zanim podniesiemy raban, warto zbadać sprawę chociażby w poszukiwaniu sensownych argumentów.

Poruszenie wywołał temat obrzezania. Oczywiście nie pierwszy raz. Dobrze znam te zarzuty. Pierwszy to barbarzyństwo ze strony rodziców, którzy okaleczają chłopców w imię fanatyzmu religijnego. Drugim, mniej emocjonalnym, jest krytyka decydowania za nieświadome niczego dziecko.

Zacznę od końca, czyli od pytania, czy nam, dorosłym, wolno podejmować decyzje za dziecko? obrońcy obrzezania jako kontrargument przywołują chrzest. Przecież maluch może w przyszłości zechcieć być ateistą? Skoro krzyczymy ze względu na napletek, to podnośmy też raban, kiedy polewa się malutkie czołko wodą święconą. Wtedy pojawiają się głosy, że to jednak dwie zupełnie inne sprawy. Nieodwracalna ingerencja w ludzkie ciało to nie symboliczne włączenie do grona chrześcijan, z którego przecież można wystąpić poprzez apostazję.

Dalej jako przykład zmiany w ciele u małego dziecka pojawia się przebijanie uszu. Nie ma innego powodu niż to, że jakiś dorosły uznał, że dwulatki będą dzięki temu ładniejsze. Tak, tak. Ale dziurka może zarosnąć, a napletek nie odrośnie.

Kolejne argumenty, które zawsze się pojawiają przy tego typu dyskusjach, to szczepienia. Im też żaden maluch nie może się sprzeciwić. A może nie chciałby, by do jego rączki czy nóżki wielką igłą wpuszczano jakąś substancję. No i głos po drugiej stronie, że szczepionki chronią przed chorobami i są dla dobra dziecka. Znowu odzywają się zwolennicy obrzezania, którzy uświadamiają, że ono też chroni. Rodzice decydują się poddać potomka zabiegowi również, poza aspektem religijnym, ze względu na jego zdrowie. W ten sposób w pewnym stopniu zabezpieczają go bowiem (a wraz z nim jego partnerów\_ki) przed chorobami przenoszonymi drogą płciową, między innymi: zakażeniem HIV, które nieleczone prowadzi do śmiertelnego w skutkach AIDS, opryszczką narządów płciowych wywoływaną przez wirus HSV-2, a także infekcją wirusem brodawczaka ludzkiego (HPV), która może się wiązać z poważnymi konsekwencjami, bo bywa przyczyną nowotworów (szyjki macicy, sromu, pochwy, prącia, odbytu i jamy ustnej).

Na koniec takiej wymiany spostrzeżeń można rozłożyć ręce i uznać, że całe rodzicielstwo polega na decydowaniu za dziecko. Będzie jadło wedle preferencji żywieniowych dorosłych, z którymi mieszka. U mięsożerców kotlety, u wegan warzywa. Przypomina mi się scena z filmu, który szalenie lubię. Nastoletni syn pyta mamę, skąd wiedziała, że też będzie wegetarianinem tak jak ona. Odpowiedziała, że nie miał wyboru. Po prostu sama tak za niego postanowiła. Idąc dalej. Jeżeli decydujemy się na jedno dziecko, będzie ono jedynakiem. Przy większej gromadzie stanie się częścią wielodzietnej rodziny. Znaczenie ma, czy malucha pošlemy do żłobka czy zostanie dłużej w domu pod opieką niani. Potem: jaką szkołę mu wybierzemy, na jakie zajęcia dodatkowe pošlemy. I tym podobne, i tak dalej. To nie do uniknięcia.

Tak czy siak, rozumiem i przyjmuję, że powinno się zminimalizować ilość ruchów wykonanych w imieniu dziecka, ponieważ to jego, a nie nasze życie. Zwłaszcza tych działań, które są nieodwracalne.

Drugiego zarzutu, że obrzezanie jest barbarzyństwem i okaleczaniem, całkowicie nie przyjmuję. Zwłaszcza że najczęściej zaraz po tego typu tekście pada kąśliwe pytanie, czy w takim razie kobiety też obrzezujemy. I tutaj wychodzi absolutna nieznajomość tematu.

Obrzezanie, zwane inaczej resekcją napletka, to zabieg, podczas którego usuwa się kawałek

skóry. Wśród praktykujących judaizm zajmuje się tym mohel, czyli osoba posiadająca specjalistyczną wiedzę i przygotowanie medyczne. U noworodków trwa tyle, ile jedno machnięcie nożem. Dziecko rzeczywiście chwilę płacze, co choć łamie serca rodziców, jest w tym wieku naturalne. Maluch krzyczy, bo mu zimno, bo mu ciepło, bo krzywo leży, bo głodny, bo najedzony. No i podczas obrzezania. Ból trwa kilka sekund. Skąd mam tę pewność, skoro kilkudniowe dziecko nie jest w stanie nas o tym zapewnić? Wiem to z doświadczenia. Moi chłopcy zasypiali z błogim uśmiechem zaraz po całej akcji. Po kilku godzinach można dziecko umyć. A opatrunek ściąga się najpóźniej po dobie. W przypadku noworodków znieczulenie mija się z celem. Jego podawanie boli bardziej niż sam zabieg. Ale o tym decydują już rodzice i jeżeli zechcą znieczulić dziecko, mogą to zrobić.

U dorosłych mężczyzn konieczne jest chirurgiczne szycie. Rana goi się kilka tygodni i nie brak przy tym bólu. Przed zabiegiem konieczne jest znieczulenie miejscowe, czasem ogólne.

Usuwanie napletka przez religijnych Żydów następuje ósmego dnia po narodzinach chłopca, o ile nie ma medycznych przeciwwskazań, i nazywa się *brit mila*. Jest wykonywane ze względu na przymierze, jakie Bóg zawarł z Abrahamem, oraz w zgodzie z przykazaniem zawartym w Księdze Bereszit (Rodzaju) 17,11–12: „I obrzeżecie ciało napletka waszego, a będzie to znakiem przymierza między Mną a wami. A w wieku ośmiu dni obrzeżaną ma być u was wszelka pleć męzka, w pokoleniach waszych, urodzony w domu i nabyty za pieniądze z jakiegokolwiek cudzego rodu, który nie jest z potomstwa twojego”. Ze względów religijnych obrzezaniu poddają się również muzułmanie.

Zabieg na przestrzeni stuleci miał znaczenie kulturowe i wykonywany był już w starożytności. Z przyczyn pozareligijnych jest to powszechna praktyka w USA, krajach afrykańskich, na Filipinach i w Korei Południowej. To jedna z najczęstszych interwencji chirurgicznych na świecie i poddaje się jej około jednej trzeciej męskiej populacji.

„Obrzezanie” kobiet to coś zupełnie innego. Polega na okaleczeniu żeńskich narządów płciowych, by dziewczyny nie czuły satysfakcji podczas seksu. Czasem nie są go w stanie w ogóle uprawiać. Zabieg wykonuje się poprzez usunięcie łechtaczki albo jej napletka. Ewentualnie przez całkowite lub częściowe wycięcie wewnętrznych warg sromowych. Lub usuwa się zewnętrzne narządy płciowe i po zszyciu ran zostawia tylko maleńką dziurkę na mocz i krew menstruacyjną.

Rozumiem, że i jedna, i druga ingerencja w ciało dziecka, niezależnie od tego, że pierwsza ma pozytywne skutki, a druga absolutnie negatywne, wzbudzają oburzenie. Ale myślę, że naprawdę warto się miarkować w krzykach, a zwłaszcza w wyzwiskach.

**10 stycznia / 8 szwat, poniedziałek**

Raz w tygodniu prowadzę zajęcia w żydowskim przedszkolu w Krakowie. Opowiadam dzieciom o nadchodzących świętach, uczymy się hebrajskiego. Dzisiaj jadąc na nie, zobaczyłam kilku chasydów. Choć w Krakowie nie mieszka ich dużo, sporo jest przyjezdnych i turystów. Nie zwróciłam na nich uwagi, gdyby nie stali obok straży miejskiej. Podjechałam, żeby zapytać, czy nie potrzebują tłumacza. Okazało się, że dodatkowa osoba się przyda. Problem był taki, że panowie z Ameryki jechali bez międzynarodowego prawa jazdy, co jest w Polsce zabronione. Tłumaczyli, że to dziwne, skoro na lotnisku został im wypożyczony samochód. My – mężczyzna i kobieta ze straży oraz ja – wdychaliśmy, że każdy chce zarobić. Oni, mówiąc do siebie w jidysz, łapali się za głowę, że to nie do pomyślenia.

Od niedawna obowiązuje nowe prawo, które nie pozwala straży miejskiej wlepić mandatu osobom niemającym numeru PESEL. Wezwano więc policję. Po dłuższym czasie przyjechało dwóch jegomości i po kilku telefonach do centrali ustalili, że panowie chasydzi mają się stawić w komisariacie dnia następnego, by sprawę wyjaśnić, i że pewnie zakończy się zwykłym pouczeniem. Jeszcze zanim wszyscy się rozeszli, strażniczka miejska wystawiła im mandat na 300 złotych za poruszanie się w strefie, do której wjeżdżać bez specjalnego pozwolenia nie wolno.

Cała akcja trwała prawie dwie godziny, więc na zajęcia nie dotarłam, za co przeprosiłam bardzo panie nauczycielki. Zajście napełniło mnie nadzieją, że ludzie, choć tak różni kulturowo, są w stanie się porozumieć. I strażnicy, i policjanci byli bardzo kompetentni i zaangażowani, surowi, ale serdeczni. Na

każdym etapie tłumaczyli, co się dzieje, używając również angielskiego, co mnie pozytywnie zaskoczyło. Chasydzi też nie dali plamy, nie awanturowali się, pokornie czekali na bieg wydarzeń i bez gadania przyjęli wezwanie na komisariat. To mi przypomniało sytuację z lotniska na Okęciu sprzed kilku lat, która niestety przebiegła zupełnie inaczej.

**12 stycznia / 10 szwat, środa**

Córki Najstarsza i Środkowa zrobiły całej rodzinie na kolację naleśniki. Wyszły im bardzo smaczne, najedliśmy się porządnie. Wieczorem zorientowałam się, że część mebli i ścian jest zachlapana ciastem. Udałam, że tego nie widzę, i poszłam spać.

**13 stycznia / 11 szwat, czwartek**

Zaczęła się u Najmłodszego faza, którą zawsze bardzo lubiłam u wszystkich moich dzieci. Zanim weźmie coś do buzi, mamrocze niezrozumiałe słowa pod nosem. Najchętniej przed każdym kęsem. Nauczył się tego oczywiście od nas.

Jako religijni Żydzi mamy zwyczaj błogosławienia jedzenia przed posiłkiem i po nim. Jest to sześć różnych zdań, w zależności od tego, co będziemy jeść – osobne dla napojów z winogron (jak wino czy sok), osobne dla pieczywa, osobne dla produktów mącznych, osobne dla tego, co rośnie na ziemi i w ziemi, osobne dla tego, co rośnie na drzewach, i osobne dla wszystkiego innego, jak mięso, ryby, jajka, produkty mleczne czy napoje. Czasem kiedy je się coś, co ma kilka składników, łatwo się pogubić. Ale tym bardziej uczy nas to uważności wobec tego, co mamy na talerzu. Zawsze trzeba wiedzieć, skąd pochodzi produkt, czym jest i jaki ma skład. Po zjedzeniu chleba odmawiana jest dłuższa modlitwa zwana *Birkat ha-mazon*. Kilka innych zdań wypowiada się po produktach mącznych, z winogron lub innych owoców wymienionych w Torze, takich jak oliwka, figa, granat czy daktyl. A po warzywach, owocach czy kotlecie pada tylko kilka konkretnych słów.

Syn poprzez naśladownictwo robi to co my. Nie bardzo rozumie, że błogosławieństwo danego produktu wypowiada się raz, a nie przed każdym kęsem, dlatego z zaangażowaniem mamrocze prawie cały czas.

Słowa dziękczynienia są dla mnie czymś pięknym. Uczą mnie, żeby na chwilę się zatrzymać i docenić to, co mam dookoła. Nie tylko jabłko czy banana. Ale też to, że rano się obudziłam, a „Bóg zwrócił mi moją duszę”. Że skorzystałam z toalety, bo gdyby otwory w moim ciele, które mają być zamknięte, były otwarte – lub odwrotnie – miałabym problem. Że jest tęcza. Że mam nową rzecz. Że wyzdrowiałam lub uniknęłam zagrożenia. Że usłyszałam dobrą nowinę. Jest jeszcze błogosławienie dzieci w piątkowy szabatowy wieczór, krótka modlitwa przed podróżą, by nie zostać rozszarpanym przez dzikie zwierzęta, oraz podczas zanurzania w mykwie.

**15 stycznia / 13 szwat, sobota**

Po szabacie okazało się, że koleżanki jednej z Córek w ciągu dnia umawiały się na kino, dokąd wieczorem poszły. Ponieważ nie doczekały się odpowiedzi od Córki, która zwyczajowo w szabat ma wyłączony telefon, uznały, że nie jest zainteresowana. Trochę było jej przykro, trochę wzruszyła ramionami. Takie sytuacje się zdarzają i zdarzać będą. Można wybierać znajomych, którzy gotowi są na drobne ustępstwa. Ważne rzeczy będą planować tak, żeby można było brać w nich udział. Można też zaakceptować fakt, że czasem nas coś ominie.

16 stycznia / 14 szwat, niedziela

Miniony szabat był inny niż zwykle. Najczęściej spędzamy go razem. To nasz rodzinny czas. Zdarza się, że nie jesteśmy w komplecie. Na przykład w weekendy, gdy Mąż jest w pracy na tyle daleko, że podróż do domu mu się nie opłaca, lub kiedy któreś z dzieciaków pojedzie do Łodzi.

Tym razem, choć wszyscy byliśmy w Krakowie, zrobiliśmy wyjątek i nie zasiedliśmy wspólnie do stołu, ponieważ Najstarsza Córka i Starszy Syn zostali zaproszeni na kolację szabatową dla żydowskich nastolatków. Nie chciałam, żeby sami wracali późno do domu, poszłam z nimi. Więc Mąż został z młodszymi, a ja ze starszymi przespacerowałam się nad Wisłą na Kazimierz, do tak zwanej dzielnicy żydowskiej. Po kolacji wracaliśmy również pieszo. W szabaty nigdy nie korzystamy ani z samochodu, ani z taksówki. Z komunikacji miejskiej też nie. Przechodząc koło salonu sukien ślubnych, Syn stwierdził, że ktokolwiek wymyślił, że oglądanie przez pana młodego panny młodej w sukni przed ślubem przynosi pecha, był geniuszem. Wprawdzie on w takie rzeczy zupełnie nie wierzy, ale ileż to czasu zaoszczędza panom. Dodał, że gdyby nie taki zabobon, biedni faceci zapewne byłiby ciągnięci przez swoje przyszłe żony od sklepu do sklepu, musieliby spędzić wieczność w poczekalni, oglądając kolejne kreacje, które według Syna jedna w jedną wyglądają zupełnie tak samo.

Ta piątkowa kolacja, na którą poszły nasze dzieci, była częścią szabatonu dla nastolatków. Mieli świetnie zorganizowany program obejmujący piątkowe popołudnie, sobotę i część niedzieli. Byli z innymi dzieciakami z Warszawy i Krakowa na wspólnej kolacji szabatowej, sobotnim lunchu, wykładach, spotkaniach, hawdali na Rynku Głównym i wyjściu do kina. Dowiedzieli się ważnych informacji o sytuacji na granicy polsko-białoruskiej i kryzysie klimatycznym. Gdzieś usłyszałam zdanie, że „trzeba całej wioski, by wychować jedno dziecko”. W takich chwilach, kiedy moje dzieciaki wracają do domu z głową pełną nowych informacji, czuję wdzięczność, że mamy taką fajną wioskę.

Wśród młodzieży były osoby niebinarne, co dla Syna i Córki nie było nowością. Dobrze wiedzą, że poznając nowe osoby, mogą pytać o wiek, o szkołę czy miejsce zamieszkania tak samo jak o używane zaimki. Zamiast zakładać, że zna się płeć, lepiej o nią zapytać i uszanować każdą odpowiedź.

Będąc w towarzystwie niebinarnych Żydów, zastanawiam się zawsze, co by się stało, gdyby takie osoby chciały wejść do ortodoksyjnej synagogi. Miałyby prawo wybrać, do której części chcą pójść? Czy do męskiej czy na babiniec? Czy zgromadzenie kierowałoby ich zależnie od wyglądu ciała czy raczej decydowano by na podstawie ubioru? I czy gdyby ich obecność została przyjęta po jednej lub po drugiej stronie, mogliby podczas następnej wizyty w synagodze usiąść gdzie indziej?

Dla wszystkich zmian, jakie zachodzą w społeczeństwie, żydowscy myśliciele i rabini próbują znaleźć miejsce w judaizmie. Religia swoje reguły opiera na treściach sprzed tysięcy lat. Ale ich interpretacja jest żywa i zmienna. I nie ma takiej sprawy, która dotyczy ludzi, a nie zostałaby poruszona, przeanalizowana, przedyskutowana. Czy zawsze znajduje się jednoznaczna odpowiedź i jasna opinia? Oczywiście, że nie. Ale to nie znaczy, że przestaje się ich szukać.

Już kilkaset lat temu w żydowskich księgach pojawiają się osobne określenia na osoby interplciowe. Jest powszechnie znany *androginos*, u którego występują cechy fizyczne zarówno kobiece, jak i męskie. Zaraz obok wymienia się *tumtum* – osobę całkowicie pozbawioną organów płciowych przypisanych danej płci. Według żydowskiego prawa nie ma pewności, czy ktoś taki jest mężczyzną czy kobietą. Te przypadki wspomina się przy okazji nakazu zakładania tefilinu i noszenia cicit, czyli przykazań obowiązujących mężczyzn. Pojawiają się też podczas dyskusji na temat błogosławieństw, które brzmią inaczej w zależności od płci wypowiadającej je osoby. Kategorie *androginos* i *tumtum* mają również znaczenie podczas obliczania dni, które ma odczekać matka po porodzie, zanim pójdzie do mykwy. Ich liczba bowiem zależy od tego, czy urodziła syna czy córkę.

W kilkusetletnich tekstach jest też mowa o *ailonit*, czyli ‘nieukształtowanej płciowo’ (w innym tłumaczeniu: ‘niepłodnej’) kobiecie, oraz jej męskim odpowiedniku, czyli *saris*. Wspomina się o nich głównie przy okazji ożenku i rozwodów z powodu braku potomstwa.

Lubię wiedzieć, że żydowscy mędrcy nie zamykali się tylko w klasycznych sytuacjach i tworząc

prawo, brali pod uwagę wszystkie możliwości. Bardzo podoba mi się też porównanie, które przeczytałam w jakimś artykule poświęconym tej tematyce. Na samym początku Tory – w Księdze Be-reszit (Rodzaju) 1,5 – jest napisane: „I był wieczór i był ranek – dzień jeden”.

Oczywiście, że w tym zdaniu mowa również o nocy, świcie, przedpołudniu, popołudniu oraz zmierzchu. Analogicznie w zdaniu, które znajduje się kawałek dalej, w 1,27: „I stworzył Bóg człowieka na obraz Swój (...) mężczyznę i niewiastę stworzył ich”, chodzi o płeć męską, płeć żeńską, ale też wszystkie inne, które są pomiędzy nimi.

Wracając do tematu. Bardzo fajnie, że ortodoksyjni rabini poruszali kwestie interplciowości prawie dwa tysiące lat temu. Ale co z tego wynika dzisiaj? I gdzie reszta osób transplciowych, których nie brali jednak pod uwagę, prawdopodobnie nie mając świadomości ich istnienia?

Męczy mnie ta synagoga. Nie wspominając już o sprawach relacji z innymi osobami, związków czy zakładania rodziny, bo to jeszcze bardziej odległe kwestie, na które ortodoksja chyba nie jest zupełnie gotowa.

Okej. Rodzi się osoba, której przy urodzeniu przypisuje się płeć męską. *Mazel tow, mazel tow*. Ósmego dnia zostaje obrzezana. W wieku trzynastu lat staje pośrodku synagogi i po raz pierwszy czyta publicznie Torę, a przez społeczność zostaje uznana za dorosłego mężczyznę. W którymś momencie zaczyna sygnalizować otoczeniu, że identyfikuje się jako kobieta. Informuje rodziców, znajomych, rabina. Zapuszcza włosy, zakłada spódnicę. Co dalej? Czy nadejdzie moment, w którym zostanie uznana jej płeć żeńska? A jeśli tak, to kiedy? Może od razu? A może dopiero po medycznej korekcie płci? Albo już w czasie tranzyjacji? A co, jeżeli zdecyduje w ogóle nie zmieniać swojego ciała? Albo zmienić tylko częściowo? A może taka osoba nigdy nie zostanie w pełni zaakceptowana? Co wtedy? Czy zmuszona będzie znaleźć inną synagogę, innego rabina i inną społeczność, w której nie była wcześniej znana? A może dla osób, których nie da się w żaden sposób określić płciowo, w ortodoksyjnym judaizmie nie będzie miejsca po wsze czasy?

I tak właśnie rozmyślałam za każdym razem, kiedy spotykam niebinarną osobę. Ja, podobnie jak większość mojego pokolenia, nadal się jąkam na widok osoby, o której wiem, że jest transplciowa. Za to moje dzieci i kilkoro ich znajomych nie mają z tym już problemu. Coraz lepiej wiedzą, jak się zachować, by każdy czuł się komfortowo. Przecież muszą minąć jeszcze lata świetlne, zanim dostosują się do tego: język, prawo cywilne i religijne oraz mentalność otoczenia.

Chociaż! Stop. W hebrajskim zaproponowano niedawno jedenaście zupełnie nowych liter, dzięki którym męskie i żeńskie formy słów mogłyby zostać zneutralizowane. Coś podobnego do polskiego *o* albo *x* dodawanego na końcu wyrazów zamiast liter wskazujących na płeć. Nowe hebrajskie znaki są albo nałożeniem na siebie pary istniejących liter odpowiadających za rodzaj gramatyczny, albo jedną z wymazaną częścią. Klawiatura z alfabetem jest już dostępna i może ją, za darmo, z internetu pobrać każdy.

**17 stycznia / 15 szwat, poniedziałek**

Właśnie trwa jedno z moich ulubionych świąt – Tu bi-Szwat, czyli Nowy Rok Drzew. Nie wiem, co jest w nim dla mnie najprzyjemniejsze. Może to, że w środku zimy zasiadamy do stołu pełnego owoców. Albo że tubiszwatowe kolacje najczęściej nam wychodzą, jest przy nich spokojnie i miło. Albo że zawsze towarzyszą świętu warsztaty ekologiczne i sadzenie drzew, a Młodsza z przedszkola i żłobka przynoszą do domu kwiatki w doniczkach. Po prostu wyjątkowo dobrze się podczas Tu bi-Szwat czuję i myślę, że reszta brygady też.

Wczorajsza kolacja wyszła po raz kolejny super. Zrobiłam dla każdego członka rodziny obrazki z tego, co mieliśmy do jedzenia. Jako tło i podkład humus. Trawa z sałaty, pnie z paluszków, lodygi kwiatów ze szczypiorku, płatki z oliwek i migdałów, śnieg ze słonecznika, słońce z sera wege, bałwanek z cebuli, liście z kiełków. Były prawdziwie bajeczne i malownicze. Stół wyglądał pięknie. Zastawiony figami, daktylami, winogronami, oliwkami, suszonymi morelami, orzechami, wafelkami, ciasteczkami,

sokiem pomarańczowym, winem i serwetkami w kwieciste wzory. Do tego ozdobione jadalnymi kwiatkami talerze, które jeszcze w trakcie nakrywania wyglądały super. Kiedy usiedliśmy do jedzenia, prezentowały się już lekko nieświeżo, nieapetycznie i zupełnie nieatrakcyjnie. Humus obsechł, zielenina zwiędła. Ale i tak było miło.

Tak jak przystało na kolację tubiszwatową, wszystko jedliśmy i piliśmy w odpowiedniej kolejności. Najważniejsze były zawartość kieliszków i owoce – pierwsze odzwierciedlały rytm Natury, drugie rytm życia człowieka w umownym (niekoniecznie zgodnym z kategoryzacją psychologiczną) podziale na cztery okresy. Najpierw pojawiło się wino białe – symbol zimy, kiedy natura jest pogrążona we śnie. Potem pierwszy owoc, taki, który w całości nadaje się do zjedzenia – u nas były to pysznie dojrzałe figi, które Mąż kupił w ilościach hurtowych. Figa przypomina o takich cechach wieku dziecięcego jak niewinność, wrażliwość, podatność na zranienie i miękkość. Drugi kieliszek z białym winem, ale lekko zabarwiony winem czerwonym. Nie wiem, jak na to mieszanie reagują sommelierzy i inni znawcy wina. Nie wiem nawet, czy w winnym świecie taki kupaż jest dozwolony. My, brutale, jednak do tego dopuszczamy. Drugi owoc, który się je podczas tubiszwatowego sederu, ma miękką skórkę okrywającą jadalne wnętrze. To nam przypomina o tym okresie dzieciństwa, kiedy już zaczęliśmy nabierać odporności na działanie świata zewnętrznego, lecz ciągle jeszcze cechowały nas otwartość i podatność na zranienie, tak charakterystyczne dla najmłodszych. U nas były winogrona – i czarne, i białe. Potem wino czerwone z kilkoma kroplami białego. To symbol nadejścia pełni wiosny. Nie nalewaliśmy sobie do pełna, bo szybko byśmy tę imprezę skończyli. Dla poczucia realności zmieniających się pór roku wystarczy nawet malutka ilość trunku – w przypadku dzieci czy osób niepijących mowa o soku, a nie alkoholu. Po trzecim kieliszku pojawia się trzeci owoc – z twardą skórką i wypełniony wieloma pestkami, niczym trzeci okres życia człowieka, czyli wiek dojrzały. W tej roli najlepszy jest granat. W judaizmie pojawia się często. Przede wszystkim dlatego, że tak jak oliwki, daktyle, figi, winogrona, pszenica i żyto jest wymieniony w Torze wśród owoców Izraela. Poza tym według tradycji żydowskiej ma 613 pestek, czyli tyle, ile jest przykazań w Pięcioksięgu Mojżeszowym: 248 nakazów i 365 zakazów. Jeżeli po przekrojeniu i przeliczeniu okaże się, że pestek jest mniej lub więcej, owoc można wymienić. Nie, nieprawda. Taki żart. W zasadzie byłby dobry na żydowski mem. Granat jada się też w Rosz ha-Szana – ma sprawić, że nasze dobre uczynki w nadchodzącym roku będą tak liczne jak wspomniane pestki. Potem wjechał czwarty i ostatni kieliszek – wino czerwone, symbol lata. W tym momencie mogliśmy puścić piosenkę *Summer wine*. Ale tego nie zrobiliśmy. Za to zjedliśmy czwarty owoc. Zgodnie ze zwyczajem wybiera się taki z twardą łupiną, która utrudnia dostęp do wnętrza, co ma przypomnieć o możliwych pułapkach wieku średniego, kiedy człowiek ma tendencje do stawiania się twardym i zamkniętym. U nas padło na migdał. Już wyłuskany. A potem jedliśmy dalej wszystko, co było na stole.

**18 stycznia / 16 szwat, wtorek**

Byłam dzisiaj w miejscu z dwiema toaletami, osobną dla pań i osobną dla panów. Klasyczna sprawa. Do niedawna przewijaki były tylko w tych pierwszych. Dzisiaj coraz częściej można spotkać pokoje dla rodzica bez wyszczególnienia, czy są przeznaczone dla matki czy ojca. Ale moją uwagę przykuło coś innego. Coś, nad czym zastanawiałam się kilka dni temu. Z jakiej toalety mają korzystać osoby niedefiniujące się płciowo? Raz do tej, raz do tej? Choć pewnie nie spotka się to ze zrozumieniem ze strony każdego użytkownika. Podejrzewam, że sporo mężczyzn, idąc do toalety dla panów, spodziewa się, że będą tam tylko osoby z penisami. W damskiej za to oczekujemy, że nikt penisa nie wyciągnie. Więc może rozwiązaniem powinny być toalety koedukacyjne?

A co z numerem PESEL? Przecież zawiera w sobie informację o płci. Wszyscy wiedzą, że pierwsze sześć cyfr to data urodzenia. Ale już nie każdy ma świadomość, że dziesiąta określa, czy właściciel numeru jest mężczyzną czy kobietą. W pierwszym przypadku będzie nieparzysta. W drugim parzysta. Jak rozwiązać ten problem?

*19 stycznia / 17 szwat, środa*

Uświadomiłam sobie pewną rzecz. Mój Starszy Syn jest prawdopodobnie jednym z kilku nastoletnich polskich Żydów z pejsami mieszkających w Polsce. Jednym z kilku, nawet nie kilkunastu, na 38 milionów ludzi. To trochę straszne. Oczywiście żydowskich nastolatków jest znacznie, znacznie więcej, ale niekoniecznie są ortodoksyjni. A i chłopaków, którzy są religijni i nie gołą boków brody, znajdzie się może nawet kilkunastu. Tyle że choć mieszkają w Polsce, pochodzą skądinąd, a w ich domach podstawowymi językami są hebrajski lub angielski. Jest też mnóstwo Żydów z długimi pejsami i polskimi korzeniami, ale mieszkających za granicą. Konfiguracja: Polak z pokolenia na pokolenie plus Żyd z pokolenia na pokolenie plus judaizm jako praktykowana na co dzień religia – jest prawie niespotykana.

I teraz nasuwa się pytanie. Czy jesteśmy jedną z grup, które na terenie Polski po prostu wymrą? Według jednego raportu, który czytałam, tak się stało w ciągu ostatniego półwiecza z 60 procentami gatunków zwierząt z całego świata. Ale zawężając do terenów Polski. Taki drop. Jeszcze w XIX wieku miał się nieźle. A potem zaczął znikać. W latach trzydziestych XX wieku odnotowano mniej niż 700 ptaków. W 1980 roku już tylko szesnaście. Dzisiaj nie ma ani jednego. Podobnie było z susłami, chomikami europejskimi czy sępem płowym.

A wracając od zwierząt do ludzi. Nie brak plemion, których liczebność malała, aż ducha wyzionął ostatni członek. Są sterty książek, organizacje, fundacje i liczne muzea, dzięki którym możemy o tych ludziach, ich strojach, zwyczajach i wierzeniach poczytać. Nawet zobaczyć woskową figurę w ubraniu ze skóry foki lub z pióropuszem na głowie. Może z Żydami polskimi też tak będzie. O Chanuce dowiemy się na wystawie, o wielkich cadykach poczytamy w albumie, cicit będzie wisiało na manekinie, a na macewę natkniemy się u kogoś na podwórku, bo z żydowskiego nagrobka zrobił sobie chodnik. A żeby zobaczyć żywy okaz, trzeba będzie jechać na Stamford Hill do Londynu, nowojorski Williamsburg albo – najprościej – do Izraela. I nie będzie już żadnego Polin – miejsca, w którym Żydzi w XV wieku znaleźli schronienie po tym, jak zostali wygnani z Hiszpanii i Portugalii. Według jednej legendy, przybywszy na nasze ziemie, przeczytali Po Lin, co oznacza dosłownie ‘tutaj spocznij’. Uznali to za dobry znak. Zamieszkali koło Polaków. Zaczęli wspierać polską gospodarkę i współtworzyć polską kulturę. A po kilku wiekach stało się to, co się stało. I z 10 procent populacji całej Polski – w tym 26 procent Krakowa, 34 procent Łodzi, 45 procent Białegostoku czy 75 procent Międzyrzecza Podlaskiego – zostało nas tak mało, że mój Syn i kilku jego rówieśników są obecnie jedynymi polskimi nastolatkami z pejsami. No to rzeczywiście jest Polska, a nie Polin.

Chyba że ktoś pomoże nas zabezpieczyć i zainicjuje program odnowy gatunku. Tak jak zrobiono z żółciem birmańskim, marabutem indyjskim czy bizonem. Lub – trzymając się terenów Polski – z bobrem, bocianem czy kuropatwą. Tylko że z ludźmi to chyba tak nie działa. Sami zdani jesteśmy na siebie i na swoje moce przerobowe. Ja mam pięcioro dzieci. Plus pięć dla żydowskiej społeczności. Ale więcej, nawet w imię przetrwania gatunku, z siebie nie dam.

*20 stycznia / 18 szwat, czwartek*

Znowu się podirytowałam. Nie pytaniem, które mi zadano. Choć słyszałam je wielokrotnie. Ale przekonaniem, że moja odpowiedź nie jest prawdziwa. Ile razy prowadziłam dyskusje na ten temat! Że Żydzi nie uprawiają seksu przez prześcieradło z dziurką! Zawsze pada argument, że w jakimś filmie, że w jakiejś książce, że to oczywista prawda. Jeżeli rozmówca wspomina konkretne miejsce, w którym ten wątek się pojawia, sprawdzam. I co się okazuje? Że dziurki nie ma. A patrzę dokładnie. Jest seks. Jest prześcieradło. Ale na łóżku, pod parą, czyli dokładnie tam, gdzie zazwyczaj bywa. Albo się okazuje, że rzeczywiście prześcieradło z dziurką się pojawia, ale treść nie jest zupełnie o Żydach. Mam niesprawdzonych kilka pozycji, do których zajrzę, gdy tylko będę miała okazję. Lecz niezależnie od tego,

co się w nich pojawi, Żydzi nie uprawiają seksu przez prześcieradło z dziurką. Ot co. To zwykły stereotyp. Początków można szukać dawno temu, kiedy to Żydzi mieszkali drzwiami w drzwiach z Polakami. Jedni przed swoimi domami wywieszali pranie i drudzy robili tak samo. Na sznurach wisiały gacie, koszule, lejbiki czy kapoty. Po stronie żydowskiej suszyły się tałesy i cicit. Te pierwsze kształtem przypominają wielki biały szal z kilkoma pasami, niebieskimi lub czarnymi. Ewentualnie można pomyśleć, że to lniana narzuta. Tałesy religijni Żydzi zakładają do porannej modlitwy. Cicit za to noszone jest na co dzień. To kawałek materiału z dziurą w środku, przez którą wkłada się głowę. Z daleka można uznać, że oto trafiliśmy na wspomniane prześcieradło. Choć dzisiaj raczej nasuwa się porównanie do rozciętego po bokach podkoszulka.

Dokładna nazwa pierwszego elementu stroju to tałes, można to też nazwać talitem. Za to materiał zakładany pod koszulę we wszelkich słownikach widniałby jako talit katan (talit mniejszy). Definicja cicit obejmowałaby tylko sznureczki przywiązywane do talitów.

Wiadomo jednak, że mowa potoczna rządzi się swoimi prawami. Tak więc u nas w domu, kiedy Mąż szuka tałesu lub talitu, chodzi o modlitewny szal. Kiedy Syn stwierdza, że potrzebuje nowego cicit, bo wyrósł z poprzednich, chodzi o talit katan. A jeżeli któremuś z panów poprują lub urwą się sznureczki, to wiadomo, że może zamiast kupować całe cicit, lepiej nabyć tylko tę część i podmienić.

Ten stereotyp o prześcieradle z dziurą jest stary jak świat i mocno się zakorzenił. Nie dam sobie ręki uciąć, że jakieś żydowskie bogobojne małżeństwo takiego prześcieradła nie używało. Mogło tak być. Może nawet takich domów, w których uniesienia miłosne praktykowano w ten sposób, było więcej. Kiedy jednak słyszę: „Ale to przecież powszechna praktyka, wiem, widziałam, wiem, czytałem”, a potem szybko się okazuje, że jednak film pokazywał zupełnie coś innego, a i książka jest wątpliwego pochodzenia, to uśmiech rozbawienia przechodzi w lekką irytację.

**22 stycznia / 20 szwat, sobota**

Spakowane. Gotowe. Jutro lecimy.

**23 stycznia / 21 szwat, niedziela**

Kiedy samolot wzbił się w powietrze, poczułam łezkę szczęścia w oku. Wyjazd to dla mnie namiastka wolności. Dowód na to, że jeżeli zechcę, mogę być gdzie indziej, a to, gdzie jestem, to mój wolny wybór, a nie sprawa Boga czy losu (choć czy to nie jedno i to samo, tylko pod różnymi nazwami?), który telepie mną wedle swojej woli, zupełnie bez mojego udziału. Jeżeli zdecyduję, że oto właśnie zabieram Córkę na kilka dni za granicę, to zrobię to i nic nie stanie mi na przeszkodzie.

Choć to oczywiście złudne. Każdy z nas jest więźniem swojego życia, którym może kierować tylko w ograniczony sposób. Nie ma znaczenia, czy matka pięciorga dzieci, czy biznesmen na wysokim stanowisku, czy Polak w środku inflacji, czy ktokolwiek z nas z oddechem pandemii na karku. Idziemy wyznaczoną nam drogą i jedyne, na co mamy wpływ, to czy skręcimy lekko w lewo czy ciut w prawo.

Temat wolnej woli i wyborów przykuwa moją uwagę najbardziej przy okazji święta Pesach. Żydzi byli niewolnikami w Egipcie. Faraon nie chciał ich wypuścić, choć Mojżesz, żydowski przywódca, groził, że i faraonowi, i Egipcjanom stanie się krzywda. Ale Bóg utwardził serce faraona tak, że ten był nieubłagany i nadal kazał Żydom ciężko pracować. Pytanie, czy gdyby Bóg nie włożył dodatkowego wysiłku w to, żeby faraon twardo stał przy swoim, ów władca szybciej pozwoliłby narodowi żydowskiemu odejść. I czemu w takim razie faraon został w końcu ukarany śmiercią, skoro nie miał wolnej woli, a co za tym idzie – nie mógł sam decydować?

Tak czy siak, wreszcie po dwóch latach znowu gdzieś leczę. Ostatnim razem byłam na konferencji w Sofii, a miesiąc później ze Starszakami w Izraelu. Tego drugiego wyjazdu nie zapomnę nigdy. Lało cztery dni bez przerwy. A na lotnisku nie chcieli nas wypuścić, ponieważ mieliśmy nieważne paszporty izraelskie. Do tego byłam w zaawansowanej ciąży i w ostatnim momencie, kiedy jeszcze wolno było



latać. Po trzech godzinach biegania między okienkami, negocjacji i błagań zdecydowano się nas wypuścić z Izraela. Tyle że zaraz potem nie chciano mi pozwolić wejść do samolotu ze względu na błogosławiony stan i ogromny brzuch. Na nic się zdawało zaświadczenie od lekarki. Kiedy wybuchnęłam płaczem, mówiąc, że chcę do domu, i kiedy obiecałam przez łzy, że nie urodzę, że naprawdę nie mam zamiaru rodzić w drodze, pracownicy linii lotniczej powoli zaczęli mięknać. Ale ostatecznie o naszym wylocie zdecydowały dwie krzyczące na obsługę Izraelki, które były świadkiniami zajścia. Darły się wniebogłosem, pchając mnie i dzieci za bramki, mówiąc, że nie ma opcji i że one właśnie zdecydowały, że polecimy. Za to kochałam życie w Izraelu. Że z każdego „nie ma absolutnie takiej możliwości” dało się wyjść i jakaś możliwość dzięki zupełnie obcym i przypadkowym ludziom się w końcu znajdowała.

Więc teraz leciałyśmy. Z ważnymi paszportami. Ze wszelkimi niezbędnymi kodami QR, bez których w czasie pandemii się nie obejdzie. Z zarezerwowanym hostelem. Z planem na dobrą zabawę bez zbędnych wydatków ani nieprzyjemnych niespodzianek.

*24 stycznia / 22 szwat, poniedziałek*

Doleciałyśmy. Jest cudownie!

*25 stycznia / 23 szwat, wtorek*

Pod gotycką katedrą, patrząc na wyrzeźbione na niej święte postaci, jedna z Córek zadała mi bardzo ciekawe pytanie, na które nie ma chyba żadnej sensownej odpowiedzi. Zauważyła, że Jezus ma długie włosy. Potwierdziła u mnie, że jest on bardzo ważną postacią dla tylu osób. „To czemu tak dużo ludzi ma problemy z facetami, którzy tak samo mają długie włosy? Czemu mówią, że to dziewczynska fryzura? Nie klei mi się to”. W istocie – mnie też zupełnie nie.

*26 stycznia / 24 szwat, środa*

Wszystko jest dokładnie tak, jak miało być. Łazimy od rana do wieczora, a wieczorem nasze łydki są twarde jak gład. Zasypiamy w sekundę, a rano budzimy się pełne energii, choć nogi nadal boją po dniu poprzednim. Dla dziewczyn największą atrakcją jest stara winda w hostelu, którą jeżdżą w tę i w tę, bawiąc się w windziarzy. Na drugim miejscu są kamienie na plaży, których pozbierały tyle, że może nas nie wpuszczą do samolotu za nadprogramowe kilogramy. I na końcu balonowa guma do żucia, którą jedna z Córek kupiła sobie w ramach pięciu euro kieszonkowego. Moje zachwyty są trochę ambitniejsze. Choć pojawia się pytanie, jak mierzymy „ambicję”. Może zrobienie pięciu balonów z rzędu (takich, które pękają po zetknięciu z policzkiem siostry) jest równie niezwykłym wyczynem jak złażenie całej Dzielnicy Gotyckiej. Więc może powinnam powiedzieć, że moje fascynacje są lekko odmienne niż fascynacje Córek. Dla mnie niesamowite są fasady budynków. Gdybym w innym życiu miała zostać architektką, to swoją edukację zaczęłabym od pomieszkania w Barcelonie, a po mieście chodziłabym tylko z zadartym łbem. Choć pod nogi też warto patrzeć, ponieważ chodniki warte są nie mniejszej uwagi.

Byłyśmy wszędzie, gdzie powinnyśmy były być, i widziałyśmy większość rzeczy, na których nam zależało. Poniosłyśmy małe fiasko, ponieważ pokaz pięknych fontann, z których słynie miasto, odbywa się we wszystkie dni tygodnia poza tymi, które obejmowały nasz wyjazd. Nie byłoby to takie straszne, gdyby nie to, że w dzień ogólnego kryzysu kazałam dziewczynom czekać dwie godziny na cudowne widowisko. Zagryzły zęby i choć padały ze zmęczenia, wyczekały, ile trzeba, po to, by o określonym czasie stanąć, patrzeć i zupełnie nic nie zobaczyć. Jedyne, co mnie w tej sytuacji pocieszyło, to opowieść o pewnej parze, która wybrała się do Barcelony. Zamiarem mężczyzny było oświadczyć się przy wspomnianych fontannach. Tyle że zakochani, tak jak my, odwiedzili miasto akurat

wtedy, kiedy pokazu nie było. Biedakowi pozostało wyciągnąć pierścione przy mniej zachwycających okolicznościach. Dziewczyny uśmiechnęły się, powiedziały „trudno” i z radością wróciły do hostelu, o czym marzyły od kilku godzin.

Mąż przygotował listę żydowskich miejsc wartych odwiedzenia, z synagogą, koszernym sklepem i koszerną restauracją. Ale synagoga i sklepik przez covid zamknięte, a w knajpie ceny, jakich na pewno nie chciałabym zapłacić za posiłek. W zasadzie wszystkie muzea kosztowały nas również znacznie więcej, niż byłam gotowa wyłożyć. Ale jakby się nad tym zastanowić, to ostatnimi czasy, ile razy otwieram portfel, tyle razy wyskakuje z niego kwota, która łapie za serce, bo ceny lecą w górę szybciej, niż wzbijał się nasz samolot. Z tym że tego, co oferują Narodowe Muzeum Sztuki Katalońskiej, park Güell czy Casa Batlló, nie znajdziemy nigdzie indziej, a z jedzeniem mogłyśmy sobie jakoś poradzić w niższej cenie.

Więc z żydowskich miejsc nie zaliczyłyśmy żadnego, nie licząc Montjuïc – Wzgórza Żydowskiego, na którym mieści się siedemnastowieczny zamek z przepięknym widokiem.

*27 stycznia / 25 szwat, czwartek*

Dwadzieścia dni temu była żydowska data moich urodzin. Nie nadażam za dniem dzisiejszym, czasem myśląc, że nadal mamy wrzesień, no ewentualnie październik, więc tym bardziej nie panuję nad kalendarzem żydowskim, przypominając sobie, jaki jest dokładnie dzień i miesiąc tylko przy okazji świąt. Ale o tym, że dzisiaj jest dzień moich urodzin według kalendarza gregoriańskiego, trudno zapomnieć, bo inni o tym pamiętają. Idealnie się złożyło, że jestem w podróży. Zupełnie nie mam ochoty ich obchodzić. Choć raczej chodzi o to, że nie chcę być o rok starsza. Tak bardzo mi mój wiek nie odpowiada. Czuję się znacznie młodsza. Mam wrażenie, że zanim zdążyłam pobyć dzieckiem, już byłam dziewczyną, zanim przeżyłam swoją dziewczęcość, już byłam kobietą. A teraz z kobiety młodej staję się kobietą mniej młodą o wiele szybciej, niżbym chciała.

*29 stycznia / 27 szwat, sobota*

Podczas wieczornych pogaduszek w czasie piątkowego wspólnego leżenia w łóżku zeszło na temat wisiora z Gwiazdą Dawida na szyi jednej z Córek. Podobno nauczycielka zwróciła jej uwagę, że to nie wypada. Poczułam wielką złość, że ktoś, kto sam nosi na piersi krzyż – symbol swojej religii – ma problem z dzieckiem w szkole, które nosi symbol dla siebie ważny.

Dosyć szybko ochłonęłam. W takich sytuacjach bardzo staram się nie poddawać emocjom i nie pędzić natychmiast z szablą na wroga. Zawsze podobnym doniesieniom towarzyszy cień wątpliwości, czy rzeczywiście sytuacja została oddana sprawiedliwie. Może Córka się przesłuszała lub źle coś zrozumiała? Dotyczy to również relacji z rodzeństwem, moją Mamą, Mężem czy znajomymi. Nigdy nie kwestionuję problemów, z jakimi przychodzą do mnie dzieci. Ale też nie przyjmuję ich ślepo za pewnik, niezależnie od siły mojego matczynego instynktu, który każe mi rozszarpać każdego, kto chociaż krzywo spojrzal na moje dziubdziusie. Raczej dopytuję, sprawdzam, czy rzeczywiście było dokładnie tak, czy może jednak trochę inaczej.

Jeżeli to prawda w stu procentach i nauczycielka ma problem z Gwiazdą Dawida, to wyjaśnienia widzę dwa.

Pierwsze to dominacja większości nad mniejszością i przyzwyczajenie do pewnych rzeczy, które automatycznie nazywa się normami, choć z „normalnością” nie mają nic wspólnego. Para homoseksualna, która trzyma się za ręce, to dla wielu obnoszenie się z seksualnością. Ale całująca się namiętnie para heteroseksualna zupełnie nikogo nie dziwi. Mała chanukija to manifestacja. Ale gigantyczna choinka to tradycja. Gwiazdy Dawida na szyi nosić nie wypada. Ale wisząca na łańcuszku sylwetka człowieka zamordowanego poprzez przybicie żywcem do drewna jest jak najbardziej na miejscu.

Niestety żyjemy w świecie – i moje dzieci nie są od niego wolne – w którym oczekuje się, że mniejszość dostosuje się całkowicie do większości. A jeżeli tego nie robi, niech się nie dziwi nieprzyjemnym konsekwencjom, w których zwykła uwaga jest najmniej przykra.

W wielu sytuacjach nie wyobrażam sobie, by każdy miał dokładnie to, czego chce. Na tym też polega demokracja. Decyduje większość. A mniejszość musi się pogodzić z decyzją. Trudno. Ale kwestia podwójnych standardów na poziomie społeczeństwa mi się nie podoba. A mają się one świetnie w religii i kulturze, w odniesieniu do takich kwestii, jak orientacja seksualna, sprawność fizyczna, płeć, kolor skóry, tusza i wiek. Czyli praktycznie wszędzie. Jeżeli więc panią nauczycielką kierowało poczucie wyższości i monopolu na wisiorki, to kicha. Nie jest to fajne.

Zakładam też jednak drugą możliwość. Brak podstawowej wiedzy. Nauczycielka niewątpliwie chce jak najlepiej dla swoich uczniów. Co do tego nie mam wątpliwości. Większość ludzi nie jest zła. Tylko nie wie, jak być dobra. Może Gwiazda Dawida kojarzy jej się z negatywnym przekazem. Symbol namalowany na murach obok wulgaryzmów. Kojarzony z gettem, Holokaustem i II wojną światową. Może taki wisiorek u młodej dziewczyny jej zgrzyta. Gdyby Córka nosiła zawieszkę ze swastyką, też by zareagowała. Albo broszkę z wielkim posrebrzonym penisem. Jestem przekonana, że nie zostawiłaby tego bez komentarza.

Tyle że może czas nauczyć się odróżniać jedno od drugiego. Swastyka to symbol z oczywistych powodów zakazany. Rozumiem, że na genitalia polska szkoła nie jest jeszcze gotowa. Ale Gwiazda Dawida nie podpada pod nic, co w jakikolwiek sposób mogło być lub wydawać się niewłaściwe. Współcześnie ma wymiar głównie i przede wszystkim narodowościowy. Jak orzeł w koronie. Nawet mniej, bo brak gwieździe podniosłości i powagi, jaką ma godło.

Nie do końca wiadomo, ani skąd pochodzi, ani kiedy dokładnie przyjęła się jako żydowski znak. Może widniała na tarczy biblijnego Dawida, tego, który walczył z Goliatem, a potem został wielkim królem? I stąd hebrajska nazwa *Magen* (dosł. 'tarcza') *Dawid*. A może sam puklerz miał, jak głosi inna opowieść, kształt heksagramu? Może widniała na pieczęci króla Salomona, syna Dawida? A może została zapożyczona z innych religii lub kultur? Dzisiaj nikt tego nie wie. W przeciwieństwie do menory – świecznika, o którym wspomina *Tora*, a który również jest elementem nierozdzielnie złączonym z żydowską kulturą – ma dosyć niejasną historię. A w którym momencie Gwiazda Dawida zaczęła być utożsamiana z Żydami? Najpewniej, jak podają znawcy tematu, w XVII wieku, by przez kolejne dwa wieki rozprzestrzeniać się po Europie Zachodniej, pod koniec XIX wieku stać się symbolem syjonizmu, w dwóch kolejnych stuleciach pojawiać się w logo licznych żydowskich organizacji, a po drodze stać się opresyjną naszywką na ubraniu ofiar Holokaustu. Współcześnie widnieje na fladze Izraela, na białym tle między dwoma niebieskimi poziomymi paskami.

Jest elementem izraelskiej flagi. Noszą ją na łańcuszkach Żydzi, i religijni, i świeccy, jako symbol swojej przynależności narodowej. A poza nimi także ci, którzy nie są Żydami, ale chcą zaznaczyć, że bliska jest im kultura żydowska. Są ciastka w kształcie Gwiazdy Dawida z białym i niebieskim lukrem, czyli w kolorach wspomnianej flagi. Są kubeczki we wzorek gwieździsty. I kostki Rubika w formie sześciopromiennej gwiazdy. I obroże dla psów z tym znaczkiem. Można go używać w dowolny sposób i nie obraża to ani uczuć religijnych, ani narodowych. Tylko skąd przeciętny Polak może o tym wiedzieć? Przecież w szkole nie uczą takich rzeczy.

Kiedy tak rozmyślałam, tułąc Córkę, przypomniały mi się pewne warsztaty, które prowadziłam w krakowskim liceum kilka lat temu. Poprosiłam uczniów, by w grupach na kartce napisali wszystko, co im się kojarzy z Żydami – i rzeczy negatywne, i pozytywne. Trochę nieśmiało zabrali się do pracy. W pewnym momencie do klasy weszła nauczycielka, której nie było, kiedy objaśniałam zadanie. Zajrzała przez plecy grupce chłopców, po czym strzeliła jednego w głowę i nerwowo coś zaczęła do niego szeptać. Im bardziej się zbliżałam, żeby zobaczyć, co się dzieje, tym bardziej ona była zdenerwowana. Kiedy podeszłam, wymamrotała, że Jasiak tak coś tutaj brzydko narysował, ale już to zmażuje. Jasiak popatrzył na mnie z lekką skruchą. Spodziewałam się jakiegoś wulgarnego rysunku, może ze mną w roli głównej. A on zawstydzony zakrywał Gwiazdę Dawida. Popatrzyłam na oboje, po czym powiedziałam, że uczeń świetnie się spisał, i pochwaliłam, że taki łebski z niego chłopak. Rozdziawili buzie w niedowierzaniu. W drodze do tablicy zerknęłam na pulpity ławek. Na każdej wryta

była Gwiazda Dawida, a obok widniały częściowo pozamazywane napisy typu „Śliwa to kutas i Żyd” czy „Jaro, Jaro, ty żydki i pedziu”.

Poprosiłam nauczycielkę, by nie wychodziła, bo może i ją zajęcia zainteresują, po czym przez czterdzieści pięć minut tłumaczyłam, że Gwiazda Dawida to nie symbol nienawiści, a słowo „Żyd” to nie obelga. Czułam się jak Kolumb, który odkrywa przed nimi Amerykę. A szkoda. Kolumb żył kilkaset lat temu, Ameryka to daleki kontynent, Żydzi zaś byli częścią naszej Polski jeszcze parę pokoleń wstecz.

Kończąc wątek, który rozpoczął te rozważania, uznałam, że nawet jeżeli Córka oddaje zajście dokładnie tak, jak wyglądało, powodem takiej reakcji był chyba brak wiedzy. Chyba że Córka jednak coś źle zrozumiała.

### ***1 lutego / 30 szwat, wtorek***

Przedwczoraj byłam na świetnym przedstawieniu. Sztuka reżyserowana przez kobietę, grana przez pięć aktorek. Monologi i dialogi na podstawie herstorii, reportaży, biografii i badań. Śmiałam się, aż łzy płynęły mi po policzkach i grzęzły w maseczce. A potem nagle czułam, jak opada mi szczęka, a na policzki wychodzą rumieńce. Czułam ścisk w gardle, ni to płacz, ni to przerażenie. A potem znowu coś zabawnego. I na przemian ze wstrząsem. Słowa wypowiedane przez aktorki były tak prawdziwe, a przez to momentami trudne. Był to głos kobiet – i tych zranionych, i tych wściekłych, i tych smutnych, i tych walczących. Ale też tych zadowolonych, i tych, które mają to, czego potrzebują. Do tego mocna muzyka i świetna energia publiczności, która wypełniała salę po brzegi. Wyszłam pełna. Nie umiem powiedzieć, pełna czego, ale te emocje były wyzwalające. Jeszcze zanim wsiadłam do tramwaju, popatrzyłam z czułością na budynek, w którym znajduje się teatr. Kilkanaście lat temu przychodziłam tutaj na kotleta mielonego. Siadałam przy stole i przyglądałam się żydowskim seniorom, którzy tak jak ja wpadli do kuchni gminy wyznaniowej żydowskiej, żeby się smacznie i koszernie pożywić.

### ***2 lutego / 1 adar, środa***

Spotkałam się z nauczycielką ze szkoły moich dzieci. Twierdzi, że nigdy nie zwracała żadnej uwagi na Gwiazdę Dawida na szyi Córki i że ta musiała coś źle zrozumieć. Czy mogę coś więcej w tej sprawie zrobić, skoro dwie strony mówią coś innego?

### ***3 lutego / 2 adar, czwartek***

Wypełniam formularz rejestracyjny dla Starszego Syna, który za kilka dni leci do Waszyngtonu na zjazd żydowskich nastolatków z całego świata. Nie sprawdziłam jeszcze programu, bo decyzja zapadła niespodziewanie. Ale od różnych znajomych słyszałam, że takie wyjazdy są zawsze świetną przygodą. Sama na takie jako dziewczynka i nastolatka nie jeździłam. Dopiero jako dorosła kobieta byłam parę razy opiekunką na żydowskim obozie. Upewniłam się tylko, czy będzie koszernie i szabatowo, dostałam odpowiedź, że tak, bo religijnych dzieciaków będzie więcej. Więc rejestruję w ciemno. Imię, nazwisko, data urodzenia, płeć. I co można zaznaczyć? Chłopak, dziewczyna, niebinarny, gender queer i gender fluid. Jest też opcja „nie chcę podawać informacji”.

### ***5 lutego / 4 adar, sobota***

Podczas kolacji szabatowej Starszy Syn zaczął opowiadać o sporze dwóch znanych w social mediach panów o niskim wzroście. Niezgoda dotyczyła słownictwa. Jeden uważał, że poprawna forma to niskorosły. Drugi, że woli być nazywany karłem. Pierwszy tłumaczył, że określenie „karzeł” jest

obraźliwe. Drugi, że nie chce, by opis jego osoby kładł nacisk na wzrost, jakby to była jedyna jego cecha. A potem włączyła się Najstarsza Córka. Zaczęli się z Synem wymieniać uwagami na temat różnych youtuberów. Żułam ziemniaka, słuchając, co mówią. Patrzyłam w osłupieniu. Nie rozumiałam zupełnie nic. Rozdziawiałam coraz bardziej gębę, ciesząc się, że reszta jest pochłonięta rozmową i nikt nie zwraca na mnie uwagi, boby mnie złapali na całkiem otwartej buzi z jedzeniem w środku. Łypałam ukradkiem na Męża, zazdroszcząc, że on jednak wie, o czym mowa. Ja nie byłam nawet w stanie odróżnić słów od ksywek, a ksywek od programów. Ale cringe, co za boomer ze mnie.

***6 lutego / 5 adar, niedziela***

Usiadłam do książek, żeby się przygotować do wykładu, który mam za dwa tygodnie. O stereotypach żydowskich. Już dawno temu zdecydowałam, że chcę zgłębić fałszywe poglądy dotyczące Żydów, które rozpanoszyły się w polskim społeczeństwie na dobre. Ale że temat wcale nie jest przyjemny, jakoś do tej pory czas się na to nie znalazł. Nigdy do tego nie doszło.

Niedawno zadeklarowałam, że zrobię o nich wykład w pewnej żydowskiej instytucji. W ten sposób świadomie ukręciłam na siebie samą bat. Dzięki niemu wreszcie do tematu się zabiorę, bo odwrotu już nie ma. I usiadłam wczoraj wieczorem do książki o Żydzie – odwiecznym wrogu. Czytałam ją kilka miesięcy temu i porzuciłam w połowie. Teraz zaczęłam od podkreślonych wcześniej fragmentów i przeglądania ilustracji. Karykatury przedstawiające Żyda jako pedofila, jako pajaka, jako obleśnego nagabywacza niewinnych kobiet. Po kwadransie miałam wypieki na twarzy, mnóstwo myśli w głowie i sporo smutku w sercu. „Może lepiej przed nocą to zostawić” – pomyślałam i odłożyłam książkę. Mam jeszcze dwa tygodnie. Zdam się przygotować.

***7 lutego / 6 adar, poniedziałek***

Tak się złożyło, że zostałam zaproszona na spotkanie do Warszawy. W tym samym czasie pojawiła się propozycja wystąpienia w telewizji śniadaniowej, również w stolicy. Więc jadę na dwa dni, a co najbardziej ekscytujące – na dwie noce! Jestem człowiekiem, który ostatnio gorzej zasypia, choć do tej pory zapadanie w sen przychodziło mi z łatwością niezależnie od sytuacji. Do tego Najmłodszy budzi nas brutalnie i albo płacze z niewiadomych nam powodów, albo kładzie się niewinnie między nami po to, by po pięciu minutach od zaśnięcia zacząć kopać, spychać i szturchać. I jeszcze sny. Realne i tak bardzo intensywne, że czasem tydzień później mam wrażenie, że coś wydarzyło się naprawdę, a nie w sennej wizji. Budzę się jeszcze bardziej zmęczona, niż kiedy się kładłam poprzedniego wieczoru. Więc wizja dwóch nocy w hotelu, w innej przestrzeni i bez malca, to dla mnie wizja raj. Dawno na nic tak się nie cieszyłam.

***8 lutego / 7 adar, wtorek***

Stolica przywitała mnie bardzo serdecznie. Mam do Warszawy sentyment. Głównie przez osoby bardzo drogie memu sercu, które tu mieszkają. I trochę przez kilka miłych w niej pobytów, do których wracam czasem myślami.

Od dworca Warszawa Centralna do hotelu miałam dziesięć minut na piechotę, ale przez moją wrodzoną nieumiejętność poruszania się w terenie droga zajęła mi godzinę. Mam w mózgu jakąś nienazwaną i niezdiagnozowaną dysfunkcję, która sprawia, że czasem wychodzę na totalną kretynkę. Nie umiem czytać map, nie odróżniam lewa od prawa, zupełnie nie jestem w stanie wyobrazić sobie, ile to jest pięć metrów, a ile pół kilometra, wsiałam do tramwaju, który jedzie w przeciwnym, niż chciałam, kierunku. Gubię się zawsze i wszędzie. I nie zawsze od razu odnajduję. Do tego nie odróżniam kolorów złotego od srebrnego, kalafiora od brokuła, Katowic od Kielc, Macedonii od Mołdawii. Kiedyś

publicznie Hołdysa – świetnego muzyka i bardzo dobrego dziennikarza – nazwałam Hołowczycem. Pan Hołdys na moje nieszczęście był obecny przy tym kompromitującym zajściu. W swoim majestacie dał mi do zrozumienia, że wszystko okej i że takie pomyłki są zupełnie nieistotne. Nie zapytałam, czy ktoś jeszcze pomylił go z rajdowcem. Przyjęłam z wielką ulgą, że mnie nie zwymyślał. Właśnie dlatego nie będę nigdy kandydowała na prezydentkę. W pół dnia udałoby mi się prześcignąć panią Renatę Beger i jej słynne „Anana Kofana”.

*9 lutego / 8 adar, środa*

Wystąpienie w telewizji śniadaniowej uważam za udane, choć nie mam zupełnie pojęcia, co mówiłam. Kiedy poczułam się swobodnie i pomyślałam, że nieźle mi idzie, prezenterzy powiedzieli „dziękujemy za rozmowę”, co oznaczało, że mój czas się skończył. Sześciominutowe wypowiedzi są dla mnie najtrudniejsze. W pół godziny czy godzinę można rozwinąć skrzydła. W pół minuty wiadomo, że trzeba się bardzo sprężyć, by przekazać cokolwiek sensownego. A takie sześć czy piętnaście minut to dla mnie czas jeszcze nieopanowany.

Ale wyglądałam dobrze. Profesjonalny makijaż wykonany przez zespół telewizyjny. Ładna, nowa sukienka. I ciekawe doświadczenie. Świetnie było zobaczyć od kuchni, jak funkcjonuje takie miejsce.

Kiedy potem oglądałam zdjęcia z tego spotkania, rzuciło mi się w oczy, jak zostałam podpisana – feministka i religijna Żydówka. Podczas wywiadu redaktorzy zapytali mnie, czy feminizm i ortodoksja się nie wykluczają. Już się przyzwyczaiłam do tego typu pytań. Tak jak i do uwag, że te dwa słowa razem brzmią jak oksymoron. Dzisiaj odpowiadam o wiele pewniej niż kiedyś. Choć jeszcze nie tak dawno temu zdarzyło mi się pleść głupstwa. Niektóre ciągną się za mną nadal. Nawet jeżeli już nikt nie pamięta, co palnęłam, wracają do mnie moje własne słowa i ciarki zniesmaczenia przechodzą mi po plecach.

Teraz głośno mówię o sobie „feministka”. Ale kilka miesięcy temu podczas wywiadu dla jednej z polskich gazet, w którym miałam opowiedzieć o sobie, o moim podejściu do życia, o roli kobiety w judaizmie, zostałam zapytana, czy jestem feministką. Odpowiedziałam najgłupiej, jak mogłam. Czyli że nie lubię tak o sobie mówić, bo to słowo źle mi się kojarzy. Z nienawidzącymi facetów fajterkami, które noszą krótkie włosy i nie golą pach. Dodałam potem, że absurdem wydają mi się takie pytania. Ponieważ tak jak nikt nie chce wiedzieć, czy myję ręce po skorzystaniu z toalety, bo to oczywiste, tak oczywiste powinno być to, że się jest za równouprawnieniem kobiet i mężczyzn. Tylko że w wersji drukowanej to ostatnie zdanie wypadło. Tekst autoryzowałam i w mojej pierwotnej wersji było. Ale w ostatniej chwili artykuł okazał się za długi. No i redakcja wykasowała akurat ten fragment, bez żadnej konsultacji, tłumacząc, że to wydawca ma ostatnie zdanie, a ja i tak bardzo swoją wypowiedź pozmieniałam. Kiedy z płaczem zatelefonowałam do dziennikarki, zgodziła się poprosić o przywrócenie zdania w wersji online. Od znajomych dowiedziałam się potem, że komentarze nie zostawiają na mnie suchej nitki. Od dawna komentarzy w internecie na swój temat nie czytam, bo od tego prosta droga do całkowitej utraty motywacji i wiary w siebie. Ale myślę, że w tamtej sytuacji część krytyki była uzasadniona.

Tak czy siak, tekst o krótkich włosach i niegoleniu się został. I jeżeli ktoś go kiedyś wspomni, zapadnę się pod ziemię. Po pierwsze, co ma piernik do wiatraka, kto co goli, jaki fryz nosi i kogo to w ogóle obchodzi. Po drugie, osobiście wkładałam wiele wysiłku w to, by Żydzi nie byli postrzegani stereotypowo, a w tym samym czasie powieliłam stereotypy o feministkach. Bardzo długo potem o tym myślałam. Przegadałam temat sama ze sobą, z Mężem, ze Szwagierką, z Mamą. I do opisu na Instagramie dodałam „feministka”. Więc już nikt mnie nie pyta, czy nią jestem. Padają za to pytania, jak to możliwe.

Tak jak podczas wywiadu do gazety zgłupiałam i zaczęłam coś bredzić, tak wiele razy potem trudno mi było nie paplać trzy po trzy. Bo w zasadzie co to jest za pytanie? Czy jestem za tym, żeby kobiety i mężczyźni byli równo traktowani? Oczywiście, że tak! Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej. I nie rozumiem, jak w XXI wieku można o to kogokolwiek pytać? Może dlatego słowo

„feminizm” w wielu osobach, włącznie ze mną jeszcze jakiś czas temu, budzi taką niechęć? Bo skoro istnieje, to zakładamy, że nazywa jakąś wyjątkową postawę, odstępstwo od reguły. Tak jak są antysemita, którzy uważają Żydów za gorszych, oraz filosemici, którzy Żydów kochają tylko za ich pochodzenie. Ale nie ma określenia na kogoś, kto Żydów traktuje jak każdego innego. Ktoś, kto nie dyskryminuje innych ze względu na rasę, nie ma swojej nazwy. To nawet nie podpada pod osobę tolerancyjną. Dopiero odstępstwo do normy zwie się rasizmem. Są wegetarianie, którzy nie jedzą mięsa, bo wyróżniają się na tle mięsożernej większości. Ale może za jakiś czas normą będzie dieta roślinna i w jadłospisach wyróżniać się będzie nieliczne potrawy z mięsem.

A jak odpowiedziałam w wywiadzie, którego udzieliłam dzisiaj w telewizji śniadaniowej? Jaka jest właściwa odpowiedź na pytanie, czy mój feminizm nie wyklucza mojej ortodoksji? I na odwrót? Nie wyklucza. Ale niestety w szerszej odpowiedzi pies jest pogrzebany.

**11 lutego / 10 adar, piątek**

Dzisiaj jest żydowska data urodzin najmłodszego członka naszej rodziny. *Mazel tow!*

**12 lutego / 11 adar, sobota**

W szabat podjęłam kolejną próbę przeczytania kilku książek na temat stereotypów dotyczących Żydów. Tym razem udało mi się zgłębić temat bardziej niż poprzednio. Ale to nadal za mało. Interesuje mnie wszystko, co dzieje się dookoła poglądów na temat Żydów i pieniędzy oraz tego nieszczęsnego przekonania, że Żydzi zabijali chrześcijańskie dzieci, by używać ich krwi. Co do drugiego przesądu nie ma żadnej konkretnej przesłanki, która w jakikolwiek sposób mogła tłumaczyć lęk. Z wyjątkiem ludzkiej głupoty, łatwości, prymitywnej reakcji tłumu. I straszenia mas, by nimi kierować. W zasadzie nagonki na krwiożerczych Żydów podsycane przez ówczesny Kościół katolicki nie różnią się niczym od monologów prowadzonych przez niektórych polityków na temat „zagrożającej ideologii LGBT+” oraz „panoszącego się żydostwa, które jest niebezpieczne”. Choć przesadziłam. Tamte kończyły się pogromami, a ostatni z nich dokonał się w 1946 roku w Kielcach. Dzisiaj wydaje mi się to już niemożliwe. Choć może to tylko moja bańka, w której wygodnie siedzę, a prawda jest mniej optymistyczna.

Z pierwszym przesądem, łączącym Żydów z pieniędzmi, jest trudniej. Utrwalił się na przestrzeni setek lat. A wpłynęły na niego liczne prawa nadawane i odbierane Żydom przez kolejnych włodarzy. Do tego dochodziły różnice między zawodami, jakimi się parali przedstawiciele różnych religii. I na koniec piśmienność, umiejętność rachowania i znajomość języków, które u jednych były codziennością, a u innych czymś wyjątkowym i rzadko spotykanym.

Dlatego byli handlarze i posiadacze ziem. Karczmarze i ci, którzy w karczmach pili. Lichwiarze i pożyczający. Ze względu na te widoczne podziały w polskiej świadomości zrodziły się dwa przekonania z pieniędzmi w roli głównej. Oba współcześnie mają się świetnie. Jedno jawnie negatywne. Wszyscy Żydzi są chciwi, oszukują, kradną i finansowo wyzyskują. Drugie pseudopozytywne. Każdy Żyd ma smykałkę do interesu, wielkie kupy złota, a oszczędność to jego drugie imię. Czemu nie uważam tych stereotypów za pozytywne? Bo coś takiego jak pozytywny stereotyp po prostu nie istnieje. Każde uogólnienie na temat danej grupy jest krzywdzące wobec jednostki. Każde, każdziuteńkie bez wyjątku.

Tak jak popularne, choć niedawno zakazane figurki czy obrazy Żyda z pieniążkiem są według mnie czymś złym. Jeszcze kilka lat temu machałam na nie ręką, podobnie jak wiele znanych mi osób. Żeby nie przesadzać, bo to przecież nic wielkiego. No jak ktoś uważa, że brodac z pejsami i sakiewką pełną kasy przyniesie mu szczęście, to nic strasznego. Z czasem zmieniłam zdanie. Uważam, że są wręcz ohydne i przyczyniają się nie tylko do umacniania głupich stereotypów, ale i do niesprawiedliwego traktowania całego żydowskiego narodu. Niby nic. A jednak właśnie na takich drobnostkach budują się fałszywe przekonania. Moje postrzeganie „żydków”, jak obrzydliwie nazywane są figurki, zmieniło

dodatkowo pewne zajście.

Znajoma znajomej z Izraela przyjechała do Łodzi, gdzie wtedy jeszcze mieszkałam. Chciała zobaczyć miasto, z którego pochodzili jej rodzice. Znalazłyśmy stary dom jej rodziny. Chodziłyśmy po terenach byłego getta. Rozmawiałyśmy o przeszłości, o wojnie, o tym, co się teraz dzieje w Polsce. Mimochodem powiedziałam jej, że sprzedaje się tu obrazki z Żydem pochylonym nad kasą. Popatrzyła na mnie i zaczęła się śmiać. Była przekonana, że żartuję. Kiedy powiedziałam jej, że to nie żart, że naprawdę istnieją takie obrazki, przystanęła. Bardzo spoważniała. Łaziłam z nią cały dzień i nie były to łatwe chwile. Parę razy miała łzy w oczach, kilka razy westchnęła poruszona. Ale teraz dojrzałam w jej oczach przerażenie. Akurat niedaleko był jeden z niewielu sklepów z pamiątkami w tej okolicy. Ponieważ i tak chciała kupić dzieciom jakieś magnesy czy notesik z Łodzi, zaprowadziłam ją w to miejsce. Kiedy weszła do środka, rozglądała się chwilę, aż jej wzrok natrafił na małe i duże figurki Żydów trzymających grosz. Wzięła je do trzęsących się rąk. Obejrzała z każdej strony, jakby nie wierzyła w to, co widzi. Po czym zrobiła się sinoblada i szybko wyszła. Usiadła na murku. Nie wiedziałam, czy jest jej słabo czy niedobrze. Czy mam ją podtrzymywać, czy szukać miejsca, w którym mogłaby zwymiotować. Podałam jej wodę. Piła powoli, nic nie mówiąc. A potem popatrzyła na mnie i powiedziała zimnym, ale spokojnym głosem: „Skoro Żydzi z pieniędzmi przynoszą szczęście, czemu pozwoliliście tylu Żydów zamordować?”. Nie odezwałam się. Wiem, że z emocjami się nie dyskutuje. Przy emocjach się jest. Ale kiedy ochłonęła, wróciłam do tematu, wyjaśniając, że jej uwaga nie była sprawiedliwa. Za ratowanie Żydów groziła śmierć. A mimo to wielu ryzykowało życie swoje i bliskich, aby Żyda ukryć. Pokiwała głową, że wszystko to wie. Ale zderzenie państwa, w którym jej rodzina była prześladowana, byłego getta, w którym zostali zamknięci, z figurką wesłego pejsatego Żyda z pieniążkiem nią wstrząsa. Faktycznie, mną również.

W wykładzie poruszę temat, rzecz jasna, znacznie szerzej. Będę mówiła o wielu, wielu innych stereotypach dotyczących Żydów, nie tylko tych, które tu wymieniłam.

***13 lutego / 12 adar, niedziela***

Mój mały Synek poleciał do Ameryki. W którym momencie dziecko przestaje być „naszym małym synkiem czy córeczką”? Kiedy zaczyna chodzić? A może raczej mówić? Kiedy pójdzie do szkoły? Albo pierwszy raz wyjdzie ze znajomymi? A może dopiero wtedy, kiedy poleci na inny kontynent? Albo zacznie zarabiać? Wyprowadzi się z domu? Albo doczeka własnych dzieci? A może nigdy? Czy do końca swoich dni będę myślała o swoich dzieciach w ten sposób?

***14 lutego / 13 adar, poniedziałek***

Dzisiaj walentynki, których nie obchodzimy. Prędzej dajemy sobie dodatkowy uśmiech w Tu be-Aw, które w żydowskim kalendarzu poświęcone jest zakochanym. Tu be-Aw wypada piętnastego dnia miesiąca aw, czyli w lecie. Dawno temu kończył się wówczas okres zbiorów zbóż i rozpoczynano zbiory winogron. W tym czasie niezamężne dziewczyny ubierały się na biało, by tańcować w winiarniach. Współcześnie przerodziło się w odpowiednik walentynek, choć jest obchodzone na znacznie mniejszą skalę.

***15 lutego / 14 adar, wtorek***

Idąc w pośpiechu na zajęcia do żydowskiego przedszkola, próbowałam wyminąć kilkadziesiąt turystów. Jak to bywa w podobnych sytuacjach, taka grupa idzie swoim tempem, przystaje zainteresowana jakimś budynkiem, zwalnia, by zrobić zdjęcie, przyspiesza, by dogonić resztę. Jest zupełnie nieprzewidywalna. W przypadku przyjeżdżających Żydów, a ci na takich wyglądali, dodatkowo



towarzyszy im ochrona. I we mnie, kiedy widzę rosłych mężczyzn srogo na każdego spoglądających, budzi się złość. Czy oni na serio myślą, że ja bym chciała kogoś skrzywdzić? Muszą pozować na takich niedostępnych i groźnych? A ta broń naprawdę jest im potrzebna? Podobnie mam z każdym innym, kto porusza się z ochroniarzem. Serio ktoś myśli, że podbiegnę do znanej aktorki, żeby rzucić się jej na szyję? Albo że zechcę zabić prezydenta?

Często w takich sytuacjach mam ochotę popatrzeć zimnym wzrokiem prosto w oczy facetowi z krótkofalówką. Żeby poczuł moją wobec niego dezaprobatę. Niech wie, że wcale mi się nie podoba jego funkcja. Ot co! Ale potem prowadzę ze sobą wewnętrzny dialog. Ochrona to nie widzimi się. Gdyby nie była potrzebna, nikt by jej nie wynajmował, zważywszy na koszt, organizację, niewygodę i to, jaką niechęć budzi. Na prezydentów są zamachy, zdarzały się udane. Na gwiazdy i celebrytów ludzie skaczą, nierzadko ich w swej euforii masakrując. A Żydzi są atakowani. I w Polsce, i za granicą. Ochroniarzami nie kieruje osobista niechęć wobec zwykłego przechodnia na przykład na krakowskim Kazimierzu. To konieczność, żeby wszyscy byli bezpieczni. I zamiast wywijać gałkami ocznymi, aż kafar się skuli, patrzę na niego przyjaźnie jak na każdą inną osobę. A nawet przyjaźniej. W końcu naraża swoje życie, aby w razie konieczności obronić innych.

**17 lutego / 16 adar, czwartek**

Zastanawiają mnie pytania, które dostają raz na jakiś czas. Czy nie-Żyd może powiedzieć *szalom*? Czy nie-Żydówka może założyć chustę na głowę? Czy nie-Żydzi mogą wejść do synagogi? Czy nie-Żyd może mieć w domu menorę? Nie do końca rozumiałam, skąd się biorą. No oczywiście, że można mówić i *szalom*, i *aj-waj*, i *lechaim*, i *mazel tow*. Hebrajski czy jidysz to języki jak wszystkie inne. Może się nimi posługiwać każdy. Tak jak noszenie chustki nie jest zarezerwowane tylko dla żydowskich mężatek. Kto chce, niech zakłada do woli. Z czasem poznałam określenie „przywłaszczenie kulturowe”. Rozumiem je, choć nadal nie znam wszystkich aspektów oraz wytycznych, co wolno, a czego robić się absolutnie nie powinno, bo owym przywłaszczeniem jest. I na przykład zrozumiałam niechęć wobec przebrania się białych w pióropusze indiańskie czy czesania się w warkoczyki przez osoby, które nie są czarne. Jedni przez taką oznakę przynależności do danej grupy etnicznej byli dyskryminowani. U białych nikomu to nie przeszkadza. Trochę jak wprowadzanie zakazu noszenia burek, ale wielkie oklaski dla stroju jednej z Kardashianek, która na Met Galę przyszła całkowicie zakryta. Reguła mogłaby się zatem sprowadzać do: niech uprzywilejowani nie paradują w czymś, za co inni mogą oberwać.

Ale jak jest z elementami ubioru żydowskiego? Czy żydowskiej kultury? Nie wiem. Nie umiem jednoznacznie powiedzieć, u jakiego nie-Żyda menora będzie nietaktem, a u kogo mezuzah wtopi się w nieżydowski dom.

W takich sytuacjach chyba należy zadać sobie pytanie, czy wiemy, czym dany symbol jest dla jego grupy społecznej. Czemu służy, jaką ma wagę, jaka historia się za nim kryje? Chyba wiedza zawsze jest dobrym kierunkiem przy wyborze tego, w czym żyjemy.

**18 lutego / 17 adar, piątek**

Za trzy dni 20 adar – żydowska data urodzin Najstarszej Córk. *Mazel tow* dla niej!

**19 lutego / 18 adar, sobota**

Podczas kolacji szabatowej Najmłodsza Córka miała do nas szereg pytań, na które naszym zadaniem było odpowiedzieć. W nagrodę dostawaliśmy wycinankę z papieru toaletowego. Mąż został zapytany o to, ile brzuszków ma literka B. Odpowiedział, że trzy, co lekko Córkę zdziwiło. Ale dzięki temu mogła popisać się wiedzą i dokładnie opowiedzieć Mężowi, jak B wygląda. Mnie trafiło się pytanie

o to, jaką funkcję ma róża, i zupełnie szczerze odpowiedziałam, że nie wiem – poza tym, że chyba głównie ma cieszyć ludzkie oko. Środkowa Córka dodała, że może być też czyjąś znajomą, skoro przyjaźniła się z Małym Księciem. Dalej w temacie kwiatów Mąż został zagięty, bo nie wiedział, jak długo rośnie tulipan.

A wieczorem spotkałam się ze znajomymi Szwagierki. Od dawna proponowała mi, żebym dołączyła do grona pań, które spotykają się raz na jakiś czas, by po prostu pogawędzić. Wreszcie się udało. Mąż został z dziewczynami w składzie powiększonym o kuzynkę, a ja, wsiadłszy na rower, mój ulubiony środek transportu, poszybowałam w stronę innego niż domowy kosmosu.

Jakie to było orzeźwiające spotkanie. Inteligentne, mądre kobiety z dystansem do siebie i do świata. Bardzo dużo ważnych wątków, sporo celnych uwag i mnóstwo śmiechu. Ach! Jak ja uwielbiam się śmiać. Jak dobrze mi to robi. I na ciało, i na duszę. Wróciłam do domu w świetnym nastroju!

***20 lutego / 19 adar, niedziela***

Jestem zadowolona ze swojego wykładu o stereotypach na temat Żydów. Trwał bite dwie godziny. Wymęczyłam siebie i słuchaczy. Ale choć koniec końców był zupełnie inny, niż chciałabym go widzieć pół roku temu, i tak wydaje mi się wartościowy.

***21 lutego / 20 adar, poniedziałek***

Byłam na pogrzebie członkini żydowskiej społeczności. Najpierw parę słów w domu przedpogrzebowym, który znajduje się na kirkucie – żydowskim cmentarzu – wygłosił przewodniczący gminy wyznaniowej żydowskiej. Dookoła skromnej drewnianej trumny bez żadnych wieńców, czyli dokładnie takiej, jaka powinna być, zebrali się przybyli. Kilka osób siedziało na krzesłach, reszta stała. Kadisz w imieniu syna zmarłej odmówił naczelny rabin Polski. Potem, jak to jest w zwyczaju, ochotnicy podnieśli trumnę. Zanieśli ją w wyznaczone miejsce. Delikatnie opuścili do dołu, do którego kolejno podchodzili mężczyźni, zasypując przygotowaną wcześniej ziemią. Zarówno niesienie ciała, jak i zasypywanie go to zadania krewnych i przyjaciół osoby, która zmarła. A samo uczestnictwo w pogrzebie to jedna z micw, czyli żydowskich obowiązków. Na koniec została wbita tymczasowa tabliczka z imieniem kobiety, która właśnie została pochowana. Kilka pięknych słów wygłosił przyjaciel zmarłej. Dosyć szybko, w lekkiej, ale chłodnej mżawce, wszyscy się rozeszli, ostrożnie stąpając między nagrobkami. Na żydowskich cmentarzach – tych w Polsce, które mają po kilkaset lat – zawsze się boję, że depczę po czymś grobie. Czasem bardzo trudno ocenić, czy wbite w ziemię macewy oznaczają, że właśnie w tym miejscu ktoś spoczywa, czy może zostały przeniesione i są tylko kawałkiem kamienia z ledwie widocznymi literami.

Spotkałam kilkoro znajomych, z którymi mimo okoliczności miło było wymienić skinienie głową i schowany pod maskami uśmiech.

Przez chwilę jednak poczułam przygnębienie tym wszystkim. Nawet nie wiem, co najbardziej mnie dotknęło. Czy to, że znana mi osoba umarła? Czy to, że jako mała dziewczynka straciła ojca i matkę, którzy jak tysiące innych Żydów zginęli podczas Holokaustu? Czy to, że nosiła przez całe swoje życie ciężar okrucieństw wojny? A może bardziej zmartwiło mnie to, w jakim stanie jest cmentarz? A może to, że ten krakowski jakoś się trzyma, ale kirkuty w małych miastach nie mają tyle szczęścia? Są bardzo zaniedbane, częściej służą psom do wypróżniania się czy młodzieży do zabawy niż odwiedzającym do chwili zadumy. Żyjącym w Polsce Żydom nie starcza ani siły fizycznej, ani środków finansowych, by zajmować się tymi wszystkimi grobami. Kolejny skutek II wojny światowej i wymordowania znacznej części polskiej społeczności żydowskiej. Chciałoby się dodać, że nie brakuje organizacji – żydowskich i nieżydowskich, w Polsce i za granicą – i oddolnych inicjatyw lokalnych, które próbują zapanować nad tym niszczącym kawałkiem nie tylko żydowskiej historii. Ale właśnie choć są, to jednak za mało, stanowczo niewystarczająco. Powoli, pod naporem czasu, znikają kolejne

miejsca. Nie można powiedzieć, że kiedyś tętniły życiem, bo w kontekście cmentarza byłyby to oksymoron. Ale na swój sposób żyły. Z pewnością komuś były potrzebne, przez kogoś używane. A dzisiaj? Kamyki na groby przywiał wiatr, może ptak przeniósł w dziobie. Na pewno nie położył ich pamiętający o zmarłym człowiek. Bo tego człowieka też już nie ma.

*22 lutego / 21 adar, wtorek*

Ponieważ wczoraj wrzuciłam na Instagrama krótką relację z krakowskiego kirkutu, dzisiaj sypią się pytania, czy to prawda, że Żydów chowa się na siedząco, by kiedy przyjdzie Mesjasz, szybciej wstali z grobu. Zaczęłam odpisywać, że to zwykły mit i że w trumnie lądują w pozycji leżącej. Część osób odpisuje: „Aha, dzięki”. Ale druga idzie w zaparte. Bo tak mówili przewodnik, nauczycielka lub jakiś zacny historyk. Wtedy odsyłam do informacji, które u siebie już dawno umieściłam. W nich wyciągam batalion rabinów, z którymi to konsultowałam, członków chevry kadisza, czyli ugrupowania zajmującego się przygotowaniem ciała do pochówku, oraz znawców cmentarzy żydowskich. Już widzę, że będą rozmówcy, których nadal nie przekonam. Może powinnam im zrobić wykład na temat stężenia pośmiertnego, które sprawia, że ciało sztywnieje, i opowiedzieć o własnych doświadczeniach ze zwłokami, które przygotowywałam do pochówku? Boję się jednak, że co poniektórych takie wchodzenie w szczegóły zniesmaczy i utną temat, dalej wiedząc swoje. Właśnie uświadomiłam sobie ciekawą rzecz. Nie słyszałam żadnego mitu na temat kamieni kładzionych na żydowskich grobach. A przecież to jedna z pierwszych rzeczy, jaka rzuca się na kirkutach w oczy. Że też nikomu nie przyszło do głowy jakiegoś „sensowne” wyjaśnienie? Jakoś nigdy nie ma wstępów: „Czy to prawda, że kamyczki oznaczają...?”. Dzisiaj w tej sprawie też dostałam kilka zwięzłych wiadomości: „A czemu się je kładzie?”. I równie zwięzłe podałam kilka znanych mi powodów.

Na pamiątkę tego, że Izraelici podczas wędrówki przez pustynię okładali zwłoki kamieniami, co ma dwa wyjaśnienia. Jedno mówi o tym, że pochówek w suchym piasku był bardzo trudny, a głowy chroniły ciało przed rozszarpaniem przez dziką zwierzynę. Drugie, że były znakiem dla kapłanów, których obowiązuje zakaz zbliżania się do martwych, by nie podchodzili za blisko.

Jako symboliczne przytrzymanie duszy zmarłego tak, by pozostała w grobie. Lub w celu zapewnienia jej ochrony przed demonami z zewnątrz.

Kamienie, w przeciwieństwie do kwiatów – popularnych w innych kulturach czy religiach – są znacznie bardziej trwałe. Wprawdzie bukiet jest piękny, ale po kilku dniach schnie, więdnie i przestaje być atrakcyjny. Kwiaty ponadto często uważa się za pewnego rodzaju arogancję. Łączenie śmierci z cudownymi kolorami i zapachami dla wielu jest nietaktem.

Jestem przekonana, że to nie wszystko i że z łatwością można znaleźć jeszcze kilka innych powodów kładzenia małych kamyczków na płytach nagrobnych i macewach.

A tak przy okazji tych kamieni – obserwuję ostatnio niepokojący zwyczaj kładzenia na macewach drobnych monet. Nie bardzo wiadomo, kto pierwszy wpadł na ten pomysł i co miał w głowie, wyciągając grosz z kieszeni i zostawiając go na żydowskim grobie. Słyszałam o zwyczaju zostawiania monet na mogiłach amerykańskich żołnierzy. I o licznych miedziakach na nagrobku Juliusza Słowackiego w Paryżu. Ponoć przez zostawienie gdzieś pieniędzy wyraża się chęć powrotu w dane miejsce. A grosik wrzucony do studni czy fontanny ma przynieść szczęście. Ale co to wszystko ma wspólnego z żydowskimi grobami? I dlaczego kolejne osoby bezmyślnie w to brną? Nawet nie wiem czemu, ale bardzo mnie to irytuje.

*23 lutego / 22 adar, środa*

Ale się cieszę! Będę prowadziła zajęcia dla kilku dziewczynek, w tym dwóch moich Córek. Celem jest przygotowanie ich do bat micwy. To moment, w którym dwunastoletnie pannice zaczynają być religijnie dojrzałe, czyli same odpowiadają za swoje poczynania. Niezależnie od tego, czy tej

przemianie towarzyszy jakaś impreza, one i tak stają się w świetle religijnego prawa dorosłe. Nie należy mylić tego z pełnoletnością rozumianą według prawa państwa, w którym żyją, bo to dwie odrębne sprawy. O tym, jakie uroczystości odbędą się z okazji bat micw moich „uczennic”, zadecydują rodzice. Ale mamy jeszcze czas, bo najstarsze mają jedenaście lat, a najmłodsze dziewięć.

Odpowiednikiem bat micwy jest bar micwa u trzynastoletnich chłopców. W zeszłe wakacje Starszy Syn miał z tej okazji swoją uroczystość. Podczas bar micwy stał na środku synagogi. Moja Teściowa nawiozła z Łodzi pięknych dekoracji, które wraz ze Schwagierką przywiesiły do ścian. Schwagier krążył z aparatem fotograficznym, wszystko jako zawodowy fotograf pięknie uwieczniając. Syn zupełnie bez tremy przeczytał przed zaproszonymi kilka słów. Krótką przemowę miał rabin, z którym Syn uczy się regularnie. Były mąż bardzo ładnie coś powiedział. Ja też miałam swoje pięć minut na scenie. A potem było pyszne jedzenie, które zamówiliśmy na tę okazję. Mąż, główny organizator całości, polewał suto wina. Z głośników leciała muzyka. Były tańce, gratulacje „religijnej” dorosłości, uściski. Syn krążył między przybyłymi Żydami a nie-Żydami – tymi, którzy specjalnie na tę okazję przyjechali z Łodzi, i tymi, których, odkąd mieszkamy w Krakowie, widzimy stale. Nazajutrz podczas porannych modlitw mojego pierworodnego po raz pierwszy w życiu, jak przystało na trzynastolatka, wezwano do Tory. Współcześnie czyta ją osoba, która bardzo dobrze zna hebrajski, a literowanie idzie jej płynnie i śpiewnie oraz ma donośny głos. W trakcie czytania jest kilkanaście błogosławieństw, które odmawiają członkowie społeczności proszeni o to przez osobę odpowiedzialną za porządek modlitw. To wielki przywilej i zaszczyt znaleźć się w tym gronie.

Wedle żydowskiego zwyczaju, stojąc przy bimie, mój Syn został obrzucony cukierkami, które wszystkie obecne dzieci zbierały w pośpiechu i jeszcze szybciej pakowały sobie do buzi. Piękne i wzruszające to wszystko.

Powoli trzeba myśleć nad imprezą dla Najstarszej Córki, która powinna się odbyć dokładnie za rok!

*24 lutego / 23 adar, czwartek*

Jedenaście lat temu urodziło się moje drugie dziecko, Najstarsza Córka – ta, która za rok będzie mieć bat micwę. Poród jak większość porodów. Bolało, bolało jeszcze bardziej, bolało nie do zniesienia. A potem pojawiła się ona, ponadczterokilogramowy ideał, i w sekundę zapomniałam, że jeszcze przed chwilą bałam się, że mnie rozerwie. Ale wspominając tę noc i kilka dni w szpitalu, przypomniałam sobie ordynatora. Akurat miał dyżur, kiedy przyjechałam na porodówkę. Przebrałam się w koszulę nocną, jak należało. Ale chustę na głowę zostawiłam. W miejscu publicznym noszę ją zawsze i nie widzę powodu, by ją ściągać. Ordynator jednak wyraźnie mnie o to poprosił. Spokojnie wyjaśniłam, że zakryta głowa nie utrudni porodu, a ja noszę chustę ze względów religijnych – ten argument zawsze pomaga podczas kontroli na lotniskach. Nigdy nie spotkałam się z brakiem zrozumienia. Zazwyczaj jestem wtedy proszona na stronę, celniczka sprawdza chustkę i nie znalazłszy pod nią niczego niebezpiecznego, puszcza mnie dalej. Ordynator powiedział, że to, co robimy, to nasza sprawa, ale gdy przychodzimy do kogoś do domu, powinniśmy przyjąć panujące tam zasady. Odpowiedziałam, że może i tak jest, ale szpital to miejsce publiczne, a nie prywatne. Kiedy naciskał, twierdząc, że chustka może być źródłem drobnoustrojów i jest to niebezpieczne, przyznałam mu rację – nie będę się o zarazki wyklócała z lekarzem, nawet jeżeli chustka była równie czysta jak moja koszula nocna – i zaproponowałam, że założę czepek ochronny. I na tym poprzestaliśmy. Rodziłam w czepku. I dobrze. Nie ma to większego znaczenia. Ale znaczenie ma nastawienie do ludzi, którzy nas otaczają, i to, jak ich postrzegamy. Czy dajemy im przestrzeń, nie bojąc się, że zabrają kawałek naszego miejsca? Czy traktujemy sprawę terytorialnie, podkreślając, kto tu rządzi?

Zdaje się jednak, że ten sam ordynator kilka lat później jako jedyny w Krakowie zgodził się znajomej przeprowadzić piątą cesarkę. Nie wiem, ile w tym prawdy, bo na medycynie znam się tyle co kret na pierwiastkach. Powtarzam tylko to, co mówiła mi wtedy. Twierdziła, że zalecenia medyczne są różne zależnie od kraju, a to zapewne wynika z panującej tam obyczajowości. W Izraelu, gdzie

wielodziętność jest znacznie częstsza niż w Polsce, cesarki wykonuje się również u wieloródek. Gdzieś, gdzie zwyczajowo ma się dwoje, troje dzieci, nikt nie podejmuje się otwierać brzucha, który był już wcześniej kilkakrotnie otwierany, z obawy przed groźnymi komplikacjami. Tak czy siak, znajoma urodziła pięcioro dzieci w dość krótkim czasie, wszystkie przez cesarkę. Nikt jej nie odwoził od kolejnych ciąż, mimo że każdy kolejny poród wiązał się z większym ryzykiem komplikacji. Podobnie nikogo w Izraelu nie dziwią pary gotowe poruszyć niebo i ziemię, byleby się doczekać siódmego dziecka. Starają się o nie, niekiedy z wykorzystaniem metod wspomaganego rozrodu, z zapalem kojarzonym w krajach Zachodu z osobami oczekującymi pierwszego, ewentualnie drugiego potomka. Gdzieś jedno dziecko daje pełnię szczęścia, gdzie indziej sześcioro to nadal za mało.

No tak. Kiedy w Polsce mówię, że mam pięcioro dzieci, widzę wielkie zdziwienie na twarzach rozmówców. Mina mówi jasno: „Tak dużo?”. Ale kiedy podczas konferencji, na której były same ortodoksyjne Żydówki, powiedziałam, że mam czworo (to było jeszcze przed narodzinami ostatniego), jedna z pań poklepała mnie po ramieniu, mówiąc: „Dobry początek, jesteś młoda, masz czas na więcej”.

Wracając do szpitala i porodu. Podczas kolejnych dni odwiedzała mnie nadprogramowa liczba pielęgniarek. Każda stawiała sobie za punkt honoru nakłonić mnie do jedzenia. Były przy tym bardzo miłe i wyraźnie zatroskane. Próbowałam im wyjaśniać, że nie mam zamiaru się głodzić. Po prostu nie chciałam szpitalnego niekoszernego jedzenia. Tłumaczyły, że to jedzenie jest i zdrowe, i smaczne, i pożywne. Mówiły, że bez niego sama nie wykarmię dziecka, że to nie czas na diety. Napięcie rosło. Ja odmawiałam. One miały łzy w oczach. Aż przysłała moja Mama z wielkim garem pożywnej zupy, którą ugotowała chwilę wcześniej. Ponieważ byłam w szpitalu przez weekend, miała też dla mnie pudło szabatowe od jednej z krakowskich ortodoksyjnych kobiet. W pudle były chałki, pieczony kurczak, kugel ziemniaczany i inne smakołyki. Dopiero wtedy pielęgniarki mnie usłyszały. Taka opowieść bez puenty poza tym, że jedenaście lat temu nie każdemu przychodziło do głowy, że można jeść inaczej niż cała reszta.

A rano Ukraina została zaatakowana. Wybuchła wojna.

Po południu brałam udział w livie na temat Gaona z Wilna. Trzymałyśmy się z prelegentkami tematu osiemnastowiecznego rabina, bo trudno było w jakikolwiek sposób wyrazić słowami to, co się właśnie wydarzyło kilkaset kilometrów od nas.

Wieczorem zorganizowaliśmy małe przyjęcie urodzinowe dla Córk. Przyszły moja Mama i Babcia. Była wielka micha sałatki owocowej i góra prezentów. Dorosli mieli trochę ściśnięte gardła świadomi tego, co się dzieje na wschodzie – nie tylko u ukraińskich sąsiadów, ale też na granicy polsko-białoruskiej. Część informacji dotarła do dzieci. A mimo to wygłupialiśmy się i śmialiśmy. Córka dostała sporo ładnych rzeczy, między innymi zestaw do haftu diamentowego, który wprowadził wszystkich w osłupienie. Takie to czasy, że dziewczęta, zamiast zmieniać powierzchnię tkaniny za pomocą ściegów, będą na plastikowy wzór przyklejać kolorowe elementy.

**25 lutego / 24 adar, piątek**

Z samego rana, zaraz po wsadzeniu Młodsaków do przedszkolnego busika i powiedzeniu Starszakom „miłego dnia”, oświadczyłam Mężowi, że jedziemy do Centrum Krwiodawstwa, ponieważ chcę natychmiast oddać krew. Mąż, który gotów jest zawieźć mnie zawsze i wszędzie, powiedział „dobra” i pojechaliśmy. Wszystko poszło zgodnie z planem i półtorej godziny później mieliśmy sprawę z głowy.

Ciekawe, czy trudniej by mi było być religijną Żydówką, gdyby oddawanie krwi było przez judaizm zakazane? Szczęśliwie nie jest. Krew można oddawać, krew można przyjmować. W Torze pojawia się informacja, że we krwi zawiera się dusza człowieka czy zwierzęcia. Dlatego niektóre religie zabraniają transfuzji. Żydowski mędrca mówi, że fragment dotyczy tylko tkanki, która wychodzi z żywego organizmu, pozbawiając go życia. Wtedy wraz z krwią ulatnia się jego dusza.

Judaizm pozwala również na bycie i dawcą, i biorcą organów. Wszystkie te procedury mogą być wykonywane między Żydami a nie-Żydami i ani pochodzenie, ani wyznawana religia nie mają

znaczenia. Problemem może być pośmiertny przeszczep ze względu na różnice między definiowaniem śmierci przez medycynę a zasadami jej stwierdzania wedle żydowskiego prawa.

**26 lutego / 25 adar, sobota**

Podczas kolacji szabatowej rozmawialiśmy o wojnie w Ukrainie. Naprawdę trudno mówić o czymś innym. Zaskoczył mnie poziom wiedzy naszego trzynastoipółlatka. Czasem myślę, że jest tylko dzieckiem. A potem okazuje się, że jest aż dzieckiem, i do tego bardzo mądrym.

Najmłodsza Córka zapoczątkowała rundę pytań o Polskę. Starszy Syn musiał odpowiedzieć, „kiedy Polska była w więzieniu”, co nie było łatwe, bo najpierw trzeba było doprecyzować, co pięciolatka rozumie przez słowo „więzienie”. Ale udało się, więc Syn opowiedział o zaborach, I wojnie światowej i niepodległości, imponując mi nie tylko swoją wiedzą, ale ogólną świadomością.

Potem pałeczkę przejęła Najstarsza Córka. Zapytała młodszą o dwa gatunki zwierząt, które wyginęły. Młodsza odpowiedziała, że białe jednorożce były bliskie wyginięcia, co sprawiło, że ukradkiem zaczęliśmy się śmiać. No bo taka, ha, ha, ha, malutka, ha, ha, ha, nie wie, ha, ha, ha, że, ha, ha, ha, jednorożce to zwierzęta baśniowe. Ale Córka szybko poprawiła się na nosorożce i opowiedziała o tym, że białe nosorożce wprawdzie jeszcze żyją, ale marnie im się wiedzie. I tu nas zatkało. Bo chyba żadne z nas nie wiedziało o istnieniu białych nosorożców.

Kolejne pytanie Najstarszej Córki do Najmłodszej dotyczyło tego, czy religijni Żydzi mogą w posiłkach łączyć mleko z mięsem. Ta bez zastanowienia odpowiedziała, że nie. Na koniec została poruszona ważna kwestia ptaków nietotów. Zgodnie stwierdziliśmy, że są to pingwin, struś, kiwi oraz kura. A ja dodałam, dumna ze swej wiedzy, że najdłuższy lot kury trwał jedenaście sekund. W zasadzie nie mam pojęcia, czy to prawda, ale wszyscy siedzący przy stole pokiwali z zainteresowaniem głowami.

Po kolacji bawiliśmy się w tańczące kraby ze skrzypcami. Kiedy ma się pięć lat, łatwo pomylić szczypce ze skrzypcami. Ale w zasadzie kto by się tym przejmował.

**27 lutego / 26 adar, niedziela**

Cały dzień spędziliśmy, porządkując mieszkanie Mamy, w którym ma się zatrzymać rodzina z Ukrainy.

**28 lutego / 27 adar, poniedziałek**

Dzisiaj słowa porannej modlitwy *Mode ani* (hebr. ‘Dziękuję’), którą mówimy zaraz po przebudzeniu, nabrały dla mnie dodatkowego znaczenia. W przeciwieństwie do sąsiadów na wschodzie słowa „Dziękuję Tobie, Królu Żyjący i Wieczny, że w litości swojej zwróciłeś mi duszę moją. Wielka jest Twoja wierność” mogę wypowiedzieć ze spokojem.

**1 marca / 28 adar, wtorek**

Byłam wychowywana w idei *tikun olam*. Nie wiem, czy dokładnie słyszałam o „naprawie świata”, czy ktoś mi mówił, że to zamysł silnie zakorzeniony w judaizmie. Nie pamiętam też rozmów i pogadań typu: „Wiesz, córeczko/wnuczko, że każdy z nas ma obowiązek dbać nie tylko o siebie, ale również o wszystko inne, co spotyka na swojej drodze”. Nie umiałabym nawet powiedzieć, czym to *tikun olam* było w moim domu. Wiem jednak, że od małego widziałam i moją Mamę, i moją Babcie ciągle zaangażowane w czyjeś sprawy. Gdybym miała podać definicję egocentryzmu, to one byłyby jego zaprzeczeniem. Wyrastałam w poczuciu, że świat, który opuszczamy, umierając, powinien być dzięki

nam chociaż ciutkę lepszy od tego, który zastaliśmy. A w jaki sposób tego dokonać? Kolejne pytanie bez odpowiedzi. Pasuje słowo „być dobrym”, choć to też jest pojęcie mgliste i wieloznaczne.

Nie chodzi o to, by zapomnieć o sobie czy całkiem odsunąć swoje potrzeby. Ale żeby dostrzegać też innych – i ludzi, i zwierzęta, i naturę. Widzieć i reagować.

A czy to, co robimy teraz, i my, i inni dookoła nas, to tikun olam? Kupowanie podpasek, pampersów i lekarstw w ilościach hurtowych? Szukanie wielkich klatek do przewożenia psów? Organizowanie transportu, który pojedzie na Ukrainę i z powrotem? Wpłacanie pieniędzy fundacjom zajmującym się pomocą uchodźcom? Chyba tak. Na pewno jest to wypełni nie przykazania pochodzącego z Księgi Wa-jikra (Kapłańskiej) 19,16: „(...) nie stań przeciw krwi bliźniego twego”, które religijnemu Żydowi zakazuje bezczynności w obliczu krzywdy drugiego człowieka i każe na nią reagować.

***3 marca / 30 adar, czwartek***

Nie mam pojęcia, co się działo przez ostatnie dni. Od rana do wieczora zaangażowani byliśmy w pomoc tym, którzy uciekają przed wojną. Trochę naszej pięcioosobowej rodzinie, która zajęła dwa pokoje u Mamy. Więcej przy segregowaniu darów, które znoszone są z każdej strony. A najbardziej w łączeniu potrzeb z tymi, którzy mogą pomóc w ich zaspokojeniu. Ciągłe siedzenie przy telefonie i kojarzenie dziewczynek z małymi bucikami, starców z klapkami w rozmiarze czterdzieści dwa, ludzi z mieszkaniem, mieszkań z garnkami, lekarstw z chorymi, chorych z lekarzami, śpiworów z noclegowniami, noclegowni z karimatami, wózków z niemowlakami, opiekunek z osobami z niepełnosprawnością, klatek z chomikami, karmy dla zwierząt z psami.

Mąż był dwa razy na granicy. Raz pojechał do Hrubieszowa, skąd zawiózł jedną rodzinę do Lublina. Z Lublina wrócił po kolejne osoby, które przewiózł w góry. Z gór wrócił do Krakowa. Po kilku dniach pojechał z transportem środków higienicznych i jedzenia do ośrodka dla uchodźców, skąd zgarnął kilka matek z dziećmi. Wszystko pod nadzorem odpowiednich organizacji, żeby nie wprowadzać dodatkowego chaosu do i tak niełatwej sytuacji.

***4 marca / 1 adar II, piątek***

Na kolację szabatową mamy sushi. W robienie rolek wkręciły się też dzieci. Dzięki temu każda ma inną grubość, niektóre podwójne liście, a inne rozpadają się podczas krojenia. Za to ryż wyszedł idealnie.

## **6 marca / 3 adar II, niedziela**

Poranek zaczął się od imprezy urodzinowej dla mojego Najmłodszego, który skończył dwa lata. Kiedy myśmy jeszcze leżeli w łóżku, Córki zrobiły mu tort z czekoladek. Dostał też pierwszą w życiu kartkę z życzeniami. I gniotka. I na tym skończą się dzisiejsze obchody. Imprezy urządza od trzeciego roku życia. Wcześniej i tak nic nie pamiętają. Okrucieństwo i bezwzględność. Nic na to nie poradzę. Poza tym jest wojna. Tym bardziej nie jestem w nastroju na serpentyny i balony.

Wieczorem zatelefonowała Teściowa, żeby podziękować, że jej urodziłam takiego fajnego wnuka. Bardzo to wzruszające. Nie przyznałam się, że ten fajny wnuk nie dostał żadnych prezentów. Jest babcią, ale nie musi o wszystkim wiedzieć. Dzięki jej telefonowi wyrwałam się jednak myślami na chwilę i poszybowałam dwa lata wstecz.

Poród piątego dziecka wspominam bardzo dobrze. Tak samo jak podczas poprzednich ciąż byłam wielka, obolała i ledwie się ruszałam. I podobnie jak przy każdej z trzech Córek od dawna wszyscy czekali na rozwiązanie, zwłaszcza że za każdym razem dobijałam do dwóch tygodni po wyznaczonym terminie, więc napięcie sięgało zenitu. Poród przyjął z radością. W środku nocy zostawiliśmy czworo śpiących dzieci i pojechaliśmy do szpitala. Po przygodach z ostatnimi narodzinami, które odbyły się w domu, bez żadnej medycznej asysty, nie chciałam ryzykować powtórki z tej marnej rozrywki. Na sytuację, że akcja zacznie się w nocy, byliśmy gotowi i już dawno poinformowaliśmy Starszaki, że tak się może stać.

Kiedy dojechaliśmy do szpitala, okazało się, że akcja w toku, a ja się dziwiłam, że nie czuję skurczy. Pielęgniarki uspokajały, że jeszcze poczuje. Miały rację. Akurat w chwili, w której zaczęło się moje dyszenie i sapanie z bólu, zatelefonował Syn, że wszyscy się obudzili i że Najmłodsza Córka płacze. Mąż pojechał prędko do domu, powiedział, że wszystko dobrze, utulił każde do snu, napił się szybko kawy, przekąsił kanapkę z sardynką i po trzech kwadransach był znowu ze mną. Głaskał, masował, przynosił wody. Dla mnie był to piąty poród, dla niego pierwszy. A potem, kiedy słońce zaczęło wschodzić w najpiękniejszy możliwy sposób, na świecie pojawił się nasz Syn. Ponad trzy kilo, małe nóżki i rączki. Twarz kosmity. Cudowny obraz noworodka i złotej smugi na horyzoncie. Podwójnie magiczny moment. Tego wspomnienia nic mi nie odbierze. Ani pandemia, która właśnie wtedy się zaczynała, ani wojna, która teraz się obok nas toczy.

## **7 marca / 4 adar II, poniedziałek**

Ze względu na zbliżające się święto Purim rozpoczęła się seria warsztatów i spotkań dla dzieci. Ponieważ jesteśmy związani z paroma żydowskimi instytucjami, zaliczymy ich kilka. Dzisiejsze online odbyło się w ramach żydowskiej szkoły internetowej, w której uczą się Starszaki. Zaczęło się od przypomnienia genezy święta, czyli opowieści purimowej. Był sobie Ahaszwerosz (Asverus) – król Persji. Na jego dworze mieszkali Żyd Mordechaj (Mardocheusz) i jego siostrzenica Estera. Kiedy Ahaszwerosz szukał nowej żony, Mordechaj nakłonił Esterę, by poszła do pałacu i zgłosiła swoją kandydaturę, ale nie zdradzała pochodzenia. Król od razu pokochał dziewczynę i wkrótce ta została jego żoną. Po jakimś czasie doszło do spięcia między doradcą królewskim Hamanem a Mordechajem. Haman chciał, by wszyscy mu się kłaniali. Mordechaj odmawiał, mówiąc, że kłania się tylko swojemu Bogu, a nie zwykłym ludziom. Tak to rozzłościło Hamana, że postanowił zemścić się nie tylko na Mordechaju, ale na całym narodzie żydowskim. Za zgodą Ahaszwerosza wydał dekret nakazujący zabicie wszystkich Żydów. Mordechaj się o tym dowiedział, wezwał Esterę i błagał ją o pomoc. Estera urządziła ucztę dla męża i jego swity. Kiedy król porządnie się najadł i napił, powiedziała, co postanowił Haman, i wyjawiała, że jest Żydówką, więc wedle dekretu i ją czeka śmierć. Wtedy Ahaszwerosz zmienił plan i to Haman wraz z synami został zabity, a nie Żydzi.

Opowieść jak każda inna. Tyle że o Żydach. I ona właśnie jest genezą święta Purim, które hucznie



obchodzi się na całym świecie. Ludzie przypominają tę historię, czytając w synagodze Księgę Estery i przygotowując purimszpile, czyli popularne w tym czasie przedstawienia z królową Esterą i Ahaszweroszem w rolach głównych. Do tego dają sobie paczuszki ze słodyczami i ciastkami nazywanymi *hamantasze* lub z jidysz *oznei Haman*, czyli uszy Hamana; jedzą, piją oraz przebierają się i bawią cały dzień.

A mnie coraz częściej zastanawia drugoplanowa bohaterka tej opowieści. Królowa Waszti. Poznajemy ją na samym początku, jeszcze przed Mordechajem i Esterą. Król Ahaszwerosz, biesiadując z kompanami kolejny dzień, tak się rozochocił, że postanowił pokazać ludowi swoją żonę i pochwalić się jej urodą. A kiedy odmówiła przyjęcia, wezwał licznych doradców, żeby mu powiedzieli, co ma zrobić. Ci poradzili, by odsunąć Waszti i na jej miejsce znaleźć inną kobietę. A dodatkowo w świat rozesłać wiadomość, że jej zachowanie było bardzo niestosowne, ponieważ powinna być posłuszna mężczyźnie, który jest panem domu. Doradcy obawiali się, że jeżeli Waszti nie zostanie potępiona, inne kobiety, podobnie jak ona, zaczną sprzeciwiać się swoim mężom, ściągając na siebie ich gniew. Dobrze znam tę opowieść, ale z roku na rok słowa doradców wzbudzają we mnie coraz większy sprzeciw. Za to Waszti coraz większy szacunek. Umiejętność zadbania o swoje potrzeby. Decyzja, aby nie być przedmiotem na pokaz. Jawny sprzeciw mimo negatywnych konsekwencji. Brawa dla niej. Esterze nie można oczywiście odejmować zasług i odwagi, ale to Waszti staje się moją bohaterką.

**8 marca / 5 adar II, wtorek**

Dzień Kobiet. Jak mogłoby być inaczej. Rano minęłam kilku panów z bukietem kwiatów w ręce. Innych z wielką bombonierką. Zapewne dla jakiejś damy z okazji jej święta. To fajne dostać róże czy czekoladki, ale coraz częściej 8 marca czuję złość. Od wielkiego ukłonu w naszą stronę raz do roku wolałabym równouprawnienie na co dzień. Coraz mniej lubię życzenia przesyłane mi przez bliżej mi nieznanymi jegomości tylko dlatego, że urodziłam się „płcią piękną”. Na cholerę mi to, jeżeli tyle typów, z większością polityków na czele, nadal uważa, że pod wieloma względami kobiety są gorsze. Nie winię za to panów. Tylko system, w którym żyjemy. Choć może skoro ów system jest w męskich rękach, to głównie faceci są za te nierówności odpowiedzialni? Nie. Idę za daleko. To spore nadużycie i niesprawiedliwość wobec wszystkich feministów, jakich znam.

Och! Siła patriarchy mimo postępu cywilizacyjnego pozostanie dla mnie wielką zagadką, póki nie zniknie. Zastanawiam się, gdzie, kiedy i jak się to wszystko zaczęło. W którym momencie świat prawie jednogłośnie uznał, że wśród ludzi to właśnie samce otrzymają pełnię władzy? Od razu kiedy z *Homo neanderthalensis* przekształciliśmy się w *Homo sapiens*? Czy dopiero wraz z nastaniem cywilizacji? A może jeszcze później, gdy w nasze życie wkroczyły podstawowe religie monoteistyczne?

Zadziwia mnie, czemu w sztuce przedstawiającej stworzenie człowieka królują obrazy pokazujące Adama i Ewę powstałą z jego boku. Najpierw pojawił się on, a potem, żeby nie był samotny i żeby mu zapewnić pomoc, została dorzucona ona. Rzeczywiście, dokładnie tak mówi Tora. Ale ten fragment pojawia się jako drugi opis stworzenia prarodziców, czyli można by uznać – mniej istotny od pierwszego. A co znajdujemy w tym, który można przeczytać najpierw? Informację, że człowiek powstał jako jedność. I dopiero potem został rozdzielony. W Księdze Be-reszit (Rodzaju) 1,27 czytamy: „I stworzył Bóg człowieka na obraz Swój, na obraz Boga stworzył go; mężczyznę i niewiastę stworzył ich”. On pojawił się na ziemi w tym samym czasie co ona. A to, jak podkreślają rabini, oznacza niezaprzeczalnie, że są sobie równi. Czemu więc w powszechnej świadomości ów pierwszy fragment nie istnieje? Może w niepiśmiennym świecie ludzie zdani byli na to, co przekazuje im garstka umiejąca czytać? A jeżeli owa grupka przekazywała tylko to, co było wygodne, co pomagało kierować światem podług jej potrzeb?

Między innymi dlatego Żydzi byli piśmienni o wiele wcześniej niż ich sąsiedzi. Dzięki temu sami mogli sięgać do źródeł. Byli w stanie zweryfikować słowa swojego duchowego przywódcy. O wiele trudniej było nimi manipulować. Religijni liderzy nie mogli tak łatwo wybierać treści, które im odpowiadały i dzięki którym mogli do woli sterować swoimi podwładnymi.

A może nie ma co załamywać rąk? Właśnie kształtuje się pokolenie, którego rodzice starają się zmieniać skostniałe przekonania. Burzą stereotypy, których korzenie sięgają tysiące lat wstecz.

Kiedy w ostatnią niedzielę prowadziłam pierwsze zajęcia przygotowujące do bat micwy, zaczęłam od podstaw, czyli od niezaprzeczalnej równości mężczyzn i kobiet. Co ciekawe, panny patrzyły na mnie, jakbym próbowała im przekazać, że dwa plus dwa to cztery, o czym one przecież dobrze wiedzą. Czy to znaczy, że w przyszłości nie będą zadawały koleżankom pytań, czy ich mężowie pomagają w domu przy dziecku? Myślę, że będą uważały, że i dom, i dziecko to nie obowiązek przede wszystkim pań, lecz również panów.

**9 marca / 6 adar II, środa**

Znajomi wyjechali na dwa tygodnie do Izraela i zostawili nam pod opieką psa. Młodziutki, mały, włochaty. Dostyc szybko zrobił pod stołem kupę, co uznaliśmy za znak, że czuje się jak u siebie. Od razu się zaprzyjaźniliśmy, bo to pies absolutnie rozkoszny i kochany. Ułożyliśmy legowisko z kocykiem, obok matę, na którą ma się załatwiać, dookoła zabawki oraz pojemniki na wodę i karmę. Koło schodów zrobiło się ciasno. Przez wszystkie nasze buty, plecaki dzieci, czapki w pośpiechu ściągnięte z głów – przy wejściu zawsze panuje nieład. Teraz z psem i całym jego asortymentem nasze wejście zaczęło przypominać miejsce, przez które przeszedł huragan. Wieczorem, robiąc kolację, nadepnęłam na piszczącego kurczaka, którego dźwięk strasznie mnie przeraził. Potknęłam się parę razy o dzieci, które tarzały się po ziemi w zabawie ze szczeniakiem. Kiedy weszłam gołą stopą w kałużę psiego moczu, westchnęłam głośno. Nie z niechęcią, bo zwierzak wprowadził do domu powiew świeżości i pozytywną energię i bardzo jestem szczęśliwa, że będzie z nami jakiś czas. Raczej z lekką desperacją typu: „tego nam jeszcze brakowało”. Mąż, sam lekko zdziwiony naszym nowym domownikiem, popatrzył na mnie i powiedział z wrodzonym sobie spokojem: „Zobaczysz, będzie jak z kozą”. Rzeczywiście. Trochę mnie to uspokoiło. Zobaczymy.

**10 marca / 7 adar II, czwartek**

Purim się zbliża. A ja nie mam siły się przebierać. Uwielbiam to święto. Jest wesołe, radosne, pełne pozytywnej energii. Zbiega się w czasie z końcem zimy i początkiem wiosny. W powietrzu czuć już magiczną lekkość. Już zaraz będzie można obudzić się z zimowego snu, zrzucić kożuch niedźwiedzia, przestać mruścić gnuśnie i przywdziać skrzydełka motyla, aby w płasach skoczyć na pachnącą łąkę. Tylko że ja nie mam ochoty pisać tanecznie ani podczas purimowych zabaw, ani po zielonej trawie, ani nigdzie indziej. To, co się dzieje na Wschodzie, mnie przeraża. Tam jest wojna. Tam giną ludzie. Jak można cieszyć się teraz z tego, że tysiące lat temu plan pewnego Hamana się nie powiódł, dzięki czemu Żydzi nie zostali zabici.

Jak tu świętować w czasach wojny? Starożytna Persja to zamierzchłe czasy, więc historię Hamana możemy teraz czytać niczym fantastyczną baśń. A to, co się dzieje teraz, to krwawe litery piszące naszą, współczesną historię.

A może właśnie na przekór całemu złu świata zawsze trzeba mieć siłę na płasy? Zawsze dostrzegać soczystą zieleń trawy? Zawsze czuć orzeźwiający zapach wiatru? Zawsze się uśmiechać, choć kąciki ust mimowolnie opadają w podkówkę? Nie wiem.

Wiem, że mieliśmy być rodziną Addamsów. Albo długą stonogą. Ewentualnie, z towarzystwem mojej Mamy, Królową Snieżką i siedmioma krasnoludkami. Ale na pewno nie będę przywdziewała czarnej peruki, Mężowi dolepiała czarnego wąsika, a Syna stylizowała na odciętą dłoń. Jeszcze miesiąc temu mogłoby to być komiczne. Dzisiaj byłoby raczej dramatyczne.

**11 marca / 8 adar II, piątek**

Do gotowania na szabat włączyłam purimowe klasyki. Na pełen regulator puściłam *Misze, Misze* i jakoś od razu krojenie warzyw zaczęło lepiej mi iść. A potem *Hag Purim, Szuszanat Jakow, Lejcan Katan, Jom tow lanu* i oczywiście *Ani Purim*. A potem telefon sam podrzucił mi swoje purimowe propozycje i tak spędziłam dwie godziny.

**12 marca / 9 adar II, sobota**

Kiedy czytałam w szabat żydowski magazyn, zainteresowały mnie dwie rzeczy. Jedną to modlitewnik napisany specjalnie z myślą o osobach niebinarnych. Zarówno Bóg, jak i wierni określani są przez zaimki i końcówki neutralne płciowo. Autorzy wykorzystali do tego nowy system gramatyczny, który powstał niedawno w języku hebrajskim. Końcówki rodzajowe zostały zastąpione przez końcówki trzeciej płci. Ponadto wszelkiego rodzaju teksty, które zostały uznane w jakikolwiek sposób za niewłaściwe czy dyskryminujące, zamieniono na inne, również pochodzące z Tory.

Drugą interesującą mnie wiadomością była spora darowizna na rzecz organizacji non profit, która wspiera osoby LGBT+ żyjące w środowiskach ortodoksyjnych Żydów w USA, włącznie z tymi chasydzkimi. Nie wiem czemu, ale świadomość tego, że w New Jersey, Baltimore, Chicago czy na Florydzie powstaną niebawem ośrodki, do których będą się mogły zgłosić po pomoc osoby nieheteronormatywne, sprawia, że będzie mi się dzisiaj spało minimalnie lepiej.

**13 marca / 10 adar II, niedziela**

Mieliśmy rano pojechać na imprezę purimową przygotowaną dla dzieci przez jedną z żydowskich organizacji. A po południu połączyć się online z żydowską szkołą i wspólnie z innymi piec hamantasze. To miał być ten dzień, w którym jestem głównie mamusią, a moje obowiązki ograniczają się do trzymania waty cukrowej, żeby dzieciaki mogły zrobić maski na przebieranki z okazji Purim, oraz patrzenia z zachwytem, jak ktoś maluje im na buzi wąsy. A potem mieliśmy w fartuszkach razem piec. Oni podjadaliby surowe ciasto, a ja udawałabym, że się gniewam. Albo udawała, że się nie gniewam. Zależy, w jakim stopniu by mnie to zezłościło. To miał być dzień dla nas, bez żadnych obowiązków, za to z mnóstwem słodyczy.

Ledwie wkroczyliśmy na imprezę, okazało się, że potrzebna jest pomoc w segregowaniu rzeczy. Właśnie przyjechały z Londynu i teraz leżą rzucone w nieładzie w budynku synagogi znajdującym się kilka przecznic dalej. Po szybkiej konsultacji z Mężem zdecydowaliśmy, że on zostanie z dziećmi, a ja pójdę. Umyłam ręce, które lepiły się od waty cukrowej, i poszłam. Sterty kołder, pluszaków i pampersów. Po kwadransie dołączył Mąż i zabrał się do budowania regałów. Córki zostawił pod opieką znajomych. Kiedy impreza się skończyła, znajomi przyprowadzili je, a one dołączyły do układania ręczników i butów. Wróciliśmy do domu na tyle późno, że nie zdążyliśmy na pieczenie online. Mamusiowanie przy piekarniku odbędzie się kiedy indziej.

**15 marca / 12 adar II, wtorek**

Po południu miałam wykład o cyklu życia religijnych Żydów. Mówiłam o obrzezaniu, nadawaniu imion w synagodze, bar i bat micwie, ślubie, obrządkach pogrzebowych i pochówku. Na koniec spotkania jedna z uczestniczek podzieliła się swoimi wrażeniami na temat pełnych śmieci jerozolimskich ulic, panującego na nich hałasu, a także refleksjami o wielkich futrzanych czapach ortodoksów

noszonych nawet w lecie oraz o świecie przedstawionym w popularnych serialach o religijnych Żydach. Mówiła o tym wszystkim z niechęcią, może nawet z oburzeniem czy obrzydzeniem. Rozumiem to. Sama nie zawsze czułam się najlepiej, kiedy mieszkałam dwa lata w Jerozolimie. To miasto jest niesamowite. Ma w sobie coś nadzwyczajnego. Chętnie do niego wracam. Ale drażniły mnie przepełnione kosze, przepychający się ludzie, głośne klaksony. I też nie rozumiem, jak można w gorące lato nosić kilka warstw ubrań, rajstopy, grube płaszcze. Od samego patrzenia oblewał mnie pot. Daleko mi jednak od pogardy.

Słyszac tę niechęć, pomyślałam o zoo. Chodzimy do ogrodów zoologicznych, by popatrzeć na zwierzęta. Najczęściej towarzyszy temu wielka ekscytacja. Na pewno zobaczymy coś, czego się nie spodziewamy, coś niesłychanego! Czujemy radość, kiedy zza ukwiału wypłynie konik morski. Zdumiewa nas lew, który zupełnie nie zwraca na nas uwagi. Zachwycamy się kolorowymi piórami papug, nie dostrzegając, że skrzeczą koszmarnie. Śmieszą nas małpki wyrrywające sobie banana. Jesteśmy otwarci na to, co widzimy, na stworzenia, które spotykamy. Wychodzimy z zoo, a nasza głowa jest pełna nowych doznań.

Czemu nie patrzymy tak na ludzi? Z zafascynowaniem? Z niedowierzaniem, ale podsycanym ekscytacją, nie niechęcią? Z zainteresowaniem? Z chęcią poznania? Z poczuciem, że ten ludzki zwierzyniec jest naprawdę fascynujący. Nie mniej niż płaszczka czy miś koala.

Ach! Ciekawe, jak wygląda produkcja takich wielkich sobolich czap? Co też się robi, by nie było w nich za gorąco? Ach! To niesamowite! Mieszkańcy Jerozolimy muszą mieć inną wrażliwość na hałas i krzyki na ulicy, skoro nie robią one na nich wrażenia! Ach! Pchają się łokciami, ciekawe, gdzie tak się spieszą.

Podobno jeden z moich nieżyjących już przodków powtarzał: *O Gott, wie groß ist dein Tiergarten!* (Och, Boże, jakże wielki jest twój zwierzyniec). Te słowa słyszałam wiele razy od mojej Mamy i Babci. I z czasem stały się moim życiowym mottem.

**16 marca / 13 adar II, środa**

Przy okazji Purim pojawiają się w różnych źródłach informacje na temat tego święta. Zawsze fascynowało mnie, jak każdy wybiera to, co uważa za najbardziej interesujące. Bardzo często Purim staje się synonimem picia alkoholu. Takie trochę śmieszkowanie, że ho, ho, Żydzi się upijają, że hi, hi, hi, piją tyle, by nie odróżnić Hamana od Mordechaja. Drugą, choć już nie tak atrakcyjną rewelacją, jest to, że Żydzi się przebierają. Akurat mnie ortodoks w stroju niedźwiedzia o wiele bardziej cieszy niż ortodoks po butelce wina. Ale może mam inne doświadczenia, bo widziałam i jedno, i drugie. Kierowca autobusu w skrzydełkach motyla, sprzedawczyni w uszach Myszki Miki, przechodzień w stroju smoka to najzwyczajniejszy obrazek z purimowego dnia w Izraelu.

Za każdym razem, gdy czytam takie purimowe opisy, żałuję, że skupiono się na zwykłej tradycji, zamiast poświęcić więcej uwagi istotnym przykazaniom związanym ze świętem. W tym czasie żydowskim obowiązkiem jest dwukrotne wysłuchanie Księgi Estery, wieczorem (kiedy zaczyna się święto) i rano. Poza tym micwą jest zjedzenie odświętnego posiłku, któremu towarzyszy większa niż zazwyczaj ilość alkoholu, oraz przykazanie cedaki, czyli finansowego wsparcia potrzebujących, i podarowanie paczek żywnościowych innym Żydom. To ostatnie przerodziło się w niezliczoną masę torebekzek wypełnionych słodyczami, którymi wszyscy się nawzajem obdarowują.

Ja też przygotowałam paczuszki, dokładnie dwadzieścia pięć sztuk. W każdej soczek, mandarynka i kilka cukierków. Do tego kartka od nas z życzeniami purimowymi. Upiekłam hamantasze. Zawzięłam się i są. Kształtem przypominają rozjechanego jeża, ale są smaczne. I przyznam, że jakoś mi z tym dobrze. Jestem dojrzałą kobietą i wiem, że gotowanie nie świadczy o mojej wartości, tak jak zabawa z dziećmi w domek czy chodzenie na plac zabaw nie są wyznacznikiem bycia dobrą mamą. Ale nic na to nie poradzę, że krzątanie się po kuchni w fartuszkach i możliwość powiedzenia: „Cześć, Kochani, upiekłam ciasteczka” – sprawiły mi wielką przyjemność. Kiedy dzieci wracają z przedszkola czy szkoły, a ja siedzę przy komputerze i jeszcze odpisuję na wiadomości, czuję lekkie ukłucie w sercu. A kiedy

mówię: „Hej, już do was idę, tylko to skończę”, mam delikatne poczucie winy, że nie stoję w progu z rozłożonymi rękoma i ciepłą herbatką zaparzoną specjalnie dla nich.

**17 marca / 14 adar II, czwartek**

Wczoraj wieczorem całą brygadą – bez Starszego Syna i Najstarszej Córki, którzy pojechali na Purim do Łodzi – poszliśmy do synagogi na odczytanie Księgi Estery. Potem się rozdzieliliśmy. Mąż z dziećmi zostali chwilę dłużej, a ja poszłam na marsz poparcia dla Ukrainy, który przeszedł z ulicy Miodowej ulicami Kazimierza.

Dzisiaj po południu znowu spotkaliśmy się ze społecznością żydowską na czytaniu Księgi Estery. Tym razem synagoga zastawiona była stołami z alkoholem. Zanim zaczęło się czytanie, dzieciaki biegały, wręczając sobie paczki ze słodyczami. Po czytaniu rozpoczął się posiłek przy głośnej muzyce, butelki poszły w ruch, maluchy w najróżniejszych przebraniach i maskach przeciskały się między dorosłymi. Każdy trzymał w ręce pakunki z hamantaszami, winem i innymi smakołykami. Wytoczyliśmy się późnym wieczorem. Ja przejeżdżona, Mąż na lekkim rauszu, Dzieci przecukrzone. Czyli dokładnie tak, jak miało być. Kolejne dni spędzę na rozpakowywaniu paczuszek z cukierkami, czipsami i owocami.

**18 marca / 15 adar II, piątek**

Ale się cieszę. Nie zjadłam wczoraj mięsa. Miałam ogromną chęć, a udało mi się powstrzymać. Już jakiś czas temu postanowiłam, że zostanę wegetarianką. Skoro mięcho i tak jadałam bardzo rzadko, równie dobrze mogę go nie jeść wcale. Większość naszej rodziny lubi rosół na kurczaku czy potrawę z wołowiny. Wszyscy jednak z różnych względów ograniczyliśmy ich spożywanie do minimum. Niektórzy – również wśród dzieci – całkowicie.

Po pierwsze, w Polsce wcale niełatwo o kosherne mięso. By takie było, musi pochodzić od zwierzęcia, na którego jedzenie przyzwala Tora. Plus musi zostać zabite w odpowiedni sposób. Nie ma dookoła nas sklepów, do których można by wejść i poprosić o koszerną polędwicę, tatar, parówki drobiowe, szyneczkę z indyka czy cokolwiek innego. Taki luksus jest zarezerwowany dla mieszkańców znacznie większych żydowskich społeczności niż nasza. W Polsce jest wiele miejsc, w których dokonuje się *schity*, uboju odpowiadającego standardom koszerności. Ale wszystko idzie na eksport. Dlatego żeby zjeść koszerną kiełbaskę, trzeba się nieźle naszukać. A później często okazuje się niewarta podjętego wysiłku i wydanych pieniędzy.

Dodatkowo w posiłkach i podczas gotowania nie łączy się potraw mlecznych z mięsnymi. W kuchni obowiązuje ścisły podział na naczynia używane do jednych i do drugich. Ponieważ zasady koszerności produktów mlecznych są znacznie prostsze niż tych mięsnych, nasza kuchnia jest głównie mleczna. Spośród wszystkich naczyń, jakie posiadamy, tylko jeden garnek, jedna patelnia, kilka talerzy i sztućców służą do gotowania i jedzenia mięsa. Leżą w najdalszej szufladzie i mamy je na wszelki wypadek. Przydały się kilka razy. Choćby wtedy, kiedy znajomi wyjeżdżali z Polski na stałe i dali nam wielki kawał wołowiny. Sami kupili ją w ilościach hurtowych, bo jak już zdobywamy mięcho, to od razu dużo, bo nie wiadomo, kiedy nadarzy się kolejna okazja. Potem zdobycz została wykorzystana podczas najbardziej uroczystej kolacji w roku, czyli w Pesach. Ten smak czuję do tej pory. Zajadaliśmy się nią również w trakcie grillowania w naszym domku na wsi.

Drugim powodem naszego mięsnego ograniczenia jest to, że jedzenie czegoś, co wcześniej żyło, wydaje mi się coraz bardziej niemoralne. Wiem, że ludzie są mięsożercami od pokoleń. Niektórym trudno sobie wyobrazić egzystencję bez kotleta. Ale według żydowskiej tradycji nie zawsze tak było. Bóg zasadził ogród Eden, w nim stworzył Adama i Ewę oraz nakazał im, by nad ptakami, ssakami, rybami i wszystkim innym, co się roi na ziemi, panowali. Tylko że człowiek źle zrozumiał tę koncepcję. Owszem, miał stać się władcą, ale mądrym, opiekuńczym, dobrze zarządzającym, a nie zachłannym,

egocentrycznym i siejącym zniszczenie. Dostyc szybko z opiekuna zamienił się w oprawcę. W czasach Noego godziwość ludzi upadła tak nisko, że poza przelewaniem krwi braci zaczęli też pożerać zwierzęta. Bóg sprowadził potężne wody, a te zmiotły wszystko. Świat, jaki się wyłonił, kiedy opadły, nie był już taki jak ten pierwotny, harmonijny, doskonały. Jedną ze skaz, które na nim pozostały, było jedzenie mięsa, tak obce pierwszym ludziom.

Cenię sobie wszystkie ruchy wśród religijnych Żydów, które zapewniają, że posiłek z daniami jarskimi może być równie wspaniały jak kolacja szabatowa z pieczenią czy świąteczne śniadanie z mięsnym czulentem. Choć w kuchni żydowskiej mięso zawsze zajmowało istotne miejsce, zmienia się ona wraz z całą resztą świata. Czy kiedyś jako społeczność liczona w miliardach wrócimy do czasów Adama i Ewy, którzy byli wegetarianami? Nie wiem, ale brzmi to jak wspaniałe wyzwanie.

Nigdy nikomu bym nie narzucała przejścia na wegetarianizm. Sama nie wyobrażam sobie, żebym kiedyś umiała zostać weganką, a przecież spożywanie i jajek, i mleka ma dla zwierząt negatywne konsekwencje. Ale każdorazowo, kiedy potrafię się powstrzymać przed sięgnięciem po udko z kurczaka, czuję, że zrobiłam lepiej, niż gdybym je zjadła. Nie jest to trudne, kiedy nie ma dookoła mnie mięsa. Zaczyna być wyzwaniem, gdy podczas jakiejś żydowskiej imprezy widzę pyszne, smakowite kawałki, do których, nic na to nie poradzę, ciągnie mnie niesamowicie. Odkąd zadeklarowałam, że zostaję wegetarianką na sto procent, raz czy dwa nie umiałam się pohamować i zjadłam nóżkę kurczaka. A wczoraj mi się udało! Wodziłam oczami po półmiskach z drobiem jak dziki sęp. Ale nie tknęłam niczego.

**20 marca / 17 adar II, niedziela**

Purim się skończyło. Można zacząć myśleć o Pesach. Jak ja lubię ten żydowski tryb. Wszystko mi w życiu układa, pozostawiając tyle miejsca do zadawania pytania „i co teraz?”.

Jeszcze ostatnim purimowym podrygiem odbyły się dzisiaj w jednej z żydowskich instytucji warsztaty dla dzieci. Nie obyło się bez tradycyjnego purimowego przedstawienia. Robiłam je ja. Żółta piłka, nadgryziona nie wiem przez kogo, była Esterą, pluszowa panda przedstawiała Mordechaję, a piszcząca po naciśnięciu żyrafka Hamana.

Ależ trudno mi było nie zrobić z niewinnego przedstawienia dla dzieci feministycznego protest songu z Waszti w roli głównej. Och, jak bardzo miałam ochotę podkreślić, jak dzielna się okazała, mówiąc „nie” i nie zgadzając się na panujące zwyczaje czyniące z kobiet marionetki służące wyłącznie uciechu mężczyznom. Bardzo musiałam się powstrzymać, by nie krzyknąć: „Wiwat Waszti, do piachu z Ahaszwerosem i jego doradcami”. Trzymając drewniany klocek z rysunkiem dziewczynki, który służył jako Waszti, skierowany w stronę kowboja Chudego z Toy Story, naszego Ahaszwerosa, wygłosiłam tylko kilka zdań w stylu: „Mam prawo decydować o sobie. Nie jestem twoją własnością. Żadna kobieta, żaden człowiek nie jest własnością drugiej osoby”.

**21 marca / 18 adar II, poniedziałek**

*Lajm!* To okrzyk, którego nauczył się nasz Najmłodszy. Uwielbia stukać się z innymi szklanką czy kubkiem, krzyknąć *lajm*, brać łyka, znowu się stukać, znowu krzyknąć *lajm*. To nic innego jak nas, dorosłych, *lechaim* – toast, który powtarzamy chętnie nie tylko przy trunkach.

**22 marca / 19 adar II, wtorek**

Zafarbowałam włosy na rudo. W całej mojej fryzururowej historii kilkukrotnie ostrzygłam się na jeża – pierwszy raz w wieku dwunastu lat, a potem co jakiś czas. Raz, jako dziesiętnastolatka, zrobiłam sobie trwałą. Dwa razy burzę długich warkoczyków. I kilka lat temu na chwilę zostałam syreną

z niebieskimi włosami.

Wszystkie czynności fryzjerskie od zawsze wykonuję sama (z wyjątkiem trwałej i warkoczy), bo nie są dla mnie skomplikowane, za to sprawiają mi dużo przyjemności. Zdarzyło mi się strzyc włosy dzieciom. A nawet znajomej, ale zupełnie nie była zadowolona z efektu.

Na Instagramie pokazałam rudy kosmyk, chwając się zmianą.

I zaczęły się pytania: „A wolno ci tak?”, „A musisz mieć tę chustkę?”, „A co się stanie, jak ściągniesz?”. Rozumiem, rozumiem, że religia kojarzy się przede wszystkim z zakazami i nakazami. I w dużej mierze na nich się opiera. Ale skąd pomysł, że całe moje życie pozbawione jest „ja chcę” lub „ja nie chcę”? Czy religijność automatycznie musi oznaczać całkowity brak własnej woli? Przecież ta religia to też mój wybór. Nie jem świni, bo zabrania mi tego żydowskie prawo. Ale ja to prawo sama wybrałam, świadomie rezygnując z pewnych rzeczy i godząc się na inne. Gdybym nie mogła żyć bez schabowego, to nie zdecydowałabym się na ortodoksyjny judaizm.

Ciekawość jest super. Tylko że wołałabym usłyszeć neutralne pytanie: „Jaki jest powód noszenia tej chusty?”. Wtedy mogę rozwinąć skrzydła, opowiadając, że to zwyczaj zamężnych Żydówek, który swoje źródło ma w Torze. Wziąć się mógł z romantycznej opowieści o Riwce i Icchaku (Izaaku). Ona na wielbłądzie przemierza świat, on idzie przez pola w porannej mgle. Ona patrzy na niego. Dech jej zapiera. Serce przestaje bić. Nogi robią się jak z waty. W myślach krążą kolorowe motyle. Kiedy dowiaduje się, że to jej przyszły mąż, z wrażenia zsuwa się ze zwierzaka. I zaraz zakrywa twarz. Drugą wskazówką jest opis sądu nad mężatką, która została oskarżona o cudzołóstwo. Stając przed sędziami, ściąga nakrycie głowy.

Zwyczaj ma kilka tysięcy lat. Ale co i w jaki sposób wkłada mężatka, zależy od społeczności, w której żyje, od tego, jak noszą się jej krewne, sąsiadki, ale też nie-Żydówki w okolicy, bo mody się przenikają. Jedne, choć ortodoksyjne, będą chodzić z głową odkrytą. Inne z wąską chustką. Można też całą głowę owinąć w wielki turban. Są kobiety, które na co dzień będą w czapczkach, a od święta w peruce. Inne perukę założą zawsze, dodatkowo przywdziewając czapczkę. Jest też jeden, bardzo wąski odłam judaizmu, w którym kobiety strzygą się na krótko, a nawet golą głowy. Te wszystkie zasady dotyczą sfery publicznej, lecz w domu, wśród bliskich, też obowiązują podobne podziały na te bardziej odkryte i te bardziej zakryte. Ale każdorazowo to rzecz bardzo indywidualna.

Dzisiaj bardzo dziwi, że żydowskie mężatki nie noszą fryzur jak inne kobiety. Ale jeszcze nie tak dawno temu również wśród nie-Żydówek widoczne było rozróżnienie na panny i mężatki. Słynne oczepiny to nic innego jak zastąpienie panińskiego wianka czepkiem przynależnym kobietom zamężnym. No i u Żydówek jest nadal podobnie, choć akurat żadnej specjalnej imprezy z chustką w roli głównej nie ma.

*23 marca / 20 adar II, środa*

Są rzeczy dla mnie zupełnie oczywiste i całkiem proste do zrozumienia. A potem się okazuje, że u kogoś innego wzbudzają wielkie zadziwienie.

Czasem dostrzegam zmieszanie, kiedy mówię, że Żydzi – również niereligijni – obchodzą jakieś święto, a świat religijny nie ma nic przeciwko. Nawet teraz, pisząc to zdanie, czuję, jakbym mówiła z pełną powagą, że koty bez sierści również są kotami i nawet weterynarze te zwierzęta jako koty klasyfikują. Dlaczego w ogóle w takim razie komukolwiek to tłumaczę? Ponieważ sama jestem świadkinią dyskusji, które wybuchają najczęściej w okolicach Gwiazdki, ale też teraz, kiedy zbliża się Wielkanoc. Z jednej strony słychać głosy, że choinka, mikołaj i zajaczek to elementy polskiej tradycji. Każdy może ich używać do woli. Nie ma znaczenia, czy do kościoła chodzi, czy w Boga wierzy i czy Jezusa nosi w sercu. Ba, żaden mieszkaniec Polski nie powinien o nich zapomnieć, jako że są takie polskie.

Z drugiej strony odzywają się oburzeni tym, że z religii i wiary robi się nomen omen szopkę, dzieląc się opłatkiem z wizerunkiem Jezusa w żłóbku, choć jego narodzin wcale nie uważa się za wielkie wydarzenie, czy malując pisanki, skoro zmartwychwstanie uważa się za nieprawdopodobną opowieść.

Że tym samym z czegoś, co dla kogoś jest bardzo ważne, wręcz święte, robi się farsę sprowadzaną do pełnego brzucha.

W tego typu walkach na argumenty oczywiście nie zabierałam głosu, bo w tym wypadku zupełnie nie wiem, jak powinno być. Ale właśnie pokłosem tych dysput jest pytanie, czy chanukija w oknie świeckiego Żyda nie kłuje w oczy tego bogobojnego? No więc odpowiedź jednoznacznie brzmi: „nie”. Dlaczego? No a dlaczego miałyby to być jakkolwiek problem?

W judaizmie nie ma jednej centralnej postaci, wokół której krążą wszelkie święta. Dla Żydów religijnych ważny jest w nich Bóg i naród żydowski plus wspólna historia i wzajemna relacja. Dla Żydów świeckich będzie to naród żydowski bez Boga – w znaczeniu religijnym: tego, który daje prawa – i wspólna historia bez boskich interwencji.

Żydzi religijni do synagogi pójną ze względu na boską obecność i żydowską społeczność. Ci świeccy znajdują się w niej ze względu na żydowską tradycję i znajomych. Powód wizyty w synagodze nie ma większego znaczenia, skoro to miejsce dla wszystkich Żydów.

Żydzi religijni przez osiem dni będą codziennie zapalali świeczki na chanukii, bo takie jest rabiniczne przykazanie. A powstało ono, by upamiętnić wydarzenia z żydowskiej przeszłości i ocalenie Żydów za sprawą boskiej opatrności. Ci, którzy nie potrzebują żadnych przykazań, zapalać będą chanukiję z tych samych historycznych powodów. Zwycięstwo Żydów nad wrogiem uznając za zwykłe wydarzenie. Patrząc na płomienie, nikt nikomu nie będzie wytykał palcem, że jak to – świece płoną, a nawet błogosławieństwa nie zostały pięknie odmówione. Że tradycyjne pączki są na smalcu, zabronionym przez Torę! Żydem jest się niezależnie od tego, czy chanukija stoi obok mezuzy, symbolu żydowskiego domu, czy obok choinki, która jest symbolem zgoła czegoś innego.

Albo kolacja pesachowa, która zbliża się wielkimi krokami. To w wielu żydowskich domach uroczysty posiłek z macą w roli głównej. U jednych ręcznie robioną, sprowadzaną z Izraela. U innych kupioną w lokalnym sklepie i jedzoną w towarzystwie nieżydowskiego męża czy nieżydowskiej żony.

Judaizm jako religia w znacznej mierze opiera się na żydowskiej historii. Dlatego właśnie nikt nie kłóci się o poziom religijności pana Samuela, który jako nastolatek zbuntował się przeciwko ortodoksyjnej rodzinie, ale co roku w Jom Kippur pości i idzie do synagogi, czy pani Krysi, która wyszła za katolika i chanukiję stawia pod kalendarzem adwentowym. Nie ma corocznych batalii o to, komu co wolno, bo koniec końców tradycja łączy nas wszystkich.

***24 marca / 21 adar II, czwartek***

Wskoczyłam do sklepu z rzeczami wszelkiego rodzaju, do którego zaglądam zawsze, kiedy nie mam pomysłu na prezent. Mąż ma niebawem urodziny. Gdyby nie to, że dzieje się tysiąc rzeczy z prędkością światła, zapewne już pół roku temu miałabym plan, co by mu sprezentować, i od miesiąca bym nad ową rzeczą pracowała. Ale nie miałam kiedy nad upominkiem pomyśleć, więc dostanie paczkę chusteczek do okularów – zawsze się przydają, zwłaszcza okularnikom. Plus zestaw składający się z drewnianego masażera i pachnącego olejku – zapowiedź wielogodzinnych, upojnych masaży, kiedy tylko czasy się uspokoją i przestaną pędzić z prędkością światła. Plus grę na dwie osoby – niech nawiązuje relacje z dziećmi podczas szabatów. I jeszcze trzy miseczki, które bardzo mi się spodobały i chętnie miałabym je w swojej kuchni. Idąc ulicą zadowolona, że mam dla Męża cokolwiek, spotkałam pewnego mężczyznę. Zatrzymałam się, zeskoczyłam zwinnie z roweru, po czym rzuciłam mu się na szyję. Ja, religijna Żydówka, która opowiada wszem wobec, że unika kontaktów fizycznych z płcią przeciwną z wyjątkiem własnego Męża i innych członków rodziny, ewentualnie przyjaciela geja. No tak. Unikam. To znaczy, że nie wyciągam pierwszą ręką do facetów. Nie daję całusów na przywitanie kolegom. Nie przytulam się w akcie przyjaźni do panów. Ale wychowałam się wśród dotyku rozdawanego bez względu na płeć. Dorastałam w głaskach wszelkiego rodzaju nie tylko między koleżankami. Często mój odruch jest szybszy. I zupełnie mi z tym dobrze. Nie mam zamiaru tego w sobie tłumić. A ów mężczyzna to osoba, którą obserwuję na Instagramie, z którą czasem piszę i którą obdarzyłam wielką sympatią. I kiedy zobaczyłam go w realu, sunącego krakowskimi ulicami, choć do



tej pory widziałam go tylko w telefonie, jakoś tak wyszło, że padliśmy sobie w ramiona. A potem idąc za ciosem, w relacji zawodowej, uściśnęłam dłoń kolejnemu facetowi. Temu, któremu miesiąc wcześniej powiedziałam, że z zasady nie ściskam dłoni facetom.

**25 marca / 22 adar II, piątek**

Znajomi wrócili z Izraela i zabrali psa. Nie wiedziałam, że tak bardzo przywiążę się do tej włochaczki. Już bez niej smutno. Nikt nie skacze między nogami, nie liże mnie nad ranem. Ale przyznam, że jest dokładnie tak, jak przewidywał Mąż, gdy wspomniał o kozie.

Stara żydowska przypowieść mówi, że dawno, dawno temu, w małym sztetlu, czyli miasteczku z żydowską większością, pewien bardzo biedny Żyd przyszedł do rabina po radę. „Rebe – zaczął się żalić przybyły – mamy mały, malutki domek, dwie izby ledwie. A w nich siedmioro naszych dzieci, moi starzy, schorowani rodzice i przemęczona żona. Gnieźdzymy się jedno na drugim. Do tego bieda. Nie ma co do garnka włożyć. Głodujemy. Kilka ziemniaków i marchewka to jedyne, co mamy”. Rabin pomyślał, pomyślał i powiedział: „Kupcie sobie kozę”. Żyd złapał się za głowę. „Ale jak to, mam kupić kozę, rebe?” „Tak, kupcie sobie kozę” – powtórzył rabin. Żyd poszedł na targ i za ostatnie pieniądze kupił kozę. Po miesiącu wrócił do rabina. „Rebe, to jakiś koszmar. Tak się nie da żyć. Koza wchodzi do izby, robi gdzie popadnie, rodzice się denerwują i podupadli jeszcze bardziej na zdrowiu, żona chodzi wściekła. Nie dość, że ma obowiązki domowe, to jeszcze po kozie trzeba sprzątać. Do tego zwierzak zjada nasze warzywa i już całkiem nie mamy co jeść. Rabinie, ratuj!” Rabin pomyślał, pomyślał i powiedział: „Sprzedajcie kozę”. Żyd przetarł oczy z niedowierzaniem. „Sprzedać kozę?” „Tak, sprzedajcie kozę”. Żyd poszedł na targ i zrobił, co mu kazał rabin. Po miesiącu wrócił do niego i od progu zaczął krzyczeć podniecony. „Rabinie! Rabinie! Bez tej kozy jest tak dobrze. Rodzice się nie denerwują, bo nic im między nogami nie łązi, żona promienieje, odkąd nie musi sprzątać kozich bobków, dzieci przybrały na wadze, bo koza nie zjada już naszych ziemniaków i zostaje więcej dla nas. Ależ nam się teraz dobrze żyje”.

**27 marca / 24 adar II, niedziela**

Jutro nasza rocznica ślubu. Pobraliśmy się 25 adar szeni, czyli w miesiącu, który dodaje się w latach przestępnych mających trzysta osiem miesięcy. Rok 5782 również jest przestępny, więc daty się zgadzają. Kiedy wypada rok nieprzestępny z dwunastoma miesiącami, a adar jest tylko jeden, na niego przenosi się wszystkie rocznice z adaru szeni.

**28 marca / 25 adar II, poniedziałek**

Wczoraj miałam kolejne zajęcia w ramach przygotowań do bat micwy. Opowiadałam dziewczynkom o różnicy między opisem stwarzania świata według Tory a teorią ewolucji. Zdarzają się osoby, które oczekują, że ponieważ jestem religijna, będę krzyczeć, że z małpami nie mamy wspólnych przodków, i stanę się głosem prawdy, że nic nas ze zwierzętami nie łączy, bo przecież z prochu powstaliśmy. Znacznej większości jednak kamień spada z serca, kiedy oznajmiam, że tak właśnie, ewolucja to nie ściema, a słów Tory nie można zawsze traktować dosłownie. No bo kiedy powstała jednostka czasowa? Wymyślił ją dopiero człowiek. Słowa „jeden dzień” wcale nie muszą oznaczać doby w naszym dzisiejszym rozumowaniu. Mogą to być miliony lat. A cała reszta się zgadza. Najpierw nie było nic. Potem pojawiły się woda i lądy. Na lądach zaczęła rosnać roślinność. Dopiero później zaroilo się wodne życie. Z wód zwierzęta weszły na ląd i dały początek pierwszym ssakom. No i dzisiaj mamy ludzi.

Zadałam dziewczynom pytanie, czemu wedle nich człowiek powstał na końcu. Od razu podłapały

dwie możliwości, które są najczęstszymi wyjaśnieniami rabinów. Człowiek VIP i człowiek potencjalny szkodnik.

Według pierwszego wyjaśnienia Boga porównuje się do gospodarza, człowieka do gościa, a ziemię do zastawionego suto stołu. Na zaproszonych na kolację znajomych najczęściej czekamy z gotowym posiłkiem. Dlatego człowiek został stworzony, kiedy ogród Eden był całkowicie skończony, rosły w nim już wszystkie rośliny i mieszkała wszelka zwierzyzna.

Według drugiego wyjaśnienia wszystko powstało przed człowiekiem, by ten w swojej próżności i pyszałkowatości nie równał się z Bogiem. Mógłby się z łatwością przechwalać, że we wszystkim pomagał, może nawet doradzał. Ba! Łatwo by było wszelkie zasługi całkiem sobie przypisać. A tak – człowiek powstał na samym końcu, nie tylko po słoniach, krokodylach czy wspomnianych małpach, ale nawet po pchłach, komarach i kleszczach.

I jedna, i druga koncepcja nie przeszkodziły nam rozpanoszyć się na ziemi i doszczętnie jej zrujnować.

**30 marca / 27 adar II, środa**

Nazywasz się feministką, dlaczego? Ponieważ jestem za równością płci. Czy to oznacza, że w judaizmie ortodoksyjnym, który dominuje w twoim życiu, obie płcie są równo traktowane? Nie. Ale nie stanowimy wyjątku. W znacznej większości wszystkich światów, i tych religijnych, i tych świeckich, niestety dominuje patriarchy.

Byłabym naiwna, licząc, że ten argument usatysfakcjonuje osobę, z którą rozmawiam. Jednak patriarchy patriarchy nierówny. Na przykład w Polsce wiele nierówności społecznych jest kwestią przyzwyczajenia. Wszelkie akcje i aktywistki działające w sieci świetnie je rozpracowują. Umiejętnie pokazują, że choć bardzo głęboko zakorzenione, to jednak tylko przyzwyczajenia. Do tego dochodzą państwowe rozporządzenia, które są wobec kobiet równie niesprawiedliwe. Ale z nimi można sobie poradzić poprzez właściwy wybór partii rządzących.

Judaizm za to w dużej mierze opiera się na prawach Tory, które przynajmniej dla ortodoksyjnych Żydów nie ulegną zmianie. Przypomina mi się ładne porównanie, które usłyszałam niedawno. Kiedy patrzymy na obraz z Mona Lisą, nie mamy ochoty domalować oryginałowi okularów słonecznych czy modnej torebki, by była bardziej współczesna. Jest doskonała właśnie taka, z lekko krzywym uśmiechem, z charakterystycznie ułożonymi na oparciu krzesła dłońmi.

Podobnie jest z Torą, boskim dziełem. Jedni się nią zachwycają, innym się nie podoba. Ale tym bardziej nie należy jej w żaden sposób przerabiać.

Oznacza to, że świat religijnych Żydów – zwłaszcza ultraortodoksyjnych *charedim* – pozostanie niezmienny, więc nierówny na zawsze. Za to ortodoksja bardziej liberalna, idąc w ślad za reformowanymi i za światem świeckim, doczeka się tak dużych zmian, że status kobiety będzie równy statusowi mężczyzny.

Czas wymienić te nierówności – niektóre są mocno związane z żydowskim prawem, inne wynikają z nakazów rabinicznych, jeszcze inne to obyczaje.

Przykładem jest różny status zdrady małżeńskiej. W czasach biblijnych ta ze strony kobiety była traktowana znaczenie surowiej. Za to mężczyźni mogli nawiązywać relacje z kilkoma kobietami bez żadnych konsekwencji. W samym Pięcioksięgu czytamy o wielu żonach żydowskich praocjów, od których zaczął się monoteizm i – oczywiście – judaizm. Współcześnie poligamia jest całkowicie zabroniona, ale ciężar małżeńskiej nielojalności dla obu płci jest nadal niewspółmierny, podobnie jak sytuacja dziecka narodzonego z cudzołóstwa. Potomek zdradzającej kobiety będzie miał niższy status społeczny niż ten poczęty w wyniku zdrady mężczyzny.

Wymienić należy ponadto zawody, których wykonywania wprawdzie nie zabrania kobietom religia, ale społecznie pozostają nie do przyjęcia. Z czasem ta lista na pewno się zmieni. Na całym świecie z roku na rok przybywa pań w fachach, w których do tej pory można było spotkać tylko mężczyzn. Również wśród Żydów. Prawdopodobnie nigdy nie pojawią się uznawane powszechnie

ortodoksyjne rabinki, kantorki śpiewające na ortodoksyjnych uroczystościach, mohelki, które będą obrzezywać ortodoksyjnych chłopców, soferki spisujące Torę do ortodoksyjnej synagogi czy szojetki dokonujące rytualnego uboju.

Chociaż może warto słowo „nigdy” zamienić na „nieprędko”, pozostawiając iskierkę nadziei, że kiedyś jakieś zmiany nastąpią. Coraz więcej pań kończy renomowane szkoły religijne, nie tylko w judaizmie bardziej liberalnym, i staje się autorytetkami w sprawach żydowskiego prawa. Kobiet śpiewających publicznie przybywa. Pierwszą mohelką była żona Mojżesza – największego żydowskiego proroka, więc w tej dziedzinie szlaki zostały dawno przetarte. Pięknie kaligrafujące soferki też już są. Może niebawem doczekamy się żeńskiej szkoły ze zwojem Tory spisany kobiecą ręką. A szojetkami były wszystkie gospodynie wiejskie. Żadna nie miałaby podczas gotowania obiadu czasu na czekanie, aż mąż zawita do domu. Więc może te „męskie zawody” staną się zawodami uniwersalnymi szybciej, niż nam się wydaje.

Śledząc dalej nierówności, trzeba wspomnieć o obowiązującym w synagodze ścisłym podziale na część męską i żeńską. I o tym, że niezależnie od tego, jak korzystnie usytuowany jest babiniec, to mężczyźni są bliżej Tory i najczęściej mają więcej miejsca. Z zewnątrz można by odnieść wrażenie, że są traktowani jak ludzie wyższej kategorii. Podobnie sytuacja się ma w innych miejscach, w których ustawiono *mechicę*, czyli parawan lub ściankę oddzielającą od siebie obie płcie. Częstokroć to panom dostaje się lepsza część. Czy kiedyś ortodoksyjne imprezy będą koedukacyjne? Wątpliwe. Natomiast tak jak w polskich toaletach coraz częściej można znaleźć różowe skrzynki, a w nich podpaski i tampony, tak też *ezrat naszim* buduje się za każdym razem z większym pomyslnikiem, tak by kobiety czuły się w nich komfortowo.

Koncept *kol isza*, co oznacza dosłownie ‘głos kobiecy’, zabrania paniom śpiewać w towarzystwie mężczyzn, o tańcu nie wspominając. Czym dokładnie jest to *kol isza*, zależy od interpretacji. Czy dotyczy tylko kobiety śpiewającej solo czy zespołów również? Czy każdej piosenki, a może tylko tych o zabarwieniu erotycznym, ale kołysanek i melodii religijnych już nie? Czy tylko kiedy głos słyszany jest bezpośrednio, a śpiewaczkę widać, czy również kiedy dochodzi z radia lub z telewizora? Ponieważ co autorytet, to opinia, łatwiej o zmiany, które już teraz można zauważyć. Dzisiaj akceptuje się znacznie więcej niż chociażby dekadę temu. W czasach YouTube’a pojawiają się kolejne ortodoksyjne śpiewaczki, nawet z najbardziej restrykcyjnych kręgów.

Kolejną koncepcją, która budzi żywe zainteresowanie, jest *nida*. Wiele feministek doprowadza ona wręcz do szału. Uważają, że przekonanie o rytualnej nieczystości kobiety po okresie krwawienia i związane z tym okresem nakazy i zakazy są niedopuszczalną ingerencją w cielesność i powinny zostać całkowicie zniesione. Tyle że nigdy nie zostaną, ponieważ *nida* również jest bezpośrednio wspomniana w Torze. Ale może skoro innego rodzaju „nieczystości” rytualne straciły na znaczeniu, odkąd nie ma Świątyni Jerozolimskiej, to może i ta przestanie funkcjonować? Żeby jednak tak się stało, najpierw należałoby przestać traktować seks małżeński jako moment i miejsce, w których przejawia się boska obecność – tak jak w Świątyni. Dodatkowo spora część religijnych Żydówek nie uznaje ani koncepcji *nidy*, ani konieczności chodzenia do mykwy za obowiązki, które czegoś im ujmuje. Wręcz przeciwnie. Bardzo cenią sobie i czas, w którym nie zbliżają się z mężem, i samo przygotowanie do zanurzenia. Dla wielu jest to kwintesencja intymnej relacji z partnerem i sposób na podtrzymywanie erotycznego napięcia, które nie słabnie mimo upływających lat właśnie dzięki comiesięcznym cielesnym rozłąkom.

Kolejnym zwyczajem, który wiele osób przyprawia o gęsią skórę, są słowa porannej modlitwy. Wśród kilkunastu błogosławieństw dziękczynnych pojawia się jedno, które różni się w zależności od płci wypowiadającej je osoby. Panie mówią: „Dziękuję, że stworzyłeś mnie według własnej woli”, a panowie „Dziękuję, że nie stworzyłeś mnie kobietą”. I tym razem od interpretacji zależy, co te słowa dokładnie oznaczają. Jedni dopatrują się w nich zwykłego, najprostszego i najgorszego szowinizmu. Inni tłumaczą je zgoła inaczej. W porównaniu z kobietami mężczyźni obowiązują znacznie więcej nakazów z Tory. Dlatego bogobojni panowie uznają, że należy codziennie podziękować Bogu, że wybrał dla nich płć, która dzięki dodatkowym przykazaniom daje im szansę na pogłębienie religijnego zaangażowania. Tutaj pojawia się jednak pytanie, czemu nie powiedzieć po prostu: „Dziękuję, że stworzyłeś mnie mężczyzną”, tak jak zresztą robią niektóre społeczności. Albo użyć dokładnie tego samego sformułowania, którego

używają kobiety, dziękując, że zostały stworzone wedle woli Stwórcy. Znaczenie przecież jest to samo. A wydźwięk delikatniejszy.

Inni to błogosławieństwo potraktują jako najprostsze stwierdzenie: „Wolę być facetem”. Dlaczego? Ponieważ każdy przy zdrowych zmysłach dostrzeże nierówność płci. Tę biologiczną, bo kobiety co miesiąc krwawią i rodzą w bólach. To naprawdę spore obciążenie! Do tego zawsze miały niższy status społeczny, znacznie częściej padały ofiarami seksualnych napaści, a ich prawa są nadal drastycznie łamane. I tutaj znowu pojawia się głos mówiący, że choć biologii ominąć się nie da, cała reszta jest w naszych rękach. Zamiast co rano cieszyć się, że z racji urodzenia jest się na uprzywilejowanej pozycji, lepiej zmienić świat w taki sposób, aby zniwelować niesprawiedliwość.

Niezależnie od tego, jak interpretujemy te słowa, nie musimy ich wypowiadać. Możemy je też dowolnie zmienić, tak by wyrazić wdzięczność za to, kim jesteśmy, a nie za to, że nie zostaliśmy stworzeni kimś innym.

Wymieniać można by pewnie dłużej, ale chętnie skoncentruję się dla odmiany na równie istotnych aspektach, w których judaizm sprzyja kobietom.

Pierwszy nakaz, jaki pojawia się w Torze, to słowa Boga skierowane do Adama i Ewy w Księdze Be-reszit (Rodzaju) 1,28: „Rozradzajcie się i rozmnażajcie, i napełniajcie ziemię”. Niewątpliwie tłumaczą one licznosc żydowskich rodzin, zwłaszcza wśród ortodoksów. Nie oznacza to jednak, że żydowska religia sprzeciwia się antykoncepcji. Posiadanie potomstwa to nie gra w ruletkę. Kiedy para uznaje, że nie chce mieć dzieci, ma prawo na jakiś czas przerwać lub całkiem zakończyć proces prokreacyjny. Wtedy należy się zabezpieczać, a nie całkowicie zawierzyć Bogu z nadzieją, że do ciąży mimo seksu nie dojdzie. Przecież jadąc samochodem, na zakrętach zwalniamy, żeby się nie roztrzaskać na drzewie, a nie pędzimy przed siebie z wiarą, że nasze życie jest w rękach Boga i jeśli mamy zginąć w wypadku, to widocznie taka boska wola.

Pomijając możliwość antykoncepcji, a w razie konieczności również aborcji, istotne jest to, że nakaz bycia płodnym dotyczy wyłącznie mężczyzn. Wiadomo, że trudno im się rozmnażać bez partnerki, ale to nie one mają taki obowiązek. Przyczyna jest prosta. Judaizm może być wymagający i często prowadzić do sporych wyrzeczeń. Przestrzeganie żydowskiego prawa ma jednak służyć życiu, nie przyczyniać się do śmierci. Nigdy nie powinno być ponad siły danej osoby. Ani tym bardziej być dla niej zagrożeniem. Życie człowieka stanowi w judaizmie najwyższą wartość. Tora nie może nakazać ani zajścia w ciążę, ani zakończenia jej porodem, ponieważ i ciąża, i poród bywają stanem trudnym, często osłabiającym organizm matki, nierzadko odbierającym jej zdrowie, a czasem nawet życie.

Oczywiście w wielu ortodoksyjnych społecznościach nacisk na to, by kobieta była „przy nadziei”, jest spory, a presja, aby urodziła mężowi potomka, duża. Nadal wartość pań mierzy się liczbą potomstwa, a niemutki spotykają się ze zdziwieniem, a często wręcz jawną krytyką – niezależnie od tego, czy dzieci nie mają, bo nie mogą, czy dlatego, że nie chcą. Pomijam też absurdalne oczekiwania wobec osób z macicą, że zechcą w niej gościć rozwijającego się człowieka. Najlepiej, gdyby każdy zajął się swoim układem rozrodczym, a od innych trzymał się z daleka. Wiem jednak, że kilka moich koleżanek, wychodząc za męża, z ulgą przyjmowało scedowanie obowiązku płodności na mężczyzn. Ich partnerzy, rozwodnicy, mający dzieci z poprzedniego związku, nakaz z Tory wypełnili. One miały więc spokój, a bycie żoną nie sprowadzało się tylko do rodzenia.

Zresztą nie tylko to przykazanie dzieli Żydów na kobiety i mężczyzn. Wszystkie zakazy znajdujące się w Torze odnoszą się zarówno do pierwszych, jak i do drugich. Jeśli natomiast chodzi o nakazy, kobiety są zwolnione z tych, których wykonanie wiąże się z określonym czasem. Dotyczy to na przykład zakładania tefilinu podczas porannej modlitwy oraz codziennego noszenia cicit. Ponieważ jednak te czynności nie są zakazane, wśród reformowanych znajdują się panie, które będą zakładać i filakterie, i ubranie z frędzlami. W stosunku do przykazań związanych ze świętem ortodoksyjne społeczności są podzielone. W niektórych panie zdecydowały, że chcą wypełniać którąś z dorocznych micw, i na przykład przy okazji Sukot czy Rosz ha-Szana wypowiadają błogosławieństwo: „Boże, który nakazałeś nam wypełnianie...”. Inne zatrzymują się na wykonaniu samej czynności (przykładowo będą trząść lulawem), ale bez wypowiadania słów, uznając, że przykazanie nie dotyczy ich, tylko mężczyzn. Jeszcze inne zdadzą się na męską część społeczności i pozostaną biernymi świadkiniami.

Różnią się również opinie na temat modlitwy kobiecej. Większość autorytetów rabinicznych uważa, że każda Żydówka ma obowiązek modlić się codziennie. Nie musi się trzymać ustalonego czasu ani konkretnej formuły, ale przynajmniej jeden raz powinna zwrócić się do Boga. Według innych kobieta ma się – podobnie jak mężczyzna – modlić trzy razy dziennie o określonych porach.

W żydowskich społecznościach często jest tak, że kiedy panowie zmierzają na sobotnią poranną modlitwę, panie spotykają się na kawę z ciastkiem i pogaduszki. Lub gdy oni wyskakują z łóżka, choć chętnie by dłużej pospali, one mogą obudzić się później, a potem leżeć pod kołdrą z książką.

Wracając do funkcji kobiety w małżeństwie. Choć podążamy w dobrym kierunku i mamy XXI wiek, nadal możemy być świadkami kuriozalnych sytuacji, w których daje o sobie znać silna nierówność między kobietami a mężczyznami. I dlatego uważam liczącą sobie kilkadziesiąt lat tradycję spisywania kontraktu ślubnego (*ketuby*) za absolutnie genialny wynalazek, gwarantuje ona bowiem kobiecie nie tylko zabezpieczenie finansowe, ale także zaspokojenie szeroko pojętych potrzeb fizycznych.

Ach, i na koniec nie sposób nie wspomnieć o *Tz'edah Ur'edah*, czyli tak zwanej Biblii kobiecej. Księga powstała w jidysz około 1590 roku po to, by kobiety tak jak mężczyźni mogły studiować teksty najważniejsze dla judaizmu. Jej struktura odpowiada parszom – cotygodniowym fragmentom Tory – i haftarom – fragmentom Ksiąg Prorockich używanym w żydowskich nabożeństwach modlitewnych. Łączy w sobie teksty biblijne z naukami z Tory ustnej.

Nazywam się feministką, ponieważ jestem za równouprawnieniem płci. Czy w judaizmie kobieta i mężczyzna zawsze mają równe prawa? Nie. Ale szalenie sobie cenię w tej religii, że w wielu aspektach kładzie nacisk na to, by postrzegać kobietę tak, jak się powinno. Jak człowieka, a nie ciało, które ma cieszyć oko innych, inkubator, który ma rodzić, czy zaspokajaczkę męskich żądz.

W ramach anegdotycznego podsumowania przytoczę zdanie, które usłyszałam od jednego rabina. Powiedział, że kobiety żydowskie rodzą się doskonałe, idealne, blisko Boga. Mężczyzn trzeba lekko podreperować i stąd obrzezanie.

***1 kwietnia / 29 adar II, piątek***

Spadł śnieg. Było kilka wiosennych dni. Mąż zamówił letnie opony. Ja schowałam gruby płaszcz w najdalszy kąt zaplecza. A tu śnieg. Poza tym, że pogoda zrobiła primaaprilisowy żart, mój szanowny Małżonek ma urodziny. Prezenty spakowane. Laurki przez dzieci narysowane. Będziemy świętować.

Dla nas obojga to dodatkowe święto, bo przypada w nim rocznica naszego ślubu. Kilka lat temu pobraliśmy się w warszawskiej synagodze, a ślubu udzielał nam naczelny rabin Polski. Wedle żydowskiego zwyczaju nie widziałam narzeczonego przez cały tydzień. Udało nam się to gładko, ponieważ przebywał przez kilka miesięcy w Izraelu. On przybył z lotniska, ja z dziećmi pociągiem z Łodzi.

Z trudem w ostatniej chwili udało mi się zdobyć kreację. Zła, że nie jestem w stanie za sensowną cenę kupić nic, co by mi odpowiadało, postawiłam na luz. Nigdzie nie było taniej długiej białej sukni z długimi rękawami, jaka mi się marzyła. Więc kupiłam zwykłą białą spódnicę, biały zakiet, białą chustkę na welon i różowy podkoszulek z napisem *Love now, love tomorrow* (Miłość dzisiaj, miłość jutro). Białe buty miałam. Pasującą biżuterię szybko sobie zrobiłam.

Podczas uroczystości było tak jak zawsze w trakcie żydowskich ortodoksyjnych ślubów. W jednej sali znajdował się mój przyszły Mąż w towarzystwie mężczyzn. Dwóch świadków podpisało *ketubę*, w której pojawia się zaczerpnięty prosto z Tory tekst, że mąż zapewni żonie jedzenie, ubranie i przyjemność seksualną, a obok informacja o kwotach, które wypłaci właśnie poślubianej kobiecie w razie rozwodu. *Ketuba* od wieków stanowi kartę praw kobiety, którą dostaje każda panna podczas zaślubin. Dzisiaj jest mniej potrzebna, bo panie mają w małżeństwie coraz więcej przestrzeni dla siebie. Ale kiedyś taki kontrakt zapewniał kobiecie, że będzie zadbana, również w sferze łóżkowej, w małżeństwie, a w razie jego rozpadu zabezpieczał jej byt.

W drugiej sali byłam ja z kobietami. Siedząc na przyozdobionym krześle, czekałam cierpliwie, aż panowie dopełnią formalności. Nie wiem, jaki podział obowiązuje wśród Żydów reformowanych, czy

również jest tak widocznie zarysowany, czy jednak towarzystwo się miesza.

Kiedy mój przyszły Mąż zbliżał się prowadzony pod rękę, ja zakryłam się chustką, aby mógł za chwilę uchylić jej rąbek. Tak nakazuje żydowska tradycja. Wzięła się z opowieści o Rachel i Lei. Jakow pracował ciężko, by dano mu Rachel za żonę. Podczas ślubu siostry zostały podmienione. Rano, po skonsumowaniu małżeństwa, okazało się, że w łóżku leży Lea. Dlatego dzisiaj pan młody symbolicznie odkrywa welon, patrzy w oczy panny młodej i upewniwszy się, że to jego wybranka, z powrotem zasłania jej twarz. Tak samo zrobił mój przyszły Mąż. Skierował się, jak zawsze po tym rytuale pan młody, w stronę chupy, czyli ślubnego baldachimu. Kiedy już pod nim stanął, dołączyłam ja, prowadzona przez Mamę i znajomą. Potem była część oficjalna. Okrążyłam Męża kilkakrotnie, wytyczając niewidzialne ramy dookoła naszego przyszłego domu. On dał mi obrączkę, którą wcześniej wspólnie wybraliśmy w Jerozolimie. To znak oficjalnych zaręczyn, które w ceremonii pod chupą następują bezpośrednio przed zaślubinami. Współcześnie żydowskie pary, tak jak tysiące innych nieżydowskich, podczas oświadczeń wręczają sobie pierścionki. Ale wedle halachy, czyli prawa żydowskiego, bez odpowiedniej formułki to tylko deklaracja, że chce się wziąć ślub, a nie prawdziwe halachiczne zaręczyny. Prowadzący jak należy odczytał ketubę, po czym wręczył ją mnie. Kilku mężczyzn przeczytało odpowiednie błogosławieństwa. Zazwyczaj są to krewni pary młodej lub inni bliscy. Wśród reformowanych również kobiety. Mąż upił nieco wina, po czym podał je mnie i ja trochę wypłam. Potem nastąpił charakterystyczny moment, bez którego żydowski ślub nie mógłby się obyć. Mąż rozbił kieliszek na pamiątkę zburzenia Świątyni Jerozolimskiej. I wszyscy krzyknęli *mazel tow*.

Zanim świeżo poślubiona para wpadnie w ręce wujków i ciotek, udaje się na *jichud*, czyli w miejsce odosobnienia, co my również zrobiliśmy. Niezależnie do tego, czy para siądzie ze sobą sam na sam po raz pierwszy w życiu, czy już od dawna razem mieszka, ten moment musi nastąpić. Dla jednych, by się dotknąć, czego wcześniej nie robili, dla drugich – by odetchnąć przed weselem.

Po kilku minutach wróciliśmy do zgromadzonych i zaczęły się tańce. W jednej części synagogi panie w kole, a w drugiej panowie. Od początku chcieliśmy skromnej uroczystości, więc po kilku tańcach i złożeniu nam życzeń część gości sobie poszła, a część została na okolicznościowym posiłku. Wieczorem wróciliśmy do Łodzi jako małżeństwo. No i dzisiaj nasza rocznica!

**2 kwietnia / 1 nisan, sobota**

Zniesiono nakaz noszenia maseczek w przestrzeni publicznej. Nadal trzeba je zakładać w niektórych miejscach. Ale to już nie to samo.

Podniosły się głosy, że cudownie! Nie trzeba będzie się bać kar za nieprzestrzeganie przepisów. Mandatu w końcu nikt dostać nie chce. I zaraz pojawiły się inne uwagi. Przecież maseczki nosiliśmy ze względu na zdrowie nasze i innych. A nie z obawy, że podejdzie pan policjant i wlepi wezwanie do zapłaty. Zaczęłam się zastanawiać nad tym, jak działamy. Czy nie rozmawiamy przez telefon, jadąc samochodem, bo mamy świadomość, jakie to niebezpieczne, czy ze strachu, że złapani nabijemy sobie punktów karnych? Czy nie parkujemy w bramach, bo wiemy, że przez to ktoś nie będzie mógł wyjechać, czy dlatego, że nam zablokują auto? Płacimy podatki, bo państwo musi mieć fundusze na szpitale i szkoły, czy dlatego, że za oszustwa finansowe można trafić do więzienia?

W idealnym świecie każdy powinien żyć w państwie, z którego prawem się zgadza. Różnego rodzaju ustawy mówią, że to czy tamto, i obywatele z uznaniem kiwają głową, że naturalnie ma to sens. Oczywiście taki świat nie jest możliwy, bo nawet jeżeli zgadzamy się z nowym zarządzeniem ministra X, to zaraz minister Y popełni jakąś kompletną głupotę. Czasem będziemy klaskać w dłonie, by zaraz potem poczuć ciarki żenady przebiegające po plecach.

Czyli w kwestiach, w których nasze wewnętrzne „nie” głośno krzyczy, że to nie ma sensu, przestrzegamy prawa z obawy przed konsekwencjami. A tam, gdzie rozumiemy, o co chodzi, przestrzegamy go świadomie i nie kieruje nami strach przed sankcjami?

Dobrze zarządzane państwo to sprawnie funkcjonujące, zadowolone społeczeństwo. Tam gdzie terror, tam nieszczęśliwi, przestraszeni podwładni. Pomiędzy są miejsca takie sobie. Malutki straszak

jest złem koniecznym, by zachować porządek.

To wszystko logiczne. Ale ile czasu poświęcamy, by naprawdę zastanowić się nad danym zakazem lub nakazem? Zakaz rozmawiania przez telefon, kiedy się przechodzi przez ulicę lub idzie poboczem, może irytować. Ale czy on został wymyślony, żeby przeszkadzać nam w pogaduszkach z przyjaciółką? Czy po to, by uratować nam życie? A nakaz noszenia maseczek był po to, byśmy się dusili i dostawali wysypki na twarzy, czy może żeby nas i innych ochronić przed chorobą?

Idąc dalej. Jak się sprawa funkcjonowania państwa ma do religii? Kieruje nami przekonanie, że Bóg wie, czemu chce tego czy tamtego od swoich owieczek, czy boimy się boskiej kary w postaci najróżniejszej, zależnie od wierzeń? I tu sprawa bardzo indywidualna.

Kary, ale też wizja piekła, pojawiają się często w pytaniach, jakie dostają za każdym razem, kiedy poruszam temat jakiegoś żydowskiego prawa. Najpierw klasyczne: „Po co ten nakaz/zakaz?”. A zaraz potem: „Co się stanie, jeżeli go nie będziecie przestrzegać?”. Odpowiedzi są krótkie. „Ten nakaz/zakaz jest praktykowany, bo jest zapisany w Torze” oraz „Fizycznie nic się nie stanie, jeżeli Żyd nie będzie go przestrzegał”. Bo kary śmierci, o ile kiedykolwiek były praktykowane, to zamierzchna przeszłość. Ani w Torze (tekście pierwotnym, danym według żydowskiej tradycji przez Boga na górze Synaj), ani w Talmudzie (zaraz po Torze najważniejszej księdze żydowskiej) nie znajdziemy informacji, dlaczego dane przykazanie należy wypełnić. Rabini dyskutują między sobą, rozważając różnego rodzaju sytuacje, i wspólnie się zastanawiają, co w takiej czy innej zrobić. Ale nigdzie nie odpowiadają na pytanie „dlaczego?”. Na przestrzeni lat różni mędrcy głowili się nad tym i nadal głowią. I czasem jakieś sensowne wyjaśnienie się znajduje. Ale czy rzeczywiście ono jest powodem, żaden śmiertelnik nie wie. Bo prawa, według judaizmu ortodoksyjnego, są boskie. I jak to się często powiada: „Bóg jeden wie”.

Kiedy to mówię, najczęściej zwykłe, dyplomatyczne zainteresowanie przechodzi albo w marszczenie brwi z niedowierzania, albo w irytację.

A mnie zastanawia, jak można budować swoje życie na wiecznym strachu przed grzechem i straszliwymi konsekwencjami, jakie ten grzech może za sobą nieść. Żydom w większości wystarcza przekonanie, że skoro Bóg tak nakazał, musi to mieć jakiś sens. Oraz że na świecie, tym lub przyszłym, jest sprawiedliwość, więc lepiej być dobrym niż złym.

**3 kwietnia / 2 nisan, niedziela**

Zrobiłam porządek w swojej szafie. Na tyle mało w niej rzeczy, że nie zajęło mi to wiele czasu. Noszę te same ubrania od piętnastu lat. W tym czasie moje ciało zmieniło się tysiąc razy: pięć ciąż (najlepsze obszerne sukienki), pięć karmień piersią (koniecznie coś rozpinanego), pięć powrotów do wagi sprzed pęcznienia (gumki w pasie). Minimalne wahania stylu. Poza kilkoma rzeczami, które w tym czasie dostałam po kimś lub sama sobie kupiłam (to jestem w stanie zliczyć na palcach półtorej ręki), i kilkoma, które musiały znaleźć się w koszu mimo łatania dziur i malowania kwiatków na niespialnych plamach, moja szafa wygląda praktycznie tak samo. Minusem jest to, że również ja wyglądam cały czas tak samo. Plusem, że „porządki w szafie” zamykają się w siedmiu minutach.

Przejrzałam ubrania Młodsze Syna, dwulatka, czyli odłożyłam do oddania rzeczy za małe, a z pudła „rzeczy za duże” wyciągnęłam to, w czym chodziło czworo starszego rodzeństwa, a co już przestało być za duże. Z ulgą zęgnęłam się z małymi spodenkami i bluzeczkami. W naszym mieszkaniu nie trafią już do żadnego schowka „dla kolejnych potomków”, ponieważ takowych nie planuję. Czasem mam wrażenie, że pięcioro dzieci to co najmniej o pięcioro za dużo. Ale nie mówię tego na głos, żeby nie oberwać od dzieciolubnych matron. Te sweterki i gacie, które zostały nam подарowane przez kogoś dla mnie ważnego lub które darzę wyjątkowym sentymentem, znalazły się w osobnym miejscu z napisem „pamiątkowe”.

Potem przerzuciłam się na szafę Najmłodszej Córci, pięciolatki. To już swoje trwało. Najpierw przegląd jej garderoby i odłożenie tego, w czym już chodzić nie będzie, bo urosła. Pojawiły się pierwsze schody. Co ma zostać dla Młodsze Syna, a co oddać? Czerwony sweterek? Spoko. Bluzeczka w kwiatki? Ewentualnie. Podkoszulek z kokardkami? Chyba jednak nie. Jak trudno wyjść poza utarte

schematy! Myszka Miki, jednorożec i róże dla dziewczynek, autka, roboty i błękity dla chłopców. Ależ to takie bez sensu. I ja to wiem. Naprawdę. A jednak za małe sukienki odjadą wraz z kokardkami i różami. Zostaną bluzeczki bez cekinowych nadruków i granatowy sweter. Kiedy brałam do ręki kolejny ciuch, toczyłam wewnętrzną batalię, podczas której jeden głos wewnętrzny mówił: „Chłopcy też mogą chodzić w serduszkach”, a drugi od razu się wtrącał: „Nie, no nie przesadzaj, w tym chłopiec będzie wyglądał dziwnie”.

Zabrałam się do przeglądu pudeł z rzeczami po dwóch starszych siostrach, kuzynce oraz licznych krewnych i znajomych królika, którzy raz na jakiś czas obdarowują nas ubraniowymi dobrami. Dzięki temu Najmłodsza Córka ustawiona jest na kilka kolejnych lat, co – przyznam – jest sporym ułatwieniem dla matki wielodzietnej rodziny. Zaczęło się wybieranie, przymierzanie i wielka radość Najmłodszej. Za każdym razem, kiedy dostajemy torby ciuchów po dzieciach znajomych, robi się mała rewia mody. Lubię patrzeć na te strojenie się. Przy pięciolatce fajne jest też to, że ma już swój gust. Wie, co jej się podoba, a co nie. Pokazywałam kolejny łaszek, ona patrzyła uważnie i decydowała, czy chce go w szafie czy nie. A potem jeszcze wkładała, by mieć pewność, że dobrze się w nim czuje.

Na koniec ubraniowych porządków zajrzałam do piżam. I po długim namyśle do pudła „oddać” wsadziłam swoje dwie koszuliny nocne, które kupiłam w dwupaku na jakimś straganie w wieku czternastu lat. Pamiętam to jak dziś, ponieważ byłam z tego bardzo dumna. A potem szybko się przekonałam, że nie lubię spać w takim dezabilu, bo mi w nocy dół pod gardło podjeżdża, w efekcie czego śpię nago z wielkim szalem owiniętym dookoła szyi. Jak widać, moje Córki mają podobny do koszul stosunek, ponieważ żadna nie założyła ani tej różowej w czarne serduszka, ani tej czarnej w serduszka różowe. Tak oto po dwudziestu latach prawie nieruszone dwie szmatki może znajdują lepszy dom.

Przeглядanie szaf dzieje się u nas w domu raz na jakiś czas. Ale obowiązkowo przed Pesach. Od tego zawsze zaczynam przygotowania do święta, które właśnie się powoli zbliża.

**4 kwietnia / 3 nisan, poniedziałek**

Jutro mam zajęcia w liceum, do którego sama chodziłam. Spotkanie z jedną klasą i wyjaśnienie kilku rzeczy dotyczących Żydów.

Bardzo się ekscytuję. Czy wejdę do starej szkoły i zacznę płakać za minionymi latami i tym, że starzeję się szybciej, niżbym chciała? Czy odetchnę z ulgą, że lata szkolne i bycie nastolatką mam za sobą, że już się nie miotam ze sobą samą? A może dopadnie mnie smutek, że zupełnie mnie to nie rusza, a powinno? Nie wiem. Zobaczymy.

Bardziej od ekscytacji czuję zdenerwowanie. Chyba nikogo się tak nie boję jak nastolatków. Naprawdę mam poczucie, że około jedenastego roku życia człowiek przepoczwarza się w potwora. W tym potworze niestraszne jest to, że ziele ogniem, a z oczu mu lecą iskry. Raczej to, że nigdy, ale to nigdy nie wiadomo, na jaką potworową fazę trafisz. Bo kiedy pazurki są schowane, kolce zamieniają się w miłe futerko, na pyszczku pojawia się uśmiech, a z wnętrzości wydobywa mruczenie zadowolenia, to przebywanie obok potwora jest najmiłszą rzeczą na świecie. Rozmowa na wysokim poziomie, ciekawe uwagi na temat życia i najmiłsze mym uszom słowa „kocham cię, mamó”. Ale kiedy przyjazna łapka w sekundę zbroi się w szpony, a futerko jeży się w zawrotnym tempie, to bardzo trudno schować się przed tupaniem, sarkaniem, fukaniem, głośnym wzdychaniem, zniecierpliwionym grymasem i ogólnym nastolatkowym niezadowolaniem.

Codziennie walczę, żeby moje nastoletnie dzieci mnie żywcem nie pożarły. Teraz przyjdzie mi się zmierzyć z całym stadem.

I w co ja się ubiorę? Jak założę najlepsze ciuchy, pomyślą, że się wystroiłam, i od razu nabiorą podejrzeń. Jeżeli wskoczę w coś luźnego, uznają, że udaję kogoś młodszego, by się przypodobać. Aaa! W takich sytuacjach stawiam na wygodę. Wyciągam z szafy to, w czym chodzę non stop. Skoro sprawdzało się przez ostatnie dwa lata, to i tym razem zda egzamin. Wyszarzałe kolory? Mała dziurka – przy kostce – której nie zdążyłam zaszyć? Trudno. Ma mi być dobrze.



*5 kwietnia / 4 nisan, wtorek*

Wchodzę do kawiarni. W drzwiach flaga Ukrainy. Na stole kwiatki niebiesko--żółte. Siadam przy stoliku zaraz przy żółtej ścianie. Mam na sobie czarne wdzianko, w którym chodzę non stop, i niebieską bluzkę. Idealna kompozycja do zdjęcia.

Tylko co komu po tym, że od miesiąca cała Polska nosi niebiesko-żółte barwy? Czy to uratuje ginących? Czy ocali ludzi? Nie. Zupełnie nie. Ale może ciutkę doda otuchy tym, którzy nagle znaleźli się w obcym państwie, bo musieli uciekać przed śmiercią. Trochę jak tęczowe nalepki w miejscach publicznych. Albo noszenie Gwiazdy Dawida przez nie-Żydów.

Czy można porównywać ofiary wojny, która dzieje się w świecie równoległym do mojej kawy, z mniejszością seksualną, którą podejrzewa się o całe seksualne zło świata, i z Żydami, którzy kilka pokoleń temu chodzili licznie polskimi ulicami, a potem zostali wymordowani? Nie wiem. Nie znam się na poprawności politycznej ani na tym, co wolno, a czego nie.

Na naszym balkonie wisi flaga Ukrainy. Ma być malutkim głaskiem. Nawet nie powiedzeniem „rozumiem, co czujesz”. Bo zupełnie nie rozumiem. Ale sygnałem „możesz czuć się przy mnie bezpiecznie, bo jestem po twojej stronie”.

*6 kwietnia / 5 nisan, środa*

Zajęcia w mojej starej szkole poszły całkiem nieźle. Kilkunastu bardzo fajnych licealistów. Spodziewałam się dzieciaków patrzących w podłogę i mruczących coś pod nosem, a okazało się, że to świetni ludzie, którzy mają sporo do powiedzenia. Weszłam pewna tego, co chcę powiedzieć – że nie ma dobrych stereotypów, bo każdy jest krzywdzący, że powtarzanie tego, co się usłyszało, bez sprawdzenia, czy to prawda, nie jest dobrym pomysłem, że każdy patrzy na świat przez pryzmat siebie i swoich doświadczeń, i to naturalne, ale warto pamiętać, że człowiek obok nas jest zupełnie inny, i należy to uszanować. Wyszłam z niepewnością i pytaniami, które zrodziły się w trakcie lekcji. Gdzie się zaczyna, a gdzie kończy wolność słowa? Co to jest poprawność polityczna i jak jej brak ma się do mowy nienawiści? Czy prześladowania są wymierzone tylko w grupy, czy również w jednostki? Nietrudno było podać definicję tych zjawisk. Teoria jakoś nam poszła. Gorzej było z praktyką i konkretnymi przykładami. Każda sytuacja jest przecież tak indywidualna, że trudno ją wrzucić do jakiegoś worka z jasno sformułowaną etykietą. Mam nadzieję, że skoro mnie te zajęcia dały do myślenia, to również im – pokoleniu, które będzie rządzić w przyszłości Polską – poruszyły szarymi komórkami.

Aaa, no i uroniłam łezkę wzruszenia, kiedy mój nauczyciel historii wybiegł z sali na mój widok. Wyściskał mnie, jakbyśmy się nie widzieli dwadzieścia lat, co – o zgrozo – jest chyba prawdą. I jeszcze zamieniłam przyjaźnie kilka słów z panią od WOS-u. Wychodząc, zerknęłam do kanciapy na pana woźnego, który zawsze stał w drzwiach, pilnując porządku. Idąc ulicą, poczułam jakąś lekkość, jakbym znowu miała szesnaście lat.

*7 kwietnia / 6 nisan, czwartek*

Dzisiaj od wychowawczynie jednej z Córek przyszedł e-mail zatytułowany „Śniadanie wielkanocne”. A w nim info, że nauczycielka zaplanowała dla swojej klasy spotkanie przed świętami. Prosi też, żeby na liście produktów zaznaczyć, kto co przyniesie. Zajrzałam do tabelki w Excelu. Babka wielkanocna, mazurek, sernik. Nie spodziewałam się niczego innego. Wiedziałam, że będą klasyczne potrawy na Wielkanoc.

Ale jednak czuję dyskomfort. Nic a nic na to nie poradzę. Dlaczego w klasie, w której jest tak mało dzieci, nie można pomyśleć o tym, które Wielkanocy nie obchodzi, a mazurka w kwietniu

zwyczajowo nie jada? Rozumiem, że moja niechęć do zaistniałej sytuacji może dziwić. Bo z jednej strony: jaka jest różnica między jajkiem na twardo z okazji tego święta a jajkiem na twardo z okazji innego święta lub zupełnie bez okazji? Celem jest wspólne zjedzenie go w miłej atmosferze.

Z drugiej strony, słowa mają znaczenie. Nazwy skądś się biorą i potem używane są w takim, a nie innym kontekście. Śniadanie wielkanocne to śniadanie z okazji zbliżającej się Wielkanocy – święta chrześcijan, nie Żydów. Gdyby od razu nazwać spotkanie śniadaniem świątecznym, zawierałoby zarówno Wielkanoc, obchodzoną przez różne odłamy chrześcijaństwa w innym czasie, jak i Pesach.

I znowu można się oburzać, że się czepiam. Bo dzieci do stołu zasiądą w przerwie obiadowej, o wpół do pierwszej. Więc, heloooł, jakie to śniadanie, jak obiad. A w zasadzie jaki to obiad, jak lunch. Nie, no nie lunch, bo nie jesteśmy w Anglii. Jednak drugie śniadanie. Ale jeżeli ktoś przyniesie żurek, to jednak obiad. Więc skoro taka chcę być precyzyjna i domagam się „świątecznego” zamiast „wielkanocnego”, to lepiej się nie ograniczać i zamiast „śniadanie” powiedzieć „posiłek”.

Może jedzeniowych purystów to, co powiem, oburzy, ale akurat zupełnie nie przejmuję się tym, czy będzie to podwieczorek przed południem czy poranna kolacja.

Ale zamienienie Wielkanocy na święta ma dla mnie znaczenie.

Tak jak i dorzucenie do menu naszych tradycyjnych potraw i tego, co my gotujemy przed naszymi świętami. I tak. Powtórzyłam „my” i „nasze”, aż w oczy kole. Czuję, że jako matka powinnam głośno krzyknąć: „Moje dzieci są ważne, zróbcie dla nich miejsce, przesuniecie się kawałek! Wszyscy się zmieścimy”. Inaczej przyzwyczajają się do tego, że są mniej istotne. Że mają zawsze pokornie się dopasowywać. Że swoje potrzeby i siebie muszą zepchnąć na dalszy plan.

Bardzo często słyszę, że jako mniejszość mamy obowiązek się dostosować. Przecież robimy to cały czas. Żyjemy wedle schematów, które w Polsce panują, a które często są sprzeczne z tym, co jest dla nas ważne. Najczęściej jesteśmy na to gotowi. Żeby być uznanym za małżeństwo, musimy brać osobno ślub cywilny, bo żydowski nie jest przez państwo uznawany. Mechanicy samochodowi uparcie proponują Mężowi, by przyjechał po auto w sobotę. Kiedy pyta, czy może być niedziela, są oburzeni, że przecież to dzień święty. Podobnie jest z wywozem śmieci wielkogabarytowych w naszym domku na wsi. Jest to możliwe tylko w jedną z sobót w miesiącu. Więc w starej drewnianej od lat piętrzą się niedziałające lodówki i rozwalające się meble. W szpitalach trudno znaleźć salę bez krzyża. Krzyże są też w innych publicznych placówkach. Kiedy z Mężem rejestrowaliśmy się w urzędzie stanu cywilnego, naprzeciwko nas wisiał Jezus. Kiedy w innym pomieszczeniu kilka miesięcy później urzędnik udzielał nam ślubu – również był obecny, nagi, poraniony, z cierniem na głowie.

Na co dzień się nie żalę. Najczęściej przyjmuję to, co mam dookoła. I takiej akceptacji uczę dzieci. Jesteśmy Żydami, mieszkamy w Polsce, innej opcji dla nas nie widzę. Są jednak miejsca i momenty, w których można poluzować zastane przyzwyczajenia. Nie trzymać się tak kurczowo tego, co było do tej pory. Rozejrzeć się wokół i pomyśleć o małej zmianie przez wzgląd na osobę stojącą obok. Tradycją szkoły były coroczne śniadania wielkanocne z babką i mazurkiem. Ale wśród uczniów pojawiły się dzieci, które Wielkanocy nie obchodzą. Więc może to moment, w którym nie rezygnując ze szkolnej tradycji, można by ją minimalnie zmodyfikować z myślą o nowo przybyłych? Zmienić nazwę i dodać do menu charoset i macę?

Długo biłam się z myślami, co zrobić. I z tchórzostwa wybrałam opcję nie najlepszą. Napisałam do wychowawczyni, że idea piękna, ale Córka nie przyjdzie – i podałam powód. Dostałam odpowiedź, że to spotkanie dla wszystkich i żeby Córka, owszem, przyszła i przyniosła to, na co ma ochotę. Bardzo piękna reakcja, na którą odpowiedziałam, że zgadzam się z założeniem śniadania, ale słowo „Wielkanoc” nie obejmuje wszystkich zaproszonych. Dodałam, że zapewne dla wielu rodziców Wielkanoc to nie tylko spotkania przy kawce, ale coś wyjątkowego, co łączy się z ich wiarą i ich religią. Nie wiem, jak by zareagowali, gdyby na wielkanocny stół wrzucić macę czy charoset, tak różne od ich tradycyjnych potraw. Choć kto dobrze zna historię Jezusa, wie, że właśnie te rzeczy jadł niedługo przed śmiercią, ponieważ jako Żyd obchodził Pesach.

Ale tu mam w głowie dwie sytuacje, po których jestem bardzo ostrożna. Pierwsza wydarzyła się kilka lat temu, kiedy mieszkaliśmy w Łodzi. Nauczycielki przedszkola, do którego wtedy chodziła Najmłodsza Córka, nie miały problemu z tym, żeby koło choinki zawisł mały rysunek z chanukiją, dzięki

której Córka poczuła się bardziej u siebie. Jednak część rodziców zareagowała na ten pomysł totalną niechęcią i całkowitym brakiem zrozumienia. Zanim konflikt został rozwiązany, święta minęły. Póki córka nie poszła do żydowskiego przedszkola w Krakowie, żyła w przekonaniu, że jesteśmy wybrakowani, bo nie mamy choinki.

Drugą sytuacją było wielkie oburzenie, kiedy na Instagrama wrzuciłam info, że z okazji mikołajek, których w domu nigdy nie obchodzimy, Córki dały koleżankom ciasteczka w kształcie Gwiazdy Dawida. Przeważały głosy, że to świetny pomysł. Ale pojawiła się też irytacja, że co my sobie myślimy. Chcemy, by szanowano nas, a sami nie szanujemy innych. Nie wiem, co złego było w gwiazdkowych ciastkach położonych obok tych mikołajowych. Lecz najwyraźniej dla kogoś to było przekroczenie granic.

Dlatego napisałam do pani nauczycielki, że wolę być ostrożna i że może za rok wykonam jakiś ruch. Może napiszę do rodziców z pytaniem, czy wyrażają zgodę na śniadanie świąteczne zamiast *stricte* wielkanocnego.

A potem porozmawiałam z Córką. I z samą sobą. I wzięłam się na odwagę. Od razu spisałam dokładnie wszystko, co myślę, zredagowałam e-mail do rodziców i zapytałam, czy nie mają nic przeciwko potrawom pesachowym.

Od razu dostałam odpowiedzi, że nie ma problemu, że oczywiście, że super! Szybko do listy jedzeniowej dodałam te produkty. A potem przeczytałam całość i się wzruszyłam. Przecież możemy żyć w świecie, w którym obok mazurka jest charoset, a między nimi jajka na twardo i chrzan, który je się akurat przy okazji obu świąt.

**8 kwietnia / 7 nisan, piątek**

Od kilku dni w naszym domu leci pesachowa playlista, a my nucimy sobie pod nosem nasze ulubione kawałki, jak *Ma nisztana*, *Dajenu* i wymagającą największej koncentracji *Echad mi jodea*. Dzisiaj do szabatowego gotowania też je sobie puściłam.

**9 kwietnia / 8 nisan, sobota**

Za dwa dni 10 nisan, więc mój Mąż będzie miał urodziny wedle żydowskiego kalendarza. *Mazel tow!*

**10 kwietnia / 9 nisan, niedziela**

Cudowny dzień za nami. Najpierw z Młodszym Synem i Córkami Środkową i Najmłodszą poszłam na warsztaty z okazji zbliżającego się Pesach. Zorganizowała je jedna z krakowskich organizacji żydowskich. Na rozgrzewkę dzieci ozdabiały małe buteleczki, w których znajdował się sok winogronowy – będą go piły podczas kolacji pesachowej.

Przede wszystkim było pieczenie macy. Świetna zabawa. Łączenie mąki z wodą, a potem wałkowanie tej prostej masy na cienkie placki. Naprawdę przez chwilę poczułam się jak moi pradziadowie, którzy wybiegając z Egiptu, nie mogli czekać, aż wyrosnie im ciasto. Raz, dwa, trzy i wikt na następne lata drogi przez pustynię był gotowy. Właśnie dlatego dzisiaj Żydzi na całym świecie przez osiem dni Pesach jedzą głównie macę. Kiedy piekły się przaśniki – jak w Polsce nazywa się pieczywo bez dodatku zakwasu – my braliśmy udział w quizie. Pojawiły się pytania wszelkiego rodzaju, a zadaniem było wykrzyczenie poprawnej odpowiedzi. Gdzie Izraelici byli niewolnikami? W Egipcie. Kto ich przetrzymywał? Faraon. Ile plag spadło na Egipcjan? Dziesięć. Kto stał na czele ludu żydowskiego? Mojżesz. Jak się nazywa kolacja pesachowa? Seder. Czemu? Bo seder po hebrajsku oznacza ‘porządek’, a jedzenie podczas uczyty spożywamy wedle konkretnego planu. Dlaczego jemy

chrzan i gorzkie zioła? Żeby pamiętać o gorzkim życiu Izraelitów, kiedy żyli w Egipcie. Co to jest charoset? Masa z jabłek, migdałów i wina, która wyglądem przypomina zaprawę murarską, jakiej używali Izraelici podczas budowania piramid. W czym maczamy warzywa? W słonej wodzie, która symbolizuje łzy niewolników.

Kiedy dzieciaki zjadły swoją ciepłą macę z dużą ilością czekolady, przyjechał Mąż i przywiózł Najstarszą Córkę, a zabrał Młodszego Syna. Poszliśmy we cztery na młyńskie koło. Krzyczałyśmy jak szalone. I to było cudowne i uwalniające!

Takie wyszalałe i już lekko zmęczone popęzaliśmy na kolejne warsztaty z okazji Pesach do innej żydowskiej instytucji. Za ich organizację poza dwiema innymi osobami byłem również odpowiedzialna ja. Uczestnicy mieli do wykonania różne zadania na kilku stacjach. Najbardziej podobała się ta, w której należało przejść przez pełną niebezpieczeństw pustynię. Jedna osoba miała zawiązane oczy, a druga nią kierowała. Cała reszta stawiała przeszkody. Obyło się bez złamań i innych uszkodzeń ciała. Na kolejnym przystanku trzeba było z pojedynczych zdań ułożyć całą opowieść o wyjściu Izraelitów z Egiptu, włącznie z historią małego Mojżesza, wsadzenia go do koszyka i puszczania Nilem, krzewu gorejącego, małżeństwa z Ciporą, narodzin syna, przejścia przez Morze Czerwone i wszystkiego, co się wtedy wydarzyło.

A najtrudniejsze okazało się dzielenie przedstawionych na zdjęciach produktów na te, których nie wolno posiadać i jeść w Pesach, te, których się nie spożywa, ale można je mieć, oraz te, które w żaden sposób nie są w to święto zabronione. Definicje i teoria są bardzo proste. Do kategorii pierwszej należy *chamec*, czyli produkty mączne (z pszenicy, jęczmienia, owsa, żyta i orkisz), w których zdążyło dojść do fermentacji. Do drugiej kitnijot, czyli warzywa strączkowe. A do trzeciej cała reszta. W praktyce jednak pojawiały się schody, choć na początku szło łatwo. Hamburger, chałki, bułeczki z serem, spaghetti, ciasteczka w czekoladzie to chamec. Kolba kukurydzy, humus, sałatka z groszkiem to kitnijot. Jajka sadzone, pieczona ryba, półmisek z owocami, szklanka mleka są okej.

Ale z resztą produktów dzieci miały problem. Piwo? Część nie wiedziała, że robi się je ze zboża. Kawa inka? Zbożowa. Kuskus? Wygląda niepozornie, ale jest z pszenicy. Kasza manna? Również. I na koniec maca. Wszyscy wiedzą, że właśnie ona jest podstawą ośmiodniowego Pesach. Ale przecież powstaje z zabronionej mieszanki mąki z wodą! Tak, tyle że wypieka się ją na tyle szybko, żeby nie zdążyło dojść do żadnej reakcji między jej składnikami. I ona właśnie jest przykładem pożywienia bez zakwasu.

Wróciłyśmy do domu na ostatnich nogach, a głowy pękały nam od nadmiaru wrażeń. Ale było super.

**11 kwietnia / 10 nisan, poniedziałek**

Jest! Mam to. Gadżety i zabawki, które posłużą mi za symbole plag egipskich, gotowe. Przed kolacją pesachową porozkładałam je w pokoju dzieci i w trakcie kolacji w odpowiednim momencie będą musiały ich poszukać i odgadnąć, co przedstawiają. Taką zabawę organizuję im od kilku lat. Dzięki temu chętniej biorą udział w długim sederze. Plaga pierwsza to krew – kieliszek napełniony sokiem z winogron. Druga – żaby – opaska na oczy w kształcie materiałowych żabich ślepi. Trzecia – wszy – naklejki w kształcie pajaków na głowie manekina, który pojawił się u nas jeszcze w Łodzi w nieoczekiwanych okolicznościach. Czwarta – dzikie zwierzęta – papierowe talerzyki w kształcie zebr, porozwieszane tu i tam. Piąta – pomór bydła – nie mogłam się powstrzymać i kupiłam nikomu niepotrzebną zabawkę dla psów w kształcie kurczaka. Bydło to nie jest, ale plastikowy drób piszczy i jest oskubany z piór. Szósta – wrzody – ponaszywane na misia różowe i pomarańczowe koraliki. Siódma – szarańcza – plastikowe owady powsadzane w bukiet kwiatów, które dostałam od Męża jakiś czas temu i nadal świetnie się trzymają. Ósma – grad – białe cekiny porozrzucane po ziemi. Dziewiąta – ciemności – mały dziecięcy namiocik pozasłaniany kocami. Dziesiąta – śmierć pierworodnych – naklejki z uśmiezkami poprzekreślane mazakiem i naklejone na łyżki powtykane w różne miejsca. Ale będzie fun! Mam nadzieję, że dzieci i Mąż będą się bawić równie dobrze jak ja podczas przygotowywania zagadek.

*12 kwietnia / 11 nisan, wtorek*

Byłam dzisiaj w krakowskim radiu opowiadać o święcie Pesach. Pod koniec audycji reporterka zapytała, czy przyjęliśmy ludzi z Ukrainy. Odpowiedziałam, że u mojej Mamy zamieszkała półtora miesiąca temu pięcioosobowa rodzina. Wymieniłyśmy się jeszcze kilkoma uwagami na ten temat.

Kiedy wracałam do domu, poczułam, że coś mnie uwiera. Coś mnie męczy. Coś nie daje spokoju. Jadąc rowerem, patrzyłam na przechodniów i próbowałam zrozumieć, co to jest. Dosyć szybko do tego doszłam.

Przyzwyczałam się, że od kilku tygodni pytania o osoby uchodźcze z Ukrainy są częścią codziennych rozmów. „A ile osób u was przebywa?”, „A »wasze« dzieci w jakim są wieku?”, „A jak się dogadujecie bez wspólnego języka?”. Nikogo nie dziwi też informacja, że znajomy czy sąsiadka pojechali na polsko-ukraińską granicę z lekarstwami, podpaskami czy jedzeniem.

Dlaczego jednak równie naturalnie nie wypyujemy o ofiary reżimów terrorystycznych z Syrii czy Afganistanu? „A z jakiego kraju pochodzą ludzie, którzy u was zamieszkali?”, „A »wasze« dzieci z Libii w jakim są wieku?”, „A jakim dialektem mówią wasi Irakijczycy?”. I też nie przypominam sobie takich zrywów, kiedy na polsko-białoruskiej granicy umierały dzieci.

Przecież rozwiązaniem tej zagadki nie może być zdanie: „Bo jedni to biali chrześcijanie, a drudzy to ciemni muzułmanie”. To by znaczyło, że żadni z nas bohaterowie, niezależnie od tego, jak bardzo zaangażowani jesteśmy w pomoc ukraińskim uchodźcom. Raczej bliżej nam do rasistów.

*13 kwietnia / 12 nisan, środa*

Poodsuwałam wszystkie meble w kuchni i wymiotłam każdy okruszek. Porządnie umyłam lodówkę i zrobiłam w niej porządek, ciesząc się, że znalazłam tylko jedną przeterminowaną rzecz. Przejrzałam wszystkie zapasy. Porozdzielałam jedzenie, które mamy. Z szafek wyjęłam wszystko. W pojemniku z chamecem mamy makarony, kuskus, ciastka, kaszę jęczmienną, kaszę jaglaną, kaszę manną, płatki owsiane oraz mąki. Będziemy to dojadać do piątku. Na osobnej półce kitnijot – puszki z kukurydzą, groszkiem, fasolą, ryż, torebki z ciecierzycą i soczewicą. Tę część zamkniemy na czas ośmiodniowego święta. Na kolejnej wszystko, czym będziemy się żywić – mąka ziemniaczana, przecier pomidorowy, konserwy z tuńczykiem, sól i cukier.

Gdybym tylko dzisiaj ogarniała mieszkanie, nie byłoby tak źle. Ale od kilku dni część czasu poświęcam na zaglądnienie pod łóżka licznych członków rodziny. Gonię dzieci do przeglądania wszystkich plecaków i szufladek, robienia porządku w ubraniach, zabawkach i swoich wszelkich skarbach.

Przede wszystkim chodzi o pozbycie się przed Pesach chamecu, który czaić się może w każdym kącie. Ale przy okazji to świetna okazja do generalnych porządków. Takie przemienienie naszego dobytku dobrze robi i mieszkaniu, i nam. Odnalazło się wiele ważnych, a przez miesiące zagubionych rzeczy. Kilka skarpetek powróciło do swojej pary. Parę skuwek znalazło się na swoich mazakach. Stare kanapki zostały uchwycone już w procesie gnicia, ale jeszcze zanim same zaczęły wychodzić z plecaków. Sporo kamieni z haftowanych woreczków przechowywanych w tajemnej skrzynce trafiło do ogródka, bo choć były szalenie ważne i cenne jeszcze rok temu, dzisiaj przestały być Córce potrzebne.

*14 kwietnia / 13 nisan, czwartek*

Lubię święto Pesach. Nic na to nie poradzę, ale siadając do kolacji, niezależnie od tego, jak bardzo jestem zmęczona, czuję wielką satysfakcję, że mój dom jest wysprzątnięty z każdej możliwej strony.

Słyszałam nieraz, że porządek w domu oznacza nudne życie. Może i tak. Zapewne gdyby czas

na sprzątanie poświęcić na ciekawą książkę, wyjście do teatru czy muzeum, rozmowę ze znajomymi, wzbogacilibyśmy się duchowo znacznie bardziej, niż wycierając kurz czy wymiatając zdechłą muchę z fotela. Nie wątpię również, że zostałyby nam w głowie zarówno ciekawsze obrazy i myśli niż widok zaschniętej kawy w kubku. Należy też dodać, że sprzątanie ku niczemu nie prowadzi. Niezależnie od tego, czy mieszkamy sami czy ze stadem współlokatorów w postaci innych studentów, koleżanek z roku, partnera czy gromady dzieci, zaraz znowu się nabrudzi.

Więc może moje życie zawsze było nudne, ponieważ od urodzenia lubiłam mieć dookoła porządek. A sprzątanie sprawiało mi przyjemność.

W wieku osiemnastu lat wyprowadziłam się i zamieszkałam sama. Daleko nie poszłam, bo piętro niżej do odremontowanej sutereny w kamienicy, w której na parterze mieszka moja Mama, a na trzecim piętrze Babcia.

Podczas pierwszego od wyprowadzki posiłku w gronie rodzinnym na pytanie „Jak ci się mieszka?” rozmarzyłam się i odpowiedziałam pełna zachwytu, że nie mogę się doczekać pierwszego sprzątanego i że najbardziej na to się cieszę. Mama i Babcia parsknęły śmiechem. Zrozumiałam, że przeciętny człowiek inaczej wije sobie gniazdko. Jedni wieszają obrazki, inni obstawiają parapety kwiatami. A ja czekałam na pierwszy kurz. By go z satysfakcją zetrzeć. „Och, Boże, jak wielki jest Twój zwierzynek!”

Zupełnie nie przeszkadza mi bałagan u innych. Źle mi się robi, kiedy koło mnie jest brudno, papiery leżą porozrzucane, a podłoga jest niezamieciona. Ale też po prostu lubię sprzątać. Bardzo szybko z chaosu robi się porządek. Daje mi to poczucie sprawczości. Szybko, przez którą nic nie widać, z wyjątkiem tłustych plam, w minutę zamienia się w szybą czystą, a za nią ukazuje się cały przejrzysty świat. Tak, dobrze mi to robi.

Choć odkąd mam dzieci, moje potrzeby lekko się zmieniły. Kiedyś nie poszłabym spać, wiedząc, że w zlewie czeka brudny kubek. Dzisiaj nie spałabym w ogóle, gdybym miała się przejmować każdym nieumytym talerzykiem. Kiedyś nie wyszłabym z domu, nie mając zamiecionej podłogi. Dzisiaj, gdyby okruszki ruszały mnie tak jak kilka lat temu, nie wyszłabym nigdy. Bycie matką zmienia perspektywę. Mnie dało więcej luzu i dystansu do otoczenia i siebie samej, a pojęcia „czysty” i „brudny” oraz „porządek” i „bałagan” stały się bardziej względne.

Tak czy siak, w święcie Pesach lubię przygotowania i dobrze się w nich odnajduję.

Na kolację zjedliśmy pizzę, którą Mąż zrobił z reszty mąki, jaka nam została.

Wieczorem, kiedy zapadł zmrok, dziesięć kawałków starego chleba zawinęłam w folię aluminiową i pochowałam w różnych częściach kuchni. W chlebaku, pod lodówką, w przyprawach i kilku innych. Starszy Syn zapalił świeczkę, odmówił odpowiednie błogosławieństwo i razem z rodzeństwem w blasku płomieni zaczęli szukać. Za każdym razem, kiedy Najmłodsza Córka decydowała, że przejmuje świeczkę, parzyła się. W ciągu kwadransa podłoga została polana woskiem w kilku miejscach, ale wszystkie pakuneczki zostały znalezione.

***15 kwietnia / 14 nisan, piątek***

Lubię te lata, kiedy święta żydowskie pokrywają się z katolickimi. Wtedy kiedy ja opowiadam o przygotowaniach, nikt nie patrzy na mnie zdumiony. Gdy inni przygotowują smakołyki w ferworze, ja nie przeciągam się leniwie przed Netflixem. W tym roku początek Pesach idzie równo z Wielkanocą. Wszyscy kupują jajka w ilościach hurtowych. Przy kasie można wymienić porozumiewawcze spojrzenia z innymi konsumentami i mrugnąć okiem „święta”, a nawet jeżeli stanie w kolejce się wydłużyć, znacząco pokiwać głową, co druga osoba natychmiast odczyta jako „no, będzie gotowanie”. Po powrocie do domu wszyscy gotują jajka – jedni je potem malują, inni opiekają nad ogniem. Ale zapach w kuchni ten sam.

Dzisiaj rano spaliliśmy resztki chamecu. Pół paczki kaszy manny, dwa płaty lasagne i parę starych ciastek. W ten sposób symbolicznie unieważniliśmy cały zakwas, więc jego ewentualne resztki w postaci niezauważonego przez nas chlebowego okruszka pod siedzeniem samochodu czy wyrzuconej do śmietnika niedojezionej owsianki przestały być fizycznie nasze.

Dla mnie *biur i bitul chamec*, czyli niszczenie poprzez palenie i anulowanie dzięki odpowiedniemu błogosławieństwu, mają dodatkowy wymiar symboliczny. Pod postacią kawałka lasagne wrzucam do ognia to, co mnie psychicznie męczy, zakwas, który powstał w moim sercu w wyniku sprzeczki z bliską osobą, niepewności na tle zawodowym, moje wyrzuty sumienia, że nie jestem taką matką, żoną, córką, wnuczką, sąsiadką, przyjaciółką, znajomą czy pracownicą, jaką chciałabym być... wymieniać mogłabym długo. Co roku, w zależności od tego, na ile pozwalają mi na to okoliczności, popadam w zadumę i oddaję się rozmyślaniom. Okazuje się, że tego zakwasu mam całkiem sporo. Gdyby udało mi się go naprawdę pozbyć, byłabym cudownie duchowo niezależna. Ale czy istnieją na świecie ludzie całkowicie wewnętrznie wolni? Jeśli tak, ja ich nie znam.

**18 kwietnia / 17 nisan, poniedziałek**

Dwa dni świętowania za nami. Jedząc macę, jajka, charoset i gorzkie zioła i popijając wszystko czerwonym winem oraz sokiem z winogron, wyszliśmy z Egiptu. Jesteśmy wolni. Za nami gorzki żywot i słone łyzy. Przed nami przyszłość. Może nie usłana różami, bo takie rzeczy tylko w bajkach dla dzieci i tanich romansidłach. Ale przynajmniej bez bata nad głową i kajdan na rękach.

Oczywiście droga do wolności jest bardzo długa i do większości prawdziwe uwolnienie przychodzi na łożu śmierci. Mimo to warto iść tą ścieżką. Każdy krok, który nas oddala od wewnętrznego zakwasu, jest na wagę złota.

Moją niewolą w tym roku jest poczucie, że w zasadzie niewiele jestem warta. Z jednej strony wiem, że jestem, najogólniej rzecz biorąc, spoko. Można na mnie polegać, często mam coś mądrego i ciekawego do powiedzenia, bywam miła i serdeczna. Z drugiej strony brak mi przeświadczenia, że za wykład, nad którym siedzę dwa dni, mogę brać więcej pieniędzy. Do niedawna przygotowywałam zajęcia za darmo, uznając, że skoro sprawia mi to dużo radości, a edukację cenię sobie ponad wszystko, głupio by było na tym zarabiać. Z czasem nauczyłam się, że „lubię to” powinno być częścią pracy, a nie wyznacznikiem, czy za coś należy się zapłata czy nie. Więc nie mam teraz skrupułów podczas podpisywania umowy na tekst czy warsztaty. Ale kiedy Mąż mówi, że dostaję za mało, odruchowo chciałabym machnąć ręką, tym samym unieważniając swój wysiłek, swoją wiedzę i swój czas, który poświęciłam, by ją zdobyć. Uczę się od niego swojej wartości. Ale nie idzie mi to łatwo. I to jest moja niewola.

**19 kwietnia / 18 nisan, wtorek**

Dzisiaj rocznica powstania w getcie warszawskim. Właśnie mija siedemdziesiąt dziewięć lat od największego zbrojnego żydowskiego zrywu podczas II wojny światowej. Nikt z mojej rodziny nie był w getcie. Wszyscy ukrywali się po aryjskiej stronie. Ale dla mnie to bardzo ważna data. Ten dzień jest jednym z przykładów na to, że Żydzi byli i dzielni, i niezłomni. Często jednak brakuje mi bardziej uroczystego upamiętnienia żydowskiej codzienności. Przecież ona też łączyła się z walką, mimo że bez broni. Szmugłowanie jedzenia, by przetrwać. Wydawanie ostatnich pieniędzy, żeby kupić kawałek chleba. Opłacanie kolejnych osób, by wyprowadzić dziecko na aryjską stronę i bezpiecznie je ukryć. Budowanie sierocińców, prowadzenie szpitali. Oddawanie życia za bliskich. Wymieniać można by długo, a i tak trudno w kilku zdaniach opisać tysiące heroicznym zachowań.

Dla mnie ważne jest, żeby przypiąwszy sobie do marynarki czy bluzki papierowy żonkil, symbol powstania, pamiętać nie tylko o tym nadzwyczajnym akcie bohaterskiego zrywu, ale też o ciężkich zmaganiach, które toczyły się każdego dnia.

*20 kwietnia / 19 nisan, środa*

Ku ucieście starszych dzieci założyłam konto na TikToku. O tym, że mam Instagrama, wiedzą doskonale. Czasem pytają, jak mi idzie. Ja im się chwalebę, że jest dobrze, lub żalę, że zastój. Często przytaczam jakąś rozmowę, którą odbyłam dzięki social mediom, albo mówię o tym, czego się dowiedziałam. Kibicują mi. Ale dla nich Instagram to trochę jak dla mnie Facebook. Kto wie, o czym mówię, ten pewnie mnie zrozumie. Nie widzę niczego złego w fejsie, a oni w insta. Po prostu to inny język, inne funkcje, inny przekaz. I inni odbiorcy. TikTok za to jest przestrzenią, w której Starszaki może nie są aktywne, ale którą znają. I jak nagle wbija do niej matka, to się robi poruszenie. Oglądają, co publikuję, serduszkują, sprawdzają, ilu już mam obserwujących, śledzą komentarze, które dostaję.

I chętnie zostałamby w tym świecie dłużej. Głównie ze względu na własne dzieci. Z ciekawości, czym one żyją. Ale też dla łatwej rozrywki. Niektóre publikowane materiały są komiczne i w sekundę doprowadzają mnie do śmiechu. A tego nigdy za wiele. TikTok to też ogrom wiedzy i dostęp do tysięcy ludzi, którzy swoją różnorodnością i odmiennością od tego, co znam, poszerzają moje horyzonty. I na koniec główny powód, dla którego postanowiłam dołączyć do tiktokerów – moja edukacja i przekazywanie wiedzy na temat Żydów. Nawet nie tego, jakie jedzenie jest koszerne czy skąd u ortodoksów pejsy. Ja też nie mogę zapamiętać, które nakrycie głowy muzułmanek to czador, a które nikab. Nie wiem, kiedy przypada hinduistyczne święto Diwali. Mylą mi się obrzędy różnych odłamów chrześcijaństwa i zawsze wypowiadając się na temat tej religii, pomieszam tradycje wewnątrz jej odłamów. Tak naprawdę wszyscy wiemy bardzo mało. Moje wykłady, spotkania, warsztaty i artykuły oraz liczne posty, relacje, dyskusje z odbiorcami i odpowiadanie na setki wiadomości mają jeden cel. Oswojenie z odmiennością. Jeżeli jedna więcej osoba popatrzy na mnie, na kogoś z mojej rodziny czy innego Żyda\_ówkę jak na każdą inną osobę, to już będzie dla mnie wielki sukces. Filmiki na TikToku mogłyby mi w tym pomóc, na przykład dotrzeć do jakiegoś dzieciaka, zanim usłyszy o Żydach, którzy zabili Jezusa, więc nie dziwne, że spotkał ich Holokaust. Dzięki social mediom ja też konfrontuję się z zakorzenionymi w mojej głowie schematami myślowymi. Dodatkowo uczą mnie inkluzywnego języka i uwrażliwiają na to, jakich słów używać, żeby nikogo nie wykluczać, nie stygmatyzować i nie powiełać stereotypów.

Niestety wraz z liczbą obserwujących i śledzących narasta fala ataków. Nie oszukujmy się. Social media to nie tylko ochy i achy, pochwały i miłe komentarze. To również ciosy poniżej pasa. Krytyka mnie, moich wyborów, religii, Żydów, Izraela. Nagle muszę się tłumaczyć z tego, że jestem, kim jestem. Moje poczucie misji, jak to zwą niektórzy, nie wyposaża mnie w nadzwyczajną siłę, by odpierać ataki. Póki wewnątrznie jestem jajkiem na miękko, przysiadłam na Instagramie z jedną łapką na TikToku. Kiedy się już ugotuję na twardo, rozwinę skrzydła i poszybuję nawet w podcasty i vlogi. Ale ile sesji terapeutycznych musi minąć, żeby nie dało się mnie rozbić? Nie wiem. Teraz za każdym razem, kiedy przychodzi mi się bronić, długo muszę do siebie dochodzić.

*21 kwietnia / 20 nisan, czwartek*

Usłyszałam dzisiaj pesachowy żart: w Polsce jest taka inflacja, że nawet maca rośnie.  
Śmieszny, choć przez łzy.

*23 kwietnia / 22 nisan, sobota*

Koniec święta Pesach uczciliśmy z Mężem szklaneczką piwa. Ponad tydzień bez żadnych produktów mącznych (z wyjątkiem macy, która – choć smaczna – nudzi się w końcu), kasz, fasoli i warzyw strączkowych. Chociaż jedzenia nam nie brakowało. Trzeba przyznać, że nawet chodziliśmy



przejedzeni, a jednak za kilkoma produktami zdążyliśmy się stęsknić. Zimne piwo jako powrót do codziennego pożywienia zrobiło nam dobrze.

W ostatnie dwa dni Pesach, które dzisiaj po zmroku minęły, skończyłam kilka zaczętych książek. Mogę się zabrać do kolejnych.

**24 kwietnia / 23 nisan, niedziela**

*Aj-waj* – chciałoby się rzec przy tej zmiennej pogodzie. Ewentualnie *oj wej*. Uwielbiam to żydowskie westchnienie, które jest niczym innym jak „oj”. Podobnie kocham *nu*, którego ostatnio nawet Młodszy Syn zaczął używać. To wyraz przede wszystkim zniecierpliwienia. Może zamyślenia. Jest jeszcze *lechaim*, co odpowiada polskiemu „na zdrowie”, choć dosłownie oznacza ‘dla życia’. Można je wznosić przy wszelkiego rodzaju toastach. I *mazel tow* jako „na szczęście”. To mi się ciśnie na usta nawet przy nieżydowskich znajomych nie tylko w sytuacjach, w których się zwyczajowo gratuluje. Na przykład kiedy rozbije się talerz czy szklanka, Żydzi krzyczą właśnie *mazel tow*. Krzyczy tak też jeden z Minionków w kreskówce z 2015 roku.

Na co dzień w domu mówimy po polsku. Czasem ze Starszym Synem po hebrajsku. Podobno razem z Najstarszą Córką w szkole używają raz na jakiś czas tego języka. Wyobrażam sobie, że to dla nich coś w rodzaju tylko im znanego szyfru. Zdarza się, że do dzieci zwracam się jakimś hebrajskim zwrotem. Na stałe mamy *sababa*, czyli „okej”. *Rega*, najlepiej z charakterystycznym chwyceniem trzech palców i uniesieniem ręki do góry, jako „czekaj”. Często mówię *ejze joffi* – „ale super”. I *jalla*, kiedy chcę pospieszyć, cokolwiek wymaga pospieszenia. No i *beseder*, „w porządku”.

26 kwietnia / 25 nisan, wtorek

Dzieci przyniosły z ogrodu piękny bukiet bzu. Cudownie fioletowy i pachnący. Wyciągnęłam wazon, żeby wsadzić wiązkę do wody. Jak ten czas szybko leci. Przed sekundą stały w tym naczyniu kwiaty, którymi obdarował mnie niedawno Mąż z okazji naszej rocznicy. Gotując obiad i wyglądając przez okno na rodzącą się do życia naturę, pomyślałam, że gdyby w judaizmie rozwód i ponowny po nim ożenek nie były dopuszczalne, moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Szczęśliwie w judaizmie rozwody są dozwolone. Mówię o tym przy każdej możliwej okazji. „Ładną mamy dzisiaj pogodę, a ortodoksyjni Żydzi mogą się rozwodzić”. „Co tam u ciebie słyhać, bo żydowskie małżeństwo można rozwiązać?” „Czytałaś może najnowszą książkę X? Wiesz, że religia żydowska pozwała na ponowy ożenek?”

Czemu to takie dla mnie ważne, by podkreślać akurat ten aspekt judaizmu? Z prostego powodu. Za każdym razem wzbudza to wielkie zdziwienie. Przeważająca większość ludzi wychodzi z założenia, że skoro inne religie na rozwody nie pozwalają, to judaizm zapewne też nie.

Religijni Żydzi uznają, że jeżeli złączenie dwojga ludzi, którzy się pokochali, uznajemy za boskie działanie, to dlaczego boskim działaniem nie może być ich rozdzielnie, kiedy kochać się przestali? Judaistyczne przekonanie jest takie, że celem Boga nie jest trzymanie par na siłę, kiedy dzieje się w nich coś, co je unieszczęśliwia. Nawet nie ma żadnego przyrzekania, że jedna osoba nie opuści drugiej aż do śmierci. Bo skąd wiadomo, co się wydarzy jutro, a tym bardziej za trzydzieści lat. Może dzisiaj jesteśmy przekonani o swojej miłości do drugiej osoby. Ale ta miłość, jak i wszystko dookoła, może ulec zmianie.

Rozwodowe procedury najczęściej wyglądają tak samo. Osoba, która chce zakończyć związek małżeński, zgłasza się do rabina. Przedstawia swoje powody. Niezależnie, czy jest to żona czy mąż, rabin umawia spotkanie z drugą stroną, a najlepiej z obojgiem naraz. Czasem próbuje pomóc w rozwiązaniu konfliktu, czasem proponuje terapię u specjalisty lub wizytę u seksuologa. Jeżeli jednak sprawa jest przesądzona, umawia parę do *bet dinu*, czyli sądu rabinackiego w postaci trzech Żydów. Żeby doszło formalnie do rozwodu, mąż musi wręczyć żonie list rozwodowy zwany *getem*, wypowiadając słowa: „I jesteś wolna” (formułka jest dłuższa, ale mniej więcej do tego się sprowadza), a żona musi go przyjąć i zrobić kilka symbolicznych kroków, jakby odchodziła. Jeżeli mężczyzna nie zechce dać getu lub kobieta go nie przyjmie, para nie może się rozwieść.

Dawno temu, kiedy czytałam o wręczaniu getu przez mężczyznę, miałam wrażenie, że to trochę uprzedmiotawiające kobietę, wręcz jej uwłaczające. Ale odkąd sama mam za sobą rozwód – ten religijny i ten świecki (inaczej rozstania nie uznałoby państwo polskie) – popatrzyłam na to zupełnie inaczej.

Prawdziwie nieswojo czułam się na sali rozpraw z obcą mi sędzią i innymi zgromadzonymi ludźmi, których w życiu wcześniej nie widziałam. Miałam im nagle opowiadać o prywatnych szczegółach mojego życia, o których nie rozmawiałam nawet z najbliższymi. Kiedy zapytano mnie, dlaczego chcę się rozwieść, odpowiedziałam, że nie widzę powodu, by o tym publicznie rozprawiać. Spotkałam się z mrozącym spojrzeniem. Zrozumiałam, że takie są procedury. Całe moje małżeństwo, moja relacja, moja intymność znalazły się w rękach kogoś przypadkowego. Potem stałam długo pod prysznicem, zmywając z siebie psychiczny brud.

Za to rozwód żydowski wspominam bardzo dobrze – jak na okoliczności wiążące się z rozstaniem. Też mieliśmy do czynienia z obcymi ludźmi. Ale oni nie zadawali nam żadnych pytań dotyczących naszego pożycia małżeńskiego oraz powodu rozstania. Te kwestie mieliśmy już za sobą. O tym rozmawialiśmy z naszym rabinem, bliską nam obojgu osobą, którą oboje znaleźliśmy od dawna. Teraz pojawiło się tylko kurtuazyjne: „Jak się macie?”, propozycja herbaty oraz serdeczna wymiana kilku zdań. Poza nami było sześciu mężczyzn – trzech członków *bet dinu*, sofer, który sporządzał nasz *get*, i dwóch świadków. Do tego jedna kobieta – żebym czuła się różnie i by mnie wesprzeć, gdybym tego potrzebowała. Wszystko rozegrało się w małym, przytulnym pokoju wydzielonym przy prywatnym mieszkaniu, a nie na wielkiej sali rozpraw. Samo wręczanie getu było trochę dziwne. Nigdy wcześniej nie brałam w coś takim udziału. Ale nie czułam się źle. Przekazała mi go bliska osoba, będąc przy

tym bardzo delikatna. Ten moment zależy już tylko i wyłącznie od rozstającego się małżeństwa. Wyobrażam sobie, że może być trudny, nieprzyjemny, dla kobiety nawet upokarzający. Ale przecież rozwody cywilne nie są wolne od tego typu emocji.

Są Żydzi, tak jak i nie-Żydzi, którzy rozwód traktują jak porażkę. Ale judaizm jako religia bez żadnych wyjątków dopuszcza rozstania. Czasem wręcz traktuje się je jak błogosławieństwo, które parę spotkało. A „*mazel tow*” powiedziane w takim wypadku nie należy do rzadkości.

Znad tych rozmyślań wybudził mnie dźwięk bulgoczącej wody. Wrzuciłam makaron, powąchałam jeszcze raz bez i zaczęłam wołać dzieci, żeby przyszły nakryć do stołu.

***27 kwietnia / 26 nisan, środa***

Od jakiegoś czasu w naszym domu przybywa różnych kosmetyków. Odżywki do włosów, pilingi do ciała, kremy do twarzy. Z ciekawości czytam czasem etykiety, żeby wiedzieć, do czego produkt służy i co ma w sobie. Ostatnio pojawił się nowy. W białej eleganckiej butelce, ze złotym napisem. Na nim wymienione wszystkie zalety. „Nabłyszcza i odświeża”. Od razu wyobraziłam sobie własną odświeżoną skórę! Bardzo by jej się to przydało, bo wygląda ostatnio na zmęczoną. „Tworzy hydrofobową powłokę”. Zupełnie nie mam pojęcia, o czym mowa, ale marzy mi się jakaś powłoka dookoła mojej postaci, która chroniłaby mnie przed kurzem, spalinami, ludzką głupotą i nadmiarem obowiązków. „Usuwa ślady po twardej wodzie”. Idealnie! Dopiero wzmianka o tym, że fabrykat „Pielęgnuje i podbija blask lakieru”, mnie zaintrygowała. Jedna z Córek zafarbowała sobie grzywkę, ale żeby używała lakieru, który trzeba teraz podbijać? Stałam przez dłuższą chwilę z butelką w ręce, nie bardzo wiedząc, co dalej. Z tego letargu wyrwał mnie Mąż. Przechodząc obok, uśmiechnął się szeroko i dumnie oznajmił, że postanowił zadbać o samochód i kupił preparat do mycia karoserii, który właśnie trzymam w ręce.

***28 kwietnia / 27 nisan, czwartek***

No i wpadłam. TikTok zaczął żyć swoim życiem. I trochę pogalopował. Koło pojawiających się zupełnie nie wiem skąd osób wyrastają jak grzyby po deszczu komentarze najdziwniejszej treści. Większość negatywna. I antysemicka. Czegoś takiego na Instagramie ani nigdzie indziej wcześniej nie doświadczyłam. Może to trolle, o których tyle się mówi. Albo jakieś inne boty. A może jednak zwykli użytkownicy z krwi i kości. Nie wiem, co gorsze. Wizja kogoś, kto programuje maszyny, by gnębiły ludzi? Czy to, że za nieskładnymi zdaniem, słowami z błędami, złością, frustracją i wyzwiskami stoi człowiek?

Bez pardonowo kasuję każde: „Jasne, siedzicie w Polsce, bo nie wybiliście jeszcze wszystkich Palestyńczyków”, „Nie jesteście Polakami, mordowaliście nasze elity w NKWD, UB, w Katyniu”, „Tu jest Polska, a nie Polin”. Nie interesuje mnie, kto się czai za nickiem a.m.j.97 czy userq1ww1jpx lub call00\_fox. Może bot. A może zagubiony chłopak, niepewna siebie dziewczyna lub zwykły antysemita. Trudno. Jak mawiał mój nieżyjący już dziadek, „mogą mi być wszyscy ukradzeni”.

***1 maja / 30 nisan, niedziela***

Każdy poranek z wyjątkiem szabatów i świąt zaczynam od zajrzenia na Instagrama. Jeszcze leżąc w łóżku, rzucam okiem, czy ktoś napisał, coś skomentował. Może ktoś doszedł albo odeszły tłumy. Wiem dzięki temu, ile czasu w ciągu dnia wygospodarować na instagramowe interakcje. Niedawno do mojej rutyny doszło kasowanie antysemickich tekstów na TikToku. Tak jak masuję sobie twarz wałkiem, czasem zupełnie beznamiętnie, tak teraz czytam, wciskam usuń, idę dalej, czytam, wciskam usuń, idę dalej. Czasem pojawia się jakieś pytanie, do którego wracam i na które odpowiadam, czasem ktoś napisze coś miłego, więc daję serduszko i uśmiecham się do siebie. A potem dalej „wypieprzaj stąd”,

usuń, „może gaz w piecu podkręcić”, usuń, „lafirynda”, usuń, „bo ten kanał to tylko propaganda i próba ocieplenia wizerunku tych karaluchów”, usuń...

*2 maja / 1 ijar, poniedziałek*

Aaa! Mam awarię mózgu, jak to krzyczała jedna z Córek z dziećmi sąsiadów, skacząc na trampolinie podczas jakiegoś garden party. Cały dzień spędziliśmy w parku rozrywki. Szumi mi w głowie od hałasu, głośnej muzyki, a przede wszystkim od natłoku wrażeń.

Zaplanowaliśmy z Mężem niespodziankę dla starszych dzieci. Wieczorem przygotowałam kanapki, spakowałam torbę termiczną. Rano podgrzałam pomidorówkę i przelałam do termosów. Napelniłam kilka butelek wodą. Wsadziliśmy nasze Najmłodsze do żółtkowego busika, a sami wsiedliśmy w samochód i ruszyliśmy w drogę. Cały czas utrzymywaliśmy, że czeka nas łażenie po wysokich górach i lesie. Część dzieci uwierzyła, część nie dała się nabrać. Kiedy po godzinie dojechaliśmy na parking, naszym oczom ukazał się gigantyczny rollercoaster. Zaczęłam piszczeć. Nie interesuje mnie, ile mam lat. Uważam, że pisk ekscytacji jest dozwolony na każdym etapie życia. Dzieci dołączyły do mnie. Na miejscu impreza okazała się znacznie droższa, niż się spodziewaliśmy, ale przełknęliśmy gorzki wydatek z godnością i uśmiechem. Za wejściem szybko przekonaliśmy się, że również atrakcje są inne niż w naszych wyobrażeniach. Jest ich znacznie, znacznie więcej!

Zaczęliśmy delikatnie, od wody. Trochę psikania, lekko zmoczone ubrania. Wszyscy świetnie się bawiliśmy. Potem przyszedł czas na zaostrzenie jazdy. Na wysokościach okazało się, że Starszy Syn jest w siódmym niebie, ale Mąż czuje się jak na torturach. Najstarsza Córka krzyczała, że umiera. Środkowa była niewzruszona. Najmłodsza trochę się bała, lecz na pewno mniej od Męża. A mnie leciały łzy ze śmiechu, bo wszystko razem wydawało mi się bardzo komiczne.

Podekscytowany Starszy Syn oznajmił, że on ma zamiar zaliczyć wszystkie najbardziej hardcorowe atrakcje i żeby się pospieszyć, bo zostało jeszcze tylko sześć godzin. Mąż pod pretekstem troski o naszą pięciolatkę powiedział, że chętnie pójdzie z nią na samolotki. Rozdzieliliśmy się. Ja ze Starszakami ruszyliśmy w kierunku strefy ekstremalnej, Mąż z Najmłodszą Córką na atrakcje dla emerytów i rencistów. Po kolejnych przygodach Córki stwierdziły, że im też już wystarczy i zobaczą, jak tam ciuchcie i karuzele. Korzystając z okazji, że wykruszyło się towarzystwo, Syn namówił mnie na jedną z wyższych kolejek. Zgodziłam się tylko dlatego, że wagonik lądował w wodzie, a mnie było gorąco. Na wysokości 60 metrów zamknęłam oczy. Otworzyłam dopiero, kiedy znalazłam się niżej. Jazda z prędkością 110 kilometrów na godzinę sprawiła nam taką frajdę, że pojechaliśmy jeszcze raz.

Między jedną zjeżdżalnią a drugą zjedliśmy kanapki zabrane z Krakowa i popiliśmy je dziko drogą lemoniadą, która miała smak wody z Wisły ze zgniłą cytryną. Pokrzepieni ustaliliśmy, że Syn idzie sam na coś, od czego Mężowi robiło się słabo, a mnie mdło. Odprowadziliśmy całą brygadą dzielnego trzynastolatka pod samo wejście. A potem ustawiliśmy się, by podziwiać jego odwagę. Córki próbowały go wypatrzeć, co było trudne, bo na wysokości prawie 64 metrów poruszał się z prędkością 121 kilometrów na godzinę. Z Mężem na wszelki wypadek nagraliśmy na dwa telefony kilka przejazdów, żeby nie przegapić tego jednego, w którym jest Syn. Kiedy cało i zdrowo przejechał 1316 metrów i wysiadł o własnych siłach, Córki pobiegły go przywitać. Zastanawiałam się, czy dostanę dziecko zielone, blade czy chociażby słabe. Ale Syn wyglądał zupełnie okej. Podobało mu się. I chciał więcej.

Po ogłoszeniu zamknięcia na nogach jak z waty wytoczyliśmy się z paszczy lwa. Absolutnie niezapomniane przeżycie, po którym jeszcze jakiś czas będziemy dochodzić do siebie. Ale już planujemy kolejny wypad. Mąż nie zdążył pójść na karuzelę z konikami przeznaczoną dla dwulatków. A ja tym razem skusiłabym się na najbardziej ekstremalne doznania.

*3 maja / 2 ijar, wtorek*

Starszy Syn powiedział, że piosenka *Baby shark* ma więcej wyświetleń, niż jest ludzi na świecie. Chciałam to sprawdzić. Ale niestety nie odróżniam liczb z więcej niż dwoma zerami, więc dane nic mi nie powiedziały. Uwierzę mu na słowo. Za to przeraził mnie wykres, który znalazłam. A akurat wykresy, dzięki studiom socjologicznym, rozumiem całkiem dobrze. Liczba mieszkańców Ziemi rośnie w niesamowitym tempie. Kiedy moja Babcia była małą dziewczynką, na świecie było prawie cztery razy mniej ludzi, niż jest teraz. Odkąd ja się urodziłam, liczba prawie się podwoiła. Patrząc na wykres z trwogą, trafiłam na stronę, na której cały czas aktualizują się dane mówiące o narodzinach, zgonach, ale też o liczbie wypalonych papierosów, wyprodukowanych samochodów, wysłanych e-maili, pieniądzech wydanych na walkę z handlem narkotykami. Zakręciło mi się w głowie od zmieniających się błyskawicznie liczb, więc wróciłam do *Baby shark*. I znalazłam żydowską wersję! Jest mama z wózkiem, tata z kieliszkiem kiduszowym, babcia z chałką oraz dziadek z pokrowcem na sztrajmel, czyli futrzaną chasydzką czapkę. Na koniec okazało się, że to reklama sklepu produkującego popularne figurki. Zafrasowałam się. Bardzo brakuje mi w Polsce żydowskich wersji nieżydowskich zabawek. Myślę, że każde dziecko powinno mieć zabawki przypominające jego środowisko. Żeby czuło od małego, że pasuje do otaczającego go świata. Ciemnoskóra Barbie, lalka z nadwagą, książka o rodzinie, w której nie ma taty, chłopiec, który obchodzi Chanukę.

*4 maja / 3 ijar, środa*

Miałam okazję spotkać dzisiaj ortodoksyjne Żydówki w perukach. Taki widok to nie jest dla mnie nowość. I w naszej społeczności żydowskiej, i wśród moich żydowskich znajomych sporo kobiet wybiera ten sposób zakrywania włosów.

Przyjętą tradycją jest zasłanianie głowy przez Żydówki, które wyszły za mąż. Znajdą się rabini, którzy uznają, że to nakaz z Tory. Ale znaczna większość twierdzi, że to tylko zwyczaj. Jest jednak bardzo silny i powszechny we wszystkich ortodoksyjnych społecznościach. Choć można spotkać również religijne kobiety, które włosów zupełnie nie zakrywają.

Od początku dokładnie wiedziałam, jak chcę się nosić i że będzie to chusta. Przez pierwszy miesiąc po ślubie wiązanie jej nie wychodziło mi zgrabnie. Włosy od razu wylażyły z każdej strony. Pewnie też ze względu na mój ówczesny fryz. Włosy miałam na tyle krótkie, że nie dało się ich związać gumką, i na tyle długie, że wisały luźno. Dostyc szybko jednak nauczyłam się jednym ruchem ręki w ciągu trzech sekund zamotać sobie turban, który trzyma się cały dzień. I w takim odzieniu czuję się najlepiej. W zimie chroni mnie przed mrozem, w lecie przed słońcem. Kiedy na dworze jest gorąco, wybieram lżejszy materiał. W zależności od nastroju dokładam jakąś kokardkę czy wstążeczkę, czasem wiąże dwa szale naraz. Po przyjściu do domu czasami ściągam go od razu podobnie jak buty czy kurtkę. Ale zdarza się, że jeszcze chwilę mam go na sobie. Z odkrytą głową w miejscu publicznym czy wśród obcych czuję się nago. Kiedy odbieram pocztę lub zakupy albo muszę wyskoczyć po dzieci czy ze śmieciami, najczęściej wkładam zwykłą czapkę bawełnianą lub z daszkiem. Albo narzucam kaptur, jeżeli akurat mam na sobie odpowiednią bluzę. Dokładnie tak samo jak ktoś inny przywdziałyby w podobnej sytuacji szlafrok, nie mając ochoty pokazywać się w piżamie czy bez T-shirtu. Nic by się nie stało, gdyby chustka nagle mi spadła, a ja ukazałabym się jakimś mężczyźnie z rozwianym włosiem. Byłoby to dla mnie po prostu trochę krępujące. Ale chyba nie bardziej niż podwinięta do majtek spódnica, kiedy idzie się ulicą, niespodziewanie rozerwane spodnie w kroku, rozmazany makijaż podczas biznesowego spotkania, pietruska w zębach, która tkwiła tam cały dzień, czy rozpięta na piersiach koszula ukazująca koronki biustonosza.

Ponieważ zakrywam głowę od kilkunastu lat, doczekałam się sporej kolekcji chust, szali i wstążek. Kilka razy zostałam poproszona o policzenie ich, ale nigdy się na to nie zdobyłam. Wiem

jednak, że mam ich nie więcej niż kolczyków. Peruki, nie licząc tych w pokoju dzieci w koszu z kostiumami, nie mam żadnej. Noszenie ich nigdy nie przyszło mi do głowy. Ładna peruka kosztuje kilka tysięcy, a ja jestem sknerą i żal by mi było wydawać tyle pieniędzy. Poza tym jakoś nie widzę się w cudzych włosach. Ale zawsze uwielbiam patrzeć na te kobiety, które w perukach chodzą. Wyglądają pięknie i intrygująco. Dzisiaj też zerkałam z zafascynowaniem, jakbym nigdy nie widziała podobnego zjawiska.

*5 maja / 4 ijar, czwartek*

Dzisiaj wieczorem zaczyna się Dzień Niepodległości Izraela. Obchodzi się go według daty żydowskiej dla upamiętnienia proklamowania państwa Izrael 5 ijar 5708 roku. Według kalendarza gregoriańskiego doszło do tego 14 maja 1948, jakkolwiek by liczyć – siedemdziesiąt cztery lata temu. Chętnie powiedziałabym o tym kilka słów na Instagramie, bo dla Żydów to ważna rocznica. Zawsze w ten dzień, niezależnie od tego, jak go świętujemy, ubieram się na niebiesko-biało, zakładam kolczyki z Gwiazdą Dawida i cieszę się razem z innymi Żydami. Miło mieć własne państwo i poczucie, że jest miejsce na ziemi, w którym nie muszę się tłumaczyć, że jestem Żydówką.

Ale nie. W tym roku udałam, że to dzień jak każdy inny. Nie założyłam barw flagi Izraela. Nie opowiedziałam publicznie żadnej anegdotki z czasów, kiedy w Izraelu mieszkałam. Nie mam siły na wszystkie komentarze, które od razu by się pojawiły, a które byłyby nienawistne wobec Izraelczyków, ale też wobec mnie jako Żydówki, która w ogóle o Izraelu wspomina.

Absolutnie nie uważam, że antysyjonizm równa się antysemityzmowi. Choć czasem niechęć do działań Izraela przekłada się na agresję wobec wszystkich Żydów. I odwrotnie. Nienawiść wobec Żydów przekłada się na negatywne postrzeganie Izraela. Ale jedno nie równa się automatycznie drugiemu. Można nie zgadzać się z polityką państwa Izrael, a zarazem nie mieć nic przeciwko Żydom. Znam też wielu Żydów, którzy wypowiadają się krytycznie o swoim kraju. Choć mam obywatelstwo izraelskie, mieszkałam w Izraelu cztery lata i go lubię, nie wszystko mi się w nim podoba. I to też jest jeden z powodów, dla których trudno by mi było do niego wrócić.

Równocześnie nie mogę nawet opowiedzieć o Izraelu, o tym, jakie są w nim fajne place zabaw, a jak drogie mieszkania, jaki hałas na ulicach, ile ciekawych miejsc, jacy interesujący ludzie. Kiedy tylko otwieram na ten temat usta, od razu budzę agresję. Że normalizuję krzywdę innych ludzi, że przyczyniam się do cierpienia Palestyńczyków. I jak mogę mówić o cenie ogórków na izraelskich straganach, nie wspominając o tym, że niektórzy mieszkańcy tego państwa nie mają dostępu do wody?

Jestem też zasypywana prośbami, by się w sprawie wypowiedzieć. Kiedy mówię, że nie chcę zabierać głosu, bo za mało wiem, a poza tym za dużo emocji mnie to kosztuje, słyszę, że to mój obowiązek. Więc zaczynam tłumaczyć, że ten konflikt jest straszny, że są mądrzejsi ode mnie, którzy mogą go skomentować, że mogę nie być obiektywna, że wcale nie uważam, aby każdy Żyd od razu miał obowiązek na temat tej sytuacji się wypowiadać. I za słowo „konflikt” zbieram ciosy. Bo konflikt jest wtedy, kiedy obie strony są równie silne. A w tym wypadku tak nie jest. Izrael to okupant i przez wszystkich powinien być uznany za wroga. A Palestyńczycy to bezbronni ofiary.

Nie wiem, jakie są wobec mnie oczekiwania. Co mam powiedzieć? Że rząd Izraela popełnił kilka karygodnych błędów? Popełnił. Że tylu palestyńskich cywilów cierpi, a nawet ginie, i że to należy potępiać? Należy. Czy uważam, że Żydzi powinni przestać rościć sobie prawa do Izraela? Nie uważam. Choć może przemawia przeze mnie atawistyczny strach, że znowu będziemy bezpaństwowcami, co – jak pokazuje historia – różnie się dla nas kończyło? Może tak być. Czy mam pomysł, jak rozwiązać konflikt? Nie mam. Czy powiem coś, co innym pomoże zrozumieć, co się dzieje na Bliskim Wschodzie? Nie, bo nie mam nic istotnego do powiedzenia.

Może powinnam opowiadać o tym, jak mieszkałam w Izraelu przez dwa lata tuż obok palestyńskich terenów? Kiedy prowadziłam dzieci do przedszkola i szkoły, przepuszczałam wszystkie samochody z palestyńską rejestracją. Bałam się, że mnie rozjadą. Mój strach pojawił się po tym, jak jakiś Palestyńczyk wjechał w stojących na przystanku ludzi, uśmiercając kilka osób, w tym małe dziecko.

Albo o tym, jaki zapanował lęk, kiedy zaginęło trzech młodych chłopaków. Przystałam wtedy jeździć do Jerozolimy na zajęcia hebrajskiego. Zazwyczaj łąpałam stopa, jak wszyscy w tamtym rejonie. Ale właśnie taki „stop” w tych okolicach zakończył się tragicznie. Chłopcy wsiedli do samochodu z nadzieją, że kierowca – palestyński – ich podwiezie. A po trzech tygodniach znaleziono ich. Zamordowanych. Matką jednej z ofiar była nauczycielka z mojej jerozolimskiej szkoły. Syn dyrektorki tej placówki został zastrzelony wraz z żoną, matką czworga dzieci, która na to wszystko patrzyła. Jechali całą rodziną samochodem, aż członkowie jakiegoś palestyńskiego ugrupowania otworzyli ogień. O tym mam opowiadać? Przecież to się nie mieści w głowie!

Kiedys zadałam pytanie aktywistce, która wypowiadała się jednostronnie o tym, co się dzieje w Palestynie – nie używa słowa „Izrael”, bo nie uznaje jego istnienia. Chciałam wiedzieć, zupełnie pokojowo, jaki ma pomysł na nas, Żydów. Gdzie mamy się podziać? Skoro tu jest Polska, a nie Polin, a słowo „Żyd” uznawane jest za obelgę. Skoro Izrael powinien zostać oddany Palestyńczykom, a Żydzi tam mieszkający niech się gonią. To gdzie jest nasze miejsce? Na Madagaskarze? Nie odpowiedziała.

Więc nie zabieram głosu. Co często jest mi wytykane i czym, przyznam szczerze i z goryczą, jestem mocno zmęczona. I nie cieszę się publicznie tym, że mam swoje państwo, gdzie nikt mi nie będzie kazał iść do gazu.

**6 maja / 5 ijar, piątek**

Najmłodsza Córka stwierdziła, że musi zabrać okulary przeciwsłoneczne, bo jej się nagle zrobiło rażno. Zawsze mam w takich sytuacjach dylemat. Czy poprawiać i pokazywać błąd, czy pozwolić dziecku na słowotwórstwo?

**8 maja / 7 ijar, niedziela**

Dzisiaj na TikToku powitał mnie komentarz, którego treść słyszałam wiele razy. Jegomość o nicku wskazującym na to, że zwie się Tomek, napisał „a w 20wiku w Oświęcimiu kominem wychodziliście na wolność a to dlatego że nie uznajecie Jezusa za mesjasza” (pisownia oryginalna). Ów Tomek zapewne nie wie, że „kominem na wolność wychodzili” również ci Żydzi, którzy zostali ochrzczeni i przyjęli chrześcijaństwo.

Próby skierowania mnie na chrześcijańskie tory przyjmują najróżniejsze formy. Za każdym razem wzbudzają we mnie inne emocje. Akurat odwoływanie się do śmierci kilku milionów Żydów mnie brzydzi. A pogrożki, a takie też dostaję, wywołują odruch wymiotny. Jak można komuś sugerować, że jeżeli nie przyjmie Jezusa, spotka go podobny los?

Podaję skrajne przypadki, ale cały pomysł bycia tak bezpardonowo nachalnym jest mi całkowicie obcy. Widocznie to powszechna praktyka, skoro często bywam pytana, czy Żydzi mają misję nawracania. Ale z czego osoba niereligijna ma wrócić? Czy religia i wiara są jedynymi właściwymi drogami? I każdy, kto poszedł w innym kierunku, musi zmienić kurs, bo zabłądzi? Bóg, jeżeli tylko uznasz jego istnienie, posłuży jako autostrada do rajów? A ateizm to polna ścieżka wiodąca prosto do piekła? Kto i kiedy tak zadecydował?

Nie, Żydzi nie „nawracają”. Nie zachęcają do konwersji na judaizm. Choć dają taką możliwość, wielokrotnie ją zainteresowanym odradzają. A jak już jakiś delikwent czy delikwentka postanowią zostać częścią narodu żydowskiego, to czeka ich kilkuletnia nie lada przeprawa kończąca się egzaminem, obrzezaniem u mężczyzn i zanurzeniem w mykwie. To zupełnie nie brzmi jak „Ej, dołączcie do nas! Bo my jesteśmy najlepsi!”.

Są religijne grupy żydowskie, których celem jest pomoc niereligijnym Żydom w wypełnianiu przykazań Tory. Istnieje przekonanie, że to przyspieszy przyjście Mesjasza. W większych skupiskach żydowskich można się natknąć na stoliki, przy których mężczyznom pokazuje się, jak zawiązać tefilin. W Rosz ha-Szana zawsze jakiś ochotnik zagląda do żydowskich szpitali czy domów opieki, by zadać

w szofar. Przychodzi też w Purim, żeby przeczytać Księgę Estery. Ktoś mógłby ich porównać do księży, którzy chodzą po porodówkach i oferują Hostię. Ale zestawienie nie byłoby zupełnie trafne. Rzeczywiście słuchanie dźwięku szofaru to dla religijnych Żydów wypełnienie nakazu Tory, a wysłuchanie opowieści o Esterze – nakazu rabinicznego. Niemniej dla Żydów niereligijnych to zwykłe elementy ich tradycji. Dęcie w róg barani, jak już wiemy, budzi dusze na Nowy Rok, opowieść o Esterze, w której słowo „Bóg” nie pada ani razu, to przypomnienie historii narodu żydowskiego.

Nawiązując do określenia „nawracać”, którego nie lubię, powinnam wspomnieć o tym, że osobę, która zaczęła być religijna, nazywa się *baal teszuwa* (בעל תשובה), co oznacza dosłownie tyle co ‘mąż odpowiedzi’ lub nawet ‘mistrz skruchy’. Nazwa zawiera w sobie przeświadczenie, że Bóg jest prawdą, a brak wiary w Boga jest czymś niewłaściwym. Sama, powróciwszy do religii swoich przodków, używam wobec siebie tego określenia. Nie ma lepszego sposobu na to, by w dwóch słowach wyrazić, że przez część życia nie byłam religijna, ale też że nie przeszłam na judaizm, bo Żydówką jestem od urodzenia. Słowo „skruca” mnie uwiera. Wcale nie uważam, żeby było cokolwiek złego w tym, że kilkanaście lat temu zajadałam się niekoszernym mięsem, a w piątkowe wieczory szalałam na imprezach. Jako dwudziestolatka byłam tam, gdzie miałam wtedy być. Ale słowo „odpowieź” wydaje mi się bardzo na miejscu i jest dokładnie tym, co mnie i innych *baal teszuwa* opisuje. W judaizmie znaleźliśmy odpowiedź, w jaki sposób żyć.

Za to nawracanie jest wyższościowe. Wynika z przekonania, że ktoś, kto się do niego bierze, wie lepiej, co jest dobre dla drugiej osoby. A to już mocne przekroczenie granic. Komentarze typu „Bóg wybaczy, że ignorujesz Jego syna, naszego Zbawiciela” mnie śmieszą – choć nie jest to śmiech wesoły, raczej taki z niedowierzania i oszołomienia. Wiadomości w stylu „czas uwierzyć w Jezusa” czy „Jezus Cię kocha!” sprawiają, że zupełnie nie wiem, co odpowiedzieć. Ale komentarze „Podobno wszystko, co spotyka Żydów, to wina nierozpoznania Mesjasza w Jezusie” są absolutnie poniżej jakiegokolwiek ludzkiej godności – jakby ktoś, jak to się mawia, „nie miał Boga w sercu”.

### **9 maja / 8 ijar, poniedziałek**

Kolejny raz dostałam pytanie zaczynające się od słów: „Co byś zrobiła, gdyby któreś z twoich dzieci...”. I nieważne już, co było w drugiej części zdania. Kilka konkretnych rzeczy ludzi interesuje i często mnie o to zagadują. Może oczekują, że zrobię się czerwona ze złości i odpowiem „wydziedziczę!” lub „po moim trupie”? A może odwrotnie. Mają nadzieję, że nic nie może zagrozić mojej miłości do potomstwa. Kiedyś mnie to drażniło. Jednak im starsze są dzieci, tym częściej wyobrażam sobie różne scenariusze ich życia.

„...gdyby okazało się, że woli osoby tej samej płci?” Odpowiedź jest prosta i oczywista. Nic nie zrobię. To znaczy zrobię dokładnie to, co w każdej innej sytuacji, czyli będę wspierać całą sobą z nadzieją, że moje dziecko będzie w życiu szczęśliwe – w objęciach kobiety lub mężczyzny, lub samo. Homoseksualność to nie wybór, więc zupełnie nie mam o czym mówić.

„...gdyby przestało być wierzące?” Z wiarą jest trochę inaczej. Ale to, czy w coś wierzymy czy nie, też nie zawsze jest racjonalną decyzją. To bardziej kwestia uczuć, emocji. Mogą się zmieniać i ewoluować. Trochę jak z miłością, nadzieją czy nienawiścią. Każdy z nas dobrze wie, co to oznacza, ale zdefiniowanie tych pojęć wcale nie jest proste. Gdyby któreś z moich dzieci przestało wierzyć w to, w co wierzę ja, trzeba by było wzruszyć ramionami i powiedzieć „trudno”. Jestem przekonana, że każde z moich dzieci pewne rzeczy będzie postrzegać inaczej.

„...gdyby zakochało się w katoliku, muzułmaninie, kimkolwiek, kto nie jest Żydem, i zdecydowało się na związek z tą osobą?” Też musiałabym to zaakceptować. Miłość to kolejna rzecz, która jest trochę poza nami. Czasem planujemy, że w wieku dwudziestu pięciu lat poznamy przystojnego bruneta, a okazuje się, że wpadliśmy w ramiona kogoś zupełnie innego, jest nam cudownie, a przystojny brunet wydaje nam się absurdalnym pomysłem. Albo byliśmy przekonani, że singielstwo to nasza droga, a skończyliśmy zadowoleni z mężem u boku i z trojgiem dzieci. Lub odwrotnie. Mieliśmy wybrane imiona dla każdego z nienarodzonych maleństw, upatrzone ubranka na pierwsze urodziny, ale



zakochaliśmy się w mężczyźnie, który dzieci mieć nie chce. Wybraliśmy tego człowieka, stawiając go ponad krzyczącą gromadkę, i do końca wspólnego życia nie pożałowaliśmy.

Chodzi mi o to, że jak się mawia w takich sytuacjach: „miłość nie wybiera”. Przychodzi, kiedy chce, i nie zawsze mamy na to wpływ. I niezależnie od tego, ile wysiłku włożę w wychowanie moich dzieci, one i tak zakochają się w tej osobie, którą im wskaże serce. I też mam zamiar temu kibicować. Pielęgnowanie uczucia jest trudne samo w sobie. Pięknie rozpedzone może dawać wsparcie, siłę i moc każdej ze stron. Krytykowane, podkopywane, kwestionowane uczucie – to prosta droga do zatrucia relacji, partnera naszego dziecka oraz, a tego przecież nikt nie chce, naszego ukochanego potomka.

„...gdyby przestało być religijne?” Nie wyobrażam sobie moich dzieci ze schabowym czy na motorze w środku szabat. Ale moja Mama, całkowicie świecka Żydówka, nie wyobrażała sobie mnie jedzącej koszernie i nieodbierającej telefonów w sobotę, bo religia mi zabrania. Minęło kilka lat i doszliśmy do porozumienia. Tak naprawdę nie wiem, ile czasu by mi zajęło zaakceptowanie porzucenia religii.

I teraz dochodzimy do sytuacji, która byłaby dla mnie prawdziwie trudna. I nie wiem, ile musiałabym włożyć wysiłku, by ją zaakceptować. Są to odmienne idee i wartości. Gdyby któreś z moich dzieci zostało homofobem, rasistą, szowinistą, miałabym z tym problem. Ale myśląc życzeniowo, i z tym bym sobie poradziła.

Odpowiadając na powtarzające się pytanie: niezależnie od tego, kim będą moje dzieci, mam zamiar być dla nich najlepszą matką, jaką potrafię.

***10 maja / 9 ijar, wtorek***

Zakupami w domu dzielimy się z Mężem. Ja online. On stacjonarnie. Raz w tygodniu, siedząc przed komputerem, klikam stały zestaw. Mleko, masło, jajka, płatki, jogurty, mozzarella, mąka, makaron, ryż, kukurydza, groszek, dużo warzyw i owoców, mrożony szpinak i fasolka. W razie potrzeby uzupełniam też zapasy kawy, herbaty, oleju i oliwy, przypraw, papieru toaletowego, pieluch i kosmetyków oraz środków czystości. Dobijam do dopuszczalnego maksimum, czyli stu sztuk, płacę odpowiednio dużo z dodatkowym 9,90 złotych za dowóz. Te zakupy powinny starczyć nam na szabat, cowtorkowe gotowanie pani, która przychodzi zrobić pomidorową, pierogi czy inne pyszności, oraz całą resztę spożywanych przez nas posiłków. Czasem zapasów nie starcza na wszystkie śniadania, obiady, które dzieciaki biorą do szkoły, przedszkola i żłobka, oraz na nasze wspólne kolacje. Resztę tego, czego akurat brakuje, kupuje stacjonarnie Mąż w pobliskim sklepie.

Ale ostatnio to ja, wracając z miasta, zatrzymałam się po kilka drobnych rzeczy. Kiedy przyszło do płacenia, opadła mi szczęka. Te ceny są chyba z kosmosu!

***12 maja / 11 ijar, czwartek***

Do Krakowa przyjechał z Niemiec mój Tata, którego (między innymi przez pandemię) nie widziałam od kilku lat. Idealnie trafiliśmy na odebranie młodszych dzieci z przedszkolnego busika. Część Starszaków była już w domu i od razu wybiegła się przywitać. Mimo braku wspólnego języka od razu złapali kontakt. Kilka słów po polsku, które zna mój Tata, trochę angielskiego, którego dzieci uczą się w szkole, plus moje tłumaczenie na niemiecki okazały się wystarczające.

***13 maja / 12 ijar, piątek***

Gawędząc z Tatą o preferencjach żywieniowych jego, jego żony i mojego przyrodniego rodzeństwa, zesłaliśmy na tekst, który właśnie pisze mój Tata. Jako doktor biologii zajął się tematem sztucznego mięsa i zadał mi bardzo oczywiste pytanie. Czy wyhodowane w laboratorium tkanki są

koszerne?

To bardzo ciekawe zagadnienie i oczywiście rabini poświęcają mu wiele uwagi, powołując się na prawo żydowskie. Zawsze kiedy pojawia się jakiś temat do rozstrzygnięcia, dochodzi do dyskusji między autorytetami znającymi na pamięć tekst Tory i Talmudu. Czasem jednogłośnie znajdują odpowiedź. Innym razem po długich dywagacjach dochodzą do konsensusu. Ale zdarza się, że opinie są podzielone.

Powiedziałam Tacie, co myślę na ten temat, na podstawie wiedzy, jaką posiadam. Po powrocie do domu sprawdziłam, co o sztucznym mięsie mówi rabin Google. Tak jak myślałam. Sprawa nie została jednoznacznie rozstrzygnięta.

**14 maja / 13 ijar, sobota**

Mój Tata spędził z nami szabat. Zastanawiałam się, co myśli, patrząc na nas. Nie chodzi mi o gromadkę, jaką jesteśmy, ale o religijne praktyki, które są mu nieznane. W gotowaniu i nakrywaniu do stołu nie różnimy się od innych domów. Do kolacji podajemy to samo wino i te same bochenki chleba. Może w innych okolicznościach chleb zostałby podany pokrojony, a nasz zawsze na szabat i święta jest w całości. Przed przystąpieniem do jedzenia rozbrzmiewa piosenka *Szalom alejchem*. Nie wiem, w ilu domach śpiewa się przed kolacją. To może wydawać się rzeczywiście osobliwe. W żydowskiej tradycji są to cztery krótkie zwrotki zależnie od rodziny śpiewane na różne melodie i na różne sposoby. Najpierw wolniej, potem szybciej. Albo odwrotnie. Melodia taka lub inna. Każdy wers po trzy razy. Albo po dwa lub tylko raz. Możliwości i konfiguracji jest bardzo dużo. Niezmienne są tylko słowa. Tak brzmi ich transliteracja z hebrajskiego:

Szalom aleichem malachei haszaret malachei eljon, mimelech malchei hamlachim Hakadosz baruch Hu. Boachem leszalom malachei haszalom malachei eljon, mimelech malchei hamlachim Hakadosz baruch Hu. Barchuni leszalom malachei haszalom malachei eljon, mimelech malchei hamlachim Hakadosz baruch Hu. Cetchem leszalom malachei haszalom malachei eljon, mimelech malchei hamlachim Hakadosz baruch Hu.

Takie jest ich tłumaczenie na język polski:

Pokój wam, Aniołowie Posługujący, Aniołowie wyższego od Króla władającego nad królami, Świętego Błogosławionego. Przybywajcie w imię pokoju, Aniołowie Pokoju, Aniołowie wyższego od Króla władającego nad królami, Świętego Błogosławionego. Błogosławcie mnie pokojem, Aniołowie Pokoju – Aniołowie wyższego od Króla władającego nad królami, Świętego Błogosławionego. Odejdźcie w pokoju, Aniołowie Pokoju – Aniołowie wyższego od Króla władającego nad królami, Świętego Błogosławionego.

Piosenka jest zaproszeniem aniołów, by w pokoju spędziły z rodziną szabat. Częstym gestem przed odśpiewaniem *Szalom* jest uchylenie drzwi na znak, że oto mogą wejść i że są mile widziane. Potem zwyczajowo śpiewa się drugą piosenkę *Eszet chail*, która jest hołdem dla dzielnej żony. Przyznam, że mam z nią problem. Tak jak z kwiatami na Dzień Kobiet. Wolę aktywne zaangażowanie panów w prowadzenie domu, a podczas szabatu – w zrobienie jedzenia. Raz w tygodniu odśpiewany poemat czy raz do roku wręczona róża to jak dla mnie trochę mało. Słowa *Eszet chail* wydają mi się dodatkowo mocno archaiczne. Bo co to znaczy, że „Siła i godność są jej odzieniem”? Dlatego tej piosenki u nas się nie śpiewa. W zasadzie z dużą szkodą, bo to wielopokoleniowa tradycja, melodia jest piękna, a u nas w domu nie mamy problemu z tym, że tylko ja przy garach stoję. Więc może zamiast się oburzać, że „żona, która ciężko pracuje na dom, ceną znacznie przewyższa rubiny”, należałoby uznać tekst za relikwiarz przeszłości i cieszyć się, że wartość kobiety przestaje się mierzyć nakarmioną dziatwą i wyprędzonymi obrusikami.

Ale wracając do naszej kolacji szabatowej. Po *Szalom alejchem* następuje kidusz nad winem robiony przez Męża. Oczami wyobraźni widzę scenę, którą każdy z nas zna. Wspólne biesiadowanie, które zaczyna się od toastu. Każdy ma nalany kieliszek wina lub czegoś innego. Wszyscy się stukają, mówią „na zdrowie”, biorą łyk i dopiero wtedy zabierają się do kotleta. Więc w zasadzie nasza tradycja

nie powinna dziwić. Z tym że kieliszek jest jeden. Po błogosławieństwie pierwszy łyk bierze Mąż, a potem kieliszek wędruje do mnie, a ode mnie do każdego dziecka, idąc wiekiem od Najstarszego. Łyk dorosłych jest większy. Dzieci moczą tylko usta. Potem Mąż nalewa mi oraz innym pełnoletnim, którzy są przy stole, w ten szabat mojemu Tacie, wina do ich własnego naczynia i już każdy pije swoje.

A o czym jest ten kidusz? O tym, że Bóg stworzył świat w sześć dni, a siódmego odpoczął oraz że wyprowadził lud żydowski z Egiptu.

Po kiduszu mycie rąk. W większości domów zasiada się do stołu już z umyтыми rękoma. Podczas świątecznych i szabatowych kolacji najpierw błogosławi się wino, a dopiero potem obmywa ręce. Tak czy siak, ta czynność, zwłaszcza współcześnie, nie wzbudza większego zdziwienia. Po umyciu rąk błogosławieństwo nad chlebem. I gdy każdy zje kawałek, początek uczy. W trakcie w zależności od nastroju towarzyszą nam piosenki oraz śpiewane grupowo niguny. Żydzi to chyba niejedyny naród, który śpiewa podczas posiłku. Choć niektórzy potrzebują więcej procentów, by wpaść na taki pomysł i odważyć się zaintonować jakąś nutę.

Posiłek zamyka kolejne błogosławieństwo jako podziękowanie za jedzenie. Po zjedzeniu chleba jest ono długie i odmawiane w formie piosenki.

Myślę, że kilka elementów przebiegu kolacji szabatowej może dziwić. Ale w jej trakcie w zasadzie nie dzieje się zupełnie nic nadzwyczajnego. Myślę, że mój Tata nie był specjalnie oszołomiony tymi wszystkimi rytuałami. Nie uciekł w trakcie i patrzył z zainteresowaniem.

### ***16 maja / 15 ijar, poniedziałek***

Moja Mama zaproponowała, że da dzieciom kolację, i zaprosiła je do siebie. Od niedawna Młodszy Syn sam schodzi do niej dwa piętra w dół. Zawsze ze starszym rodzeństwem, ale przynajmniej nie trzeba go już znosić i wnosić. Więc poszli razem z Najmłodszą Córką. Zasiedzieli się chwilę dłużej, prawdopodobnie bawiąc się z dziewczynką, która wraz z mamą, ciocią, kuzynem i babcią mieszka od początku wojny w Ukrainie u mojej Mamy. Wrócili po dwóch godzinach, kiedy był już absolutnie czas do spania. I co się okazało? Że są strasznie głodni. Przez chwilę próbowałam wyjaśnić sprawę. Ale Córka szła w zaparte, że w zasadzie nic nie zjadła. Syn powtarzał „am, am” z taką rozpaczą, jakbyśmy go głodzili od dawna. Ale nie ze mną te numery. Oj nie! Zatelefonowałam do Mamy, która na głośnomówiącym wymieniła wszystko, co moi u niej pochłonęli. Po tej rozmowie Córka kiwnęła głową, że rzeczywiście tak było, po czym poszła przebrać się w piżamę. Syn, zostawszy sam na placu boju, również okrzepł i szybko zniknął gdzieś w swoich sprawach.

### ***17 maja / 16 ijar, wtorek***

Na niedzielę najmłodsze dzieci zaproszone są na urodziny koleżanek z przedszkola. Skoczyłam do mojego ulubionego sklepu, w którym można znaleźć mnóstwo potrzebnych, ale też sporo niepotrzebnych rzeczy. Chciałam znaleźć jakąś fajną zabawkę dla obu dziewczynek. Wchodziłam z nadzieją, że poza prezentami nic nie wpadnie mi w oko i nie będzie niczego, co nagle uznam za absolutnie konieczne do kupienia. Od razu do koszyka wsadziłam filiżankę. No bo naprawdę ładna. I tarkę. Bo miała plastikowy pojemnik. I dwie gry. Bo gier nigdy za wiele. I zabawkę pod prysznic. No i kilka prezentów dla solenizantek. Zanim znalazłam się przy kasie, odłożyłam tarkę. Wyglądała na wygodną. Ale mamy już dwa takie sprzęty. I jedna gra wróciła na miejsce. Dopiero jakieś kupiłam. Nie planowałam tego, ale online zaopatrywałam Środkową Córkę w lekturę. I zaraz obok książki pokazał się obrazek planszówki. A koło niej fotka jeszcze czegoś, co wydało mi się interesujące. I to wszystko przyszło wczoraj. Więc dzisiaj ograniczyłam się do jednej gry. Zabawka też została. Wielokrotnie byłam posiadaczką takowej. Naciskając guziki wypuszcza się powietrze, które unosi malutkie obręcze. Trzeba tak „dmuchać”, by wpadły na patyczek. Kto miał kiedyś taką rzecz w ręce, na pewno wie, o czym mówię. Kto nie miał, i tak sobie tego nie wyobrazi.

Chodząc między półkami, liczyłam w głowie pieniądze oraz rozmyślałam nad swoimi potrzebami, z których nie zdawałam sobie sprawy, póki nie przekroczyłam progu sklepu. Kiedy weszłam w strefę tęczową, rozmarzyłam się. Lubię połączenie niebieskiego z żółtym, żółtego z zielonym, zielonego z czerwonym i tak dalej. W zasadzie mogłabym mieć wszystko, co wisiało i leżało na półkach. Bidon, okulary, kapelusz, kocyk piknikowy, wachlarz, perukę, naklejane na twarz diamenty, serpentyny i oczywiście małą kolorową flagę na patyku. Och! Chętnie zostałabym chodzącą tęczą. Kącik „*Pride and joy*” (Duma i radość) z pewnością znalazł się w sklepie ze względu na zbliżający się marsz równości.

Marsz. Równości. Zadumałam się. W tym sklepie zawsze można znaleźć tego typu kąciki. W listopadzie pojawiają się kule śnieżne z choinką i reniferem, kolczyki w kształcie bombek i kalendarze adwentowe z czekoladkami. Miesiąc przed Wielkanocą można kupić sobie torebki w kształcie królika, zestaw do malowania pisanek i pluszowego zajączka. Kiedy zbliża się Halloween, każdy może nabyć spinę z pajakiem czy sztuczną krew i przebranie dyni. Czemu? Bo większość ludzi, przynajmniej w Europie, gdzie są filie tego sklepu, obchodzi te święta i w jakiś sposób razem z innymi bierze w nich udział. Ponieważ marsze równości są dla wielu osób ważnym wydarzeniem, nic dziwnego, że sklep oferuje mały głośnik, gwizdek na tęczowej smyczy czy kolorowe klapki. Więc w zasadzie wszyscy powinni być zadowoleni, bo każdy znajdzie coś dla siebie. I dzieci, i dorośli, i wierzący katolicy, i miłośnicy imprez kostiumowych, i osoby nieheteronormatywne.

Tylko mało prawdopodobne, że za czapkę mikołaja, za koszyczek z barankiem czy za zęby wampira ci się dostanie. Za tęczową flagę mogą spotkać cię wyzwiska. Klasyczne „ciota, pedał, lesba, pojeb, świr”. Ewentualnie „precz od moich dzieci”, „stop pedofilii”. Kolorowe balony są w sklepie ze względu na marsz równości, który istnieje, bo ludzie nie są traktowani równo.

Poczułam ucisk w sercu. I łza zakręciła mi się w oku. Serwetki z napisem *Love is love?* Miłość to miłość... Naprawdę? Naprawdę nadal trzeba tłumaczyć, że jak dziewczyna kocha dziewczynę, to świat się nie wali. Nawet przeciętnej polskiej rodzinie od ich szczęścia nic nie ubywa. A jak chłopak zakłada sukienkę, to na serio nikomu nie dzieje się krzywda. A jeżeli Kasia zostaje Tomkiem, to sprawa tylko tej osoby.

Automatycznie wyciągnęłam rękę po dużą kolorową flagę. A potem się zawahałam. Jesteśmy religijnymi Żydami. Nie mogę udawać, że w Torze – Pięcioksięgu Mojżeszowym – nie ma pewnego dosyć istotnego fragmentu, który mówi, że mężczyzna obcujać z innym mężczyzną tak, jak się obcuje z kobietą, jest obrzydliwością. Tradycyjny judaizm postrzega homoseksualne stosunki płciowe mężczyzn – choć nie homoseksualność samą w sobie – jako sprzeczne z prawem żydowskim. Ta opinia jest nadal podtrzymywana przez judaizm ortodoksyjny. Judaizm reformowany nie podziela tego poglądu i dopuszcza zarówno stosunki homoseksualne, jak i małżeństwa osób tej samej płci. W Stanach Zjednoczonych w roku 1978 pierwszy otwarcie gejowski mężczyzna został rabinem.

Gdybym była reformowaną Żydówką, wykupiłabym wszystko z tęczowej części sklepu, ani przez chwilę się nad tym nie zastanawiając. Ale jednak bliżej mi do ortodoksji. Dlatego zanim wsadziłam flagę do koszyka, zastanowiłam się. Minęło dwadzieścia sekund i już wiedziałam, że ją kupię. I – co też bardzo dla mnie ważne – mój Mąż się ucieszy. Choć wiem, że będzie miał te same co ja rozkminki.

Żyjemy według praw Tory. Prawo Tory zabrania seksu dwóch mężczyzn. Kolorowa flaga LGBT+ jasno mówi, że bycie osobą nieheteronormatywną, w tym bycie panem, który uprawia miłość z innym panem, jest okej. A my chcemy powiesić symbol mówiący: „Okej jest coś, co według Tory jest nie okej”. Nie. Zupełnie nie tak. Dla mnie te wszystkie przedmioty czy ruchy społeczne, które można utożsamiać z LGBT+, mają propagować wzajemny szacunek. Tęczowa flaga na balkonie ortodoksów ma głosić przykazanie: „Szanuj bliźniego swego jak siebie samego”. Czyli mniej więcej: „Niezależnie od tego, kim jesteś, ja nie będę dla ciebie zagrożeniem”.

Będę manifestowała swoją niechęć do tego aktu agresji tak długo, jak długo ktoś koło mnie będzie wyzywany i nienawidzony. Gdyby obrywało się zjadaczom świni, jeżdżącym samochodem w szabat czy nieposzcząnym w Jom Kippur, tak samo stanęłabym po ich stronie. Bo to sprawa każdego z nas, jak żyjemy, czy zgodnie z Koranem, Torą, Biblią, a może wedle poleceń z poradnika działkowca, poradnika pozytywnego myślenia, poradnika dla rodziców bliźniaków, poradnika dla początkujących biznesmenów

czy przewodnika po weganizmie albo bez żadnych „rób tak” / „nie rób tak”.

Więc zawiśnie u nas kolorowa flaga. Choć nie wiem kiedy, bo głupio teraz ściągać tę ukraińską.

Zadowolona z zakupowych wyborów poszłam do kasy. A tam zrzędała mi mina, bo zapłaciłam znacznie więcej, niż chciałam.

Kiedy spotkaliśmy się z Mężem po południu, był wzburzony i wściekły. Jadąc samochodem, minął czarną ciężarówkę z napisami „Stop pedofilii” i przekreśloną tęcza flagą. Obok widniały kretyńskie, bo nie da się tego nazwać inaczej, hasła. Mówił, że z megafonu słychać było jakieś bzdury na temat „ideologii” LGBT+. Pokiwałam tylko głową i go pogłaskałam. Kiedy się wygadał i wyzłościł, powiedziałam, że zabawnie się składa, bo właśnie dzisiaj myślałam na ten temat dużo. I kupiłam kolorową flagę. Uśmiechnął się ponuro i powiedział: „Wieszamy”.

**18 maja / 17 ijar, środa**

Jeżeli istnieje piekło, choć w nie zupełnie nie wierzę, i jeżeli do niego trafię, w co szczerze wątpię, to moim zadaniem będzie wieczne przygotowywanie obiadówek. Codziennie wieczorem od niedzieli do czwartku pakuję pięciorgu dzieciom obiad do plastikowych pojemników, podgrzewaczy i termosów. I robię kanapki, które wsadzam w papierowe torebki. I wymyślam jakąś przekąskę dla dwojga młodszych. Ja wiem. Niby co to za sztuka. Opróżnianie opakowań z niedojedzonych resztek i mycie ich to zadanie, które wykonuję mechanicznie. Czasem pomaga mi w tym zmywarka, czasem ktoś z dzieci. Schody zaczynają się podczas pakowania. Tutaj wymagana jest stuprocentowa koncentracja. Dzieci nie są wybredne żywieniowo. Każde jednak ma coś, czego nie lubi, a ja staram się o tym pamiętać. Jedna Córka nie jada ryb, druga nie znosi żółtego sera i tak dalej. Do tego inne jest zapotrzebowanie dwulatka, a inne nastolatków. I jeszcze Starszaki często wracają do domu o innych porach, co również ma znaczenie przy ustalaniu ilości prowiantu.

Więc wieczorami sterczę nad jedzeniem i pojemnikami, obmyślając strategię pakowania i zastanawiając się, czy Napoleon też miał tak trudno, kiedy zarządzał wojskami. Każdorazowo, kiedy wreszcie uda mi się ułożyć elementy układanki, a na stole łąduje pięć kupek dodatkowo opisanych, aby nikt się nie pomylił i nie zabrał tego, co było dedykowane rodzeństwu, mam wrażenie, jakbym zdobyła Mount Everest.

Czasem w tych działaniach zastępuje mnie Mąż. On jednak za każdym razem chce dzieciom specjalnie dogodzić. Mnie zależy, żeby nie były głodne. Bułka z masłem, może z serkiem. Makaron z oliwą, ewentualnie z gotowym sosem. Pokrojony, ale już niekoniecznie obrany ogórek. Jabłko w całości. On do kanapki dodaje a to sałatkę, a to łososia wędzonego, ciutkę majonezu albo innego sosiku, oliweczkę lub kaparka. Do makaronu koniecznie sos domowej roboty, nad którym stoi pół godziny, dosmaczając. Smażona cebulka i czosnek, duszona cukinia. Żeby był pożywniejszy, pestki słonecznika, troszkę tuńczyka lub kukurydzy. Na podwieczorek ręcznie robione bułeczki nadziewane żółtym serem, dla Najstarszego z dodatkiem ostrej papryki, dla młodszych bez niej.

Efekt jest taki, że dzieci są wniebowzięte, ale Małżonek półprzytomny i niechętny do powtórzenia akcji przez kilka kolejnych dni.

**19 maja / 18 ijar, czwartek**

Byliśmy na obchodach Lag ba-Omer. To półświęto, które obchodzi się na pamiątkę buntu Bar Kochby przeciwko Rzymianom, wszczętego dwa tysiące lat temu, rocznicy śmierci kilku bardzo ważnych dla judaizmu rabinów, którzy żyli w tych czasach, oraz tego, że w tym dniu ustała zaraza kosztująca życie 24 tysiące studentów Tory.

Na imprezie spotkał nas coroczny klasyk w postaci ogniska, grillowania, głośnej muzyki, strzelania z łuku i lekkiego napitku – było wszystko, co się w żydowskich społecznościach dzieje z okazji Lag ba-Omer. Były też bańki mydlane, dobre jedzenie, krakowscy Żydzi i kilku przyjezdnych

chasydów. Kiedy ja wchodziłam do ogródka dawnej synagogi, w której dzisiaj znajduje się księgarnia, izraelska para zagadnęła mnie o życie w Krakowie. Oczywiście zapytali, ilu jest w Polsce Żydów. A ja jak zawsze przy tym pytaniu odpowiedziałam swoim pytaniem, czyli kim według nich jest Żyd. Zapadła niezręczna cisza. Scena jak z marnego skeczu. Żyd pyta Żyda, kim jest Żyd. Choć może bardziej się nadaje na filozoficzną dysputę. Tak czy siak, ponieważ nie ustaliliśmy wspólnej definicji, nie podałam im żadnej liczby. Prawda jest też taka, że żadnej liczbie nie wierzę i każda może nie mieć nic wspólnego z prawdą. No bo jak to żydostwo w ludziach jest mierzone?

*20 maja / 19 ijar, piątek*

Wczoraj wieczorem, zanim zasnęłam, uznałam, że jednak: a) jestem socjolożką, więc jakieś statystyki powinnam znać; b) jestem Żydówką, więc powinnam znać jakieś statystyki na temat Żydów; c) to naprawdę ciekawe, ilu jest Żydów na świecie.

Sprawdziłam w pierwszym lepszym źródle, któremu i tak nie ufam. Ale co innego powiedzieć „nie mam pojęcia”, a co innego: „X, ale to nieprawdziwa liczba”. Choć z drugiej strony może właśnie uczciwiej jest trzymać się wersji, że serio nie da się policzyć Żydów, bo nie ma jednej definicji Żyda.

Ale jak już postanowiłam, tak zrobiłam. Bardzo ciekawe. Jest nas piętnaście milionów. Na całym świecie. Czyli 0,2 procent całej populacji. Nie znam się na liczbach, ale wiem, że to jednak niedużo. Z ciekawości zaczęłam sprawdzać inne liczby. Nie żebym te traktowała jako w stu procentach oddające rzeczywistość. Ale tak tylko dla orientacji, co mówi internet takim jak ja, którzy chcą sprawdzić ludzką populację. 1,9 miliarda muzułmanów (23 procent), ale już 436,08 miliona Arabów, 2,38 miliarda chrześcijan (31,5 procent), 1,2 miliarda hindusów (15 procent).

Jestem bardzo sceptycznie nastawiona do tych liczb, bo trudno oblicza się przynależność narodową, etniczną, religijną i wszystko, co jest związane z tożsamością. Ale i tak czegoś nie rozumiem. Skoro Żydzi stanowią 0,2 procent ludzkości, to skąd pomysł, że „rządzą światem”??? O, ja ignorantka. Tyle się nasłuchałam, że Żydzi są wszędzie, że sama uwierzyłam w naszą nadprzyrodzoną moc przemieszczania się z prędkością światła, szybkiego rozmnażania i bałamucenia każdego, kto nie jest po naszej stronie. Ale przecież ja wiem, jacy są Żydzi. Przez tysiące lat trzymali się siebie, ograniczali do swoich grup, obowiązywały ich i nadal obowiązują prawa regulujące kontakty z nie-Żydami. We współczesnym świecie zupełnie nie mają potrzeby nawracania innych na judaizm. Wręcz odradzają chętnym konwersję i trzeba się bardzo postarać, by jej dokonać i po dłuższym czasie zostać uznanym za Żyda.

Więc dlaczego nie mówi się, że to chrześcijanie rządzą światem? Przecież papież ma moc daleko wykraczającą poza swoją religię. Księża w świeckich państwach mówią, co mają robić ich obywatele. I to my, Żydzi, rządymy światem? Te 0,2 procent? To jakby powiedzieć, że żuk jest królem zwierząt.

*21 maja / 20 ijar, sobota*

Wczoraj podczas kolacji dzieci opowiadały o ciężarówkach anty-LGBT+, które widziały w drodze ze szkoły. Wszyscy razem uznaliśmy, że są posępne, nieatrakcyjne i całkowicie odrzucające. Gdyby homoseksualność była czymś, co można nabyć, to każde dziecko na przekór smętnym nawoływaniom z megafonów zostałoby osobą homoseksualną. Trochę nas to rozbawiło i pośmialiśmy się chwilkę. Ale prawda jest taka, że te bzdury, które można usłyszeć czy przeczytać na czarnych busach, wcale nie są śmieszne.

**22 maja / 21 ijar, niedziela**

Cudowne popołudnie z młodszymi dziećmi. Byliśmy na urodzinach dziewczynek z przedszkola i żłobka Najmłodszej Córki i Młodszego Syna. Nie znałam tego miejsca wcześniej, chociaż mieszkamy bardzo blisko. To spory teren, a na nim imitacja różnych budowli z całego świata. Między innymi igloo, chatka na palach z hamakiem w środku, kolorowe tipi, okrągła jurta. Kiedy myśmy gawędzili z innymi rodzicami, dzieciaki biegały jak szalone. Na koniec ich impreza przeniosła się do stojącego hipisowskiego busa, dzięki czemu łatwiej było mieć ich na oku.

Dotlenieni, wybiegani, szczęśliwi. Kiedy byłam początkującą matką, byłam przekonana, że po takich imprezach dzieci powinny wrócić do domu zadowolone, uśmiechnięte i zmęczone zaraz paść do łóżka. Żłudne marzenia. Po latach doświadczenia wiem dobrze, że im lepiej dziecko się bawiło, tym większe prawdopodobieństwo, że w domu będzie awantura, opór przed umyciem rąk i dziki głód, chociaż jadło przez ostatnie trzy godziny. Tym razem obyło się bez dramatu.

Lepiej być przygotowanym na najgorsze i pozytywnie dać się zaskoczyć, niż liczyć na gładki rozwój sytuacji i cierpieć z zawodu, że jest inaczej, niż się sobie wymarzyło. Taka moja dewiza życiowa. I nie ma ona nic wspólnego z pesymizmem. Po prostu lubię być psychicznie przygotowana.

**23 maja / 22 ijar, poniedziałek**

Nasz dwulatek uczy się mówić w błyskawicznym tempie. Poznaje kolejne słowa, takie jak *dziula* (dziura) – najważniejsza rzecz w życiu małego chłopca, *buch* (brzuch) i *buza* (bluza). No i *szeloł*. Połączenie *szalom* i *heloloł*, którymi go najczęściej witamy.

**24 maja / 23 ijar, wtorek**

Wczoraj zatelefonowała do mnie Mama, żeby przypomnieć, że dzisiaj moja Babcia ma imieniny. O urodzinach najczęściej pamiętam. Mylą mi się kwiecień z majem i listopad z październikiem. Nie bardzo wiem, który jest najpierw. Ale z kalendarzem mam się całkiem dobrze. Kiedy zamknę oczy, widzę daty i godziny wykładów, spotkań, zajęć dzieci, umówione wizyty do lekarza, urodziny licznych członków rodziny oraz wszystko inne, co się pojawia w wielodzietnej bandzie. Ale imieniny to zupełnie nieżydowski zwyczaj i niczyich od lat nie obchodzi. Dlatego dobrze, że Mama przypomniała. Od razu przekazałam Mężowi, by kiedy pojedzie po mleko, które się skończyło, choć jeszcze kilka dni temu było pięć kartonów, kupił też jakieś czekoladki.

Kupił. I zjadł połowę. Więc powinnam pamiętać, żeby mu przypomnieć, by odkupił.

**25 maja / 24 ijar, środa**

Dzisiaj dzieciom w przedszkolu, w którym prowadzę zajęcia raz w tygodniu, opowiadałam o Golemie. Początkowo mylił mi się z Gollumem. Ale moja Najmłodsza Córka, która chodzi do owego przedszkola, poprawiła mnie kilka razy, że Gollum jest z *Władcy Pierścieni*, a ja mam mówić o Golemie, o którym z moich ust słyszała nie raz. Po trzech potknięciach i trzech poprawieniach wyszłam na prostą i opowieść szła płynnie. Przyznam, że nie wiem, jaki morał płynie z tej historii. Może żaden nie musi płynąć. Ot, legenda jak każda inna, jak ta o Smoku Wawelskim czy bazyliisku. Jest kilka wersji co do tego, kiedy i gdzie dokładnie akcja się dzieje. Może to było w XVI, a może w XVII wieku. Może w Poznaniu lub Chełmie, a może w Pradze. Każde z tych miast uzurpuje sobie prawo do roli scenerii tej opowieści. W każdym razie dawno, dawno temu tu lub tam w żydowskiej społeczności jakiś rabin ulepił

z gliny wielką istotę. Miała ona pomagać Żydom w mieście i chronić ich przed złem. Postawna postać miała i ręce, i nogi, i głowę. Żeby ją ożywić, mężczyzna, który ją stworzył, wsadził jej do ust, a może napisał na czole słowo *emet* (אמת), co po hebrajsku znaczy tyle co ‘prawda’. Druga wersja legendy utrzymuje, że było to *adam* (אדם), czyli ‘człowiek’. Dzięki kabalistycznym obliczeniom, rachunkom czy innej wielkiej magii stwór zyskał życie. Tak jak zaplanowano – pomagał lokalnym Żydom. Służył w synagodze, był przydatny przy większych sprawunkach. Ponieważ nie był żywą istotą, nie męczył się ani nie potrzebował jedzenia. Idealny robotnik. Niestety pozbawiony był również rozumu. Robił dziwne rzeczy, bo nie rozumiał polecenia lub rozumiał je zbyt dosłownie. Niektóre jego wybryki przynosiły szkody mniejsze lub większe. Inne były niebezpieczne dla mieszkańców. Dodatkowo zaczął – nie wiedzieć czemu – rosnąć. Coraz większy stanowił jeszcze większe zagrożenie. Wtedy ten, który go stworzył, zdecydował unicestwić swoje dzieło. Zmazał pierwszą literkę słowa, czyli w obu wersjach *alef* (א). Ze słowa *emet* powstało *met* (מת), czyli ‘śmierć’. Z *adama* w innej wersji zrobiło się *dam* (דם), czyli ‘krew’. Golem padł na ziemię w bezruchu i to był jego koniec.

Taka historia. Dzieciakom najbardziej się w niej podobało, jak pokazywałam bezmyślnego Golema. Udawałam, że któreś z dzieci prosi go o przyniesienie chusteczki do nosa. A on, nie rozumiejąc, że chodzi o jedną, sięga po kolejne i kolejne. Zatrzymałam się na trzech wyciągniętych z kartonowego pudełka chustkach. Ale to wystarczyło, by wszyscy parsknęli śmiechem. Najbardziej jeden trzylatek, który potem rechotał przez większość zajęć.

**26 maja / 25 ijar, czwartek**

Właśnie zbił się piąty kieliszek z sześciu, które dostał Mąż na Chanukę. *Mazel*, kurna, *tow*.

**27 maja / 26 ijar, piątek**

Dawno nie było u nas czulentu, więc zrobiliśmy dzisiaj na kolację szabatową. Nie mam pojęcia, jaki wyjdzie, bo nie bardzo się ze sobą konsultując, dorzucaliśmy na zmianę to, co każde z nas uważało za stosowne. A to Mąż dosypał przypraw, a to ja dodałam czosnku. Ale ważne, że dobrze się przy tym bawiliśmy.

**29 maja / 28 ijar, niedziela**

Ale emocje! Naprawdę jestem stonowaną, spokojną matką. Pępowina między mną a dziećmi wcale nie jest krótka. A mimo to dzisiaj piszczalam z ekscytacji, bo moje dzieci tańczyły capoeirę. Wreszcie się nauczyłam, że w tym sporcie się nie walczy, nie gra, lecz tańczy. Cała trójka Starszaków ćwiczy od dwóch lat, odkąd przeprowadziliśmy się do Krakowa, a oni chodzą do nowej szkoły. Syn w Izraelu zaczął trenować judo, kontynuował naukę w Łodzi, ale w nowym miejscu nie było na nie jakos przestrzeni. Najstarsza Córka chodzi jeszcze na łyżwy na lodowisko, na którym i ja się kilka lat ślizgałam.

W *batizado* udział brała Środkowa Córka, która zdawała po raz pierwszy, a więc na sznur biało-czerwony. Dwoje starszych tę ceremonię ma za sobą i zdawało już na *cordão* – bo tak się fachowo nazywa sznur – biało-brązowy.

Kiedy tak trwała *roda*, a oni w kręgu tańczyli ze swoimi *mestre*, machając nogami tak wysoko, jak ja bym w życiu nie sięgnęła, skakałam z radości jak mała dziewczynka na widok potrójnej gałki lodów. Kiedy wyczytywano imiona, nazwiska i ksywki moich dzieci, krzyczałam „juhu”, cichnąc dopiero wtedy, kiedy patrzyli na mnie spode łba. Kiedy obwiązywano ich biodra, robiłam fotki jedna za drugą, chociaż na żadnej nie było nic widać ze względu na spory tłum.



*30 maja / 29 ijar, poniedziałek*

Wczoraj rozpoczął się w Krakowie coroczny festiwal filmowy. Wybrałam się na seans pięciu krótkometrażówek. Siedziałam w sali kinowej i miałam wrażenie, jakby zatrzymał się czas. Piętnaście lat temu robiłam dokładnie to samo. Tak jak i rok wcześniej, i rok później. Te lata zlewają mi się w jedno siedzenie w ciemnej sali, czekanie na seans, a potem śmiech, wzruszenie, zadumę, uwagi wymienione z kimś, z kim akurat do kina poszłam, lub moje wewnętrzne rozmyślenia, bo najczęściej chodziłam sama. Było jednak mniej ludzi niż „za moich czasów”. Może dlatego, że kiedy byłam na studiach, telefony z internetem nie były popularne? Wszelkie życie w sieci działało się podczas siedzenia w domu przy komputerze. Nie było Instagrama ani TikToka, a śmieszne filmiki oglądało się na YouTube. Netflix i HBO nie istniały. Filmy można było zobaczyć w kinie, telewizji lub na kasecie wideo, potem na DVD. To wszystko sprawiało chyba, że prędzej się szło do kina. Nie wiem. Tak tylko myślę na głos.

Ważne, że poziom filmów jest nadal wysoki, a przyjemność z ich oglądania nie mniejsza.

*31 maja / 1 siwan, wtorek*

Ufff! Znowu to samo. Zrobiłam na Instagramie relację o mitach i faktach na temat Żydów. Wykorzystałam to, co wysyłali mi kilka miesięcy temu moi obserwujący. Odpowiedziałam, czy cipka Żydówek jest w poprzek (nie, nie jest). Czy Żydzi używają krwi chrześcijańskich dzieci do czegokolwiek (nie, ani do jedzenia, ani do leczenia się, ani do niczego innego). Czy Żydzi są chowani na siedząco, żeby być bliżej Boga, gdy już zmartwychwstaną (nie, nie są, nawet jeżeli tak powiedział przewodnik czy pani od historii). Czy żydowskie pary uprawiają seks przez prześcieradło z dziurką (nie, jak już wspomniałam, to również mit). I tak dalej. Były też poważne pytania o to, czemu ortodoksyjne grupy tak skandalicznie zachowują się na lotniskach i w samolotach oraz dlaczego izraelskie wycieczki tak często bałaganią, a nawet dewastują hotele. Na pierwsze pytanie nie mam odpowiedzi. Wstyd, że się tak zachowują. Nic więcej nie mam do dodania. Z hotelami pokusiłabym się o pewne wyjaśnienie. Żadne usprawiedliwienie, bo wandalizmu nic nie usprawiedliwia. Ale taka myśl. Wydaje mi się, że dla tych siedemnastolatków taki samodzielny wyjazd z domu, często po raz pierwszy, to wielkie przeżycie. Zwłaszcza że jadą do państwa, skąd pochodzą ich przodkowie, którzy musieli z Polski uciekać, w Polsce wycierpieli, potracili domy, rodziny. Prawdopodobnie przekazywali swoją traumę w opowieściach. Dla mnie wizyta w KL Auschwitz była bardzo ciężkim przeżyciem. A nikt z moich bliskich nie był ani w obozie, ani w getcie. Nie wyobrażam sobie, co czuje siedemnastoletni chłopak czy siedemnastoletnia dziewczyna, którzy na walizce widzą nazwisko swoich dziadków czy pradziadków i mają świadomość, że właśnie w tym miejscu ich przodkowie zostali brutalnie zabici.

No więc nagrałam taką relację. I drugą dosyć podobną z odpowiedzią na pytanie, czemu Żydzi winią Polskę za Holokaust. Powiedziałam, że to nie brak wiedzy i świadome obarczanie Polski winą za to, co się działo z Żydami podczas II wojny światowej, idące w parze z całkowitym pominięciem zbrodni nazistowskich. Przecież wszyscy znamy historię i nie da się jej zakłamać. Wiemy, kto stał za „ostatecznym rozwiązaniem kwestii żydowskiej”.

To „obwinianie” nie jest prawdziwym obwinianiem. Ja sama nigdy się z nim nie spotkałam. To raczej głęboka trauma związana z tym, co Żydzi przeżyli na terenach Polski. Bo wszystko działo się tutaj. Tu był ich dom, ich ulubiony sklep, tu na podwórku bawiła się córka, tam za rogiem chodził syn do szkoły, od tej polskiej sąsiadki pożyczano się cukier, z tym polskim sąsiadem rozmawiało się o polityce. A potem to życie szlag trafił. Dom rozwaliła bomba, stragan żydowskiej przyjaciółki został zdemolowany, a ją ciągnięto za włosy przez pół ulicy, żeby ją ostatecznie wkopać na ciężarówkę, która odjechała nie wiadomo dokąd, tutaj córce jakiś mundurowy rozwalił główkę o ścianę, syna zastrzelił kto inny, męża zabrano i to był ostatni raz, kiedy para się widziała. Bardzo trudno po takich przeżyciach nie krzywić się na hasło „Polska” i nie mieć łez złości w oczach. Więc mówię o tym, żeby jakoś wyjaśnić

złożoność problemu.

Dostałam mnóstwo wiadomości z podziękowaniami za tę relację. Ale również takie: „Polaków też mordowano w czasie II wojny światowej”, „Oglądam twoje relacje z ciekawością. Ale dzisiaj zwróciłam uwagę, że mówisz o Holokauście w takim tonie, jakby to Polacy byli za niego odpowiedzialni”, „Widzę, że chciałabyś w stosunkach międzynarodowych dużo tolerancji. Tłumaczysz na podstawie historii różne zachowania. A ja mam pytanie: czemu wobec Palestyńczyków nie jesteście tolerancyjni?”. Ręce opadają. A gdzie czytanie ze zrozumieniem?

Zamknąć buzię. Posłuchać. Usłyszeć. Przyjąć do wiadomości. I nie powiedzieć nic. Moja Mama, kiedy ma mi coś ważnego do zakomunikowania i boi się, że ją zaczną zagadywać, mówi do mnie: „Zostań z tym”.

*1 czerwca / 2 siwan, środa*

Mąż, działając w naszym imieniu, kupił każdemu z okazji Dnia Dziecka owoc. Dla Starszego Syna arbuza, dla Najstarszej Córki mango, dla Środkowej borówki, dla Najmłodszej maliny, a dla Młodszego Syna kiwi. Idea była dobra. Nasza wiecznie głodna gromada lubi mieć coś tylko swojego. Niestety najbardziej cieszyli się ci, którzy mieli całą miseczkę dobrodziejstwa gotową do zjedzenia od razu. Reszta, choć objętościowo dostała tyle samo, marudziła, że trzeba obierać. Najstarsza szepnęła mi tylko do ucha, że choć mango było zawsze jej ulubionym owocem, o czym Mąż wiedział i stąd jego wybór, to od niedawna go już nie lubi. Ale żeby mu o tym nie mówić, bo mu będzie przykro. Uznałam, że to ładnie z jej strony, ale że lepiej jednak Męża oświecić, żeby do końca życia nie kupował Córce mango. Zgodziła się ze mną i pozwoliła mi załatwić sprawę. Więc to ja szepnęłam Mężowi, że mango jest już *passé*. Jakoś to przelknął.

Chciałam napisać, że prawdziwe prezenty też były. Ale czemu owoc ma nie być prawdziwy, a książka już tak? Jest jakaś aplikacja do sprawdzania prawdziwości prezentowej? Nie ma. Więc lepiej powiedzieć „prezenty bardziej materialne” lub „bardziej trwałe”. Były to książki od mojej Mamy. Dla każdego inna.

*2 czerwca / 3 siwan, czwartek*

Dostaliśmy znieścacka propozycję wyjazdu na kilka dni do Lublina. Tam z okazji Szawuot mam mieć wykład. Szawuotowe prelekcje co roku organizowane są w żydowskich społecznościach na całym świecie, również dla nie-Żydów. Najczęściej odbywają się wieczorami i w nocy. Poza spotkaniami zdarzają się również warsztaty, ale przede wszystkim ma to być wspólne studiowanie. Taka nocna nauka nazywa się *tikkun lejl Szawuot*. Ta kilkusetletnia tradycja jest symbolicznym, aktywnym czekaniem na nadanie Tory, którą właśnie w taki dzień otrzymał Mojżesz setki lat temu.

Do Lublina mielibyśmy jechać na trzy dni. Szabat plus Szawuot, które trwa dwa dni. Będziemy mieć zapewniony nocleg i wyżywienie. Dowiedziałam się już, że będą sernik i inne mleczne potrawy – czyli dokładnie to, co tradycyjnie je się z okazji nadchodzącego święta. Od razu się zgodziliśmy, bo oboje z Mężem od dawna czuliśmy, że czas gdzieś się ruszyć. Plus jedzenie podane do stołu. Luksus! Ale w jakiej konfiguracji rodzinnej pojedziemy – nie wiadomo, bo Starszaki w tym czasie chyba się wybiorą do Łodzi.

Czasem, kiedy chcemy coś uzgodnić, dochodzi do konfliktu interesów. Zawsze pojawiają się te same podstawowe pytania: kto i z kim? (na każdym etapie, bo konfiguracje osobowe mogą się zmieniać). O której i gdzie? (czasem godziny na siebie zachodzą, a punkty na mapie są od siebie odległe). Jak tam i jak z powrotem? (środek transportu jest ważnym elementem wyboru, często zależnym od stanu pogodowego, ewentualnych korków i osób, które trzeba przewieźć). No i co będziemy jeść? (choć jestem wielokrotną wieloródką, jak byłam zwana w szpitalu podczas piątego porodu, nadal nie ogarniam, że mam do czynienia z siedmioma osobami, które bardzo dużo jedzą i które w związku z tym jakoś trzeba

karmić).

Takie łamanie głowy pojawia się, kiedy w niedzielę mamy kilka różnych zajęć i warsztatów dostosowanych do konkretnego wieku, w tym niektóre prowadzone przez mnie. Kto z kim idzie, jak tam dojedzie oraz w którym momencie nastąpi ponowne spotkanie rodziny. Albo popołudnie w zimowy, mroźny dzień, kiedy ja mam wieczorny wykład, Mąż koniecznie musi coś załatwić, Najstarszą Córkę trzeba zawieźć na łyżwy, Starszego Syna na capoeirę, a Środkową Córkę odebrać z zajęć teatralnych, bo dzieciaki, jadąc same tramwajem czy na hulajnodze, zamarzną. Pojawia się spora zagwozdka logistyczna. Albo rozmowy o wyjazdach w dni wolne od szkoły, szabat czy święta. Trzeba sobie odpowiedzieć na dokładnie te same pytania. Albo wakacje i ewentualne obozy czy wypadki rodzinne. Niebawem pewnie dojdą eskapady ze znajomymi. Na razie dwoje starszych dzieci jest w tej samej paczce, więc tych kilka nielicznych wyjść zaplanowało wspólnie. To już redukuje liczbę ruchów.

Podczas takich narad ja próbuję przedstawić mój pomysł, który według mnie dla wszystkich będzie dobry. Oznacza to, że każdemu trzeba ten sam plan przekazać tak, aby wszyscy mieli poczucie, że jest idealnie dostosowany akurat do nich. Słowem: lekkie ubarwienie prawdy.

Mąż zawsze nalega, by cokolwiek robimy, jechać samochodem, bo to pewniejszy środek lokomocji niż pekaes, a do tego ułatwia przewożenie rozlicznych bagaży. Jest nawet gotów za kółkiem spędzić sporo czasu, niezależnie od pory dnia czy nocy. To prawdziwy mistrz wielogodzinnej jazdy po ciemku, bo zamarzył o tym, żeby pokazać dzieciom morze. Wybiera wyjazd z Krakowa o dziewiątej wieczór, tak by dzieci w drodze spały, by nikt nie męczył się upałami i by na miejsce dotrzeć najlepiej równo ze wschodem. Ewentualnie zerwać się o trzeciej w nocy i przenieść śpiącą Córkę do samochodu, żeby za parę godzin pojawiła się na porannych zdjęciach we Wrocławiu, gdzie gra nimfę wodną w jakimś polskim filmie.

Starszy Syn najczęściej próbuje się wyrwać tam, gdzie nie ma jego młodszych sióstr, i kiwa niechętnie głową, kiedy się okazuje, że jednak któraś z dziewczyn będzie mu towarzyszyć. Starsza Córka zazwyczaj wie dobrze, gdzie chce być. Choć jej decyzje czasem mnie dziwią. Jak ta, aby wrócić do Krakowa pociągiem o wpół do ósmej, po tym jak poszła spać o pierwszej, bo koniecznie chce być w szkole o jedenastej, ponieważ tego dnia o tej godzinie akurat nie ma lekcji. Ale już się nauczyłam, żeby w takich sytuacjach pomóc jej się w tym, co zdecydowała, najlepiej odnaleźć. Środkowa Córka lubi rzucić w trakcie jakiś bardzo absurdalny pomysł, na przykład że nie wróci do domu z rodzeństwem, tylko mój Mąż ją odbierze, kiedy będzie gotowa. Po prostu da mu znać, a on rzuci, cokolwiek robi, i zjawi się swoim wehikulem w pięć minut (dłużej to strasznie nudno czekać), nawet jeżeli akurat będzie w miejscu oddalonym od niej o kilka godzin jazdy. Najmłodsza Córka nie wymyśla dodatkowych nielogicznych rozwiązań, za to wybiera bycie i tu, i tu. A najlepiej jeszcze tam. W tym samym czasie. Najmłodszy jeszcze nie umie mówić.

Jak będzie z Łodzią i Lublinem, zobaczymy.

**3 czerwca / 4 siwan, piątek**

Podjęliśmy wszyscy wspólnie decyzję, że troje Starszaków jedzie do Łodzi, a młodszą dwójkę zabieramy do Lublina. Dodatkowo ustaliliśmy, że Mąż wyjedzie rano samochodem, bo lubi mieć zapas czasu. A ja pociągiem, żeby nie musieć się zrywać rano, zdążyć posprzątać mieszkanie i mieć czas na przygotowanie wykładów. Początkowo, zanim wiedzieliśmy o Lublinie, był pomysł, że w piątek Mąż podwiezie dzieci do połowy drogi między Krakowem a Łodzią, a stamtąd odbierze je mój były mąż. Tak robiliśmy kilka razy. Wtedy dla obu panów to około dwóch godzin w trasie w jedną stronę. Nie trzeba się spieszyć i wszyscy zdążają do swoich domów na szabat. Ale nie jesteśmy w stanie połączyć Krakowa z Łodzią, Częstochową między nimi i Lublinem. Więc dzieci też pojedą pociągiem. Mogłyby tym późniejszym, po szkole. Ale musiałyby zahaczyć o dom, żeby zostawić tornistry, a wziąć torby z rzeczami. Trzeba by im było zorganizować jedzenie na cały dzień. Ja bym tego nie mogła zrobić, bo wychodzę z domu w południe, żeby się z kimś spotkać i zdążyć na swój pociąg. Nie chciałabym zostawiać ich z tym samych. Gdyby gdzieś coś się obsunęło, pojawiłby się problem, a ja nie mogłabym

im pomóc. Więc zostaje nam pociąg poranny. Wysłałam wczoraj wieczorem e-mail do nauczycieli, że dzieci nie będą mogły napisać zapowiedzianych sprawdzianów ani w piątek, ani w poniedziałek, ani we wtorek. Kupiłam im bilety. Dwa obok siebie, jeden gdzie indziej, bo nie było miejsc. Zapytałam, czy pomóc z pakowaniem, co ich mocno zdziwiło, bo wszyscy od dawna pakują się sami. Nawet dziewięciolatki już nie przepytuję, czy wszystko ma. Zrobiłam kanapki na drogę i zapytałam Najstarszego, jak dostaną się na dworzec i czy sprawdzić mu rozkład tramwajów. Odpowiedział grzecznie, choć wyczułam w jego głosie lekkie zniecierpliwienie, że ma internet w telefonie i umie sam sprawdzić, kiedy odjeżdżają. Poza tym woli jechać taksówką, bo musi jeszcze podskoczyć pod szkołę, żeby oddać koleżance książkę, którą pożyczył. Widząc, że poza kupieniem biletów niczego nie potrzebują, poprosiłam tylko, by zajrzeli się pożegnać.

Okolo wpół do siódmej obudziło mnie tupanie jednej z Córek, która wstała, żeby wziąć prysznic i się spakować. Kiedy wyszłam z łóżka, by przypomnieć, że ich chodzenie bardzo się niesie, więc proszę, by byli ciszej, bo reszta domowników jeszcze śpi, cała trójka była na nogach. O ósmej zajrzeli do mnie cichutko, mówiąc, że idą i że życzą miłych świąt. Wyszłam na korytarz uściskać każdego i każdemu powiedzieć coś miłego. Pożartowaliśmy i wyszli. A ja nie wiedziałam, czy płakać ze szczęścia i wzruszenia, że są tacy duzi, czy ze smutku i nostalgii z tego samego powodu. Wyszłam na balkon popatrzeć na nich jeszcze chwilę. Zgodnie wsadzili do bagażnika bagaże i wsiedli do taksówki, którą sami sobie zamówili. I odjechali na przygodę. Mój Starszy Syn, który jeszcze nie skończył czternastu lat. Najstarsza Córka, która ma lat jedenaście. I Środkowa, dziewięciolatka. Z pociągu dostałam telefon, że już są w drodze, ale że kupiłam jeden bilet na dzień następny i że bym go oddała, bo szkoda pieniędzy. A że nowy kupili, więc wszystko na legalu.

Nie do końca wiem, czy na legalu, ponieważ przepisy prawne na temat wieku, w jakim dziecko może poruszać się samo pociągiem, są tak niejasne, że ich wiekowa konfiguracja równie dobrze może budzić zastrzeżenia stróżów prawa, jak i nie stanowić żadnego problemu.

*7 czerwca / 8 siwan, wtorek*

Razem z Mężem i dwojgiem młodszych dzieci wyjechaliśmy z Lublina w południe, w Krakowie byliśmy o czwartej. Starszaki wsiadły w Łodzi do pociągu o wpół do piątej, w Krakowie były o wpół do ósmej. Odebrał je z dworca Mąż. O ósmej wszyscy siedzieliśmy znowu przy naszym dużym, dębowym stole, który zajmuje całą kuchnię. Zdobył go Mąż za grosze. Więcej kosztowało przewożenie i wnoszenie niż to potężne, mocne cacko. Początkowo kręciłam nosem, że taki duży, że tyle miejsca zajmuje, że nie można w ciągu godziny bez uprzedniego przemyślenia kupić dębowego stołu. Teraz patrzę na zdobycz z dumą. Na Męża też. Że w godzinę potrafi zdobyć dębowy stół za grosze i nie boi się podejmować decyzji, ryzykując, że żona będzie zła.

Siedząc przy dębowym stole i jedząc przygotowane w pośpiechu spaghetti oraz przywieziony z Lublina sernik, każdy opowiadał, jak spędził te trzy dni. Starszy Syn mówił o tym, jak jednej nocy uczyli się do piątej nad ranem, a on w trakcie zdrzemnął się tylko na godzinę. Ja na to, że my padliśmy przed pierwszą. Mój wykład był o jedenastej wieczorem. O północy załapaliśmy się na zwiedzanie synagogi. Ale bałam się, że biegające dookoła dzieciaki przeszkadzają zgromadzonym, więc w połowie wyszłam, zabierając je do spania. Nie chciałam też sprawiać wrażenia, że żydowskie dzieci nie są zadbane i odpowiednio zaopiekowane. Bosy dwulatek i bosa pięciolatka po północy jawili się zgoła inaczej. Nieważne, że oboje spali po południu kilka godzin i stąd brała się ich energia. Wiadomo, jak to wygląda.

W kalendarzu żydowskim jest kilka dni, podczas których żydowskie maluchy nie śpią, choć ich nieżydowscy rówieśnicy smacznie sobie od dawna chrapią. Choć bycie obudzonym nie jest oczywiście żadnym obowiązkiem. A nawet gdyby takowy istniał, nie dotyczyłby małych dzieci, tak jak poszczenie w Jom Kippur czy Tisza be-Aw ich nie obowiązuje. Poza Szawuot zarywa się noc w Pesach i Purim. No i z okazji ślubów.

Jednym ze zwyczajów szawuotowych jest całonocne studiowanie. Ortodoksyjni Żydzi

poświęcają późne godziny na Torę. A społeczności mniej religijne w tym czasie organizują wykłady i spotkania, bardzo często zapraszając otwarte osoby spoza żydowskiej społeczności na wydarzenia. I co ciekawe, takie wydarzenia, podobnie jak noce muzeów, przyciągają mimo późnej pory sporo zainteresowanych.

Najstarsza Córka pokazywała rany na rękach i opowiadała o tym, jak zsunęła się z drzewa. A młodsza wyciągała stopę, żeby wskazać miejsce, gdzie miała kleszcza (choć go nie miała). Dzieci wymieniały się imionami towarzyszy wspólnie spędzanego podczas święta czasu. Głównie były to osoby z Ukrainy, które zasiliły żydowskie społeczności w Polsce. Starszaki w łódzkiej gminie już podczas poprzedniego pobytu w Łodzi nawiązały nowe znajomości. A i młodsze dzieci codziennie miały okazję bawić się z nowym ukraińskim kolegą.

Jeszcze wymieniliśmy się informacjami na temat tego, kto co jadł. U Starszaków były gotowane ziemniaki, mięsa, sałatki warzywne. U nas chłodnik, jajka z łososiem, serki z ogórkiem i sernik. Czyli kulinarnie Szawuot wyglądał dokładnie tak, jak powinien. Największą radość Najmłodszej Córce sprawiła pieczona ryba ze szparagami w sosie pod beszamelem z kaparami. Na jednym z talerzy szparag i kapar, czyli dwie rzeczy, które myślą jej się za każdym razem do tego stopnia, że nie wiem w końcu, czy ona kocha szparagi czy kapary.

**8 czerwca / 9 siwan, środa**

Ktoś mnie dzisiaj zapytał, co Żydzi myślą o filmie X. Osłupiałam. Skąd mogę wiedzieć, jakie każdy Żyd chodzący po tym świecie ma zdanie na temat hollywoodzkiej produkcji z 1999 roku?

Bardzo cenię sobie zadawanie pytań. Sama jestem gotowa na każde odpowiedzieć. Uważam, że tysiąc razy lepiej jest zapytać, niż stwierdzić, że samemu zna się odpowiedź. Dotyczy to poznawania innych religii, kultur czy poglądów. Ale też rodzinnych czy przyjacielskich rozmów. Zauważyłam, że kiedy gotowa jestem przyznać, że nie mam pojęcia, co czuje i co myśli druga osoba, łatwiej mi przyjąć jej perspektywę. Kiedy tylko się zafiksuję, że przecież znam swoje dziecko czy własnego Męża, więc wiem nie tylko, czego chcą, ale jeszcze co jest dla nich dobre, tracę dystans poznawczy i o wiele trudniej mi się z nimi komunikować. Tak samo kiedy obejrzę film – czy to fabularny, czy dokumentalny, o jakiejś grupie ludzi – nadal nie daję sobie prawa do poczucia, że oto posiadam wiedzę na ich temat. Nadal staram się pamiętać, że niezależnie od tego, co widziałam na ekranie, nie wiem nic. Chciałabym, aby również na mnie tak patrzono. Może ktoś widział jakiś serial o Żydach albo program przyrodniczy, w którym kobieta jeździ po świecie i trafia do ortodoksyjnej dzielnicy, albo przeczytał biografię, albo pracował dla Żydów, albo miał znajomego z rodziną w Izraelu. To wszystko ułamki rzeczywistości, które nijak się nie składają na moje życie. Zapewne są jakieś podobieństwa, gdzieś coś się z czymś łączy. Ale nadal nie ma w tych pojedynczych poznaniach odpowiedzi na pytanie, kim jestem ja. Ani kim jest grupa społeczna określana mianem „Żydów”.

Pytania wszelkiego rodzaju uważam za potrzebne. Tylko czasem mnie dziwią. Może gdyby zadać je inaczej? Tylko że nikt nie uczy nas ani pytać, ani szukać informacji, ani drążyć tematu, ani kwestionować tego, co widzimy lub słyszymy. Szkoła jest po to, żeby siedzieć prosto w ławce, zapisywać to, co mówi nauczyciel, potem wkuć to na pamięć, napisać sprawdzian, dostać ocenę i przejść do kolejnej partii materiału. Nie przerywać, nie dopytywać, nie prosić o rozwinięcie tematu. A już na pewno nie dyskutować. Upraszczam i uogólniam. Sama miałam szczęście chodzić do szkoły, która rozwijała uczniów. Nie poprzestawała na tym, żeby nas wiedzą tuczyć, jak – nie przymierzając – kaczkami. Celem nie było tylko wypuszczenie jak największej liczby absolwentów, którzy dostaną się do najlepszych liceów, dzięki czemu szkoła będzie się plasować wysoko w rankingach. I dyrekcji, i nauczycielom zależało, abyśmy w przyszłości byli ludźmi o otwartych umysłach, byśmy się nie zamykali na różnorodność informacji i nie bazowali tylko na tym, co ktoś nam podsunął pod nos. A jednak system bycia biernym odbiorcą jest mi dobrze znany. I spotykając się z najróżniejszymi ludźmi, widzę tego pokłosie. „Wiem, jak jest, bo widziałam w filmie” albo „Nie masz racji, bo pani przewodniczka mówiła inaczej” to klasyki. Zakładanie, że jest tylko jedna możliwość, męczy mnie koszmar. Przecież świat

jest tak różnorodny, a każdy z nas tak inny! Kiedy słyszę: „A bo czytałam, że... i chciałam to sprawdzić”, to otwieram szampana z radości, że ktoś szuka informacji w kilku źródłach. Ale najbardziej się cieszę, kiedy ktoś pyta mnie o mnie, mając świadomość, że ja to nie wszyscy Żydzi. A wszyscy Żydzi to nie ja. Rozumiem zupełnie, że ja nie jestem tak interesująca jak cały naród czy cała grupa religijna. Ja reprezentuję tylko siebie, nie wszystkich Żydów, nie wszystkich wyznawców judaizmu, nie wszystkich mieszkańców Izraela. I tak dalej.

Moje rozmyślenia nad „A co Żydzi ortodoksyjni myślą o reformowanych?” czy „A czy Żydówki chodzą na basen?” zgrały się z innego rodzaju pytaniami, które dostała wczoraj jedna instagramerka. Na niektóre żartobliwie odpowiadała, sugerując, że informacje łatwo znaleźć w internecie, na inne, że są zbyt intymne i czemu ktoś zagląda w jej prywatność. I to się nie spotkało ze zrozumieniem. Usłyszała kilkakrotnie, że „to tylko pytanie, nie musisz być taka chamska”.

No dobra. Są jednak, choć dziwię się, że to mówię, granice w tych pytaniach. Nie każde jest właściwe. Bo albo jest za ogólne, a odpowiedź mogłaby zająć opasłe tomy i nie sposób jej zmieścić w jednym zdaniu, czego najczęściej oczekuje pytający. Albo są podobne do tych, które dostaje codziennie, typu: „Wiesz, po ile są bilety do synagogi Tempel?”, „Gdzie są najlepsze kursy hebrajskiego?”, „Za ile można teraz polecieć do Izraela?”, „Polecisz jakąś knajpkę w Tel Awiwie?”, „Pradziadek miał na nazwisko Meizel, gdzie sprawdzić, czy był Żydem?”, „Są jakieś seriale o Żydach na HBO?”. Na nie odpowiedź jest na wyciągnięcie ręki. Rabin Google wie wszystko i nie trzeba fatygować kogoś tylko dlatego, że jest dostępny. Wystarczy samemu się trochę wysilić i poszukać informacji. Podobnie przy pytaniach, które również przychodzą do mnie regularnie: „A pokażesz, jak wiążesz chustkę?”, „A powiesz coś o koszerności?”, „A gdzie mieszkasz?”. Odpowiadałam na nie wielokrotnie i również wystarczy, że odbiorca wykona minimalny wysiłek, a wszystkiego się dowie.

Albo pytania są za intymne i przekraczają granice prywatności, zwłaszcza kiedy zadaje je osoba, której w życiu na oczy nie widziałam. „Jak poznałaś męża?” „Jakie masz relacje z byłym?” „Jak znosiłaś ciążę?” „Pokażesz się z koleżankami Żydówkami?” No kurczę. Moje życie, choć dzielę się jego częścią, nie jest własnością innych. Rozumiem, że ciekawi nas, co sąsiedzi jedzą na obiad, a najlepsza miejscówka to ta w oknie, żeby patrzeć, co też przechodnie niosą w torbach z zakupami. Ale potrzebę podglądactwa powinny zaspokoić telenowele.

A może naprawdę nie ma głupich pytań i są tylko głupie odpowiedzi?

Może jakaś rada żydowska wydała oświadczenie, że film X z 1999 roku jest krzywdzący, bo pokazuje obozy koncentracyjne w niewłaściwym świetle, do tego w żartobliwy sposób. Albo inaczej. Terapeuci leczący ofiary Holokaustu uznali, że traumy należy leczyć poprzez ich odczarowanie, a to najlepiej zrobić za pomocą śmiechu. Wprawdzie ani jedno, ani drugie nie jest prawdą. Ale gdyby było, to właśnie odpowiedź na zadane mi dzisiaj pytanie.

Wiem, ile kosztują koszerne lody na Kazimierzu, i nawet mogę wymienić dostępne smaki. Jadącym do Izraela mogę polecić sieciowy market, gdzie najlepiej robić duże zakupy. Mąż używa aplikacji na telefon, dzięki której codziennie uczy się hebrajskiego, arabskiego i rosyjskiego. Mam zamiar na dobrych genealogów. Staram się być na bieżąco z książkami, serialami i filmami o tematyce żydowskiej. To wszystko sprawia, że może jestem lepsza od rabina Google'a, bo jeżeli znam odpowiedź na jakieś pytanie, to będzie ona dla odbiorcy bardziej sprawdzona niż tysiące stron, przez które trzeba by się było przedrzeć w internecie.

A prywatność? Każdy mierzy ją inaczej. Ja nie mam problemu z pytaniem o to, czy chcę mieć więcej dzieci. Ale nie zadaję go innym, bo dla kogoś obok może to być cios prosto w serce. Nie opowiadam przy tym o byłych związkach, choć ktoś inny opowiada o eksach na lewo i prawo często o wiele chętniej po zakończeniu związku niż w trakcie jego trwania. Nie przysłoby mi do głowy publicznie mówić o dolegliwościach ciążowych czy ulewaniach i kupach noworodka. Ktoś inny poświęci temu cały swój profil i będzie mieć wiernych obserwatorów śledzących każdy dodatkowy kilogram najpierw ciężarnej, a potem dzidziunia.

Więc może rzeczywiście nie należy sugerować pytającym, że ich pytania są bez sensu. Może wystarczy odpowiadać: „Nie mogę mówić za wszystkich”, „Nie wiem” lub „Na to pytanie już

odpowiadałam tu i tu” czy „O tym nie będę rozmawiać”. Bo sarkazm jest tylko prowizoryczną obroną. Ci, którzy go rozumieją, uśmiechną się pod nosem. Cała reszta się urazi i jeszcze będzie mieć pretensje, przez co my zostaniemy nie tylko z nużącymi do bólu pytaniami, ale i z cudzym fochem na dokładkę.

*9 czerwca / 10 siwan, czwartek*

Ktoś polecał końcoworoczną wystawę prac studentów Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, więc wpadłam dzisiaj zobaczyć, co i jak. Po pierwsze, nie przypominam sobie, że bym była wcześniej w budynku Akademii. Nie wiem, jak to możliwe! Po drugie, nie wiedziałam, że mamy tylu uzdolnionych malarzy. Prace powieszzone w salach uczelni zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Przyzwyczajona jestem do muzeów, których głównym celem jest prezentowanie sztuki. Ale tutaj uwiodła mnie kompozycja wpleciona w sale wykładowe, ze studentami tu i tam. Po trzecie, zachwyciło mnie, że obrazy i rzeźby oglądała szkolna wycieczka. Mieli swojego przewodnika, który opowiadając o tym, co widzą, nie ominął niczego. Przeszedł z na oko ośmio-, najwyżej dziesięciolatkami również obok aktów i pokazał im je z takim samym zapałem jak postaci ubrane. Nagie piersi, brzuchy, penisy nie zostały w żaden sposób ocenzone.

*10 czerwca / 11 siwan, piątek*

Dostałam na TikToku pytanie tej treści: „Masz ładne rysy twarzy, czy jest możliwość zobaczyć Cię bez nakrycia głowy?”. Odpowiedziałam filmikiem, na którym z wielkim, szczerym uśmiechem robiąc dokładną kalkę, mówię: „Masz ładną brodę, czy jest możliwość zobaczyć Cię bez majtek?”. Tak samo kulturalnie, tak samo grzecznie, również z komplementem. Posypały się brawa za ciętą ripostę. Ale jednak dla wielu mój komentarz był nie do przyjęcia. „Nie rozumiem, skąd tyle jadu”, „Wyczuwam obsesję »wszyscy mnie atakują«”, „Lubię cię oglądać, ale tym razem głupia odpowiedź”, „Pan powiedział komplement, a ty taka agresywna”. „Pytanie było grzeczne i całkiem normalne, odpowiedź słaba”, „O, przeczulenie religijne”. I komentarze, że jest różnica między chustką na głowie a majtkami na pupie i wystarczyło odpowiedzieć, a nie mieszać pytającego z błotem.

Po pierwsze, jakie to ma znaczenie, czy ktoś mi powiedział coś miłego i docenił moją urodę? Mam rozumieć, że komplement automatycznie otwiera drzwi każdej uwadze i każdej prośbie? Absolutnie nie. Za to częstokroć staje się zasłoną i przykrywką przekraczania czyichś barier.

Po drugie, może i jest różnica między chustką a majtkami, ale skąd pomysł, by kogokolwiek prosić o ściągnięcie jakiegokolwiek części garderoby? Kiedy uznaliśmy, że mamy prawo do ciała drugiej osoby? Dlaczego ciągle komentujemy czyjeś ubranie, czyjs wygląd, czyjaś tuszę? I zachęcamy do zakrycia się tu, a odkrycia tam. Przecież ludzie to nie manekiny, a my nie jesteśmy ich posiadaczami.

Po trzecie, zauważyłam, że stawianie granic często odbierane jest jako agresja. Kiedy prosimy, by ktoś się do nas nie zwracał w taki, a nie inny sposób, słyszymy, że przesadzamy. Nasza stanowczość jest odbierana jako przewrażliwienie. Od jednej, tej samej osoby słyszę, że to było zwykłe pytanie, ale że ja pytającego potraktowałam wyjątkowo źle. Nie widzę w tym rozumowaniu sensu.

Po czwarte, na pytanie o nakrycie głowy odpowiadałam wielokrotnie. Są zapisane na ten temat filmiki. Nawet pokazuję kosmyk włosów specjalnie dla tych, którzy bardzo chcą wiedzieć, jak wyglądają. Wystarczy się trochę pofatygować, a wszystko staje się jasne.

*11 czerwca / 12 siwan, sobota*

Miły, spokojny szabat. To, co zawsze. Trochę czytania. Trochę grania z dziećmi. Trochę rozmów z Mężem.

Tym razem było też dużo biegania między mieszkaniami mojej Babci a naszym, które znajduje się zaraz obok. U Babci była Mama, która pomagała jej przygotować kolację dla znajomych. Dzieci

wpadły dotrzymać towarzystwa obu paniom i wesprzeć je w działaniach. Ale chyba skończyło się na tym, że wyjadły wszystkie ziemniaki i cały deser w postaci truskawek.

### ***12 czerwca / 13 siwan, niedziela***

Warsztaty z robienia kip! Moje marzenie! Pamiętam jak dziś mój zachwyt nad każdą dziewczyną, która zręcznie robiła na szydełku jarmułkę. Podczas wykładów w mojej szkole w Jerozolimie paluszkami przebierały w kolorowej włóczce. Po półtorej godziny porządnie chowały wszystko do piórników, wychodziły na przerwę i po powrocie dalej działały. Nie wiem, co potem robiły z kipami. Może dawały braciom czy kolegom, może sprzedawały. W każdym razie podziwiałam je szczerze, zastanawiając się, czy i ja kiedyś dosiędę włóczki. Minęło sporo czasu, aż tu nagle nadarzyła się okazja. Prawda jest taka, że nie szłam z nadzieją, że oto właśnie zrobię pierwszą w życiu myckę, którą dumnie podaruję któremuś z synów. A może Mężowi, wraz z pasującym również własnoręcznie zrobionym szalikiem. Byłby to szpan pierwsza klasa. Ale wiedziałam, że dzisiaj się to nie wydarzy. I nie dlatego, że brak mi wiary w siebie czy samozaparcia. Moje ręce są całkiem zwinne i kiedy chcę, to potrafię nimi zrobić coś fajnego. Dwa tygodnie temu na szawuotowych warsztatach uplotłam piękny bukiet z suszonych kwiatów. I jeszcze obkleiłam fantazyjnie doniczkę. Nadal mam całkiem ładnie pomalowane naczynie gliniane do *netilat jadajim*. Ponieważ jest pęknięte, nie używam go już do mycia rąk ani rano, kiedy wstaję, ani po toalecie czy przed jedzeniem chleba. Stoi sobie po prostu jako ozdoba. Powstało podczas spotkania dla pań z okazji Rosh Chodesz, które organizowałam, mieszkając w Izraelu. W żydowskich społecznościach Rosh Chodesz, czyli początek każdego żydowskiego miesiąca, obchodzi się w kobiecym gronie, organizując wykłady, warsztaty albo zwykłe spotkania. Też przy takiej okazji, już po powrocie do Polski, stałam się posiadaczką ręcznie robionych mydełek, które wyszły mi również całkiem barwnie i pachnąco.

No i sama sobie robię biżuterię. Złapałam bakcyła jeszcze jako nastolatka, a dzisiaj mam solidną kolekcję, która pozwala mi codziennie występować w innych ozdobach. A i wiele razy coś sprzedalam.

Mogłabym wymieniać dalej. Chodzi mi o to, że robótki ręczne lubię i czuję się w nich dobra. Ale szydełkowanie to jakaś odległa, jeszcze dla mnie nieosiągalna kraina, która mieści się gdzieś koło równie nieosiągalnego posiadania kwiatów. Czuję, że jeśli zechcę i bardzo się postaram, to się w niej znajdę. Ale dzisiaj nie był na to czas. Dzisiaj siedziałam z włóczką i drutem w rękach dla samego siedzenia z włóczką i drutem w rękach wśród innych osób, które tak jak ja głównie siedziały z włóczką i drutem w rękach. Świetne instruktorki jazdy na szydełku wychodziły z siebie, a my byliśmy niewzruszeni. Powstała jedna trzecia kipy na osiem osób. Ale co się pośmiałyśmy, to nasze.

### ***13 czerwca / 14 siwan, poniedziałek***

Przyszło zaproszenie na końcoworoczny spektakl, w którym gra moja Środkowa Córka. Będzie komarem. Bardzo mnie to zdziwiło, ponieważ na początku zajęć wybierała między byciem gęsią skórką a dziurą w pończosze. Zupełnie nie wiem, skąd nagle wziął się ten owad.

### ***14 czerwca / 15 siwan, wtorek***

Ząbek czosnku, główka kapusty, stopa procentowa, pomocna dłoń, wulgarny język. Cały czas po głowie chodzą mi podobne przykłady, w których używa się słów określających części ciała, ale nie w odniesieniu do człowieka. Zaczęło się od wykładu, który miałam podczas święta Szawuot w Lublinie. Potem zajęcia o podobnej tematyce prowadziłam w niedzielę dla dziewczyn z kursu bat micwy. A wszystko dookoła Boga. Religie monoteistyczne uznają, że jest jeden jedyny i że nie ma ludzkiej postaci. I judaizm bardzo mocno to podkreśla. Dlatego nie mówi się w mowie codziennej „Pan Bóg”.



Żaden człowiek na ziemi, czy to prorok z dawnych czasów, czy Mesjasz, którego wyczekują Żydzi na całym świecie, nie będzie choć częścią Boga.

Ale jednocześnie, i o tym właśnie miałam zajęcia, opisy Boga wskazują na coś zupełnie innego. W Torze, modlitwach czy innych ważnych dla Żydów tekstach jawi się on jako realna postać, wręcz wskazująca na człowieka, a nawet konkretnie na mężczyznę, ponieważ najczęściej mówi się o nim w formie męskiej. Choć pojawia się również często forma żeńska, przy na przykład Szechinie, czyli „boskiej obecności”, a nawet liczba mnoga. Mamy „palec, stopę, rękę, ramię, język, serce”, a nawet „nozdrza Boga”, które pojawiają się wcale nie sporadycznie. Są też czasowniki: „stworzył”, „rzekł”, „widział”, „nazwał”, „uczynił”, „umieścił” czy „pobłogosławił”.

Więc jak nie wyobrażać sobie Boga jako konkretnego bytu? Lub inaczej: jak wyobrażać sobie Boga jako coś, co nie jest konkretne?

Żydowska odpowiedź jest dosyć prosta. To wszystko metafory i przenośnie. I tak należy je zawsze traktować, kiedy do akcji wkracza nasza wyobraźnia. Konieczne jest przekierowanie percepcji ze wzrokowej na intelektualną. Kiedy czytamy w Izajaszu (66,1), że Bóg mówi: „Niebo stolicą Moją, a ziemia podnóżkiem stóp Moich”, przed oczyma staje nam jakiś stołeczek, a na nim dwie stópki, każda z pięcioma palcami. Ale widząc nagłówek w gazetach, że stopa procentowa się zmieniła, raczej mało kto ujrzy konkretną część ciała. Kiedy powiem do dzieci „umyjcie zęby”, będę oczekiwała, że wyszorują to, co znajduje się w ich paszczęce. Lecz prosząc o ząbek czosnku, będę chciała warzywo, które – no, może poza bajkami – nie ma uzębienia. Dorośli rozumieją, że podać pomocną dłoń można też poprzez pożyczanie pieniędzy przez przelew bankowy, a nie fizyczne wyciągnięcie ręki, by wyciągnąć kogoś z prawdziwej przepaści. Takich metafor jest w języku więcej. Widać jak na dłoni. Iść z kimś ramię w ramię czy łeb w łeb. Zostać z czymś jak z ręką w nocniku. Czy radzić sobie jak z palcem w nosie.

Jeżeli jesteśmy dzieckiem, to możemy nie do końca te przenośnie rozumieć. Kiedy byłam małą dziewczynką, Mama powiedziała, że Babcia jest chora i leży plackiem w łóżku. Pojechałyśmy ją odwiedzić. Zaczęłam nerwowo czegoś szukać, zaglądałam pod kołdrę, pod materac. Pamiętam to jak dzisiaj. Byłam absolutnie przekonana, że fizycznie i dosłownie leży na naleśnikach. Dorosłych cechuje jednak to, że potrafią sobie czegoś nie wyobrażać dosłownie. To też jest ich wielką wadą. Wraz z dorastaniem tracą piękną wyobraźnię, tak charakterystyczną dla maluchów.

Ale właśnie ta zaleta, choć może to jednak ułomność, sprawia, że kiedy czytamy w Księdze Bereszit (Rodzaju) 6,9, że „z Bogiem postępował Noach [Noe]”, powinniśmy umieć widzieć nie dwóch mężczyzn idących obok siebie, ale jednego człowieka otoczonego przez boską obecność. Trochę tak jak w jednym z moich ulubionych żartów: „Wyglądam przez okno, a tam przechodzi ludzkie pojęcie”.

Drugim ważnym elementem jest to, że każda rzecz stworzona przez Boga jest częścią natury. Krzesło, stół, szafę zrobił człowiek. Drzewo urosło samo. Człowiek wydał pieniądze, ale ziemia wydała rośliny. Ludzie piszą wiersze, Bóg pisze historię. Tak było z tablicami i wrytymi na nich przykazaniami. Należy je traktować nie jako litery, które wyszły spod pióra z atramentem czy komputerowej klawiatury, tylko raczej podobnie do kamienia o nadzwyczajnych barwach czy owada, który wygląda, jakby mu ktoś namalował wielkie oczy na skrzydłach.

No właśnie. A czym jest dla mnie Bóg? Wszystkim tym, czego nie rozumiem. I tym, czego nigdy nie będę w stanie poznać i pojąć. Wszechświatem. Kosmosem. Przeszłością i przyszłością. Ludźmi dookoła mnie i ich myślami. Życiem i tym, że pojawia się, kiedy chce. I śmiercią, która przychodzi niespodziewanie, choć każdy wie, że go czeka. Miłością i złością, które czasem idą w parze. Uczuciami i emocjami, które potrafią wiele zdziałać i wiele niszczyć. Zmiennością pogody i niestałością ludzkich nastrojów. Tym, że absolutnie niczego nie możemy być pewni.

*15 czerwca / 16 siwan, środa*

Najmłodsze dziecko jest w stanie wymienić wszystkich członków rodziny. Jest Mama i Tata, potem kolejno Jimek, Ana, Naka, Jut i ja. Czyli jesteśmy na etapie, w którym ten człowieczek może być rozumiany tylko przez najbliższych.

*16 czerwca / 17 siwan, czwartek*

Przesłałam znajomej kolejną dawkę antysemitycznych odzywek i życzeń śmierci, które dostaje w social mediach. Kilka dni temu spadła mi jak z nieba. Zatelefonowała, mówiąc, że pracuje dla pewnej organizacji. Jej projektem jest strona internetowa, która ma niedługo ruszyć. Będzie można na niej zgłaszać wszystkie przejawy antysemityzmu, zarówno słowne, jak i fizyczne. Z tego powstanie raport, który będzie wstępem do szerszej dyskusji. Jako jedna z researcherek poprosiła mnie o wysyłanie jej wiadomości, które dostaję.

Poczułam wielką ulgę, że wiem, co dalej. Bo do tej pory nie miałam pojęcia, co robić z tymi komentarzami. Zostawiać czy wyrzucać? Za zostawianiem przemawiało to, że jeżeli bym kiedyś zechciała zabrać głos w dyskusji o mowie nienawiści czy sama wziąć udział w podobnym projekcie, miałabym już bazę wyjściową. W sytuacji, w której ktoś zarzuciłby mi, że przesadzam, wyciągnęłabym niezbita dowody. Tyle że zupełnie nie mam ochoty, by dookoła mnie rozlewało się takie bagno. Do tej pory robiłam print screeny i kasowałam komentarz. Ale posiadanie takich atrakcji w telefonie, między zdjęciami dzieci, zapisanymi wiadomościami czy żartami, które ktoś mi przesłał, nie robi mi dobrze. Teraz dokumentacja będzie zachowana, ale nie blisko mnie. Czuję, jakby ktoś zdjął ze mnie ciężki kamień, co przyniosło mi ulgę.

*17 czerwca / 18 siwan, piątek*

Dwa dni temu, 16 siwan, była żydowska data urodzin Najmłodszej Córki. *Mazel tow* dla niej!

*19 czerwca / 20 siwan, niedziela*

Spędziliśmy całą gromadą wraz z Teściami cudowne cztery dni w naszym domku na wsi. Babcia kupiła chałupę trzydzieści pięć lat temu i od tego czasu to miejsce jest moim rajem na ziemi.

*20 czerwca / 21 siwan, poniedziałek*

A czy myślałam o wyjeździe z Polski? Myślałam. I nawet wyjechałam. Dwa razy. Jako nastolatka zazdrościłam zachodnim sąsiadom kolorowych wystaw sklepowych, fajnych ciuchów, McDonaldu na każdym rogu. I wszystkiego innego, co wydawało mi się takie fajne. Oczywiście dla mnie było, że zaraz po maturze wyjadę do lepszego świata. Ale zostałam w Krakowie na studia. Na czwartym roku wylądowałam na półrocznym stypendium w Niemczech. I ten Zachód po kilku latach nie był dla mnie już tak zachwycający. Po pierwsze, do tego czasu McDonaldu pojawiły się licznie i u nas. Po drugie, co uświadomiłam sobie dopiero jako dorosła kobieta, wcale nie były takie nadzwyczajne. Wróciłam do Polski, bardzo w swojej polskości umocniona. Potem pojawił się Izrael. Byłam przekonana, że jedziemy na zawsze. Ciągnie swój do swego. Kiedy zaczęłam być religijna, bliskość innych Żydów i żydowska społeczność zaczęły mieć dla mnie duże znaczenie. Pierwsze dwa lata nie byłam w stanie się odnaleźć. Dobrze było się nie wyróżniać. Mieć koszerne jedzenie na każdym kroku. W sobotę chodzić pustymi ulicami, bo inni też szabatują. Patrzyć na kobiety w chustkach i mężczyzn w jarmułkach. Ale różnice kulturowe były dla mnie trudne do przeskoczenia, zwłaszcza że mieszkaliśmy w nieciekawej dzielnicy. Przeszkadzały mi śmieci leżące na ulicy. Drażniły hałas i krzyki. Irytowali pchający się przechodnie. Dodatkowo, w porównaniu z Polską, bardzo wysokie ceny. Do tego nie znałam języka hebrajskiego. Nieumiejętność porozumienia się była dla mnie dużą przeszkodą.

Po dwóch latach z Jerozolimy przenieśliśmy się do małego miasteczka. Dokładniej mówiąc,

zamieszkaliśmy wśród innych rodzinnych domków zaraz pod nim. Tam poczułam, co to jest prawdziwa żydowska społeczność. Wzruszała mnie silna wspólnotowość. Świadomość, że jestem częścią większej całości, a nie oderwaną jednostką, była uskrzydlająca. Już w Jerozolimie pojawiali się ludzie, którzy zapraszali nas na kolację, choć wcale się nie znaliśmy. Ktoś wręczył kartę podarunkową, bo Synowi rozdeptały się buty, a ja nie miałam za co kupić nowych. Kto inny sfinansował podwójny wózek, po tym jak urodziło nam się trzecie dziecko. Wtedy też, przez kilka dni po moim porodzie, sąsiadki i znajome przynosiły nam jedzenie. To taki żydowski zwyczaj powszechny w wielu miejscach. Dzięki niemu rodzice mogą skupić się na maleństwie, a nie na gotowaniu. Przy każdym tego typu akcie dobroci, a było ich więcej, miałam łzy wzruszenia w oczach. Jedyne, co słyszałam, to: „Daj spokój, przecież wszystko, co posiadamy, jest tylko tymczasowo nasze”. Ale dopiero po przeprowadzce poczułam, że jestem częścią tego ludzkiego mechanizmu. Przyzwyczaiałam się i do hałasu, i do klaksonów, i do śmieci, i do tego, że prędzej czy później ktoś mnie popchnie, jeżeli akurat będę stała mu na drodze. Choć jeszcze nie mówiłam po hebrajsku, mogłam przez osłuchanie się wyłapać poszczególne słowa, a nawet trochę porozumieć się w sklepie.

Kiedy minęły cztery lata naszego pobytu w Izraelu, czułam się jak u siebie. Dzięki ludziom, z którymi się zaprzyjaźniliśmy, kursowi hebrajskiego, znajomości terenu i ogólnej kulturowej ogładzie. Powrót do Polski był dla mnie trudny. Dopiero uzyskaliśmy izraelskie obywatelstwo, a dzięki niemu pozwolenie na pracę i zastrzyk gotówki. Miałam pomysł, czym w Izraelu chcę się zajmować. Ale były mąż dostał w Polsce pracę. Od początku wiedzieliśmy, że tak się stanie, i podświadomie byłam na to gotowa. A mimo to ponowne przestawienie się boleśnie odczułam. Nadal zadziwiają mnie pewne różnice: i te, które zauważyłam, zamieszkawszy w Izraelu, i te, które mnie zaskoczyły po powrocie.

Ale Polska to moje państwo. Mój język, moje drzewa, moi bracia i siostry – jakkolwiek to brzmi. I to ma dla mnie znaczenie. Czy czuję się czasem osamotniona, nie mając dookoła siebie tylu Żydów, ile miałam w Izraelu? Czuję. Czasami to osamotnienie rozrywa serce. Ale potrzeba bycia w Polsce i pracowania nad tym, by była lepszym państwem, przeważa. Przynajmniej na razie.

I trzymam się kryterium dziesięciu sprawiedliwych. Jak w opowieści o Abrahamie i Bogu. Bóg chciał spalić Sodomę i Gomorę. Żydowski praojciec Abraham zaczął się targować i prosić o litość dla mieszkańców. Czy jeżeli znajdzie pięćdziesięciu sprawiedliwych, Bóg ocali miasta? Ocali. A czterdziestu? Ocali. A trzydziestu? Ocali. A dziesięciu? Ocali. Ale nawet tych dziesięciu się nie znalazło, więc Sodomą i Gomorę spłonęły.

Póki mam dookoła siebie dziesięć sprawiedliwych osób, póty jest w Polsce dla mnie miejsce. Nie muszą być Żydami. Ale mają kierować się podobnymi do moich wartościami. Mieć w sobie siłę i gotowość, by o te wartości dbać, a kiedy będzie taka potrzeba, to i walczyć. I kiedy wydarzy się coś złego, a ja krzyknę „działamy” – będą przy mnie. Na razie je mam. Dlatego nie myślę o wyjeździe.

**21 czerwca / 22 siwan, wtorek**

Wczoraj byliśmy na przedstawieniu, w którym udział brała Środkowa Córka. Rzeczywiście była komarem. Ale jedną z dwóch ciarek (tak, takich na ciebie) też.

Wieczorem, zapisując coś w kalendarzu, zwróciłam uwagę, że wygląda, jakby go przeżuła krowa. A potem wypłuła. Jest pomięty, zapisany, pokreślony i pomazany. W niektórych miejscach ma nawet lekko tłuste plamy. Mocne zużycie świadczy o tym, że żydowski rok bardzo powolutku dobiega końca.

**22 czerwca / 23 siwan, środa**

Sześć lat temu na świat przyszło moje czwarte dziecko, Najmłodsza Córka. Doświadczenie, jakby to delikatnie powiedzieć, ciekawe. Domowy poród w Izraelu tak mi się spodobał, że zapragnęłam powtórki. W przeciwieństwie do Jerozolimy, gdzie domowych położnych było sporo, w Łodzi znalazłam jedną. Nie przeszkadzało mi, że nie miałam zbytniego wyboru, bo kobieta wydała mi się bardzo

sympatyczna i kompetentna. Ostrzegła, że pracuje również w szpitalu, przez co nie zawsze jest dostępna. Ponieważ porody zazwyczaj trwają kilka, nawet kilkanaście godzin, uznałam, że na pewno jakoś się zgramy.

Pewnej nocy, już po przewidywanej dacie porodu, poczułam, że boli mnie całe ciało. Niby już, ale jednak nie. Rano udało mi się cudem dostać na wizytę do mojej ginekolożki. Zajrzała, gdzie miała zajrzeć, i oznajmiła, że mamy sześć centymetrów. Przy czwartej ciąży już wiedziałam, że to więcej niż dwa, ale jeszcze nie dziesięć. Wróciłam spokojnie do domu, po drodze telefonując do położnej, że całą noc wszystko mnie bolało, no i że sześć centymetrów. Ona na to, że muszę poczekać, bo właśnie wchodzi na dwudziestoczworogodzinny dyżur. Ale nie ma co się przejmować. Jak będzie mało rodzących, to się z dyżuru wcześniej zwolni i od razu do mnie przyjedzie. Uznałam, że ciało boli, bo jak ma nie boleć, skoro noszę w sobie człowieka, który rozpycha się na wszystkie strony.

Dzień minął na pobolewaniach tu i tam, do których jestem przyzwyczajona, bo tak właśnie zawsze wyglądał trzeci trymestr każdej z moich ciąż. Ale nie przesadzajmy. Ból nigdy nie był na tyle duży, bym przestawała pracować czy być aktywna fizycznie. Wypiłam kawkę z Mamą, która przyjechała do Łodzi, żeby dotrzymać mi towarzystwa, i z krakowską znajomą Mamy, która też była w mieście. Bardzo miłe popołudnie. Potem klasyczny wieczór w wydaniu ciężarnej z trojgiem dzieci. O północy odeszły mi wody. Zatelefonowałam do położnej, żeby ją o tym poinformować. Ona, żebym poczekała, bo nie może się teraz wyrwać. Ale przyjedzie niebawem. Wraz z odejściem wód zaczęły się skurcze. Do czwartej bolało mnie coraz bardziej, a skurcze były coraz częstsze. Wzięłam kilka ciepłych kąpiel, które trochę pomagały. Trochę krzyczałam, bo mnie rozrywało. Trochę płakałam z tego samego powodu. Trochę oddychałam, by uspokoić ciało. Cieszyłam się, że dzieci są z moją Mamą – nocowali razem w hotelu zaraz przy naszym mieszkaniu. O czwartej dziesięć zadzwoniłam do położnej, że moim zdaniem to już. A ona, że właśnie miała wychodzić, ale przyjechała kobieta z porodem bliźniaczym i musi zostać. I tyle. Nic więcej. Poczulałam, że oto właśnie jestem zdana sama na siebie. Przypomniały mi się wszystkie sceny, w których kobieta rodzi bez żadnej asysty. Jednej syn, którego powiła na straganie z rybami, skończył jako seryjny morderca. Ale miał nadzwyczajny zmysł węchu. Druga w Indiach, na stojąco w pięknej sukni, opierając się o drzewo, wydała na świat kogoś ważnego. Ale zupełnie nie pamiętam kogo. Ale najbardziej dodała mi otuchy bohaterka serialu o kilku przyjaciółkach. Podczas jednego porodu dobijała przez telefon targu w sprawie nowej pracy, w trakcie drugiego była więziona przez psychopatę.

Nie do końca rozumiem, i nadal mnie to dziwi, czemu nie zapytałam, co robić, jak się przygotować, o czym pamiętać. Czemu nie zostałam poinstruowana, jak odebrać swój własny poród? Czemu ojciec dziecka nie dostał instrukcji obsługi rodzącej? Nie usłyszał, jak ma wyglądać noworodek, który właśnie wyjdzie na świat, żeby się z tą myślą oswoić i nie zejść na zawal.

Odłożyłam telefon. Na ziemi położyłam materac, na nim rozdarte worki na śmieci, na to ręczniki. Obok miałam gotową miskę. Położyłam się. Poprosiłam mojego byłego męża, by usiadł za mną i w razie czego mnie cucił, gdybym zemdlą. Nie mam pojęcia, skąd mi przyszło do głowy coś takiego. Kiedy poczułam, że jednak mdleć nie będę, uznałam, że bardziej przyda się z przodu. Miał absolutnie nie patrzeć. Zadaniem było złapanie dziecka. A potem urodziłam. Odsunęłam pępowinę z szyi córki. Położyłam maleństwo na brzuchu, zapewniając świeżo upieczoną tatę, że dziecko oddycha, że jest całe i zdrowe, że ta siność to kolor naturalny, że ten układ ciała jest zupełnie okej. Był przejęty i zdenerwowany. Bał się, że zrobił Córce krzywdę. Ale ja byłam pewna, że wszystko jest dobrze.

Tak sobie leżałam z jej golutkim ciałem przy piersi, aż około szóstej pojawiła się położna, zadowolona z siebie, że udało jej się wyjść przed końcem dyżuru. Przy niej odciąłam pępowinę. Fizycznie nożyczkami, bo psychicznie to się chyba nigdy całkiem od dziecka odciąć nie da. Sprawdziła łożysko. Zbadała i zważyła Córkę. Lekko ją obmyła i pomogła ubrać. Ponad cztery kilo zdrowego ciała. Podała jej szczepionki, pobrała krew do badania, wypełniła jakieś papiery. I poszła, by wrócić po dwóch dniach i sprawdzić, jak się mamy.

A potem przyszły starsze dzieci poznać młodszą siostrę, która miała ledwie kilka godzin. Starszy Syn miał wtedy osiem lat, Najstarsza Córka pięć i pół, Środkowa – trzy. Tego właśnie dnia, sześć lat temu, i w ten właśnie sposób zostałam matką czworga.

Urodziny Córki uczciliśmy sałatką owocową zrobioną przez moją Mamę. Na miniprzyjęciu byli Mama, Babcia, Mąż i Młodszy Syn. Wśród prezentów – książki, gry, doczepiane warkoczyki, kredki i kubek. Starszaków nie było, bo wyjechały na dwa dni na zieloną szkołę. W trakcie imprezki pojawił się kurier z kwiatami i czekoladkami od taty solenizantki.

*23 czerwca / 24 siwan, czwartek*

Wczoraj było zakończenie roku szkolnego u młodszych dzieci w żłobku i przedszkolu. Najpierw na scenę wyszły maluchy. Wśród nich nasz dwuipółletni Młodszy Syn. Stał w bezruchu przez całą piosenkę. Miał, według pań opiekunek, wysłać buziaki i kręcić się w kółko, ale pozostał niewzruszony. I tak byłam dumna i zachwycona po prostu tym, że jest. Potem żłobkowe dzieci usiadły, a wyszły przedszkolaki. Na twarzach niektórych, w tym mojej już sześćioletniej Najmłodszej Córki, widać było wielkie przejęcie i zaangażowanie. Głośno i wyraźnie śpiewały, co miały śpiewać, i pokazywały, co miały pokazywać.

*24 czerwca / 25 siwan, piątek*

Dzisiaj zakończenie roku szkolnego u Starszaków. Starszy Syn i Najstarsza Córka wyszli wcześniej, żeby poćwiczyć przed przedstawieniem, Środkowa pojechała tramwajem. A ja wyszłam z domu ostatnia i jadąc przez miasto rowerem, patrzyłam na wszystkich biało-czarnych i biało-granatowych uczniów. Nie wiem, który widok najbardziej mnie fascynuje. Ten 1 września, kiedy młodzież ma na twarzy jeszcze słońce i wiatr wakacji, a w głowach świeże wspomnienia letnich przygód? Czy w czasie matur, kiedy nastolatki suną między jednym a drugim etapem życia? Czy w czerwcu, kiedy wymęczone całym rokiem zaczynają podskakiwać radośnie, że oto czekają je dwa miesiące spokoju?

Kiedy weszłam do auli, Córki minęły mnie, jakbym nie istniała, choć obdarzyły lekkim uśmiechem. Jedna w jeansach, czarnym podkoszulku i trampkach. Druga w białych rajstopach, białej zwiewnej sukieneczce i w czarnych lakierkach. Syn w białej koszuli podszedł się przywitać i mnie uściskać.

Ten dzieciak za miesiąc kończy czternaście lat. Czternaście lat! Rok temu miał bar micwę! Pamiętam, jak się rodził. Miałam dwadzieścia trzy lata. Mieszkałam w Krakowie i w krakowskim szpitalu przyszedł na świat. Trzy i pół kilo kosmity. Najprawdziwszego przybysza z dalekiego wszechświata. Wiedziałam, że dzieci nie przypominają dorosłych. Ale nie spodziewałam się takiego stworzenia. Pięknego, nadzwyczajnego. Lecz jednak z innej planety. Zresztą długo mówiłam o nim Stwór, co niektórych wprowadzało w osłupienie. Kiedy im przedstawiałam swoją teorię, byli jeszcze bardziej oburzeni. Kolejne dzieci mojego zdania nie zmieniły. Uważam, że gdzieś tam daleko we wszechświecie jest kraina zamieszkała przez małe osobniki. Nie mają z ludźmi wiele wspólnego. Inaczej się zachowują, inaczej wyglądają. Kiedy pojawią się na ziemi, przez portal kobiecego łona, od razu uczone są ziemskich obyczajów i ziemskiego komunikowania się. Muszą nauczyć się mówić ludzkim językiem. I chodzić tak jak ludzie. I myśleć po ludzku, czyli – mówiąc naszym językiem – „po dorosłemu”. Przechodzą różne etapy rozwoju, dzięki któremu z małych osobników, czyli „noworodków”, przepoczwarczają się stopniowo z kosmity w Ziemianina. Potem są „niemowlakami” i „dziećmi”. Idąc do szkoły, już Ziemian bardzo przypominają, ale ich kosmiczne nawyki są nadal widoczne. Jako „nastolatki” nadal pozostają kosmitami i często bardzo swojej pierwotnej natury bronią. Lecz otoczenie jest silniejsze. W wieku osiemnastu lat świętują pełnoletność, co oznacza mniej więcej tyle, że o dalekim kosmosie czas natychmiastowo zapomnieć i koniecznie trzeba już twardo stąpać po ziemi. A potem mają być dokładnie takie, jak pozostali Ziemianie. Kiedy same doczekują się potomstwa, a w ich rękach pojawia się kosmita, zupełnie nie pamiętają, że same ledwie co przybyły z innej planety. Zaczynają natychmiast oczekiwać, że ich potomek szybko zdobędzie ziemskie umiejętności, by umieć

się z nimi i z resztą Ziemiaków komunikować.

Taka moja teoria, której jednak nie wygłaszam głośno. Kiedyś znajoma pokazała mi z dumą swoje nowo narodzone dziecko. Powiedziałam z niekłamanym zachwytem: „Prawdziwy kosmita!”. Bardzo ją to uraziło. Nie chcąc się narażać młodym rodzicom, zawsze mówię: „Jakie ładne dziecko”, choć jak dla mnie żaden to człowiek.

Teraz miałam przed sobą przybysza z kosmosu w zaawansowanej fazie człowieczej. Mój Syn – moje pierwotne dziecko i, co warte zaznaczenia, pierwszy męski potomek od pięciu pokoleń od strony Mamy – urodził się prawie czternaście lat temu i prawie rok temu zaczął być sam odpowiedzialny za swoje religijne poczynania, a teraz wtulił się we mnie nieskrępowanie mimo obecności kolegów i koleżanek.

Siedząc i czekając, aż się wszystko rozpocznie, obserwowałam całą końcoworoczną krzątanicę. Nie wiem, ile osób zwróciło uwagę, że wśród uczniów jest jeden w kipie, z długimi pejsami i z cicit przy spodniach. Może wszyscy wiedzą, że mają w szkole religijnego Żyda. A może nie wiedzą i ich to specjalnie nie interesuje. Mnie ten obrazek się spodobał. Kiedy ktoś mnie pyta, czy nasze dzieci nie są gnębione w szkole ze względu na pochodzenie, z uśmiechem odpowiadam, że zupełnie nie. A widok roześmianej całej trójki wśród rówieśników jest doskonałym tego dowodem.

Zaczęły się uroczystości. Przemowy i występy. Pierwsza klasa zaśpiewała *Tato, już lato*. Złapało mnie to bardzo za serce. Pomyślałam o tych wszystkich dzieciach z Ukrainy, które swoich ojców nie widziały od czterech miesięcy i z którymi nie pójdą na lody, mimo że tak mówią słowa piosenki. Ze smutkiem pomyślałam, że chyba komuś zabrakło wyobraźni podczas wyboru utworu. Przecież akurat w tym roku, kiedy obok nas jest wojna, a wśród nas są jej ofiary, można było znaleźć coś innego. Kiedy świadectwa odebrali ukraińscy uczniowie, polały mi się łzy po policzkach i nijak nie byłam w stanie ich powstrzymać.

Kiedy już wszyscy mieli swoje cenzurki, udało mi się dostrzec, że spośród Starszaków jedno ma czerwony pasek. Wiem, że będzie cała możliwa ocenowa gama. Od celujących po dopuszczające. Niech i tak będzie, choć może powinnam bardziej martwić się dwójkami i trójkami. Ważne, że przeszli do kolejnych klas. Za dwa miesiące będę miała dwuipółletniego Syna w żłobku, sześciolletnią Córkę w przedszkolu z programem zerówki, dziewięcioletnią w klasie piątej, jedenastoletnią w szóstej oraz czternastoletniego Syna w klasie ósmej.

A teraz znowu są wakacje. „Na pewno mam rację, wakacje znowu są”. Starszaki pojedą na obóz, część z nich wybierze się gdzieś ze swoim tatą i na chwilę do Łodzi, część z moim Mężem pod namioty, ze wszystkimi spędzimy sporo czasu na wsi. Może uda się jakiś niezaplanowany jeszcze wypad.

Tymczasem pożegnałam Starszaki, które wspólnie z innymi ze szkoły poszły na końcoworoczny piknik, a sama wróciłam do domu przygotowywać miniprzyjęcie dla mojej Mamy, która obchodzi dzisiaj urodziny, i gotować kolację szabatową.

Po drodze rozmyślałam nad hymnem, który odśpiewaliśmy podczas uroczystego zakończenia roku szkolnego. Na stojąco, pełni powagi zaintonowaliśmy *Mazurka Dąbrowskiego*. Sama korzystam z tekstów Tory czy Talmudu spisanych kilka tysięcy lat temu, a ich słowa traktuję jako aktualne, wręcz mnie obowiązujące. Ale tekst tej patriotycznej pieśni, która ma lat ponad dwieście, wydaje mi się mocno przestarzały. Skoro już wybieramy jako wizytówkę naszego państwa kilka zwrotek, to niech one będą bardziej przyjazne, miłsze, subtelniejsze.

„Co nam obca przemoc wzięła, szabłą odbierzemy”. Ale czemu ktokolwiek miałby nam cokolwiek zabierać? Co to, tylko wrogowie dookoła nas, że w pierwszej zwrotce trzeba podkreślić gotowość do walki? „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, będziemy Polakami”. A co to znaczy Polak? A jak ktoś nie zechce być Polakiem, to nie ma prawa iść z nami? Ja to bym taki hymn wołała: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my kochamy. Co nam obca ręka daje, chętnie przyjmujemy”.

\* Biblię hebrajską cytuję za XIX-wiecznym przekładem rabina Izaaka Cyłkowa. Korzystam ze współczesnych jego edycji publikowanych przez Wydawnictwo Austeria: *Tora. Pięcioksiąg Mojżesza*, Kraków 2006 (1895); *Księga Izajasza*, Kraków 2011 (1896).

# WYJAŚNIENIA



# KSIĘGI JUDAIZMU

## TORA

*Tora* (תורה) po hebrajsku oznacza dosłownie ‘doktrynę’ lub ‘wskazówkę’. Tak w judaizmie określa się Pięcioksiąg Mojżeszowy. Jest to najważniejszy tekst tej religii i wraz z wyrytym na dwóch tablicach Dekalogiem został dany Izraelitom, przodkom współczesnych Żydów, na górze Synaj.

Pięć Ksiąg Tory ma swoje nazwy hebrajskie. Pierwsza jest Be-reszit – po polsku Księga Rodzaju, po łacinie Genesis. Potem kolejno Szemot – Wyjścia, Exodus; Wa-jikra – Kapłańska, Leviticus; Bemidbar – Liczb, Numeri; Dwarim – Powtórzonego Prawa, Deuteronomium.

W Torze opisane są początki ludzkości: stworzenie świata, powstanie pierwszego człowieka oraz narodziny narodu żydowskiego. Najważniejszym dla wyznawców judaizmu wątkiem Tory jest przymierze między Bogiem a narodem Izraela, które zostało zawarte za pośrednictwem największego żydowskiego proroka, czyli Mojżesza.

Pojęcie *Tora* można traktować w dwojaki sposób. W węższym rozumieniu stanowi ona pięć wspomnianych wyżej ksiąg, które w formie spisanego zwoju zwanego *Sefer Tora* przechowywane są w każdej synagodze i w każdym innym miejscu modlitwy. Można je również zakupić pod postacią zwykłej wydrukowanej książki w oryginale, czyli po hebrajsku lub z tłumaczeniem. Na polskim rynku dostępne są dwa tłumaczenia Tory – oczywiście każdy opublikowany wraz z oryginałem. Starsze, autorstwa rabina Izaaka Cyłkova, ukazało się w wydawnictwie Austeria; nowsze, Ewy Gordon, w wydawnictwie Pardes Lauder. W szerszym rozumieniu *Tora* obejmuje zarówno część zamkniętą, zawartą w Pięcioksięgu Mojżeszowym, jak i tę otwartą – daną Mojżeszowi równolegle. Przekazywana drogą ustną, obrastała w kolejne komentarze i została spisana dopiero po kilku wiekach jako Miszna.

Poza różnego rodzaju opowieściami, które pojawiają się w Torze pisanej, czyli w Pięcioksięgu Mojżeszowym, zawarte są w niej liczne nakazy i zakazy, które razem z Torą ustną tworzą żydowskie prawo zwane halachą.

Największa różnica między Torą pisaną a Torą ustną polega na tym, że ta pierwsza jest tekstem „zamkniętym”, którego nie można zmienić, a druga to tekst „otwarty”, podlegający modyfikacjom, które wprowadzają rabini i uczeni.

Cykl czytania Tory obejmuje cały rok. Na każdy tydzień przypada kolejny fragment zwany parszą. Dodatkowo poza parszami w tygodniowym cyklu czytane są haftary, czyli konkretne fragmenty z Ksiąg Prorockich.

## PARSZA

Parsza to skrótowe określenie na *Paraszat ha-Szawua* (פרשת השבוע), które oznacza dosłownie ‘część tygodnia’. Są to fragmenty Tory, które czyta się kolejno przez cały rok. Cykl zaczyna się i kończy w święto Simchat Tora.

W synagogach podczas nabożeństw daną parszę odczytuje się ze zwoju Tory w święta, w szabaty rano i fragment po południu oraz w poniedziałki i czwartki.

## HAFTARA

*Haftary* – po hebrajsku הפטרה – są to fragmenty Ksiąg Prorockich przyporządkowane odpowiednim parszom. Czyta się je podczas szabatowych i świątecznych nabożeństw oraz w dniu postu, zaraz po odczytaniu danej części z Tory.

## HALACHA

*Halacha* (הלכה) po hebrajsku oznacza ‘drogę’ i pochodzi od słowa הולך, czyli ‘iść, chodzić, pójść’. Jest to określenie oznaczające wszystkie przykazania judaizmu składające się na religię. Podstawą halachy jest *Tora* dana Mojżeszowi na górze Synaj oraz interpretacje rabinów, które zostały uznane za



obowiązujące – zarówno te bardzo stare, jak i te współczesne.

Części z przykazań wymienionych w Torze współcześnie nie sposób wypełnić, ponieważ dotyczyły służby w Świątyni Jerozolimskiej, która została zburzona wieki temu. Obowiązują za to inne obostrzenia, których celem jest chronienie prawa zawartego w Pięcioksięgu. Judaizm ortodoksyjny uznaje wykładnie Tory za współcześnie obowiązujące. Na nich oparte jest życie ortodoksyjnych Żydów, którzy jedzą, ubierają się, zachowują wedle tekstu w niej zawartego. Judaizm konserwatywny i reformowany postrzegają Torę jako bardzo ważny element swojej tradycji. Natomiast jej nakazy i zakazy traktują bardziej jako wskazówki czy informacje o tym, jak żyli przodkowie, niż jako ostateczne prawo.

## MICWA

*Micwa* (מצוה) to dosłownie ‘obowiązek’ i oznacza zakaz lub nakaz z Tory. *Micw* pochodzących z Pięcioksięgu Mojżeszowego jest 613. Dodatkowo mamy jeszcze *micwy* dane przez rabinów, które również są wiążące dla wyznawców judaizmu.

Wszystkie zakazy dotyczą zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Za wiek religijnej dojrzałości uważa się dwanaście lat u dziewczyn i trzynaście u chłopców. Nakazy, które można wykonywać o dowolnej porze, również obowiązują obie płcie. Z tych związanych z określonym czasem panie są zwolnione. Wyjątek stanowią trzy *micwy* przypisane kobietom: zapalanie świeczek na szabat, chodzenie do mykwy (w przypadku mężatek) i oddzielanie chali.

*Micwy* klasyfikuje się do kilku kategorii. Podstawowy jest podział na zakazy i nakazy. Mamy zatem 365 przykazań zwanych negatywnymi „nie rób” (אל תעשה) oraz 248 przykazań pozytywnych „rób” (תעשה).

Kolejny dzieli *micwy* na te zwane *micwot bein adam lamakom* (מצוות שבין אדם למקום), które traktują o indywidualnej relacji z Bogiem, oraz *micwot bein adam lechawero* (מצוות שבין אדם לחברו), które dotyczą człowieka i jego bliźniego oraz relacji międzyludzkich, a więc można je traktować jako zasady etyczne. Do pierwszych zaliczają się wszelkie prawa mówiące o ubiorze, modlitwie, obchodzeniu świąt czy zasadach koszerności. Drugie zaś nakazują wypełnianie obowiązków, między innymi odwiedzania chorych, przyjmowania gości, wspierania ubogich czy szanowania rodziców.

Kolejny podział obejmuje trzy kategorie: *miszpatim*, *edot* i *chukim*.

*Miszpatim* (משפטים) to dosłownie ‘prawa’. Są to nakazy i zakazy racjonalne i łatwe do zrozumienia. Ich celem jest zapewnienie sprawiedliwości wśród ludzi i istnieją nie tylko w judaizmie. Przykładem może być „nie zabijaj” czy „nie kradnij”.

*Edot* (עדות) to ‘świadczenia’. Są to przykazania, które upamiętniają jakieś wydarzenie z żydowskiej historii. Dla niektórych są półracjonalne. Nigdy byśmy o nich nie pomyśleli, nabierają natomiast znaczenia, kiedy się zapoznamy z tekstem Tory. Przykładem jest jedzenie macy w Pesach, siedzenie w szałasach podczas Sukot czy szabat jako dzień odpoczynku.

*Chukim* (חוקים) tłumaczone są jako ‘dekrety’ albo po prostu przykazania. Są niezrozumiałe i nie mają żadnego logicznego wyjaśnienia. Każdy może doszukiwać się własnego powodu, dla którego Bóg tak postanowił. Ale jedyną przyczyną, która uzasadnia wypełnianie *chukim*, jest to, że są boską wolą zapisaną w Torze. Przykładem są chociażby prawa dotyczące zakazanych do spożywania zwierząt.

Kiedy zagrożone jest życie człowieka, zawiesza się niemal wszystkie zakazy Tory, a taka sytuacja nazywana jest *pikuach nefesz*.

W mowie potocznej *micwą* określa się dobry uczynek.

## PIKUACH NEFESZ

*Pikuach nefesz* (פיקוח נפש) to określenie sytuacji, w której ze względu na ratowanie ludzkiego życia nie obowiązują prawa Tory. Ta zasada wynika z wersetu w Torze z Księgi Wa-jikra (Kapłańskiej) 18,5: „Przestrzegajcie tedy ustaw Moich i praw Moich, które spełniając człowiek żyje przez nie”. Mówi on wyraźnie, że człowiek ma żyć dzięki Torze, a nie umrzeć dla niej. Wyjątkiem są trzy zakazy, których nie wolno złamać nawet pod groźbą śmierci. Są to zakaz bałwochwalstwa, zakaz niedozwolonych

według Tory stosunków seksualnych oraz zakaz morderstw.

## CHALA

*Chalą* nazywa się kawałek ciasta, który podczas pieczenia był odrywany i przekazywany kapłanom, jak jest napisane w Księdze Be-midbar (Liczb) 15,18–21:

Powiedz synom Izraela, a objaśnij im: gdy wniejdziecie do ziemi, do której was prowadzę, – A zaczniecie pożywać chleb tej ziemi, zbierać wam wtedy daninę Wiekuistemu; Jako pierwocinę ciasta waszego zbierajcie kołacz na daninę; jako daninę z gumna, tak zbierajcie ją. Z pierwociny ciasta waszego oddawajcie Wiekuistemu daninę w pokoleniach waszych.

Współcześnie każdorazowo, kiedy robi się pieczywo z jęczmienia, żyta, owsa, orkisz lub pszenicy i zużywa więcej niż omer mąki, czyli ponad 1,5 kilograma według jednych, a ponad 2,3 według innych autorytetów, należy odjąć małą porcję zagniecionej już ciasta. Owinięty w folię aluminiową kawałek piecze się potem wraz z chałkami i wyrzuca. W żydowskiej tradycji przyjęło się, że chałę oddzielają kobiety, dlatego też to przede wszystkim one pieką chałki – główną część szabatowych i świątecznych posiłków. Pieczeniem i gotowaniem w żydowskich domach zajmują się również mężczyźni, ale wykonanie micwy chali oddają kobietom.

## MINHAG

*Minhag* to inaczej zwyczaj. Związany jest z tradycją Żydów mieszkających w danym regionie i w konkretnej społeczności. Dotyczy życia codziennego – jak jedzenie czy ubiór, ale też religijnego, jak obchodzenie świąt czy modlitwy. Znaczące różnice są widoczne głównie między Aszkenazyjczykami a Sefardyjczykami.

## MISZNA

*Miszna* (משנה) po hebrajsku oznacza ‘badać, nauczać’ i pochodzi od słowa שנה, czyli ‘powtarzać’, ze względu na to, że początkowo była powtarzana, a dopiero po jakimś czasie spisana. Według żydowskiej tradycji składają się na nią Tora ustna dana Mojżeszowi na górze Synaj wraz z Torą, która została od razu spisana. Póki sytuacja Żydów była stabilna, przekazywanie tekstu z pokolenia na pokolenie nie stanowiło żadnego zagrożenia dla jego treści. Ze względu na coraz większe rozproszenie narodu żydowskiego rabin Akiwa ben Josef podjął prace nad spisaniem całości. Ostatecznej redakcji w II–III wieku (według kalendarza gregoriańskiego) dokonał Juda ha-Nasi.

Miszna składa się z sześciu ksiąg zwanych porządkami. Te dzielą się na 63 traktaty i dodatkowo na rozdziały. Miszną określa się też pojedyncze akapity i klauzule. Tora ustna, czyli Miszna, jest uzupełnieniem Pięcioksięgu Mojżeszowego, zawiera podstawowe reguły i normy prawa judaizmu. Jest częścią Talmudu.

## TALMUD

*Talmud* (תלמוד) po hebrajsku oznacza dosłownie ‘naukę’. Jest to jedna z podstawowych ksiąg judaizmu. Bez niej bardzo trudno byłoby zrozumieć prawo żydowskie. Nakazy i zakazy pochodzące z Pięcioksięgu Mojżeszowego zapisane są często w enigmatyczny sposób. Wytlumaczenie, o co w nich dokładnie chodzi, nie byłoby możliwe, gdyby na górze Synaj Mojżesz nie dostał dodatkowych wyjaśnień pod postacią Tory ustnej zwanej Miszną.

Talmud to połączenie tekstu Miszny z komentarzami rabinów, czyli Gemarą. Rabini wspólnie dążą jeszcze głębiej znaczenie tekstu, zastanawiając się nad jego sensem i dochodząc do ostatecznej decyzji, co stanowi wypełnienie obowiązującego w judaizmie prawa.

Początkowo Tora pisana oraz Tora ustna były wystarczające. Kiedy jednak Świątynia Jerozolimska została zburzona, a życie Żydów zaczęło być zagrożone, sytuacja uległa zmianie. Uznano, że należy wszystko uporządkować i zapisać tak, by wygnani ze swoich stron i rozproszeni po całym świecie Żydzi mieli jedno obowiązujące wszystkich prawo. Równoległe zaczęto prace w dwóch

miejskach – Jerozolimie i Babilonii. Ostatecznie współcześnie obowiązujący jest Talmud Babiloński z 500 roku n.e. (według kalendarza gregoriańskiego). Jerozolimski nie zyskał aż takiej popularności, ale jego nauka była kontynuowana wśród uczniów *bet midraszy* ('domów nauki') i *jesziv*, czyli szkół talmudycznych.

## GEMARA

*Gemara* (גמרא) pochodzi od hebrajskiego czasownika 'dowiadywać się' lub od innego słowa oznaczającego 'kończyć'. Kiedy uczeń zakończył naukę Gemary, mógł rozpocząć proces jej zrozumienia. Jest to zbiór komentarzy i objaśnień rabinów, który powstał jako wytłumaczenie i ostateczne uzupełnienie do tekstu Miszny.

## SEFER TORA

Współcześnie przyjęło się, że Torą nazywamy wydruk tekstu Pięcioksięgu Mojżeszowego w postaci książki, którą może kupić każdy. Ręcznie spisany zwój określa się dla odróżnienia mianem *Sefer Tora*.

Zwój Tory to stały element synagog i innych miejsc, w których odbywają się modlitwy. Jest starannie przechowywany i wyciągany przy okazji szabatu i świąt oraz w niektóre dni tygodnia. Na białym, wykonanym z jagnięcej skóry pergaminie widnieją starannie wykaligrafowane litery. Pisanie Tory zajmuje się odpowiednio wykształcona osoba zwana *soferem*. Pergamin zawinięty jest na dwa wałki często wykonane z drogiego drewna. Dzięki nim z łatwością można przewinąć tekst do odpowiedniego fragmentu. Końcówki wałków służące jako uchwyty bywają starannie rzeźbione.

Zanim po modlitwach schowa się Sefer Torę z powrotem na miejsce, nakłada się na nią ochronny materiał zwany sukienką. Bywa ona dodatkowo zdobiona haftami.

Zwyczajowo tekstu Tory się nie dotyka. Żeby łatwiej było czytać tekst i by się w nim nie zgubić, używa się jadu.

## JAD

*Jad* (יָד) to podłużny wskaźnik zakończony rączką z wyciągniętym palcem wskazującym. Na łańcuszku zawieszają się go na Torze lub kładzie koło niej. Ułatwia czytającym śledzenie wersów, ponieważ samej Tory nie wolno dotykać.

## TANACH

*Tanach* (תנ"ך) to akronim pierwszych liter trzech słów: *Tora*, *Newiim* i *Ktuwim*. Są to odpowiednio: Pięcioksiąg Mojżeszowy, Prorocy i Pisma. Często Tanach określa się mianem *Biblii hebrajskiej*.

W skład Proroków wchodzi Prorocy dawniejsi, czyli księgi Jozuego, Sędziów, dwie Samuela i dwie Królów, oraz Prorocy Późniejsi, czyli księgi Izajasza, Jeremiasza, Ezechiela oraz dwunastu pomniejszych: Ozeasza, Joela, Amosa, Abdiasza, Jonasza, Micheasza, Nachuma, Habakuka, Sofoniasza, Aggeusza, Zachariasza, Malachiasza. Wśród Pism są księgi Psalmów, Przysłów, Hioba, Rut, Koheleta, Estery, Daniela, Ezdrasza i Nehemiasza, dwie Księgi Kronik, Lamentacje Jeremiasza oraz Pieśń nad Pieśniami.

## FUNKCJE W SPOŁECZNOŚCI ŻYDOWSKIEJ

### RABIN

*Rabin* (רב) pochodzi od słowa *raw* (רַב), które oznacza 'wielki' lub 'ważny'. Jest to główna funkcja w judaizmie. Związane z nią obowiązki mogą się różnić zależnie od tego, dla jakiej instytucji i w jakiej społeczności pracuje rabin.

Niektórzy rabini są odpowiedzialni za administrację synagog. Prowadzą nabożeństwa, udzielają

ślubów, organizują pochówki, przygotowują do bar micw, sprowadzają specjalistów od obrzezań, kierują sprawy do bet dinu, wspierają finansowo, rozstrzygają problemy między członkami społeczności, radzą w sprawach żydowskiego prawa i prywatnych. Ci, którzy mają wiedzę, mądrość życiową i są bogobojni, cieszą się szacunkiem nie tylko wśród Żydów. O zatrudnieniu rabinu w synagodze decyduje rada synagogi, społeczności żydowskiej bądź gminy.

Inni rabini są nauczycielami. Mogą przekazywać swoje nauki w *chederze* czy *talmud torze*, czyli szkołach elementarnych, do których chodzą mali ortodoksyjni chłopcy, w *jesziwie*, jak nazywa się miejsce dla absolwentów chederu, czyli nastolatków i nieżonatych mężczyzn, albo w *kolelach*, czyli szkołach dla mężczyzn już żonatych, które w odróżnieniu od jesziw oferują drobne stypendia dla uczniów. Rabini uczą też w *midraszach*, czyli uczelniach żeńskich.

Są też rabini, którzy nie pracują w zawodzie.

Aby zostać rabinem, należy ukończyć odpowiednie studia i dostać *smichę*, czyli dyplom rabinacki.

W judaizmie ortodoksyjnym rabinami są mężczyźni. Chasydzi swoich rabinów nazywają *rebe* lub *cadykami*. W judaizmie konserwatywnym i reformowanym *smichę* rabinacką mogą otrzymać również kobiety – mówi się na nie rabinki lub raby.

Określenie *reb* funkcjonuje jako forma grzecznościowa wobec starszych mężczyzn, którzy niekoniecznie są rabinami.

Żony rabinów zwie się *rebecyn*. Ale tym mianem można też określić kobietę, której chce się okazać szacunek.

## KANTOR

*Kantor*, po hebrajsku zwany *chazanem* (חזן), to profesjonalny wokalista. Jego zadaniem jest towarzyszenie rabinowi podczas modlitw czy innych uroczystości, zwłaszcza w momentach, w których potrzebny jest donośny głos. Kantorzy często też śpiewają poza sytuacjami *stricte* religijnymi, na przykład w czasie koncertów. Chazanami najczęściej są mężczyźni, ale zdarzają się również kobiety, przede wszystkim wśród Żydów konserwatywnych, reformowanych czy całkiem świeckich.

Nie w każdej synagodze jest chazan. I nie każdy chazan przynależy do konkretnej synagogi.

## GABAJ

*Gabaj* (גבאי) to w języku hebrajskim ‘opiekun’ lub ‘skarbnik’. Zadania gabaja są różne, zależnie od miejsca, w którym pracuje.

Kiedyś jego rolą było zbieranie datków i składek od członków społeczności, a następnie rozdysponowywanie ich na potrzeby utrzymania bożnicy, ale też cmentarza, szpitala, szkół czy przytułków. Gabaj miał również obowiązek wesprzeć wszystkich potrzebujących ubogich tak, by nikomu niczego nie brakowało. Z czasem te zadania zostały przejęte przez bractwa dobroczynne oraz inne organizacje żydowskie.

Obecnie główną funkcją gabaja jest opieka nad synagogą i pilnowanie porządku modlitw.

## SZAMES

*Szames* po hebrajsku i w jidysz (שמש) to dosłownie ‘woźny’, a jego obowiązkiem jest dbanie o synagogę i przygotowanie jej do modlitw. W dawnych czasach zajmował się wręczaniem pozwów oraz ogłaszaniem postanowień władz danego państwa. Miał również za zadanie budzenie mężczyzn na nabożeństwa i obwieszczanie nadchodzącego szabatu i świąt.

## MOHEL

*Mohel* to mężczyzna, który dokonuje obrzeżania według wymogów religii żydowskiej. Jest wykwalifikowany medycznie i ma odpowiednią wiedzę i przygotowanie. W społecznościach bardziej nowoczesnych akceptowane są również mohelki.

## SOFER

*Sofer* (סופר) po hebrajsku oznacza ‘pisarza’. Pełni on funkcję skryby i zapisuje ważne dla Żydów teksty. Przepisuje na pergamin Torę, która jako Sefer Tora trafia do synagogi bądź innego miejsca modlitwy. Zajmuje się też pisaniem tekstów do mezuz i tefilinu, Megilat Ester – Księgi Estery czytanej na Purim, ketub (kontraktów ślubnych) oraz getów (dokumentów rozwodowych). Sofer do kaligrafowania używa specjalnie przyciętych gęsich piór i atramentu. Kiedyś korzystano z piór z bambusa i ten zwyczaj nadal kultywują Sefardyjczycy.

## MASZGIJACH

*Maszgijach* (משגיח) jest osobą pilnującą koszerności jedzenia. Zatrudnia się go w miejscach, w których przygotowywane są posiłki przeznaczone dla ortodoksyjnych Żydów. Jego zadaniem jest sprawdzanie, czy używane produkty spożywcze i naczynia spełniają wymogi koszernej prawa.

## SZOJCHET

*Szojchet* (שוחט) to człowiek, który zajmuje się *szchitą*, czyli koszerem ubojem. Jest odpowiednio wykwalifikowany i przeszkolony. Jego zadaniem jest przecięcie gardła bardzo ostrym nożem, tak by zwierzę umarło, zanim poczuje jakikolwiek ból. Jeżeli nie zostało zabite zgodnie z zasadami szchity, mięso nie jest koszerne ze względu na cierpienie zadane zwierzęciu w procesie uboju. Dlatego rzeźnicy każdorazowo starannie przygotowują się do wykonania zadania.

W przypadku bydła dodatkowo sprawdza, czy jego wnętrzności nie były uszkodzone.

## SZADCHAN / SZADCHANA

*Szadchan* (שדכן) oraz *szadchana* lub *szadchanit* (שדכנית) to osoby kojarzące pary. W dawnych czasach dobieraniem małżeństw zajmowali się za pośrednictwem swatów rodzice i krewni przyszłych małżonków. Współcześnie nadal w wielu społecznościach biorą w tym czynny udział. Dzieje się tak, ponieważ chłopcy i dziewczyny chodzą do osobnych szkół i nie mają szansy się ze sobą poznać. Dodatkowo młodzi rzadko cieszą się finansową niezależnością. Planowanie ślubu, wspólnego mieszkania czy przyszłości po części jest w rękach rodziców, którzy przez pierwsze lata wspierają swoje dzieci. Niezależnie od ich woli to para ma ostatecznie zdecydować, czy chce się pobrać czy nie.

Coraz częściej jednak kawalerowie i panny, zwłaszcza ci z długim singielskim stażem, biorą sprawy w swoje ręce i sami kontaktują się ze swatami lub szukają partnera\_ki na własną rękę. Obecnie istnieje kilka portali randkowych przeznaczonych dla Żydów, również tych ortodoksyjnych.

## BET DIN

*Bet din* lub *bejt din* (בית-דין) to po hebrajsku i w jidysz dosłownie ‘dom sądu’. Jest to instytucja religijna, w której skład wchodzi trzech *dajanów* – sędziów. Ma ona swoje pochodzenie już z czasów opisanych w Torze w Księdze Dwarim (Powtórzonego Prawa) 16,18: „Sędziów i urzędników ustanowisz sobie we wszystkich bramach twoich, które Wiekuisty, Bóg twój, da tobie w pokoleniach twoich, aby sądzili lud sądem sprawiedliwym”. Zadaniem tej instytucji jest sądzenie wedle żydowskiego prawa.

Żydzi na całym świecie podlegają prawu państwa, w którym mieszkają. Niektóre sprawy jednak nie mogą być rozstrzygnięte przez sąd państwowy, ponieważ dotyczą religii. Wtedy kieruje się je właśnie do bet dinu. Dajani na przykład decydują, czy dana osoba może dokonać konwersji i przejść na judaizm. Potrzebni są również podczas rozwodów czy innych tego typu spraw.

## SANHEDRYN

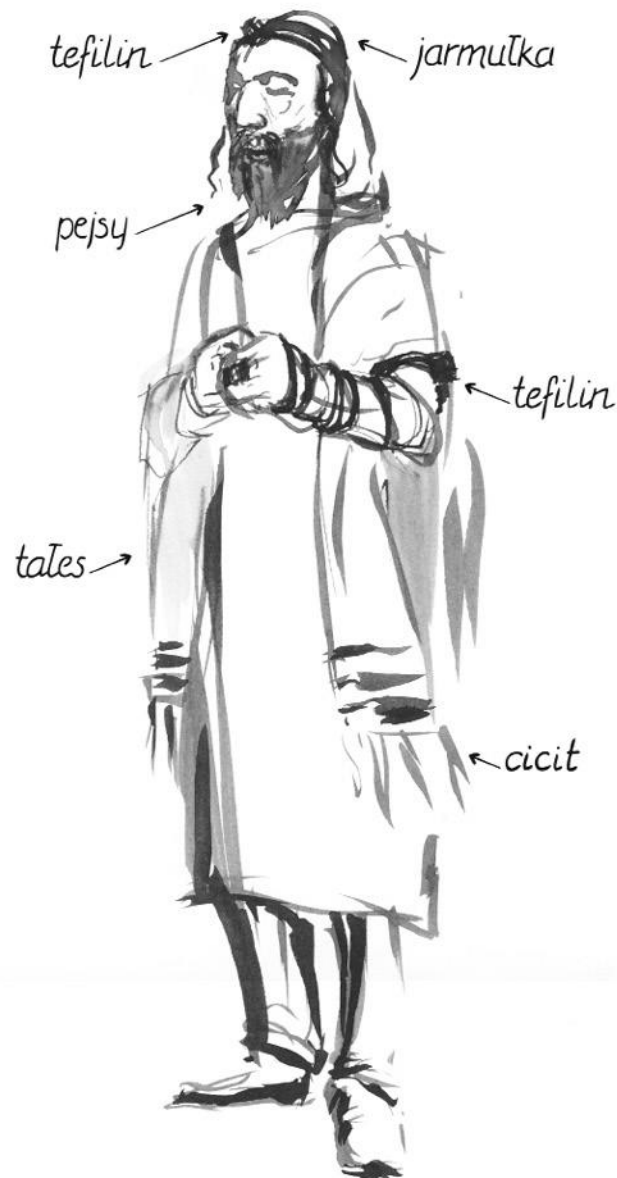
*Sanhedryn* (סנהדרין) po hebrajsku oznacza ‘posiedzenie’. Tak zwana Wysoka Rada składała się z siedemdziesięciu jeden mężczyzn i początkowo stanowiła organ doradczy przy królu lub arcykapłanie.

Z czasem stała się najwyższą żydowską instytucją religijną i sądowniczą w starożytnej Judei. Sanhedryn wspomniany jest po raz pierwszy w źródłach z 203 roku p.n.e. Najprawdopodobniej tradycja wywodzi się jeszcze z czasów Mojżesza, a wzmianki o niej można się doszukać się w Księdze Szemot (Wyjścia) 24,1: „A do Mojżesza rzekł: Podejź ku Wiekuistemu, ty i Ahron, Nadab i Abihu, i siedmdziesięciu ze starszyny Izraela; a wy uklonicie się zdala”. Sanhedryn przestał istnieć w IV wieku n.e.

## TRADYCYJNY UBIÓR MĘŻCZYZNY

### TeFILIN

*Tfilin* (תפילין), a z aramejskiego *tefilin*, oznacza ‘ozdoby’. Po polsku używa się nazwy *filakterie*. Nakaz zakładania tego elementu stroju obowiązuje mężczyzn powyżej trzynastego roku życia, a wywodzi się z Tory i pochodzi z trzech fragmentów – ze słów Księgi Szemot (Wyjścia) 13,9: „I niechaj ci to będzie znakiem na ręku twoim, i pamiątką między oczyma twojemi, – aby nauka Wiekuistego była w ustach twoich”, Księgi Dwarim (Powtórzonego Prawa) 6,8: „I nawiążesz je jako znak na rękę twoją, i niechaj będą przepaską między oczyma twojemi”, oraz 11,18: „I tak przyjmcie te słowa moje do serca waszego, i do duszy waszej; i nawiążcie je jako znak na rękę waszą, i niechaj będą przepaską między oczyma waszemi”.



Tefilin składa się z dwóch czarnych skórzanych pudełek. Są one wykonane z jednego kawałka skóry. Jedno pudełko, zwane *tefilin szel rosz*, zakłada się na głowę mniej więcej tam, gdzie zaczynają rosnąć włosy. Drugie, *tefilin szel jad*, na lewym ramieniu, a w przypadku mężczyzn leworęcznych na prawym. Wszystko przywiązane i połączone jest rzemieniem, którego końcówkę dodatkowo zawiązuje się na przedramieniu. W obu pudełkach znajdują się te same fragmenty Tory zapisane na pergaminie ręcznie przez soferę: z Księgi Dwarim (Powtórzonego Prawa) 6,4–9 i 11,13–21 – te same, które znajdują się w mezuzie, i te, które są pierwszą częścią modlitwy *Szma*, oraz z Księgi Szemot (Wyjścia) 13,1–10 i 11–16. W tefiline na ramieniu całość znajduje się na jednym kawałku, a w tefiline na głowę – na czterech osobnych.

Filakterie, tak jak tałas, zakłada się w trakcie porannych modlitw w dni powszednie. W szabat i święta mężczyźni noszą tałas, ale nie wkładają tefilinu. Po umieszczeniu pudełek w odpowiednim miejscu, ale przed zawiązaniem rzemienia na ręce, odmawia się odpowiednie błogosławieństwo.

## TALES

*Talit* po hebrajsku (טלית), a tałas z jidysz to sporej wielkości szal, który w judaizmie ortodoksyjnym zakładają mężczyźni podczas porannych modlitw. W judaizmie konserwatywnym i reformowanym kobiety również noszą tałas. Chustę wykonuje się z wełny lub jedwabiu. Najczęściej jest biała z czarnymi, granatowymi, rzadziej kolorowymi paskami oraz z dodatkowym haftem w części, która po założeniu oplata szyję. Tałas charakteryzują się tym, że ich rogi zakończone są nakazanymi przez Torę frędzlami zwanymi *cicit*.

Jest wiele zwyczajów związanych z tałasami. Kiedyś chowano w nich zmarłego właściciela, dzisiaj często służą za baldachim ślubny.

## CICIT

*Cicit* albo *cyces* (ציצית) to element podstawowego stroju religijnych Żydów. Nakaz noszenia go pochodzi z Tory z Księgi Be-midbar (Liczba) 15,38–41:

Powiedz synom Israela, a poleć im, aby zrobili sobie strzępki na krajach szat swoich, w pokoleniach swych, a nadawali na te strzępki narożne nić z błękitu. A niechaj to będzie dla was strzępką, abyście spoglądając nań wspominali na wszystkie przykazania Wiekuistego, i spełniali je, a nie unosili się za sercem waszém i za oczyma waszemi, za którymi się uganiacie; Abyście pamiętali i spełniali wszystkie przykazania Moje, a byli świętymi Bogu waszemu.

*Cicit* ma postać koszulki, zwanej *talit katan*, do której przywiązane są sznurki. Obowiązek jej noszenia dotyczy chłopców powyżej trzynastego roku życia, kiedy uzyskują dojrzałość religijną. Ale zwyczajowo już od trzecich urodzin przyzwyczajają się maluchy do dodatkowej części garderoby. Mężczyzna zakłada *cicit* podczas ubierania się i nosi je przez cały dzień.

*Cicitem* nazywa się też frędzle przy talicie zakładanym tylko na czas modlitw.

Sznurki najczęściej są białe. Niektórzy wplatają w nie nitki w kolorze *thelet*. Kiedyś uważano, że jest to purpura, lecz w rzeczywistości chodzi o błękit.

## PEJSY

*Pejsy* to pasma włosów wyrastające przy skroni, których się nie obcina, bo zakazuje tego Tora. W Księdze Wa-jikra (Kapłańskiej) 19,27 czytamy: „Nie podstrzygajcie kolisto boków głowy waszej, a nie psuj końców brody twojej”.

Długość *pejsów* jest indywidualna i zależna od mężczyzny, który je nosi. Niektórzy zostawiają długie i nigdy w żaden sposób nie przycinają włosów w tym miejscu. Inni mają krótsze, ale widoczne. Jeszcze inni mają boki całkiem gładkie. Rabini uznali, że ostrza golarki elektrycznej tną, a nie golą, dlatego jej używanie jest dozwolone.

Wśród wielu religijnych Żydów istnieje zwyczaj nieobcinania włosów małym chłopcom przez trzy lata od narodzin. Pierwsze postrzyżyny często są uroczyste i jest to pierwszy raz, w którym

u malucha uwidoczniają się pejsy. Zdarza się, że chłopcy zapuszczają je, póki nie mają zarostu. Wtedy zostawiają brodę, a pejsy lekko ścinają.

## JARMUŁKA

Słowo *jarmułka* pochodzi z języka jidysz i oznacza ‘nakrycie głowy’. Po hebrajsku mówi się na nią *kipa* (כִּיפָה), czyli dosłownie ‘kopuła’, a w jidysz *jarmulke* lub *mycka* (od niemieckiego *die Mütze* – ‘czapka’). Jest to czapeczka w postaci okrągłego kawałka materiału. Może być większa, zakrywająca znaczną część głowy, średnia – tylko na jej czubek, a nawet całkiem malutka. Jarmułki szyje się z aksamitu albo z innej tkaniny lub robi na szydełku. Niektóre są czarne, inne kolorowe. Zdarzają się też czapeczki z rysunkiem. Dzięki różnicom w wielkości, kolorze czy materiale, z jakiego jest wykonana, często można zakwalifikować danego Żyda do określonego odłamu judaizmu, a nawet do konkretnej grupy wyznaniowej.

Zakładanie jarmułki jest zwyczajem żydowskim pochodzącym prawdopodobnie ze Wschodu, gdzie właśnie zakryta głowa jest oznaką szacunku. Dlatego Żydzi jako służący Bogu i respektujący boskie przykazania noszą kipy. Duże przywiązanie do jarmułek również wśród mniej religijnych Żydów ma też związek z potrzebą wyróżniania się na tle nie-Żydów, wśród których, odwrotnie niż wśród Żydów, szacunek wyraża się przez odsłanianie głowy.

Niektórzy chasydzi na ważne okazje zakładają *sztrajmle*, czyli czapki zrobione z futra sobola tajgowego (a coraz częściej z jego imitacji), inni czarne kapelusze.

Prawdopodobne również, że ten zwyczaj nawiązuje do przekazów na temat stroju kapłana służącego w Świątyni Jerozolimskiej.

## ŻYDOWSKI DOM

## MYKWA

*Mykwa* (מִקְוֵה) to zbiornik wodny służący do rytualnego obmywania się. W czasach Świątyni Jerozolimskiej ofiary mogły składać tylko osoby, które były rytualnie czyste, czyli *tahor* (טהור). Osoba, która stała się *tame* (טמא), czyli weszła w stan rytualnej nieczystości, musiała odczekać odpowiedni czas i zanurzyć się w mykwie, co jest wypełnieniem przykazania zawartego w Torze, a dokładnie w Księdze Wa-jikra (Kapłańskiej) 11,36: „Wszakże źródło i studnia, jako zbiór wody, czyste zostaną”. Rytualną nieczystość wywoływały menstruacja i poród u kobiet, a u mężczyzn wytrysk, nieczysty był ponadto każdy, kto miał kontakt ze zwłokami, uprawiał seks albo zaobserwował na ciele nietypowe zmiany skórne.

Wraz ze zburzeniem Świątyni Jerozolimskiej przestano dzielić ludzi na duchowo czystych i nieczystych. Dzisiaj religijni Żydzi – na pamiątkę mykwy sprzed tysięcy lat i żeby symbolicznie się oczyścić – praktykują *netilat jadajim*, czyli obmywają ręce po przebudzeniu, po skorzystaniu z toalety oraz przed sięgnięciem po chleb.

Współcześnie Tora nakazuje korzystanie z mykwy tylko żydowskim mężatkom, na zakończenie nidy. W mykwie również regularnie zanurzają się niektórzy ortodoksyjni mężczyźni. Jedni codziennie przed poranną modlitwą, inni co piątek, przed szabatem, kolejni tylko w dni poprzedzające Jom Kippur. Niektórzy przed wykonaniem micwy, takiej jak obrzezanie, napisanie kawałka Tory czy przed ślubem. Dawno temu, w czasach kiedy prysznice w każdym domu nie istniały, pójście do mykwy było tożsame z korzystaniem z łaźni. Można w niej było nie tylko symbolicznie oczyścić się rytualnie, ale dosłownie zmyć z siebie brud całego tygodnia pracy.

Do mykwy wchodzi też każda osoba, która chce przejść konwersję na judaizm. Wchodzi jako nie-Żyd, wychodzi jako część narodu żydowskiego.

Zanurzenia w mykwie dokonuje się zupełnie nago, bez ubrania, zegarków, biżuterii, trzeba też być całkowicie czystym.

Jest jeszcze mykwa dla naczyń. Znacznie mniejsza niż ta używana przez ludzi. W żydowskich społecznościach często stawia się ją przy drodze, naprzeciwko supermarketów. Do wody wkłada się



przed pierwszym użyciem nowe garnki, talerze, kubki czy sztucce, które zostały wykonane przez nie-Żydów, oraz wszystkie inne utensylia służące do jedzenia.

Mykwa, żeby była koszerna, a przez to nadająca się do użytku, musi spełniać kilka wymogów. Konieczna jest określona ilość wody, czyli minimum 40 sea, to jest między 300 a 400 litrów (sea to miara objętości, według różnych źródeł odpowiada 7,3 lub 12,3 lub 13,5 litra), pochodzącej bezpośrednio ze źródła lub deszczówki. Nie może być dostarczana z kranu ani przynoszona w pojemnikach. Dlatego za mykwę może posłużyć ocean czy rzeka.

## NIDA

*Nida* (נידה) to czas między każdym krwawieniem z macicy (głównie z powodu menstruacji, porodu i porodu, ale również wywołanym poronieniem, aborcją lub chorobą) a pójściem do mykwy. W tym czasie małżeństwo nie współżyje, ponieważ zakazuje tego Tora we fragmencie pochodzącym z Księgi Wa-jikra (Kapłańskiej) 18,19: „A do kobiety podczas wydzielania się nieczystości jej nie przystępuj, abyś odkrył nagość jej”. Pary ortodoksyjne również się nie dotykają.

Zgodnie z żydowską tradycją istnieje przekonanie, że podczas współżycia małżonkom towarzyszy boska obecność. Ich ciała są niczym świątynia, a ich zbliżenie jest święte. Dlatego najpierw kobiety czekają, aż ustanie krwawienie z macicy. Muszą minąć cztery lub pięć dni, zależnie od pochodzenia etnicznego (odpowiednio aszkenazyjskiego lub sefardyjskiego). Od tego momentu kobiety czekają kolejnych siedem dni i idą do mykwy. Takie liczenie, 4 + 7 lub 5 + 7 dni, pochodzi z połączenia opisów znajdujących się w Torze, a mówiących o dwóch różnych przyczynach krwawienia. W pierwszym, w Księdze Wa-jikra (Kapłańskiej) 15,19, czytamy: „Niewiasta też, któraby miała upławy, a płynęłaby krew z ciała jej; przez siedm dni pozostanie w wydzielaniu się swoim; każdy, któryby się jej dotknął, nieczysty będzie do wieczora”, w drugim (tamże 15,25): „Jeżeliby też niewiasta miała upływ krwi przez wiele dni, nie w czasie słabości swojej, albo gdyby miała upływ po słabości swojej, – to przez cały czas upływu nieczystości jej, jako za dni słabości swojej, nieczystą będzie”.

## MEZUZA

*Mezuza* (מזוזה) po hebrajsku oznacza ‘futrynę drzwi’. Nazwa wzięła się od miejsca, w którym jest umieszczana. Nakaz przytwierdzenia mezuzy pochodzi z Tory i znajduje się dwukrotnie w tym samym brzmieniu w Księdze Dwarim (Powtórzonego Prawa) 6,9 i 11,20: „I napiszesz je na podwojach domu twego, i na bramach twoich!”.



W małym podłużnym pudełku umieszcza się zwitek pergaminu zapisany ręcznie przez sofera. Tradycyjnie tekst widnieje w 22 liniach i zawiera fragment z Księgi Dwarim 6,4–9 oraz 11,13–21. Oba fragmenty znajdują się też w modlitwie *Szma Israel*. Wywodzi się z nich również nakaz zakładania przez mężczyzn tefilinu.

Mezuzę przytwierdza się przy wejściu do domu oraz w każdym pokoju mieszkalnym, czyli sypialni, kuchni i salonie. Wyjątkiem są: toaleta i łazienka oraz bardzo małe pomieszczenia. Ponadto mezuzy wiszą przy synagogach, żydowskich instytucjach, a nawet w sklepach. Jedna z największych, wielkości dorosłego człowieka, wita przylatujących do Izraela i znajduje się na lotnisku w Tel Awiwie.

Mezuzę przybija się na wysokości głowy, na prawo od strony wejścia. W przedszkolach oraz w innych miejscach uczęszczanych przez dzieci czy osoby niewysokie będzie ona wisiała odpowiednio niżej.

W trakcie przytwierdzenia przedmiotu odmawia się odpowiednie błogosławieństwo.

## KOSZERNOŚĆ

*Koszerność*, *kaszrut*, a po hebrajsku *koszer* (כשר) oznacza dosłownie ‘właściwy’ lub ‘gotowy’. Odnosi się do wszystkiego, co jest zgodne z prawem żydowskim. *Trefne* to określenie na coś, co koszerne

nie jest. Te pojęcia najczęściej występują, kiedy mowa o produktach spożywczych. Ale można ich użyć również w odniesieniu do interesu, relacji, ubrania czy zachowania.

Koszerne zasady żywienia są jasno określone przez halachę i pochodzą w większości bezpośrednio z Tory.

Ssaki są koszerne, jeżeli są parzystokopytnymi przeżuwaczami. Prawo wzięło się z Księgi Wajikra (Kapłańskiej) 11,1–8:

I oświadczył Wiekuisty Mojżeszowi i Ahronowi, i rzekł im: „Powiedzcie synom Izraela tak: Oto zwierzęta, które jeść możecie, ze wszystkiego bydła, znajdującego się na ziemi: Wszelkie bydło mające rozdwojone kopyta, i rozszczepiające kopyta przecięcie, przeżuwające żulek, z pomiędzy bydła, – takie jeść możecie. Wszakże tych jadać nie będziecie z przeżuwających i mających rozdwojone kopyta: wielbłąda, ponieważ przeżuwa, ale rozdwojonych kopyt nie ma: nieczystym on dla was. I góralka, ponieważ przeżuwa, ale rozdwojonych kopyt nie ma: nieczystym on dla was. I zająca, ponieważ przeżuwa żulek, ale rozdwojonych kopyt nie ma: nieczystym on dla was. I wieprza, ponieważ ma rozdwojone kopyta i rozszczepiające kopyta przecięcie, ale przeżuwać nie przeżuwa: nieczystym on dla was. Mięsa ich nie jadajcie, a padliny ich się nie dotykajcie: nieczyste one dla was”.

Oraz z Księgi Dwarim (Powtózonego Prawa) 14,4–8:

Oto zwierzęta, które jadać możecie: woły, owce, i kozy, jelenia, sarnę, łanię, koziorożca, bawołu, antylopę i żubra. I wszelkie bydło z oddzielającym się kopytem, lecz z przecięciem rozszczepiającym je na dwa półkopyta, przeżuwające żulek, z pomiędzy bydła; takie jadać możecie; Wszakże tych jadać nie będziecie z przeżuwających żulek, albo z oddzielających kopyta rozszczepione: wielbłąda, zająca, i góralka, ponieważ choć przeżuwają żulek, jednak kopyt nie oddzielają: nieczyste one dla was. I wieprza – ponieważ choć oddziela kopyta, jednak żułka nie przeżuwa; nieczystym on dla was; mięsa ich nie jadajcie, a padliny ich się nie dotykajcie.

Do koszernych ssaków poza wymienionymi należy również krowa, za to niekoszerna jest konina.

Ryby są koszerne, jeżeli mają płetwy i łuski. Prawo pochodzi z Księgi Wajikra (Kapłańskiej) 11,9–12:

Oto co jeść możecie ze wszystkiego co w wodzie: wszystko co ma płetwy i łuski, w wodzie, w morzach albo rzekach, – to jeść możecie. Wszystko zaś co nie ma płetw i łuski, bądź w morzach, bądź w rzekach, ze wszystkiego, co się porusza w wodzie, i ze wszelkiej istoty żyjącej w wodzie, – obrzydliwością są dla was. I obrzydliwością niechaj zostaną dla was; mięsa ich nie jadajcie, a padliną ich brzydziecie się! Wszystko, co nie ma płetw i łuski, w wodzie, obrzydliwością jest dla was.

Oraz z Księgi Dwarim (Powtózonego Prawa) 14,9–10:

Oto co jeść możecie ze wszystkiego, co w wodzie: wszystko, co ma płetwy i łuski jadać możecie; Wszystkiego zaś, co nie ma płetw i łuski, jadać nie będziecie: nieczystym to dla was.

Do koszernych ryb należą między innymi łosoś, śledź, sardynka, flądra, karp, dorsz, pstrąg. Niekoszerne zaś są wszystkie owoce morza, węgorz, jesiotr, sum i rekin.

Ptaki są koszerne, jeżeli nie zostały wymienione w Torze jako trefne oraz nie są drapieżnikami. To prawo wzięło się z Księgi Wajikra (Kapłańskiej) 11,13–19:

Temi zaś brzydzić się będziecie z ptactwa, nie będą jadane, bo obrzydliwe są: orłem i kondorem i sępem. I sokołem i krogulcem według rodzaju ich; Każdym krukiem według rodzaju jego; I strusiem, i sową, i mewą i jastrzębiem, według rodzajów ich; I puchaczem i puszczykiem. I łyską i pelikanem i ścierwowcem. I czapłą i bekasem według rodzaju ich, i dudkiem i nietoperzem.

Podobne słowa pojawiają się w Księdze Dwarim (Powtózonego Prawa) 14,11–17. Do koszernych ptaków należą między innymi kura, indyk czy kaczka.

W tłumaczeniach Tory można dostrzec pewne różnice, kiedy wymieniane są przykładowe gatunki zwierząt koszernych i niekoszernych. Oryginał pochodzi sprzed tysięcy lat i dzisiaj trudno z całą pewnością ustalić, o jakie zwierzę chodziło. Co ciekawe, nietoperz został zakwalifikowany jako ptak. Z tego można wywnioskować, że albo w tych czasach za ptaka był uważany, albo że nie chodzi o nietoperza.

Żeby dozwolone ssaki i ptaki były koszerne, muszą zostać zabite w odpowiedni sposób poprzez szchitę przez szojcheta. W judaizmie nie praktykuje się mechanicznego uboju, rażenia prądem ani

ogłuszania. Nie można też zjeść zwierzęcia, które samo padło. O tym zakazie Tora wspomina między innymi w Księdze Dwarim (Powtórzonego Prawa) 14,21: „Nie jadajcie żadnej padliny”. Wnętrznosci ssaków są dodatkowo sprawdzane. Jeżeli są uszkodzone w taki sposób, że nie byłyby w stanie funkcjonować przez kolejny rok, mięso nie jest koszerne.

Krew jest niekoszerna, co wynika z Księgi Dwarim (Powtórzonego Prawa) 12,23–25:

Wszakże bądź wytrwałym, abyś nie pożywał krwi; albowiem krew – jest to dusza, a nie pożywaj duszy wraz z mięsem. Nie pożywaj jej; na ziemię wylewaj ją jako wodę! Nie pożywaj jej, aby dobrze się wiodło tobie, i synom twoim po tobie, gdybyś czynił, co godziwem w oczach Wiekuistego!

Żadne płazy i gady nie są koszerne, co wynika z fragmentu Księgi Wa-jikra (Kapłańskiej) 11,29: „A oto co nieczystym dla was z pomiędzy pełzających, które pełzają po ziemi: kret i mysz i jaszczurka według rodzajów ich”, i dalej w 11,41–44:

Wszelki płaz, który się czołga po ziemi, obrzydliwością jest: nie będzie jadany. Cokolwiek się czołga po brzuchu i wszystko, co pełza na czworakach, aż do wszystkich wielonożnych ze wszystkich płazów pełzających na ziemi, jadać ich nie będziecie, bo obrzydliwością są. Nie splugawiajcie dusz waszych którymkolwiek płazem czołgającym się, i nie zanieczyszczajcie się nimi, byście nie byli nieczystymi przez nie. Albowiem Ja Wiekuisty Bóg wasz: poświęcajcie się, a bądźcie świętymi, bom Ja święty, i nie zanieczyszczajcie dusz waszych żadnym płazem pełzającym na ziemi.

Trefne są również stawonogi, czyli wszelkie owady i skorupiaki z wyjątkiem czterech rodzajów szarańczy. A o tym mowa jest w Księdze Wa-jikra (Kapłańskiej) 11,20–23:

Wszelki rój skrzydlaty, chodzący na czworakach, obrzydliwością będzie dla was. Wszakże to jadać możecie ze wszystkich rojów skrzydlatych, chodzących na czworakach, mające stawy powyżej nóg, dla skakania nimi po ziemi. Te z nich jadać możecie: szarańczę według rodzaju jej, i solam według rodzaju jego, i chargol według rodzaju jego, i chagab według rodzaju jego. Ale wszelki inny rój skrzydlaty, czworonożny, – obrzydliwością będzie dla was.

Produkty pochodzące od zwierząt niekoszernych są trefne, a te od zwierząt koszernych tak jak one są zdatne do spożycia. Dotyczy to mleka, jajek czy ikry.

Produkty roślinne, takie jak warzywa, owoce, fasole, kasze, zboża, są zawsze koszerne. Wyjątek stanowią napoje robione na bazie winogron, takie jak wino, sok czy ocet. Ich produkcja podlega dodatkowemu nadzorowi.

Łączenie mleka z mięsem jest przez Torę zakazane. Wynika to z trzech jednakowych fragmentów: „Nie gotuj koźlęcia w mleku matki jego!”, które znajdują się w Księdze Szemot (Wyjścia) 23,19 i 34,26 oraz Księdze Dwarim (Powtórzonego Prawa) 14,21. Na tej podstawie rabini ustanowili, że skoro jeden zakaz powtórzono aż trzy razy, chodzić musi nie tylko o gotowanie, ale również o spożywanie w tym samym czasie oraz czerpanie korzyści z takiej mieszanki. Stąd dzieli się jedzenie na mięsne, z jidysz *fleszig*, a po hebrajsku *basari*, i mleczne, czyli *milchig* lub *halavi*. Jest jeszcze trzecia kategoria, czyli *parwe*. Do niej należy wszystko, co nie jest ani mięsne, ani mleczne, na przykład warzywa, owoce, kasze czy też jajka i ryby.

Te zakazy w zależności od społeczności przestrzegane są w różny sposób. Najbardziej restrykcyjni Żydzi po zjedzeniu mięsa, a przed spożyciem produktu mlecznego czekają sześć godzin (inni praktykują cztery godziny, dwie lub jedną). Po mleku czy jogurcie, a przed kurczakiem czy wołowiną wstrzymują się godzinę (niektórzy nie czekają wcale). Za to po serach twardych znacznie dłużej. Żydzi sefardyjscy nie łączą w jednym posiłku potraw mlecznych z rybami. Askenazyjczycy zaś akceptują takie połączenie. Obie grupy łączy jednak to, że nie spożywają mięsa z rybami w jednej potrawie ani w tym samym czasie. Zjedzenie ich jedno po drugim nie stanowi natomiast problemu.

W ortodoksyjnych domach znajdują się osobne naczynia, sztuce i garnki na produkty mleczne i osobne na mięsne. Czasem jeszcze dodatkowe na *parwe*. Również w lodówce będzie wydzielona część dla mięs i wędlin oraz kilka półek (niżej lub wyżej) dla nabiału.

Dodatkowo ortodoksyjni Żydzi dzielą jedzenie na to przygotowane przez Żyda oraz to, które ugotował nie-Żyd. Tej kwestii dotyczy wiele opinii rabinicznych. Każdą sytuację można rozpatrywać osobno. W zależności od posiłku, okoliczności, w jakich powstał, oraz innych przesłanek opinie na temat tego, czy dane jedzenie może zostać zjedzone przez ortodoksyjnych Żydów, każdorazowo są podzielone.

Poza znajomością wyżej wymienionych praw przydatne są pieczętki i certyfikaty, które widnieją na produktach sprawdzonych pod kątem koszerności. Można się też posiłkować licznymi listami, na których zebrano koszerne produkty dostępne w danym regionie i możliwe do nabycia w pobliskim sklepie.

## ASZKENAZYJCZYCY

*Żydzi aszkenazyjscy* (יהודי אשכנז) pochodzą z terenów Europy Wschodniej, Środkowej i części Zachodniej. Od XVII wieku wielu z nich mieszka w Ameryce. Nazwa pochodzi od biblijnego Aszkenaza, który był praprawnikiem Noego.

*Aszkenazim* nazywano początkowo ziemie zamieszkałe przez Scytów, czyli pierwotne królestwo Aszkenaza. Potem nazwą objęto Słowian, a od XI wieku żydowskich mieszkańców Europy Północnej i Niemiec. Możliwe, że zaczęło się od użycia tego słowa na określenie Niemiec, co wynikało z podobieństwa w brzmieniu do nazwy Saksonia. W tych czasach Aszkenazyjczycy stanowili zaledwie 3 procent ludności żydowskiej na świecie. Dziś jest to około 80 procent wszystkich Żydów, a około połowy Izraelczyków.

Językiem, którym posługiwali się Żydzi aszkenazyjscy, był i w niektórych społecznościach nadal jest jidysz.

Pochodzenie Żydów mieszkających w różnych częściach świata nie ma związku z ich religijnością. Natomiast obyczajowość rozwijała się odmiennie w zależności od położenia geograficznego. Dlatego Aszkenazyjczycy różnią się od Sefardyjczyków niektórymi zwyczajami, wymową hebrajskiego czy stylem modlitw.

## SEFARDYJCZYCY

*Żydzi sefardyjscy* (יהדות ספרד) pochodzą z terenów Półwyspu Iberyjskiego. W XV wieku zostali wygnani początkowo z Hiszpanii, następnie z Portugalii. Wskutek tego rozproszyli się po całym świecie. Współcześnie zalicza się do nich często Żydów Mizrahi. Nazwa *mizrachijczycy* (מזרחים) pochodzi od słowa „wschodni”. Określa Żydów arabskich, czyli zamieszkujących arabskie państwa w Azji Środkowej, Afryce Północnej czy na Bliskim Wschodzie.

Sefardyjczycy w odróżnieniu od Aszkenazyjczyków porozumiewali się w ladino, języku wywodzącym się z hiszpańskiego.

## ALFABET HEBRAJSKI

*Alfabet hebrajski*, czyli אֵלֶּף בֵּית עֵבֶרִי, co po hebrajsku brzmi *alef-ber iwri*, wywodzi się z jednego z najstarszych alfabetów, czyli aramejskiego, który jest podobny do alfabetu fenickiego. Czyta się go od prawej do lewej, inaczej niż alfabet łaciński.

Składa się z dwudziestu dwóch znaków – samych spółgłosek. Nie rozróżnia się liter małych i dużych. Wszystkie, i na początku zdania, i w środku, i przy nazwach własnych, pisane są w ten sam sposób. Jest za to różnica między wersją drukowaną a pisaną ręcznie. Niektóre litery mają inny wygląd na końcu słowa. Litera *cadi* na początku wyrazu i w środku ma następujący wygląd: צ, a na końcu słowa: ץ, dalej mamy pary: *pe/fe*: פ i ף, *chaf/kaf*: כ i ך, *mem*: מ i ם oraz *nun*: נ i ן.

Inne litery wymawia się inaczej (i inaczej nazywa), jeśli się umieści w ich wnętrzu albo obok kropkę. Na przykład ב = *wet* czytane jak *w*, ale ב z kropką to *bet* czytane jak *b*, כ = *chaf* to *ch*, ale כ z kropką to *kaf* – *k*, פ = *fe* – *f*, a פ z kropką to *pe* czytane jak *p*, ש to *s*, ale ש z kropką nad prawą rączką to *sz*.

W książkach dla dzieci, podręcznikach do nauki hebrajskiego, a czasem również w innych tekstach pod literami dodaje się często *nikudy*. Są to kropki i kreski, które wskazują właściwą wymowę. Na przykład w słowie *iwrit* (‘hebrajski’) zapisanym bez nikudów: עִבְרִית – kolejne literki (czytając od prawej do lewej) mogą przybrać dwojakie brzmienie: ע nieme lub jako samogłoska *i*, ב to *b* lub *w*, ר to *r*, י może być albo spółgłoską *j* albo samogłoską *i*, na szczęście końcowe ת to zawsze *t*. W zapisie z nikudami עִבְרִית wątpliwości znikają.

Cyfry po hebrajsku mają swój odpowiednik w alfabecie hebrajskim. Dzięki temu można obliczyć wartość numeryczną każdego słowa.

Litera drukowana	Litera drukowana na końcu słowa	Nazwa litery	Wymowa	Wartość numeryczna
א		alef	[ʔ], nieme lub któraś z samogłosek	1
ב		bet lub wet	[b] lub [v]	2
ג		gimel	[g]	3
ד		dalet	[d]	4
ה		hej	jako spółgłoska - [h]; jako samogłoska - [a]	5
ו		waw	jako spółgłoska - [v]; jako samogłoska - [u]	6
ז		zajin	[z]	7
ח		chet	[ch]	8
ט		tet	[t]	9
י		jud	jako spółgłoska - [j]; jako samogłoska - [i], [ɛ]	10
כ	ך	chaf lub kaf	[k], [χ]	20
ל		lamed	[l]	30
מ	ם	mem	[m]	40
נ	ן	nun	[n]	50
ס		samech	[s]	60
ע		ajin	jako spółgłoska - [ʃ] lub nieme; jako samogłoska - [a], [ɛ], [ɔ], [i]	70
פ	ף	pe lub fe	[p] lub [f]	80
צ	ץ	cadi	[ʦ]	90
ק		kuf	[k], [q]	100
ר		resz	[r]	200
ש		szin	[sz] lub [s]	300
ת		taw	[t]	400

## JĘZYK HEBRAJSKI

*Język hebrajski*, po hebrajsku *iwrit* (עברית), powstał kilka tysięcy lat temu. Przez pokolenia był używany tylko podczas modlitw i studiowania religijnych ksiąg, czyli Tory, Miszny i większości literatury rabinicznej, stąd też nazwa *leszon ha-kodesz*, czyli święty język. Na co dzień posługiwano się jidysz lub ladino – w zależności od miejsca zamieszkania. Chociaż rabini i inteligencja zawsze pisali po hebrajsku, w stylu talmudycznym. Pod koniec XVIII wieku starożytny hebrajski zaczął przenikać do mowy codziennej. W ten sposób powstał hebrajski, którym z czasem zaczęto się porozumiewać nie tylko w synagodze, ale też na ulicy. W całym procesie nie małą rolę odegrał Eliezer ben Jehuda, którego uważa się za głównego bohatera całej przemiany.

Dzisiaj hebrajski jest urzędowym językiem państwa Izrael, ale posługują się nim nie tylko Izraelczycy. Jego znajomość jest powszechna wśród większości Żydów, nawet tych rozproszonych po całym świecie, ponieważ zarówno Tora, jak i codzienne modlitwy zapisane są po hebrajsku.

### JĘZYK JIDYSZ

*Język jidysz* (יידיש) oznacza dosłownie ‘żydowski’ i tak też często w Polsce jest określany. Bazuje na dialektach niemieckich, słowiańskich, romańskich oraz języku hebrajskim. Zapisuje się go alfabetem hebrajskim. Jidysz powstał około X stulecia w Niemczech. Do wieku XVIII używany był przez Żydów aszkenazyjskich do załatwiania zwykłych spraw i w trakcie codziennych rozmów. Stąd też nazwa *mameloszn*, czyli język matczyzny. Współcześnie został w dużej większości zastąpiony przez hebrajski, chociaż w Izraelu, USA i Europie nadal istnieją bardzo ortodoksyjne społeczności, które na co dzień korzystają z jidysz.

Takie polskie słowa, jak: *ksywka*, *bachor*, *git*, *plajta*, *harmider*, *bajzel*, *frajda*, *fanaberia*, *ferajna*, *mamona*, *melina* – oraz wiele innych – pochodzą z jidysz.

### JĘZYK LADINO

*Język ladino* (לאדינו) powstał jako dialekt języka hiszpańskiego w XV wieku, kiedy Żydzi zostali wypędzeni z Półwyspu Iberyjskiego. Był używany przez Żydów sefardyjskich i zapisywany alfabetem hebrajskim. Obecnie bardzo mało osób zna ten język, a jego pisownię zdominował alfabet łaciński. Oba dialekty, jidysz i ladino, łączy wiele takich samych słów, które pochodzą z hebrajskiego.

### SYNAGOGA I MODLITWA

### BŁOGOSŁAWIENSTWA

Błogosławieństwa – po hebrajsku *brachot* (ברכות) – są zaraz obok żydowskich modlitw nieodłączną częścią judaizmu. Wypowiada się je przy każdej możliwej okazji. Jedne częściej, inne rzadziej, jeszcze inne raz na jakiś czas. Większość zaczyna się hebrajskimi słowami: „...” ברוך אתה, מלך העולם, czyli „Błogosławiony jesteś, Boże, Królu świata...”. Potem następuje część mówiąca o czynności, jaką się wykonuje, lub o odbywającym się zdarzeniu.

Są brachy odmawiane rano, zanim rozpocznie się dzień. Pierwszą z nich, którą powinno się zmówić, jeszcze leżąc w łóżku, jest *Mode ani*, czyli podziękowanie, że dusza została nam zwrócona po nocy, którą spędziła w wyższych sferach. Następnie jest *Netilat jadaim*, czyli kilka słów przy obmyciu rąk, które się praktykuje zaraz po przebudzeniu, po skorzystaniu z toalety, przed zjedzeniem chleba. Mężczyźni dodatkowo odmawiają modlitwy podczas zakładania tałesu i cicit oraz wiązania tefilinu. Kolejno następują modlitwy dłuższe lub krótsze w zależności od tego, czy modli się mężczyzna, dla którego jest to religijny obowiązek (oraz czy robi to sam czy z minjanem), czy kobieta.

W ciągu dnia odmawia się krótkie błogosławieństwa przed posiłkami i po nich. Brachy przed jedzeniem przypisane są do sześciu kategorii: 1) wino i sok z winogron, 2) chleb i inne pieczywo, 3)

produkty mączne, 4) rośliny, których jadalne części rosną w ziemi i nad ziemią, i osobno 5) owoce, które rosną na drzewach, a na koniec 6) wszystko inne: mięso, mleko, napoje i wszelkiego rodzaju przetworzone rzeczy. Modlitwa po jedzeniu również zależy od tego, co się jadło: jedna jest zarezerwowana dla chleba, druga dla produktów z winogron, ze zbóż oraz z owoców Izraela, trzecią zaś odmawiamy po każdym innym pokarmie.

Z okazji szabatów i świąt jest kilka błogosławieństw – pierwsze wymawia się chwilę przed ich rozpoczęciem, na zapalenie świeczek, później następują kidusz nad winem oraz hawdala nad wonnościami i światłem.

W trakcie każdego święta odmawia się osobne błogosławieństwa. Na przykład na dęcie w szofar w Rosz ha-Szana, trzęsienie lulawem i siedzenie w szałasie w Sukot, zapalenie świeczek w Chanukę, czytanie Księgi Estery w Purim, szukanie chamecu przed Pesach, a w jego trakcie błogosławienie gorzkich ziół.

Są jeszcze osobne brachy na: przytwierdzenie mezuzy, korzystanie z mykwy, ładne zapachy, widok tęczy, kwitnące krzaki, grzmot, dobrą nowinę, czyjaś śmierć, nadejście nowego, podróż oraz ochronę przed niebezpieczeństwem.

## AMIDA

*Amida* (עמידה) po hebrajsku oznacza ‘stanie’, a nazwa bierze się od tego, że w całości odmawia się ją na stojąco. Jest to jedna z głównych, obok *Szma Israel*, modlitw religii żydowskiej. Jest podstawową częścią wszystkich trzech codziennych modlitw, czyli porannego *szacharitu*, popołudniowej *minchy* oraz wieczornego *maariwu*.

Amida powstała pod koniec I wieku (kalendarza gregoriańskiego) i współcześnie zastępuje składanie ofiar, którego dokonywano w czasach Świątyni Jerozolimskiej. Tę modlitwę można również nazywać *Szmone esre* (שמנה עשר), czyli dosłownie ‘osiemnaście’, bo tyle błogosławieństw zawierała początkowo. Teraz jest ich dziewiętnaście.

W szabaty, w Rosz Chodesz oraz w święta w ciągu dnia dodawana jest czwarta amida zwana musafem, która ma tylko siedem błogosławieństw. Odmawia się ją zawsze po porannym czytaniu Tory. Raz w roku, w Jom Kippur, amid jest w sumie pięć – piąta, odmawiana tuż przed końcem postu, to *neila*, najważniejsza modlitwa w roku.

## SZMA

*Szma Israel* (שמע ישראל), czyli pełna nazwa modlitwy, dosłownie oznacza po hebrajsku: *Słuchaj, Izraelu*, i pochodzi od pierwszych jej słów. Jej całość stanowią słowa z Księgi Dwarim (Powtórnego Prawa) (te same, które zapisuje się w mezuzie i w tefilinie) 6,4–9:

Słuchaj, Izraelu! Wiekuisty, Bóg nasz, Wiekuisty – jedyny! A będziesz miłował Wiekuistego, Boga twojego, całym sercem twoją, i całą duszą twoją, i całą mocą twoją. I niechaj będą słowa te, które ci przykazuję dzisiaj, na sercu twoim! I wpajaj je dzieciom twoim, i rozmawiaj o nich, bawiąc w domu twoim, i idąc drogą, i kładąc się, i wstawając. I nawiążesz je jako znak na rękę twoją, i niechaj będą przepaską między oczyma twojemi. I napiszesz je na podwojach domu twego, i na bramach twoich!

i 11,13–21:

I stanie się, gdy słuchać będziecie przykazań moich, które przykazuję wam dzisiaj, abyście miłowali Wiekuistego, Boga waszego, i służyli mu całym sercem waszym, i całą duszą waszą, – Dam wtedy deszcz ziemi waszej w czasie swoim, wczesny i późny; i będziesz zbierał zboże twoje, i wino twoje, i oliwę twoją; Dam też trawę na polu twoim dla bydła twego; i będziesz jadł, a nasycisz się. Strzeżcie się, aby się nie dało uwieść serce wasze, abyście nie odstępili, i służyli bogom innym, i korzyli się im; Inaczej wspanie gniew Wiekuistego na was, i zamknie On niebo, i nie będzie deszczu, ziemia też nie wyda plonu swego; a zginiecie rychło z ziemi pięknej, którą Wiekuisty oddaje wam! I tak przyjmcie te słowa moje do serca waszego, i do duszy waszej; i nawiążcie je jako znak na rękę waszą, i niechaj będą przepaską między oczyma waszemi; A nauczajcie ich synów waszych, mówiąc o nich, gdy siedzisz w domu twoim, i gdy pójdziesz drogą, i gdy położysz się, i gdy wstaniesz; I napiszesz je



na podwojach domu twego, i na bramach twoich: Aby umnożyły się dni wasze, i dni synów waszych na ziemi, którą zaprzysiągł Wiekuisty ojcom waszym, – oddać im, ile dni niebo nad ziemią.

Oraz z Księgi Be-midbar (Licz) 15,37–41:

I oświadczył Wiekuisty Mojżeszowi, i rzekł: „Powiedz synom Izraela, a poleć im, aby zrobili sobie strzępki na krajach szat swoich, w pokoleniach swych, a nadawali na te strzępki narożne nic z błękitu. A niechaj to będzie dla was strzępką, abyście spoglądając nań wspominali na wszystkie przykazania Wiekuistego, i spełniali je, a nie unosili się za sercem waszém i za oczyma waszemi, za którymi się uganiacie; Abyście pamiętali i spełniali wszystkie przykazania Moje, a byli świętymi Bogu waszemu. Jam Wiekuisty, Bóg wasz, którym wywiódł was z ziemi Micraim, aby być wam Bogiem; Jam Wiekuisty, Bóg wasz!”.

Całe *Szma* odmawia się podczas szacharitu i maariwu, czyli modlitw porannej i wieczornej. Słowa wypowiada się indywidualnie, bez przerwy i w skupieniu, na tyle głośno, by słyszeć samego siebie. W trakcie pierwszych słów zasłania się oczy, co symbolizuje porażającą światłość Izraela. Niektórzy trzymają dłoń na oczach lub zaciskają powieki przez całą modlitwę, by lepiej się skupić.

Pierwszy fragment powtarza się znacznie częściej – nie tylko podczas obowiązkowej modlitwy, ale też przy różnego rodzaju innych okazjach. Będzie to także jedno z pierwszych zdań, których religijne żydowskie dziecko nauczy się na pamięć.

## KADISZ

*Kadisz* albo *kadysz* (קדיש) po hebrajsku oznacza ‘uświęcać’. Jest to jedna z najważniejszych modlitw żydowskich, której odmówienie wymaga kworum zwanego minjanem.

Jest kilka różnych rodzajów kadiszu. Niektóre mówi się częściej, inne rzadziej. Jeszcze kolejne podczas pogrzebu i w czasie żałoby.

## SYNAGOGA

*Synagoga*, inaczej *bożnica*, z jidysz *szul* lub *szul* (שול), co w dokładnym tłumaczeniu oznacza ‘szkoła’, po hebrajsku zaś *bejt kneset* (בית כנסת) – ‘dom zgromadzenia’, *bejt midrasz* (בית מדרש) – ‘dom nauki’ lub *bejt tefila* (בית תפילה) – ‘dom modlitwy’. Jest to miejsce, w którym Żydzi przede wszystkim się modlą. Ale w synagogach odbywają się również śluby, bar micwy, obrzezania oraz uroczyste posiłki z okazji szabatu lub święta. Wyjątkiem są obrządki związane z pochówkiem odprawiane na cmentarzach, w domach przedpogrzebowych.



Synagoga ma dosyć prostą budowę, ale musi spełniać pewne wymogi. Przede wszystkim znajdują się w niej zwoje Tory, które się umieszcza w *aron ha-kodesz*, co oznacza po hebrajsku ‘świętą szafę’. Aron ha-kodesz wbudowany jest w ścianę lub stoi zaraz przy niej w takim miejscu, aby modlący się, stojąc do niej przodem, skierowani byli w kierunku Jerozolimy, gdzie kiedyś stała świątynia. Na aron ha-kodesz wisi *parochet*, czyli zdobiona (często haftowana) zasłona.

Na środku synagogi stoi *bima*. Jest to podwyższenie, czasem dodatkowo obudowane. Na nim znajduje się spory pulpit, na którym wykładana jest Tora podczas czytania i niektórych nabożeństw. Często bima towarzyszy *amud*, czyli mały pulpit dla kantora czy rabina.

W pobliżu miejsca przechowywania Tory umieszczone jest *ner tamid*, czyli dosłownie ‘wieczne światło’. Przypomina nam o cudzie, który regularnie zdarzał się w świątyni, a polegał na tym, że płomień w menorze nigdy nie gasł. Kiedyś była to świeca, dzisiaj jest to zwykła lampka, która pali się bez przerwy. Również mniej więcej w tym miejscu stoi *menora*, czyli siedmioramienny świecznik na pamiątkę tego opisanego w Torze i tego, który stał w Świątyni Jerozolimskiej.

W synagogach ortodoksyjnych opisane elementy znajdują się w części dla mężczyzn. Kobiety siedzą w osobnym miejscu zwanym *ezrat naszim*, czy potocznie babiniec. Babiniec umiejscowione są albo na drugim piętrze, albo w formie balkonu obiegającego synagogę, tak by modlące się mogły obserwować wszystko z góry. Niekiedy na tyłach części męskiej, a czasem z boku odgródzone parawanem lub zasłonką. Dzieci poruszają się dowolnie między salami.

Wnętrza synagog są najczęściej skromne, pozbawione obrazów i zdobień. Można, choć rzadziej, spotkać również miejsca modlitw bogato zdobione, z malowidłami naściennymi.

## MINJAN

*Minjan* (מנין) to modlitwne kworum złożone z minimum dziesięciu dorosłych (mających więcej niż trzynaście lat) Żydów. Jest niezbędne między innymi przy odmawianiu kadiszu oraz podczas czytania Tory, które odbywa się w synagodze w poniedziałki, czwartki i soboty.

W judaizmie konserwatywnym i reformowanym do minjanu dopuszczane są również kobiety.

## ŚWIĄTYNIA JEROZOLIMSKA

Świątynia, po hebrajsku *Bejt ha-Mikdasz* (בֵּית הַמִּקְדָּשׁ), została szczegółowo opisana w Torze. Stąd

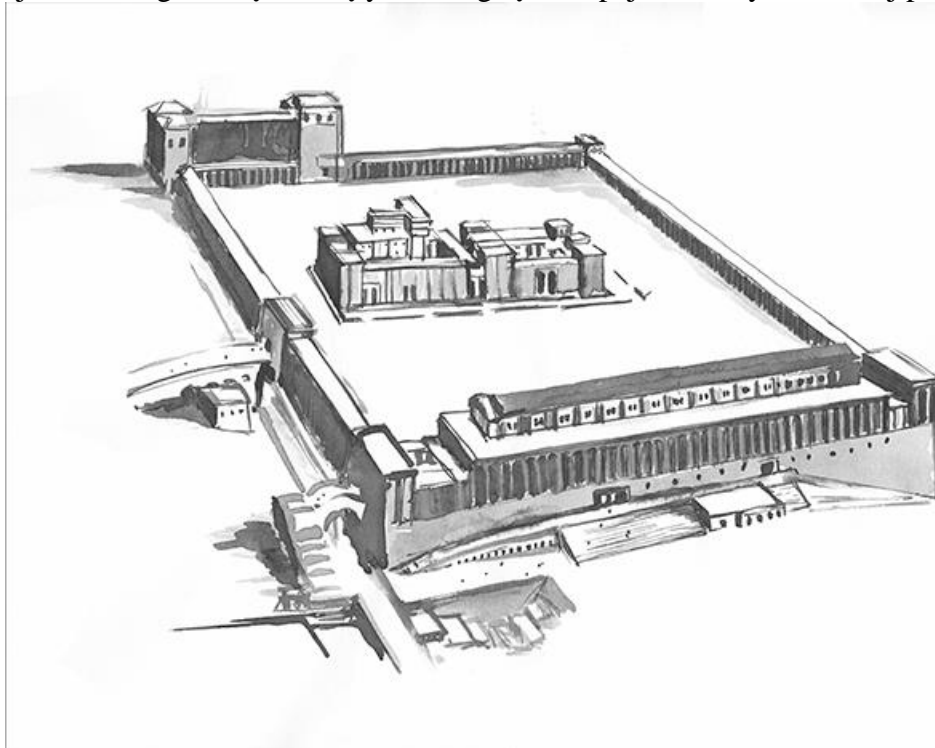
wiemy, jak wyglądała z zewnątrz, a jak wewnątrz oraz gdzie znajdowało się pomieszczenie zwane *Święte Świętych* (קודש הקודשים). W nim stała *Arka Przymierza*, czyli ozdobna skrzynia, w której przechowywano tablice z wrytym na nich Dekalogiem. Po tym jak Izraelici zostali wyswobodzeni z niewoli egipskiej, podczas wędrówki do obiecanej im ziemi Kanaan, Arka noszona była na ramionach kapłanów. Kiedy znaleźli się w Kanaanie, przeniesiono ją na wóz. Na czas odpoczynku budowano *Miszkán* (przenośną świątynię) i tam umieszczano skrzynię.

Kiedy król Salomon postawił murowaną świątynię, tablice znajdujące się w Miszkanie zostały do niej przeniesione i umieszczone w Świętym Świętych. Do niego wstęp miał tylko arcykapłan, w dodatku jedynie raz do roku, w święto Jom Kippur.

Świątynię za czasów króla Salomona budowano siedem lat, do roku 966 p.n.e. Stanęła w miejscu, które król Dawid wskazał jako to, gdzie Abraham miał złożyć Iczhaka (Izaaka) w ofierze. Po kilkuset latach – w 586 roku p.n.e. – została zniszczona przez wojska babilońskiego króla Nabuchodonozora II. Wtedy też Arka zaginęła bezpowrotnie.

W roku 520 p.n.e. zaczęto budowę Drugiej Świątyni i ukończono ją w 515 roku. Nie była tak okazała i tak duża jak jej poprzedniczka. Chociaż nie było już Arki, pomieszczenie Święte Świętych powstało również w tym miejscu i pełniło takie same funkcje jak w poprzedniej.

W II wieku p.n.e., za czasów Antiocha IV Epifanesa, Świątynia została przekształcona w ośrodek kultu Zeusa. Kres profanacji oraz oczyszczenie Świątyni przyniosło powstanie Machabeuszy. W roku 63 p.n.e. do miejsca zwanego Święte Świętych wtargnął Pompejusz, który wcześniej podbił Jerozolimę.



Za panowania Heroda Wielkiego Świątynia została całkowicie rozebrana i w ciągu dziesięciu lat postawiona na nowo. Nazywano ją świątynią Heroda. Została zburzona przez Rzymian w 70 roku n.e.

Dzisiaj Żydzi upamiętniają te zdarzenia całodniowym postem Tisza be-Aw, który ma charakter żałobny.

Jedyną pozostałością po świątyniach jest kawałek muru. Znany jako Ściana Płaczu, przyciąga tłumy wyznawców judaizmu i turystów. Nie ma realnych planów na zbudowanie Trzeciej Świątyni. Na terenach, na których prawdopodobnie znajdowało się Święte Świętych, muzułmanie postawili meczet Omara określany też mianem Kopyły na Skale.

Zwolennicy teorii, która głosi, że Świątynia stała kawałek dalej, bo między Kopyłą a meczetem Al-Aksa, uważają, że odbudowa jest możliwa.

# ŚWIĘTA

## SZABAT

*Szabat* (שַׁבָּת), zwany też szabasem, pochodzi od czasownika „zaprzestać”. To ostatni dzień tygodnia, który należy uroczysto świętować na pamiątkę tego, że Bóg stworzył świat w sześć dni, a siódmego odpoczął, jak jest napisane w Księdze Be-reszit (Rodzaju) 2,2: „I skończył Bóg dnia siódmego dzieło Swoje, które uczynił, i odpoczął dnia siódmego po całym dziele Swojem, które uczynił”, oraz że wyprowadził Izraelitów z Egiptu. Nakaz obchodzenia szabatów pochodzi z Tory. Przeczytać o nim można w Księdze Szemot (Wyjścia) 20,9–10:

Sześć dni pracuj, i wykonywaj wszelką robotę twoją; Ale dzień siódmy Sabbat Wiekuistemu, Bogu twojemu: nie czyn żadnej roboty, ani ty, ani syn, ani córka, ani sługa, ani służebnica twoja, ani bydło twoje, ani przychodzień, który w bramach twoich,

oraz Księdze Dwarim (Powtórzonego Prawa) 5,12–15:

Przestrzegaj dnia Sobotniego, abyś go święcił, jako rozkazał ci Wiekuisty, Bóg twój! Sześć dni pracuj, i wykonywaj wszelką robotę twoją; Ale dzień siódmy – Sabbat Wiekuistemu, Bogu twojemu, – nie czyn żadnej roboty, ani ty, ani syn twój, ani córka twoja, ani sługa twój, ani służebnica twoja, ani wół, ani osieł twój, ani żadne bydło twoje, ani obcy, który w bramach twoich, aby wypoczął sługa twój, i służebnica twoja, jako i ty. A pamiętaj, żeś niewolnikiem był w ziemi Micraim, i wywiódł cię Wiekuisty, Bóg twój, z tamtąd ręką przemożną, i ramieniem wyciągniętym, a przeto przykazał ci Wiekuisty, Bóg twój, obchodzić dzień Sobotni!

Szabat trwa od zachodu słońca w piątek do zachodu w sobotę, póki na niebie nie pokażą się trzy gwiazdy, ponieważ wszystkie dni w kalendarzu żydowskim zaczynają się i kończą wraz z nastaniem ciemności. Dokładna godzina zależy od położenia na kuli ziemskiej oraz od pory roku.

Podstawowym elementem szabatów jest zapalenie świeczek, jeszcze zanim się ściemni. Jest to *micwa* kobiet, a jej wypełnienie zależy od zwyczajów danej rodziny. W niektórych zajmuje się tym tylko pani domu. W innych zarówno matka, jak i córki. Jeżeli w domostwie nie ma żadnej kobiety, świeczki zapala mężczyzna. Muszą być co najmniej dwie. Symbolizują dwa słowa: przestrzeganie i pamiętanie – oba odnoszą się do szabatów. Może być ich jednak więcej, na przykład tyle, ilu jest członków rodziny.

Po wieczornych modlitwach śpiewa się przy stole kilka piosenek. Po nich odmawia się *kidusz*, czyli świąteczne błogosławieństwo nad winem podawanym podczas piątkowej kolacji. Potem następują rytualne umycie rąk, pobłogosławienie dwóch bochenków chleba i uroczysta kolacja. Nazajutrz, w sobotę, po porannych modlitwach schemat się powtarza. *Kidusz* (jego słowa różnią się od modlitwy odmawianej w piątek wieczorem), mycie rąk, błogosławienie chleba i posiłek. Po południu, jeszcze zanim się ściemni, spożywa się trzeci posiłek, również z pieczywem, ale już bez *kiduszu*. Kiedy całkiem zachodzi słońce, szabat się kończy i celebrowane jest *hawdalę*. Składa się ona z kilku błogosławieństw: nad winem, nad wonnościami i nad ogniem. W odpowiedniej chwili *hawdali* każdy uczestnik dostaje do ręki *besamim*, czyli coś ładnie pachnącego. Można w pojemniku specjalnie do tego przeznaczonym przechowywać goździki i cynamon, gałązkę mirtu, by zawsze w szabat były pod ręką, lub użyć czegośkolwiek innego. Kiedy już wszyscy powąchają wonności, następuje moment podniesienia świeczki, którą zwyczajowo przez całą uroczystość trzyma najmłodszy uczestnik. *Hawdalowa* świeca jest charakterystyczna, bo ma kilka złączonych ze sobą knotów. Wszyscy podnoszą ręce do ognia i przyglądają się swoim palcom. Powinni być na tyle blisko płomienia, aby móc odróżnić skórę od paznokcia. Na koniec nalewa się trochę wina na talerzyk i w nim gasi się płomień. Niektórzy chasydzi jedzą jeszcze czwarty posiłek, już po zakończeniu szabatów, by dodatkowo wydłużyć świętowanie.

Podstawowym celem szabatów jest radość, a nawet rozkosz płynąca ze spędzania czasu z rodziną oraz powstrzymanie się od pracy, a dokładniej *melachy*.

Zwyczajowym szabatowym pozdrowieniem jest *Szabat Szalom*, co oznacza ‘szabat w pokoju’, w jidysz *Gut Szabes*, czyli ‘dobrego szabatów’. Na zakończenie całonocnego świętowania życzy się *Szawua tow* (po hebrajsku) lub *A gite woch* (w jidysz), co znaczy ‘dobrego tygodnia’.

## MELACHA

Słowo *melacha* pojawia się w opisie stwarzania świata. Jest też określeniem na wszelkie czynności, które były wykonywane przy budowie *Miszkanu* (przenośnej świątyni) podczas wędrówki Izraelitów przez pustynię. Dzisiaj są to rzeczy, których nie wykonuje się ani w szabat, ani w dni świąteczne zwane *jom towami*. Nie zawsze jest tożsama z tym, co współcześnie uważa się za pracę.

## ROSZ CHODESZ

*Rosz Chodesz* (רֹשׁ חֹדֶשׁ) po hebrajsku znaczy dosłownie tyle co ‘głowa miesiąca’. Przypada w nowiu i rozpoczyna kolejny żydowski miesiąc, który ma dwadzieścia dziewięć lub trzydzieści dni. Świątuje się go pierwszego dnia każdego miesiąca spośród tych krótszych i pierwszego oraz ostatniego w te dłuższe.

Siedem razy w ciągu dziewiętnastu lat dodaje się dodatkowy (trzynasty) miesiąc. Zaczynając od Nowego Roku, mamy: tiszri, cheszwan, kislew, tewet, szwat, adar, adar II (w roku przestępnym), nisan, ijar, siwan, tamuz, aw, elul.

Nakaz, by święto obchodzić uroczyście, pojawia się w Torze, w księgach Szemot (Wyjścia) 12,1–2: „I oświadczył Wiekuisty Mojżeszowi i Ahronowi w ziemi Micraim i rzekł: »Miesiąc ten, będzie wam początkiem miesiący; pierwszym on dla was z miesiący roku!«”, oraz Be-midbar (Liczba) 10,10: „W dzień téż radości waszej, i w uroczystości wasze, i na nowiu miesiący waszych – uderzać wam w trąby przeciągle przy całopaleniach waszych i przy ofiarach waszych opłatnych – a będzie to wam wspomnieniem przed Bogiem waszym”.

W starożytności nadejście Rosz Chodesz ogłaszał Sanhedryn na podstawie zeznań świadków, którzy widzieli nów. Następnie informacja, że rozpoczął się nowy miesiąc, była przekazywana z Jerozolimy do odległych gmin. Robiono to za pomocą ognisk palonych na szczytach gór. Jeśli mieszkańcy danego miasta dojrzeli blask płomienia, rozpalali ogień u siebie. Przechodził on w ten sposób od szczytu do szczytu, póki wiadomość nie dotarła do najdalszego miejsca zamieszkiwanego przez Żydów.

W czasach, kiedy stała jeszcze Świątynia Jerozolimska, z okazji Rosz Chodesz składano specjalne ofiary. Współcześnie odmawia się *musaf* – specjalną, dodatkową czwartą modlitwę. Dodaje się również odpowiedni fragment do części błogosławieństw po posiłku. Przyjęło się też obchodzić wówczas Dzień Kobiet. To dla nich nagroda za to, że niechętnie oddawały biżuterię, kiedy wypalano złotego cielca. Dawniej swoje święto obchodziły poprzez ograniczenie pracy czy dodatkowe przyjemności. Jak to dokładnie wyglądało, zależało od tradycji danego domu i mieszkających w nim pań. Dzisiaj nadal Rosz Chodesz funkcjonuje w żydowskich społecznościach. Jest to czas kobiecych spotkań, wykładów, warsztatów.

## ROSZ HA-SZANA

*Rosz ha-Szana* (רֹשׁ הַשָּׁנָה) po hebrajsku oznacza dosłownie ‘głowę roku’. W Polsce znane jest również pod nazwą Święta Trąbek, a w żydowskich pismach pojawia się jako: *Jom ha-Din*, czyli Dzień Sądu, *Jom ha-Zikaron*, czyli Dzień Pamiętania, lub *Jom Terua*, czyli Dzień Dęcia w Szofar. Są to pierwsze dwa dni w kalendarzu żydowskim, czyli 1 i 2 tiszri, które w kalendarzu gregoriańskim wypadają we wrześniu lub na początku października.

Rosz ha-Szana obchodzi się na pamiątkę stworzenia świata. Jest początkiem okresu pokutnego zwanego *Jamim Noraim*, czyli dokładnie ‘straszne dni’, który wieńczy Jom Kippur.

Obowiązkowym elementem święta jest wysłuchanie dęcia w szofar. Nakaz pochodzi z Księgi Be-midbar (Liczba) 29,1: „Miesiąca zaś siódmego, pierwszego dnia miesiąca zgromadzenie świąteczne będzie u was; żadnej pracy uciążliwej nie wykonywajcie: dniem trąbienia będzie on wam!”.

Roszaszanowym zwyczajem, ale nie nakazem, jest *taszlich*, czyli symboliczne wyrzucenie grzechów do wody. Wziął się on z Księgi Micheasza 7,18–19:

Któż jako Ty, Bóg, który przebacza winę, a odpuszcza występki szczątkowi dziedzictwa

swojego. Nie utwierdza na zawsze gniewu Swojego, gdyż pożąda łaski On. Znowu zmiłuje się nad nami, zniesie winy nasze. Tak, rzucisz w otchłań morza wszystkie grzechy ich.

Obie świąteczne kolacje, zarówno w pierwszy, jak i drugi dzień, mają swój określony porządek. Tradycyjne potrawy mogą się różnić w zależności od regionu oraz zwyczajów danej rodziny. Najczęściej na noworocznym stole znajduje się okrągła chałka symbolizująca zamknięty cykl roku. Macza się ją w miodzie, by kolejne miesiące były słodkie. Ze względu na słodycz nie powinno zabraknąć daktyli, z których słynie Izrael. Pojawia się również granat, by nasze dobre uczynki mnożyły się niczym pestki tworzące ten owoc. Jada się też rybę – upieczoną w całości, usmażoną lub jako *gefilte fisz*, czyli lekko słodkie pulpety rybne w galarecie, zwane czasem karpem po żydowsku. Dzięki temu ma się spełnić życzenie, „aby Bóg sprawił, żebyśmy byli głową, a nie ogonem”. Wśród potraw często pojawia się *cymes*, którego podstawą jest gotowana marchewka z dodatkiem jabłek i rodzynek. Zwyczajowo jada się owoce, których długo się nie spożywało. Często religijni Żydzi, nawet jeżeli mają okazję skosztować danej rzeczy przed Nowym Rokiem, specjalnie czekają z tym do roszhaszanowej kolacji. Typową przekąską na Rosz ha-Szana są jabłka maczane w miodzie, dlatego obok granatu i szofaru często uznaje się je za symbol tego święta.

Z okazji Rosz ha-Szana składa się bardzo konkretne życzenia. Może to być *Leszana towa tikatewu wetechatemu*, czyli „Obyście byli zapisani i opieczętowani na dobry rok”. Od Rosz ha-Szana do Jom Kippur mówi się *Gemar chatima towa*, co znaczy: „Obyś był ostatecznie opieczętowany na dobre”. Oba życzenia odnoszą się do Księgi Życia, którą według żydowskiej tradycji Bóg otwiera właśnie w tym czasie. Do Jom Kippur zostaje podjęta decyzja, czy będziemy do niej wpisani na kolejny rok i będziemy żyć, czy też trafimy do Księgi Śmierci. Samo *Hag Sameach*, czyli „Dobrego święta”, też jest wystarczające.

## SZOFAR

*Szofar* to instrument rytualny używany przede wszystkim do oznajmiania początku nowego miesiąca, nowego roku oraz na rok jubileuszowy, a także stanu wojny. Wykonuje się go najczęściej z rogu barana, co jest odwołaniem do historii o Abrahamie. Żydowski praojciec miał złożyć swojego syna Izaaka w ofierze. W ostatniej chwili został powstrzymany przez anioła, który wskazał na baranka schowanego w zaroślach. Na ołtarzu zamiast chłopca znalazło się zwierzę. Szofar może być zrobiony również z rogu kozy, antylopy bądź innego koszerne ssaka, z wyjątkiem krowy.

## JOM KIPPUR

*Jom Kippur* – po hebrajsku: יום כפור – to jedno z najważniejszych świąt żydowskich. Jest obchodzone dziesięć dni po Rosz ha-Szana, 10 dnia miesiąca tiszri. Jego nakaz pochodzi z Tory z Księgi Wa-jikra (Kapłańskiej) 16,29:

I niechaj będzie to dla was ustawą wieczną: miesiąca siódmego, dziesiątego tegoż miesiąca dręczyć będziecie dusze wasze i żadnej roboty nie będziecie wykonywali, tak krajowiec, jako i cudzoziemiec, który osiadł w pośród was.

oraz 23,27–28:

Dziesiątego wszakże tegoż miesiąca siódmego, – dzień przebaczenia: zgromadzenie świąteczne będzie u was; a będziecie udręczali dusze wasze i złożycie ofiarę ogniową Wiekuistemu. A żadnej roboty wykonywać nie będziecie w tenże dzień; bo dzień to przebaczenia, aby uzyskać przebaczenie dla was, przed obliczem Wiekuistego, Boga waszego!

Przedjomkippurowym zwyczajem jest jedzenie uroczystego, lekkostrawnego i niesłonego posiłku – tak by nie chciało się po nim pić. W samo Jom Kippur obowiązuje całodobowy post, który zaczyna się o zachodzie słońca, a kończy następnego dnia po zachodzie, kiedy na niebie widoczne są trzy gwiazdy. Podczas święta, podobnie jak w szabat, nie wolno wykonywać żadnej pracy. Dodatkowo zabronione są: jedzenie, picie, mycie się czy inny kontakt z wodą, smarowanie ciała (na przykład kremem czy dezodorantem), stosunki seksualne oraz noszenie butów, które mają choćby mały fragment skórzany.

Ważnym elementem święta jest *tszuwa*. To hebrajskie słowo oznacza ‘powrót’. Jest to przede wszystkim skrucha i postanowienie poprawy, dzięki którym wróciło się na właściwą drogę. Tszuwę można zrobić w każdym momencie, ale właśnie Jom Kippur szczególnie jej sprzyja. Dopełnieniem rozpoznania swoich grzechów jest *widuj*, czyli ich wyznanie. Jest to bardzo indywidualna praktyka i nie ma żadnej konkretnej formuły. Może być zwykłą rozmową z osobą, wobec której zachowaliśmy się niewłaściwie lub którą skrzywdziliśmy, bądź modlitwą, jeśli zrobiliśmy coś przeciwko Bogu.

Jom Kippur najlepiej spędzić w synagodze razem z innymi, na wspólnych modlitwach. Jeżeli ktoś nie ma siły ze względu na post iść do synagogi, może również zostać w domu. Święto kończy się dęciem w szofar i hawdałą. Potem następuje łamanie postu, częstokroć uroczyste oraz w podniosłej i radosnej atmosferze, ponieważ jesteśmy pewni, że Bóg przebaczył nam wszystkie nasze winy.

## SUKOT

*Sukot* – po hebrajsku סוכות – pochodzi od słowa *suka* (סוכה), czyli ‘szałas’. Stąd też polska nazwa Święto Szałasów lub Kuczki. Obchodzone jest przez siedem dni, od 15 do 21 dnia miesiąca tiszri, czyli na przełomie września i października. Wpada dwa tygodnie po Rosz ha-Szana i pięć dni po Jom Kippur. Ponieważ w Izraelu jest to czas jesiennych żniw, Sukot nosi dodatkową nazwę, czyli *Hag ha-Asif*, czyli Święto Zbiorów.

Święto Szałasów upamiętnia wędrówkę Izraelitów przez pustynię, po tym jak opuścili Egipt i zanim doszli do ziemi Kanaan – tej, która została im według żydowskiej tradycji dana przez Boga. Ponieważ nie mieli wtedy stałego miejsca zamieszkania i nocowali w namiotach, od wielu pokoleń po dzień dzisiejszy religijni Żydzi budują sobie szałasy i przenoszą się do nich przynajmniej częściowo na czas trwania Sukot. Wypełniają w ten sposób nakaz zapisany w Księdze Wa-jikra (Kapłańskiej) 23,42–44:

„W szałasach mieszkać będziecie przez siedm dni; każdy krajowiec w Izraelu mieszkać będzie w szałasach. Aby wiedziały pokolenia wasze, że w szałasach osadziłem synów Israela, gdym wywiódł ich z ziemi Micraim – Ja Wiekuisty, Bóg wasz!” I wygłosił Mojżesz uroczystości Wiekuistego synom Israela.

Dwa pierwsze i ostatni dzień są *jom towami*, więc w ich trakcie nie wykonuje się żadnej pracy, a środkowe to *chol ha-moed*, podczas których dopuszcza się codzienne drobne czynności.

Wygląd sukki oraz materiał, z którego ma być zrobiona, są jasno opisane w Talmudzie. Tak samo jak czas, jaki należy spędzić w szałasie, oraz sytuacje, w których ze względu na pogodę nie można w nim ani jeść, ani tym bardziej dłużej siedzieć czy spać.

Drugim obowiązkiem dotyczącym kuczek jest trzęsienie *arba minim*, czyli specjalnym bukietem, w którym znajdują się: lulaw – gałązka palmy, hadas – trzy gałązki mirtu, arawa – dwie gałązki wierzby, a także etrog – owoc cytrusa podobny do cytryny. Ten nakaz również pochodzi z Księgi Wa-jikra (Kapłańskiej) 23,40–41:

I weźmiecie sobie dnia pierwszego owoc drzewa hadar, pąki palmowe, gałązki drzewa rozłożystego i wierzby porzeczone, i weselcie się przed Wiekuistym, Bogiem waszym, przez siedm dni. I tak obchodzić wam to święto Wiekuistego przez siedm dni do roku: ustawa to wieczna w pokoleniach waszych. Miesiąca siódmego obchodzić je będziecie.

Zaraz po święcie Sukot, osiem dni po jego rozpoczęciu, 22 tiszri, obchodzi się *Szmini Aceret*, które również jest jom towem. Po hebrajsku שמיני עצרת oznacza dosłownie ‘ósme zgromadzenie’. I jego świętowanie nakazuje Wajikra (23,36):

Przez siedm dni składać będziecie ogniowe ofiary Wiekuistemu; dnia ósmego – zgromadzenie świąteczne będzie u was, i złożycie ofiarę ogniową Wiekuistemu, świętowanie to, – żadnej roboty uciążliwej nie wykonacie.

Sukot jest jednym z trzech – obok Pesach i Szawuot – świąt pielgrzymich. W starożytności z tej okazji Żydzi szli do Świątyni Jerozolimskiej, by odwiedzić Boga i złożyć w niej ofiary.

## SIMCHAT TORA

*Simchat Tora* – po hebrajsku שמחת תורה – oznacza dosłownie ‘radość Tory’. Jest to święto, które następuje zaraz po Sukot, 22 tiszri. W Izraelu obchodzone jest razem ze Szmini Aceret. Poza Izraelem dzień po nim.

Jest to uroczystość związana z zakończeniem rocznego czytania Tory. W synagogach wyciąga się zwoje i tańczy z nimi dookoła bimy. Rzuca się cukierkami w stronę świętej księgi, śpiewa i raduje. Uroczyście odczytuje się ostatni fragment ostatniej Księgi Dwarim (Powtórzonego Prawa) i od razu pierwszy fragment pierwszej Księgi Be-reszit (Rodzaju).

## CHANUKA

*Chanuka* (חנוכה) po hebrajsku oznacza ‘poświęcenie’. Jest to święto, które upamiętnia kilka wydarzeń z II wieku p.n.e. Izraelici znajdowali się wtedy pod panowaniem hellenistycznej dynastii Seleucydów. Zgodnie z rozkazami władcy mieli porzucić swoją wiarę, a wraz z nią swoje religię i kulturę. W zamian za to byli zmuszeni przyjąć obyczaje greckie. Część narodu żydowskiego poddała się presji i zrezygnowała z judaizmu. Druga nadal, lecz w ukryciu, praktykowała swoje zwyczaje. Kiedy Świątynia Jerozolimska została złupiona, splądrowana, a na jej środku stanął posąg Zeusa, wybuchło powstanie. Na jego czele stanął Matatiasz z rodu Hasmoneuszy. Kiedy umarł, dowodzenie po nim przejął jeden z towarzyszących mu pięciu synów, zwany Judą. Walki trwały kilka lat i zakończyły się wygraną powstańców, co uznano za cud, ponieważ armia Izraelitów była znacznie mniejsza od sił wroga. Po odzyskaniu Świątyni i w trakcie jej oczyszczania i przywracania pierwotnej formy okazało się, że wszystkie dzbany z oliwą zostały zniszczone. Ostało się tylko kilka jej kropli. Oliwa była potrzebna do zapalenia menory – siedmioramiennego świecznika, który zawsze miał się palić w Świątyni. Kiedy zapalono tę niewielką ilość, ona w cudowny sposób płonęła, póki nie wyprodukowano nowej.

Na pamiątkę tych wydarzeń Żydzi obchodzą święto Chanuka. Zaczyna się ono 25 kislew i trwa osiem dni – tyle, ile potrzeba było czasu na uzyskanie nowej, rytualnie czystej oliwy. W kalendarzu gregoriańskim przypada zwykle na grudzień, niekiedy przełom listopada i grudnia.

Obowiązkiem każdego żydowskiego domu jest zapalanie świeczek codziennie przez całe święto. Robi się to po zmroku, by płomienie dawały bardziej intensywne światło, oraz w miejscu, z którego będzie je najlepiej widać. Kiedyś były to drzwi wejściowe, dzisiaj najczęściej chanukiję stawia się w oknie od ulicy.

Współczesnym zwyczajem jest dodawanie codziennie po jednej świeczce więcej i umieszczanie jej na dziewięcioramiennej świeczniku zwanym *chanukiją*. Wyglądem bardzo przypomina ona menorę, ale ma dwa ramiona więcej. Osiem miejsc przeznaczonych jest na codzienne świeczki, jedno na *szamesa*, dosłownie ‘woźnego, pomocnika’, który daje dodatkowe światło. Od niego też często odpala się całość.

W zależności od zwyczaju chanukija jest jedna na całą rodzinę lub każdy jej członek ma swoją. Świecznik chanukowy może być wykonany z dowolnego materiału. Istotne jest jednak, jak jest zbudowany. Ważne, by z daleka na podstawie palących się płomieni szybko można było określić, który jest dzień Chanuki. Dobrze więc, jeżeli wejścia są w jednej linii na tej samej wysokości, a ‘pomocnik’ wyżej, niżej lub z boku.

Tradycyjnymi potrawami jedzonymi z okazji Chanuki są pączki, placki ziemniaczane i wszystko, co się smaży na oleju. W tym czasie gra się w drejdel.

## DREJDEL

*Drejdel* to specjalny kwadratowy lub prostokątny bączek z gładkimi ściankami. Na każdej widnieje inna literka odpowiadająca słowom: *Nes Gadol Haja Szam* (נס גדול היה שם), czyli ‘Cud Wielki Wydarzył się Tam’ (kiedy gramy poza Izraelem) lub *Nes Gadol Haja Po* (נס גדול היה פה), czyli ‘Cud Wielki Wydarzył się Tu’. Zebrani uczestnicy w dowolnej i nieograniczonej liczbie siedzą w kółku. Każda ma wcześniej przygotowaną pulę czekoladek, zapalek, małych cukiereczków lub monet. Można również grać na pieniądze, ponieważ to jedyny moment, w którym dozwolony jest hazard – w innych okolicznościach zabroniony przez judaizm. Na środku jest bank. Wygrywa osoba, która zdobędzie



najwięcej dóbr. Kolejni gracze w kółku kręcą bączkiem. W zależności od tego, co wypadnie, wykonują odpowiedni ruch. Jeżeli jest *nun* (n – נ), nic się nie dzieje, a w innej wersji każda osoba dokłada do banku. Jeżeli *gimel* (g – ג), obracający zgarnia wszystko, co zgromadzono pośrodku. Przy *hej* (h – ה) bierze się połowę. A kiedy wypadnie *szin* (sz – ש) lub *pe* (p – פ), należy oddać do banku jeden spośród fantów.

## TU BI-SZWAT

*Tu bi-Szwat* – po hebrajsku ט"ו בשבט – oznacza dokładnie datę święta, czyli 15 szwat, który w kalendarzu gregoriańskim wypada w styczniu. Inna nazwa to Nowy Rok Drzew, co wiąże się z kilkoma rolniczymi prawami. Traktują one o *terumie*, czyli jednej pięćdziesiątej zbiorów oddawanych kapłanom, którzy przewodzili ceremoniom w Świątyni Jerozolimskiej, o *maaser*, czyli dziesięcinie dla lewitów, którzy oporządzali Świątynię, oraz *orli*, czyli zakazie jedzenia owoców przez pierwsze trzy lata życia drzewa. Ten ostatni pochodzi z Księgi Wa-jikra (Kapłańskiej) 19,23:

A gdy wnijdziecie do ziemi, a zasadzicie jakiegokolwiek drzewo spożywcze, zostawcie nieobrzytanymi pędy jego, z owocami jego; przez trzy lata pozostaną u was nieobrzytanymi, nie będą jadane.

Współcześnie pierwsze dwa prawa są nieaktualne. Nie ma już Świątyni, więc kapłani i lewici, zamiast w niej pracować, mogą zarabiać na własne utrzymanie i nie muszą liczyć na datki społeczności. Nadal jednak obowiązuje trzecie prawo.

Podstawowym zwyczajem na Tu bi-Szwat jest kolacja składająca się głównie z wina lub z soku z winogron oraz wszelkiego rodzaju owoców i innych płodów ziemi. Obecnie przy okazji święta coraz częściej porusza się temat ekologii. Z dziećmi sadi się drzewka i uczy je dbania o roślinność.

## PURIM

*Purim* – po hebrajsku פורים – oznacza ‘losy’, ponieważ rzut kostką miał duże znaczenie w genezie święta. Obchodzi się je 14 adar lub adar II (jeżeli jest to rok przestępny z dodatkowym miesiącem). Wypada w lutym lub w marcu.

Purim upamiętnia wydarzenia, które rozegrały się prawdopodobnie w V wieku p.n.e. w Suzie – stolicy starożytnej Persji, a które opisane są w Księdze Estery. Król Ahaszwerosz (Aswerus) za namową swojego doradcy Hamana wydał dekret o zabiciu wszystkich Izraelitów mieszkających na tych terenach. Dzięki interwencji Mordechaja (Mardocheusza) i jego krewnej Estery, którzy byli Żydami, do zagłady nie doszło.

Jest to bardzo wesołe święto, które łączy się z kilkoma nakazami, takimi jak dwukrotne wysłuchanie całości Księgi Estery, zjedzenie uroczystego posiłku, finansowe wsparcie biedniejszych oraz przygotowanie paczek żywnościowych, które wręcza się innym świętującym. Wśród purimowych zwyczajów są ponadto przebieranki, picie alkoholu i *purimszpile*, czyli przedstawienia opowiadające wspomnianą historię. W tym czasie jada się dużo słodczy, a najchętniej *hamantasze*, czyli trójkątne kruszaki z nadzieniem.

## PESACH

*Pesach* – po hebrajsku פסח – oznacza ‘przejsz obok’. Święto nosi taką nazwę, ponieważ Bóg przeszedł obok domów, w których mieszkali Izraelici, przodkowie współczesnych Żydów, i pozostawił ich przy życiu. Zmarli tylko pierwotni Egipcjanie mieszkający obok – była to dziesiąta plaga, która spadła na Egipt. Analogiczne znaczenie ma angielska nazwa: *Passover*. Inne określenia to Święto Wiosny, ponieważ obchodzone jest przez siedem w Izraelu lub osiem dni poza Izraelem od 15 nisan, czyli najczęściej w kwietniu. Spotkać się też można z pojęciami Święto Przaśników czy Święto Macy (ze względu na spożywane wtedy jedzenie) lub Święto Wolności, ponieważ właśnie jej uzyskanie jest głównym powodem celebrowania Pesach. W języku polskim funkcjonują nazwy: Żydowska Wielkanoc lub Pascha.

Pesach upamiętnia wydarzenia, które działy się tysiące lat temu. Ze względu na głód panujący na

ziemiach Izraelitów przenieśli się oni do Egiptu. Początkowo żyło im się w tym państwie bardzo dobrze. Aż jeden z władców zdecydował, że zrobi sobie z Izraelitów tanią siłę roboczą, i wszystkich ich zniewolił. Wraz z narodzinami Mojżesza sytuacja się zmieniła. Prorok poprosił faraona o wypuszczenie swoich rodaków. Kiedy władca odmawiał, na Egipt spadały kolejne plagi. Ostatecznie dziesiąta przekonała faraona, by Izraelitów wypuścić.

Cała historia opisana jest dokładnie w Pięcioksięgu Mojżeszowym. Nakaz obchodzenia Pesach znajduje się w Księdze Szemot (Wyjścia) 12,14–17:

A będzie ten dzień wam pamiątką, i obchodzić go będziecie jako uroczystość Wiekuistemu w pokoleniach waszych; jako ustawę wieczną obchodzić go będziecie. (...) A dnia pierwszego zgromadzenie uroczyste, a dnia siódmego zgromadzenie uroczyste będzie u was: żadna robota wykonana nie będzie w nich; jedynie co służy na pokarm dla każdego, to jedynie przyrządzonym być może u was. A przestrzegajcie przaśników; albowiem tego samego dnia wywiódłem zastępy wasze z ziemi Micraim; i przestrzegajcie dnia tego w pokoleniach waszych jako ustawę wieczną.

Dalej w 13,3:

I rzekł Mojżesz do ludu: „Pamiętajcie na dzień ten, któregoście wyszli z Micraim, z domu niewoli; bo przemożną ręką wywiódł was Wiekuisty ztąd, – a nie ma być spożytym kiszone!

Oraz w Księdze Wa-jikra (Kapłańskiej) 23,4–8:

Oto uroczystości Wiekuistego, zgromadzenia świąteczne, które obwieszczać macie w czasie swoim. Miesiąca pierwszego, czternastego tegoż miesiąca, ku wieczorowi: Pesach Wiekuistemu. A piętnastego dnia tegoż miesiąca święto przaśników Wiekuistemu. Przez siedm dni przaśniki jadać będziecie. Dnia pierwszego zgromadzenie świąteczne będzie u was; żadnej pracy uciążliwej nie wykonywajcie. A składajcie ofiary ogniowe Wiekuistemu przez siedm dni; siódmego zaś dnia – zgromadzenie świąteczne; żadnej pracy uciążliwej nie wykonywajcie!

I jeszcze w Księdze Dwarim (Powtórzonego Prawa) 16,1:

Przestrzegaj miesiąca kłosów, i spełniaj ofiarę paschalną Wiekuistemu, Bogu twojemu; gdyż w miesiącu kłosów wywiódł cię Wiekuisty, Bóg twój, z Micraim nocą.

Najważniejsze przygotowania przed świętem obejmują pozbywanie się *chamecu*, czyli produktów mącznych.

Żydzi aszkenazyjscy dodatkowo w trakcie Pesach nie jedzą *kitnijot* (ale go posiadają i czerpią z niego korzyści), czyli produktów strączkowych, które w zależności od zwyczaju obejmują kukurydzę, a także ryż, groch, soczewicę i fasolę. Niektórzy dodają do tego orzeszki ziemne, soję oraz słonecznik. Tradycja pochodzi z czasów, kiedy tego typu rośliny przewożono w workach zaraz obok worów ze zbożami. Łatwo było o wymieszanie jednych z drugimi, a zatem istniało ryzyko, że na przykład w ciecierzycy znajduje się żyto.

Pozbywanie się *chamecu* i jedzenie macy mają związek z tym, że Izraelici, uchodząc z Egiptu, nie mogli zaczekać, aż wyrosnie ciasto na chleb. Upieczenie cienkich placków zajęło im znacznie mniej czasu.

W tygodnie poprzedzające Pesach sprząta się mieszkania, wieczorem przed świętem przegląda się dom w poszukiwaniu niezauważonych wcześniej kawałków *chamecu*, a rano zaraz przed świętem pali się resztki zakwasu na znak, że się go całkiem pozbyło.

Najważniejszym momentem Pesach i najbardziej uroczystą kolacją w żydowskim roku jest pierwszy wieczór święta. Nazywa się ją *sederem*, co po hebrajsku oznacza ‘porządek’, ponieważ potrawy podczas posiłku pojawiają się wedle określonej kolejności. Na stole poza macą powinno się znaleźć wino lub sok z winogron. Należy w trakcie jedzenia wypić go cztery kieliszki. Każdy z nich symbolizuje inne określenie na wyjście dzięki boskiej pomocy Izraelitów z Egiptu, które pojawiają się w Księdze Szemot (Wyjścia) 6,6–7: „wywiódę was z pod brzemienia Micraimu, i wybawię was od służby ich, i wyswobodzę was ramieniem wyciągniętym i sądami wielkimi. I przyjmę was Sobie za lud”.

Podczas kolacji je się również jajka na twardo, co nawiązuje do cyklu odrodzenia i odnowy. Dobrze, jeżeli są nadpalone, bo ogień przypomina o starożytnych ofiarach całopalnych. Do tego warzywa maczane w słonej wodzie na pamiątkę łez wylanych podczas niewoli oraz charoset, czyli mieszankę jabłek, winogron, orzechów i wina, które wyglądem przypominają zaprawę murarską

używaną do budowy piramid. Nie może również zabraknąć ziół gorzkich niczym gorzki żywot niewolników. Spożywanie ich to nakaz z Tory w Księdze Szemot (Wyjścia) 12,8: „z praśnikami i gorzkimi ziołami jeść je będą”.

W trakcie kolacji należy również zgodnie z Torą opowiedzieć całą historię, która wydarzyła się w Egipcie oraz zaraz po opuszczeniu tego państwa nad Morzem Czerwonym, jak jest napisane w Księdze Szemot (Wyjścia) 13,8: „I opowiesz synowi twojemu dnia onego, mówiąc: to dla tego, co uczynił mi Wiekuisty, gdym wychodził z Micraim”. W tym celu dzieci śpiewają piosenkę *Ma Nisztana Halajla Haze*, która składa się z pytań o to, czym dana noc różni się od innych.

W Izraelu pierwszy i ostatni dzień to *jom towy*. W ich czasie nie wykonuje się żadnej pracy. Dni środkowe to *chol ha-moed*, podczas których również należy się powstrzymać od codziennych obowiązków. Poza Izraelem jom towami są dwa pierwsze i dwa ostatnie dni święta.

Pesach na terenach współczesnego Izraela rozpoczynało żniwa. Drugiego dnia święta, czyli 16 nisan, zaczyna się liczenie omeru, które trwa pięćdziesiąt dni, aż do Szawuot.

Pesach wyznaczał rozpoczęcie żniw od jęczmienia.

## CHAMEC

*Chamecem* nazywa się produkty mączne powstałe z jednego z pięciu ziaren: pszenicy, jęczmienia, owsa, żyta lub orkiszu, w których doszło do fermentacji i zakwaszenia.

Zakaz spożywania chamecu jest wyrażony bezpośrednio w Torze. W Księdze Dwarim (Powtórzonego Prawa) 16,3–4 czytamy:

Nie będziesz jadał przy tém kiszzonego; przez siedm dni będziesz jadał przy tem praśniki – chléb nędzy; boś w pośpiechu wyszedł z ziemi Micraim, – abyś pamiętał dzień wyjścia twojego z ziemi Micraim po wszystkie dni życia twojego. I nie pokaże się u ciebie zakis w całym obrębie twoim przez siedm dni; i niechaj nie przeleży nic z mięsa, któreś zarznął wieczorem dnia pierwszego, do rana.

Dalej w 16,8:

Przez sześć dni będziesz jadał praśniki, a dnia siódmego – uroczyste zebranie gwoli Wiekuistemu, Bogu twojemu: nie zajmuj się robotą.

A w Księdze Szemot (Wyjścia) 12,15:

Przez siedm dni jeść wam praśniki, wszakże dnia już pierwszego, wyprzątniecie zakis z domów waszych, bo ktoby spożył co kiszzonego, od dnia pierwszego aż do dnia siódmego, – wytracona będzie dusza ta z pośród Izraela.

I w 12,18–20:

Pierwszego miesiąca, czternastego dnia miesiąca na wieczór, jeść będziecie praśniki, aż po dzień dwudziesty pierwszy tegoż miesiąca na wieczór. Przez siedm dni zakis niech się nie znajduje w domach waszych; bo ktoby spożył co kiszzonego, wytracona będzie dusza ta ze zgromadzenia Izraelskiego, – tak przychodzić, jako i zrodzony w kraju. Żadnego kiszzonego jeść nie będziecie; we wszystkich siedzibach waszych jeść będziecie praśniki!

A ponieważ przykazanie jest powtórzone kilkakrotnie, rabini rozszerzyli je o zakaz wykorzystywania. Podczas Pesach nie wolno zatem takich potraw nie tylko jeść, ale nawet mieć ich obok siebie i czerpać z nich pożytku, nie może więc przez ten czas na nich zarabiać ani piekarz, ani właściciel piwiarni. Jedynym dozwolonym mącznym produktem jest maca, czyli chleb niekwaszony. Maca to płaskie placki, których przygotowanie od połączenia składników do końca wypieku nie trwa dłużej niż osiemnaście minut.

## LAG BA-OMER

*Lag ba-Omer* – po hebrajsku ל"ג בעומר – oznacza trzydziesty trzeci dzień omeru. Nazwa pochodzi od liczenia omeru, które nakazuje fragment Księgi Wa-jikra (Kapłańskiej) 23,15:

I liczyć sobie będziecie od drugiego dnia święta, – od dnia, któregoście przynieśli snop przedstawienia, siedm tygodni – pełnych być powinno.

*Omer* w starożytności był jednostką objętości między innymi zbóż i stanowił tyle co snop.

Przeliczenie na współczesne miary nie jest rozstrzygnięte. Według jednych rachub jest to 2,2 litra lub 2,3 litra, według innych 3,635 litra bądź 1,56–1,77 kilograma. Współcześnie owo liczenie polega na głośnym wypowiedaniu kolejnych numerów czterdziestu dziewięciu dni, zaczynając od drugiego dnia Pesach, a kończąc na początku święta Szawuot.

Lag ba-Omer obchodzi się 18 ijar. Upamiętnia dzień ustania tragicznych zgonów za czasów rabina Akiwy ben Josefa (II w.) – mędrca, który rozpoczął redagowanie Miszny. Nie do końca wiadomo, czy mowa o epidemii, czy o zabitych podczas powstania Bar-Kochby. Czy przez zarazę, czy też w wyniku zbrojnego buntu, który latach 132–135 n.e. wybuchł z inicjatywy Żydów przeciwko Cesarstwu Rzymskiemu, zmarło 24 tysiące uczniów Akiwy.

Ze względu na tę tragedię dzisiaj w tygodniach liczenia omeru nie urządza się imprez, nie słucha muzyki i nie wykonuje innych rzeczy zabronionych w okresie żałoby. Dodatkowo Lag ba-Omer jest umowną rocznicą śmierci rabina Akiwy (nieznana jest dokładna data), który zginął po upadku powstania, około 137 roku, z rąk Rzymian, oraz jego ucznia Akiwy Szymona bar Jochaja, któremu tradycyjnie przypisuje się autorstwo księgi Zohar, podstawowego tekstu kabały i mistyki żydowskiej.

Lag ba-Omer to radosne półświęto, a z jego okazji pali się ogniska. Liczne pielgrzymki gromadzą się wówczas na górze Meron, gdzie znajduje się grób Bar Jochaja. Ten dzień uważa się za najlepszy na zawarcie małżeństwa. Niektóre grupy żydowskie wybierają go na pierwsze postrzyżyny swoich synów, które następują około trzeciego roku życia.

## SZAWUOT

*Szawuot* – po hebrajsku שבועות – oznacza dosłownie ‘tygodnie’, ponieważ wypada 6 siwan, dokładnie siedem tygodni po Pesach. Stąd też polska nazwa Święto Tygodni. Święto w Izraelu trwa jeden dzień, a poza nim dwa dni, w kalendarzu gregoriańskim wypada w maju lub w czerwcu i kończy czterdziesty dziewiąty okres liczenia omeru. Inne określenia Szawuot, takie jak Święto Żniw, Święto Pierwszych Owoców czy Pierwocin, mają związek z porą roku i kończącymi się w jej czasie zbiorami na terenach współczesnego Izraela. Nakaz obchodzenia Szawuot pochodzi z Księgi Be-midbar (Liczb) 28,26: „W dzień zaś pierwocin, gdy składać będziecie nową ofiarę śnieżną Wiekuistemu, w wasze święto tygodni, – zgromadzenie świąteczne będzie u was; żadnej pracy uciążliwej nie wykonywajcie”.

Święto upamiętnia również nadanie Mojżeszowi Tory na górze Synaj, co według rabinicznej rachuby wydarzyło się w 2448 roku kalendarza żydowskiego, czyli 1313 lat p.n.e. zgodnie z kalendarzem gregoriańskim. Z tego powodu w Szawuot w synagogach uroczyście odczytuje się Dekalog. Podczas porannych modlitw czyta się też Księgę Rut, której historia dzieje się w trakcie żniw, a zbiory są jej istotnym tłem. Istnieje też zwyczaj spędzania całej nocy lub przynajmniej kilku jej godzin na studiowaniu żydowskich ksiąg, by się duchowo przygotować na rocznicę otrzymania Pięcioksięgu.

Na Szawuot dekoruje się synagogi i domy kwiatami, liśćmi i kłosami zbóż. Ma to związek ze wspomnianymi zbiorami, ale też z opowieścią, według której góra Synaj zazieleniła się, kiedy Mojżesz w imieniu narodu żydowskiego dostał Torę.

Z okazji tego święta tradycyjnie spożywa się potrawy sporządzone na bazie mleka. Popularne w tym czasie są serniki, naleśniki z serem, sery i desery z jogurtów. Powodów serwowania takiej kuchni można znaleźć wiele. Jednym z nich jest porównanie Tory w Pieśni nad Pieśniami do miodu i mleka. Drugim to, że malutki Mojżesz, po tym jak znalazł się na dworze faraona, nie chciał ssać piersi egipskich mamek, ponieważ ich pokarm smakował niekoszernym jedzeniem. Wtedy znaleziono mu mamkę żydowską, która go wykarmiła. I kolejny taki, że Mosze spędził na górze Synaj czterdzieści dni. Liczba czterdzieści to też wartość numeryczna hebrajskiego określenia mleka – *halav* (חלב, gdzie ל, 30= ח = 8, 2= ב). Powody jedzenia mlecznych posiłków wymieniać można by dłużej.

Szawuot to kolejne – obok Sukot i Pesach – święto pielgrzymie – w czasach Świątyni Jerozolimskiej udawano się do niej, żeby złożyć ofiarę.

## TISZA BE-AW

*Tisza be-Aw* – po hebrajsku תשעה באב – oznacza dosłownie ‘dziewiąty aw’, ponieważ przypada

9 dnia tego miesiąca, w kalendarzu gregoriańskim w czerwcu lub lipcu. Święto jest smutne, ma charakter żałobny i obchodzi się je na pamiątkę zburzenia Pierwszej i Drugiej Świątyni Jerozolimskiej. Tisza be-Aw poprzedzają trzy tygodnie umartwiania się. Podobnie jak w trakcie liczenia omeru i w tym czasie nie urządza się ślubów, nie słucha się muzyki, unika się wina, nie obcina włosów. W samo święto obowiązuje ścisły dwudziestopięciogodzinny post. Podobnie jak w Jom Kippur nie je się, nie pije, nie używa kosmetyków, nie myje, nie uprawia seksu ani nie nosi skórzanych butów.

Zwyczajowo odmawia się modlitwy, siedzi na ziemi lub na niskich stołkach (jak w czasie żałoby) oraz czyta Lamentacje Jeremiasza.

## POSTY

W ciągu żydowskiego roku jest sześć postów. Najważniejsze z nich to Jom Kippur (wspomniany w Torze) i Tisza be-Aw (ustanowiony przez rabinów). Oba trwają dwadzieścia pięć godzin i obowiązują wszystkich bez wyjątku. Pozostałe cztery są mniejsze i krótsze – obowiązują bowiem od świtu do zachodu słońca. Trzy z nich, tak jak Tisza be-Aw, również ustanowiono na pamiątkę wydarzeń związanych ze Świątynią Jerozolimską. Jeden obchodzony jest w wigilię Purim i przypomina postać królowej Estery, której historię opowiada się w to święto. Istnieje jeszcze piąty post, ale ten przeznaczony jest tylko dla pierworodnych i następuje dzień przed Pesach. Z mniejszych postów zwolnić mogą ciąża, karmienie piersią czy choroba.

## JOM TOW

*Jom tow* (יום טוב) to świąteczne dni, w trakcie których podobnie jak w szabat zakazane są prace zwane melachami. Wyjątkiem są te związane z przygotowaniem posiłków dla domowników i gości. Jom towami są oba dni Rosz ha-Szana, dzień Jom Kippur, dwa pierwsze i dwa ostatnie (w Izraelu tylko pierwszy i ostatni) dni Sukot, dwa pierwsze i dwa ostatnie dni Pesach (w Izraelu tylko pierwszy i ostatni), dwa dni Szawuot (w Izraelu tylko jeden dzień).

Chanuka, Purim, Tu bi-Szwat oraz inne mniejsze święta oraz pozostałe posty nie są ani jom towami, ani chol ha-moed.

## CHOL HA-MOED

*Chol ha-moed* (חול המועד) to środkowe dni ośmiodniowych (w Izraelu siedmiodniowych) świąt Pesach i Sukot. Są świąteczne, ale w ich czasie praca nie jest zakazana, choć się ją znacznie ogranicza.

## ODŁAMY JUDAIZMU

## JUDAIZM

*Judaizm* (יהדות) to religia monoteistyczna opierająca się na wierze w jednego Boga, który jest bezcielesny, niematerialny, wieczny i niepodzielny. Według żydowskiej tradycji stworzył świat i zawarł z ludem izraelskim przymierze, dając mu Torę, która zawiera zarówno opowieści o narodzie żydowskim, jak i zbiór obowiązujących go nakazów i zakazów. Z judaizmu wywodzą się islam i chrześcijaństwo.

W czasach Salomona, który w Jerozolimie w roku 967 p.n.e. zbudował Świątynię, doszło do centralizacji obrzędów. Kiedy ów król zmarł, jego królestwo rozpadło się na dwie części – Izrael i Judę. W obu kapłani studiowali Pięcioksiąg Mojżeszowy oraz spisywali teksty religijne, które wspólnie są podstawą *halachy*, czyli prawa żydowskiego.

Za praojców judaizmu uważa się Abrahama, Icchaka (Izaaka) i Jakowa (Jakuba). Abraham jako pierwszy nie tylko uwierzył w jednego Boga, ale też szerzył swoją wiarę, zapoczątkowując współczesną religię. Synami Abrahama byli Izmael i Icchak, a ich synami Ezaw i Jakow. Jakow z kolei miał córkę Dinę i dwunastu synów o imionach: Reuwen (Ruben), Szymon (Symeon), Lewi, Jehuda (Juda), Dan, Naftali (Neftali), Gad, Aszer (Aser), Issachar, Zewulon (Zabulon), Josef (Józef) i Binjamin (Beniamin). Ich potomkowie oraz potomkowie dwóch wnuków Jakuba, a synów Josefa, Efraima i Menezego,

utworzyli dwanaście plemion i zajęli odpowiednie ziemie. Wyjątkiem byli lewici, pochodzący od Lewiego. Nie mieli swojego terytorium i mieszkali w kilku wydzielonych miastach. Część z nich była kapłanami służącymi w świątyni.

Żydowskimi pramatkami są Sara – żona Abrahama, Riwka (Rebeka) – żona Icchaka, a także Rachel (Rachela) i Lea – żony Jakowa.

Najważniejszą historyczną postacią judaizmu jest Mojżesz, największy żydowski prorok. Podstawą tej religii jest Tora, natomiast jej interpretacja i sposób przestrzegania jej praw zależą od odłamu.

## JUDAIZM ORTODOKSYJNY

Judaizm ortodoksyjny w sposób dosłowny rozumie treści zawarte w Torze oraz wszelkie ustalenia rabiniczne znajdujące się w Talmudzie. Ortodoksi uznają je za wiążące i stosują się do nich na co dzień.

Ortodoksyjnych Żydów można podzielić na dodatkowe odrębne grupy.

**CHAREDIM** (חרדים) po hebrajsku oznacza ‘w bojaźni Boga’. Wyznawców tego odłamu potocznie zwie się ultraortodoksyjnymi, ze względu na ich niechęć do zmieniania wielowiekowej tradycji. Często nieprzychylnie traktują postęp cywilizacyjny, ograniczając kontakt ze światem zewnętrznym i zamykając się w swoich wspólnotach. W większości noszą czarne spodnie, białe koszule i czarne marynarki, brody, pejsy i czarne jarmułki. Kobiety zakrywają kolana (długimi ciemnymi spódnicami), ramiona aż do nadgarstków oraz głowy (perukami lub chustkami). Niektórzy z niechęcią podchodzą do powstania państwa Izrael, które w dużej mierze jest świeckie, uważają je bowiem za przejaw bałwochwalstwa. Część z nich posługuje się na co dzień językiem jidysz.

**CHASYDYZM** (חסידות) oznacza ‘pobożność, bogobojność’. Jest to, jak na dzieje judaizmu, ruch współczesny i bardzo odmienny od innych odłamów. Został zapoczątkowany w XVIII stuleciu na terenach Ukrainy, Polski i Białorusi. Chasydzi, tak jak charedim, bardzo uważnie wypełniają wszystkie przykazania Tory, uznając, że całkowite posłuszeństwo boskim nakazom jest ich obowiązkiem. Część grup charakteryzuje się spontanicznym podejściem do wielbienia Boga, które jest pełne entuzjazmu, radości, śpiewu i tańca. Inni natomiast są znacznie bardziej surowi i formalni w przestrzeganiu instrukcji halachy. Wszyscy utożsamiają się z konkretną dynastią i podążają za naukami rabina, który również do niej należy. Tacy rabini nazywani są *cadykami* i według chasydów są bliżej Boga, a nawet mogą być pośrednikami między nim a ziemią. Po śmierci cadycy chowani są w *ohelach*. Kilka z nich znajduje się w Polsce, między innymi w Leżajsku, Kocku, Lelowie, Łodzi, Dynowie, Aleksandrowie Łódzkim, Bobowej, Chrzanowie, Sieniawie, Szydłowcu, Tarnowie, Nowym Wiśniczu czy Nowym Sączu. Stąd przybywają tam częste i liczne pielgrzymki chasydów z całego świata.

Chasydzi wyglądem przypominają charedim, ale każda chasydzka grupa wyróżnia się jakimś szczegółem ubioru. Niektórzy na specjalne okazje zakładają sztrajmle, czyli futrzane czapy, inni noszą białe kapoty, kolejni spodnie nad kolana, do których zakłada się białe lub czarne podkolanówki.

**NOWOCZESNA ORTODOKSJA**, zwana też *datim* (דתיים), zapoczątkowana w XIX wieku, kieruje się prawem Tory, ale z miejscowymi zwyczajami. Jest to próba pogodzenia prawa żydowskiego ze współczesnością i z tym, co oferują lokalne społeczności i kultura. Żydzi należący do tej grupy przestrzegają wszelkich nakazów i zakazów znajdujących się w Pięcioksięgu, ale jednocześnie funkcjonują w świeckim społeczeństwie, nie zamykając się na nie.

## JUDAIZM REFORMOWANY

*Judaizm reformowany*, zwany również postępowym lub liberalnym, powstał w XIX wieku. Zapoczątkowały go zmiany w liturgii polegające na dodaniu muzyki instrumentalnej i skróceniu niektórych modlitw. W wielu z nich całkowicie zrezygnowano z języka hebrajskiego. Żydzi reformowani uważają prawo żydowskie zawarte w Torze za historyczne i podlegające zmianom, dlatego większość całkowicie odrzuciła halachę lub traktuje ją swobodnie.

W judaizmie reformowanym obowiązuje pełne równouprawnienie kobiet i mężczyzn, którego

nie ma w ortodoksji. W synagogach zgromadzeni siedzą razem. Dopuszczane są również małżeństwa homoseksualne.

## JUDAIZM KONSERWATYWNY

*Judaizm konserwatywny*, zwany *Masorti* (מסורתי), powstał pod koniec XIX wieku. Pod wieloma względami blisko mu do judaizmu reformowanego, choć w kilku kwestiach wybiera ortodoksyjną opcję. Konserwatyści deklarują związaną z halachą, ale wybierają jej łagodniejszą formę. Przykładem są modlitwy, które odmawia się po hebrajsku.

## ŻYDZI ŚWIECCY

*Judaizm świecki* nie jest odłamem judaizmu, lecz określeniem na Żydów, którzy nie są ani wierzący, ani religijni, ale ich żydowska tożsamość jest dla nich ważna i chcą ją zachować. Nie są członkami organizacji religijnych i nie należą formalnie do żadnej synagogi. Za to czują przynależność do żydowskiej tradycji dodatkowo według ściśle ortodoksyjnej interpretacji. Ten niezorganizowany nurt – zwany „tradycyjnym” – jest coraz bardziej popularny w Izraelu. Część z jego przedstawicieli ek przynajmniej w symboliczny sposób obchodzi żydowskie święta i czasem bywa w synagodze. Do świeckich Żydów należało wielu Polaków współtworzących polską kulturę. Podobnie było wśród nich wiele znakomitości światowego formatu, takich jak Albert Einstein, Sigmund Freud czy Baruch Spinoza.

## KONWERSJA NA JUDAIZM

Każdy, kto nie urodził się Żydem, może się nim stać dzięki *konwersji*, czyli przejściu na judaizm. Proces obejmuje kilka etapów, a jego długość zależy od wielu czynników. Na początku należy odpowiedzieć na pytanie, skąd wzięła się potrzeba dołączenia do narodu żydowskiego. Jeżeli powód jest jasny, trzeba się skontaktować z lokalnym rabinem, który pokieruje zainteresowanego dalej. Podsunie właściwe źródła do nauki podstaw judaizmu lub wyśle na odpowiednie seminaria, zaprosi do uczestnictwa w modlitwach i w życiu społeczności. Mężczyźni pomogą zorganizować obrzezanie. Kiedy uzna, że dana osoba jest gotowa, skontaktuje ją z odpowiednim bet dinem. Proces wieńczy zanurzenie nowo nawróconego w mykwie.

Najprostszą i najszybszą konwersję można zrobić u Żydów reformowanych. Nie jest ona jednak wystarczająca, by zostać Żydem dla ortodoksów czy konserwatywnych. Konserwatywna konwersja również nie zostanie uznana przez ortodoksyjnych, ale przez reformowanych tak.

## KABAŁA

*Kabała* – po hebrajsku קבלה – oznacza ‘otrzymywanie, przyjmowanie’. Jest to szkoła judaizmu, znana już w średniowieczu, nieprzypisana do żadnego jego odłamu, choć najbardziej rozpowszechniona wśród chasydów. Zajmuje się mistyczo-filozoficznym aspektem religii żydowskiej. Jedną z kabalistycznych praktyk jest przypisywanie dodatkowych znaczeń wszystkim literom alfabetu hebrajskiego i dopatrywanie się w każdym słowie ukrytego wymiaru. Taka numerologiczna rachuba zwana jest *gematrią*. Jej celem jest wyjaśnienie i zrozumienie głębszej relacji między Bogiem a człowiekiem.

Według Talmudu każdą rzecz wspomnianą w Torze można rozumieć na czterech poziomach, które wspólnie nazywane są *pardesem*. *Pardes* (פרדס) oznacza sad owocowy znajdujący się w ogrodzie Eden. Tłumaczy się to słowo jako ‘raj’. *PaRDeS* jest również akronimem, na który składają się *pszat* (פשוט), czyli dosłowne rozumienie tego, co jest napisane, *remez* (רמז), czyli rodzaj rebusu, aluzji, *drasz* (דרש), czyli interpretacja, a wreszcie *sod* (סוד) – tajemnica. I to właśnie *sod* jest głównym tematem kabały.